

DIANNE FREEMAN

PORADNIK PRAWDZIWEJ DAMY



Przypadek,
wypadek czy intryga?

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

DIANNE FREEMAN

PORADNIK PRAWDZIWEJ DAMY



Przypadek,
wypadek czy intryga?

Tłumaczenie: Magda Witkowska

SKARPA
WAR
SZAW
SKA

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Podziękowania

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Tytuł oryginału
A LADY'S GUIDE TO MISCHIEF AND MURDER
Copyright © 2020 by *Dianne Freeman*
First published by *Kensington Publishing Corp. All Rights Reserved*

Polish edition copyright © 2023 Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o. o.
Polish translation copyright © 2023 Magda Witkowska

Redakcja
Monika Orłowska

Tłumaczenie
Magda Witkowska

Korekta
Janusz Sigismund

Projekt graficzny okładki
Anna Slotorsz

Zdjęcia na okładce
Polona

Skład i łamanie
Agnieszka Kielak

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83292-81-6



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Moim rodzicom, Lottie i Hankowi Halickim.
Kocham Was i bardzo za Wami tęsknię!

PODZIĘKOWANIA

Z całego serca dziękuję wszystkim osobom, dzięki którym powstała ta książka. W szczególności pragnę podziękować moim przyjaciółkom po piórze, Mary Kallihoa, Heather Redmond, Bei Conti i Clarissie Harwood, które służyły mi krytyczną uwagą podczas lektury kolejnych wersji książki. To one pomogły mi rozwikłać niektóre zbyt skomplikowane wątki i unikać błędów historycznych. One też motywowały mnie do większego wysiłku.

Christine Hounshell i Markowi Fleszarowi pragnę podziękować za wsparcie techniczne w dziedzinie medycyny i sportu. J.W. niech zaś przyjmie serdeczne podziękowania za rzeczy wiadome. Ciepłe słowo należy się także Budowi Elonzae, niepoprawnemu romantykowi.

Ta książka by nie powstała, gdyby nie moja agentka Melissa Edwards, mój redaktor John Scognamiglio oraz zespół Kensington Books, a w szczególności Larissa Ackerman, Robin Cook i Pearl Saban. Jesteście wszyscy niesamowici!

Bardzo serdecznie dziękuję wszystkim bibliotekarkom i bibliotekarzom, a także księgarcom i księgarzom, którzy zachęcają czytelników do śledzenia losów hrabiny Harleigh. Dziękuję również czytelnikom za ich zainteresowanie moją bohaterką.

Na zakończenie zaś chciałabym podziękować mojemu mężowi Danowi, który cierpliwie mnie słuchał, gdy czytałam mu rękopis od deski do deski, który nieustannie wspiera mnie i obdarza miłością, a na dodatek opowiada o moich książkach, komu tylko może.

ROZDZIAŁ I

Październik 1899 roku

Dlaczego to zawsze tak jest? Dlaczego właśnie wtedy, gdy zaczynam mieć poczucie, że wszystko układa się po prostu idealnie, los funduje nam katastrofę – żeby jednak nie było za dobrze?

Nie wiem, na ile jest to powszechne zjawisko, ale mnie coś takiego spotyka irytująco często. Prosty przykład... Nieco ponad dziesięć lat temu całkiem zwyczajna panna Frances Price spełniła marzenie swojej matki i wyszła za mąż za hrabiego. Tak oto świat poznał Frances, hrabinę Harleigh. Radość wielka towarzyszyła temu wydarzeniu, rodzina miała się czym pochwalić. Mój mąż był człowiekiem rzutkim i przystojnym. Dopiero później zorientowałam się, że był również człowiekiem rozrzutnym i skorym do pozamałżeńskich przygód. Przez dziewięć lat sporo się przez niego wycierpiałam, a na koniec znalazłam go martwego w łóżku kochanki. Gdy minął czas żałoby, poczułam przyływ sił. Mój optymizm szybko jednak przygasał na skutek kolejnego zgonu, a ściślej rzecz biorąc – zabójstwa.

Ponieważ wzloty i upadki przeplatały się z taką właśnie regularnością, nie potrafiłam do końca cieszyć się tym, że akurat chwilowo moje życie to idylla w najczystszej postaci. Po głowie cały czas krążyła mi myśl, że jakaś katastrofa najpewniej już wisi w powietrzu. Nie bacząc jednak na to, starałam się zajmować codziennymi sprawami. Podczas śniadania, które jadłam z moją ośmioletnią córką Rose w jej pokoju, snułam plany dotyczące zbliżającej się wyprawy na wieś. Gdy nastąpiła pora na lekcję, zeszałam do biblioteki, gdzie obok stosiku korespondencji czekał na mnie dzbanek z kawą przyniesiony przez moją gospodynię, panią Thompson. W ogrodzie za oknem kwiliły jemioluszki. Zdażyłam właśnie zanurzyć usta w ciepłym napoju, gdy los postanowił dać mi znać, co złego ma tym razem dla mnie w zanadru.

Do pokoju weszły ciotka Hetty i moja siostra Lily, obie tak poruszone, że wyraźnie obojętne na uroki poranka. Lily miała wkrótce wyjść za mąż i przez ostatnie dwa miesiące zachowywała się jak na szczęśliwą przyszłą pannę młodą przystało. Teraz stała przede mną z podpuchniętą twarzą, wokół której beładnie splywały niesforne kosmyki złotych włosów. W jej niebieskich oczach stały łzy,

od których białka zdążyły się wyraźnie zaczerwienić. W niczym nie przypominała tryskającej optymizmem osóбки, którą widywałam na co dzień.

Po plecach przeszedł mnie dreszcz, jakby ktoś przeciągnął mi po skórze lodowatymi palcami.

– Kochana moja, czy coś się wydarzyło?

Lily wybuchła płaczem.

Hetty otuliła ją ramieniem i skarciła mnie wzrokiem.

– Zobacz tylko, co narobiłaś!

Całkiem mnie to zbiło z tropu. I zmartwiło. Wstałam zza biurka i podeszłam do siostry.

– Lily, powiedz mi, proszę, co się stało.

Moja siostra nie mogła przestać płakać, więc Hetty posadziła ją na krześle i wzięła na siebie ciężar rozmowy. To od niej się dowiedziałam, że Lily spodziewa się dziecka. Oparłam ciężar ciała o blat biurka, a z moich ust padło spontaniczne:

– Katastrofa!

Lily zapowietrzyła się jeszcze bardziej i znów załała się łzami, a ciotka Hetty westchnęła z irytacją.

– Doprawdy, Frances? W ogóle nie próbujesz pomóc. Lily przychodzi do ciebie ze swoim zmartwieniem, a ty mówisz jej coś takiego?

Posłałam jej oburzone spojrzenie, chcąc wywołać u niej poczucie skruchy albo choćby skłonić ją do kierowania tak krytycznych słów pod innym adresem. Na nic się to jednak zdało. Hetty nic sobie nie robiła z tego, jak się na nią patrzy – bez względu na to, czy patrzyłam ja, czy ktokolwiek inny. Siostra mojego ojca była ciemnooką i ciemnowłosą pragmatyczną kobietą, która miała wyjątkowy dar zarabiania właściwie na wszystkim. Przeżyła śmierć ukochanego męża, niejeden raz dorobiła się fortuny, a potem ją straciła. Trwała przy swoim zdaniu niezależnie od tego, co o niej myśleli ludzie interesu i szanowne panie z wyższych sfer. Tym bardziej nie zamierzała przejmować się moim niezadowoleniem.

Podeszła do Lily i objęła ją tak, jakby chciała ją ochronić. Jakbym ja zamierzała ją skrzywdzić. Moja siostra tymczasem próbowała powstrzymać łzy i ocierała chusteczką kąciki oczu.

– Ależ pomogę wam, oczywiście. Po prostu jestem zaskoczona. – Zerknęłam na siostrę i westchnęłam cicho. – Bierzecie ślub za osiem tygodni. Nie mogłaś poczekać?

Lily zrobiła niewinną minkę i ponownie przytknęła chusteczkę do zapłakanych oczu.

– Właśnie w tym rzecz, Franny. Uznaliśmy, że nie ma sensu czekać. – Machnęła chusteczką, jakby od niechcenia. Hetty tymczasem rozsiała się na własnym krześle. – Jak sama powiedziałaś, wkrótce będziemy małżeństwem. Nie zdawałam sobie sprawy, że to się może wydarzyć tak szybko. Ty i Reggie nie mieliście przecież Rose od razu. Ciotka Hetty żyła w małżeństwie przez wiele lat, ale nie doczekała się dzieci. Skąd mogłam wiedzieć?

Coś mi podpowiadało, że nasza matka nie zadowoli się wyjaśnieniem typu „Skąd mogłam wiedzieć?”. Łatwo potrafiłam sobie wyobrazić, jak by zareagowała, gdybym to ja przyszła do niej z taką wieścią przed swoim ślubem. Choć gdyby dobrze się nad tym zastanowić, to na coś takiego w ogóle nie byłoby czasu. Matka wytypowała Reggiego jako możliwego kandydata do mojej ręki jeszcze przed wyjazdem z Nowego Jorku. Wkrótce po przybyciu do Londynu zostaliśmy sobie przedstawieni przez wspólnego znajomego. Zatańczyliśmy ze sobą kilkakrotnie, a potem on ustalił z moją matką wszystkie warunki i ślub odbył się, zanim jeszcze zdążyliśmy nawiązać znajomość.

A czy ja już wspominałam, że to było całkowicie nieudane małżeństwo? Czy zatem tak trudno mi się dziwić, że zależało mi na dłuższym okresie narzeczeństwa w przypadku Lily i Leo? Chciałam, żeby spędzili ze sobą trochę czasu i bliżej się poznali.

Najwyraźniej poznali się aż za blisko. No i oto mieliśmy ambaras.

– Leo sugeruje, żebyśmy uciekli i wzięli potajemny ślub – powiedziała Lily tak cicho, że niemal szeptem.

Jej słowa wyrwały mnie z zamyślenia.

– Ależ, kochanie, nie... To nie ma prawa się udać.

Ona zwinęła chusteczkę w kulkę i schowała ją w zaciśniętej pięści.

– No tak, ale przecież nie możemy czekać ze ślubem osiem tygodni. Jak wówczas wytłumaczymy tak szybkie przyjście dziecka na świat? Ono by się urodziło niespełna sześć miesięcy po ceremonii.

– Nie pierwszy raz by się coś takiego zdarzyło, moja droga. – Hetty poklepała ją po dłoni.

– Może to i prawda, ale gdyby dało się tego uniknąć, to byłoby lepiej – wtrącałam. – Tyle że potajemna ceremonia to w zasadzie jawne przyznanie się do ciąży. Zgadzam się, że ślub nie może się odbyć w pierwotnie planowanym terminie, ale wersja z ucieczką to plan, który nie zadowoli nikogo.

Zastanawiałam się, co w takim razie moglibyśmy zrobić.

Lily zdołała już trochę nad sobą zapanować, postanowiłam więc zadać jej kolejne trudne pytanie.

– A co powiedziała matka Leo?

Ona spojrzała na mnie, jakbym jej zaproponowała, żeby sama podłożyła ogień pod własny stos.

– Pani Kendrick nic nie powiedziała, ponieważ nie ma pojęcia o całej sytuacji – niemal wykrzyknęła. – Chyba nie myślisz poważnie, żeby jej o tym mówić? Już chyba wolałabym zapaść się pod ziemię, Frances. – Spojrzała na mnie z przerażeniem i chwyciła się za gardło, jakby ją coś dusiło. – Umarłabym.

– Tego wolelibyśmy uniknąć, jak jednak zamierzasz to przed nią ukryć?

– Po to mieliśmy wziąć ślub po kryjomu.

Ulżyło mi, gdy spostrzegłam, że Hetty również zmrużyła oczy w wyrazie zaskoczenia.

– A zamierzaliście uciec i ukrywać się przez dziewięć miesięcy? – zapytała.

Lily nabrała powietrza w płuca, jakby chciała coś powiedzieć, ale ostatecznie się nie odezwała, tylko opadła na oparcie krzesła.

– A niech to... Wtedy tak by trzeba zrobić... Innego wyjścia by nie było.

– Leo nie mógłby sobie na to pozwolić, kochana. A co najmniej musiałby przedstawić ojcu jakiś bardzo dobry powód. Jeśli więc nie wymyśli czegoś wiarygodnego, będziecie musieli wyjawić im prawdę. Pan Kendrick raczej nie zgodzi się sfinansować wam dziewięciomiesięcznej podróży poślubnej.

Leo Kendrick był człowiekiem interesu. Pracował jako wspólnik w firmie swojego ojca. Nie potrafiłabym wyjaśnić konkretnie, czym się zajmuje, ale miało to związek z kopalniami i działalnością jakichś fabryk. Firmę założył jego dziadek, a ojciec ją rozwinął i zapewnił jej wysoką rentowność. Z zarabianych w ten sposób pieniędzy mógł wychować córki na prawdziwe damy, syna zaś posłać do najlepszych szkół i dać mu wykształcenie godne dżentelmena. Ostatecznie rodzinny biznes miał przejść w ręce syna, ale ojciec od wszystkich czworga swoich dzieci oczekiwał, że zawrą korzystne małżeństwa.

Najstarsza siostra Leo, Eliza, spełniła jego życzenie. Wybór syna również spotkał się z aprobatą ojca. Całe szczęście zresztą, bo tych dwoje szaleńczo się w sobie zakochało. Gdyby nie moje nalegania na brak pośpiechu, wzięliby ślub wiele miesięcy temu. Postanowiłam się tym jednak nie zdręczyć. To przecież nie była moja wina, że Lily zaszła w ciążę.

Gdy jednak siedziała przede mną taka zrozpaczona, czułam neodpartą potrzebę, żeby pomóc jej jakoś z tego kłopotu wybrnąć. Hetty najwyraźniej również. A skoro przyszła tu w roli wsparcia dla Lily, to najwyraźniej dowiedziała się o zaistniałej sytuacji jeszcze przede mną.

– A ty masz jakieś pomysły, ciociu Hetty?

– Wydawało mi się, że nic lepszego niż potajemny ślub nie da się wymyślić. – Pokręciła głową.

– To może nie jest całkiem niedorzeczne rozwiązanie, ale moim zdaniem powinniśmy je traktować jako ostateczność. Na pewno uda nam się wpaść na coś lepszego.

– Masz rację. – Hetty zacisnęła szczękę i zrobiła bardzo poważną minę. – W końcu są z nas trzy mądre kobiety. A co byśmy zrobiły, gdyby wszystko było możliwe?

– Gdyby Graham nie sprzedawał posiadłości Harleigh, tam ceremonia mogłaby się odbyć nawet w ciągu tygodnia – stwierdziłam. – Zaprosilibyśmy tylko najbliższą rodzinę. Wydarzenie odbyłoby się z dala od miasta, nikt by więc nie mógł się obrazić, że nie został zaproszony.

Westchnęłam i oparłam się o biurko. Sprzedaż rodzinnej posiadłości uważałam za jeden z najlepszych pomysłów, na jakie kiedykolwiek wpadł mój szwagier. Utrzymanie w odpowiednim stanie samych tylko murów pochłonęło już niejedną fortunę, w tym moją. A to właśnie dla tych pieniędzy – i tylko dla nich – Reggie się ze mną ożenił. Choć to bynajmniej nie tak, że innych atutów mi brakowało. Świetnie się spisywałam w roli pani domu, konwersowałam całkiem błyskotliwie, potrafiłam się stosownie ubrać i odnaleźć w towarzystwie. Wzrostu może byłam ponadprzeciętnego, poza tym jednak nie odbiegałam niczym od większości kobiet. Zgodnie z wymogami socjety cerę miałam jasną, do tego włosy ciemne, a oczy niebieskie. W żadnym razie nie można by mnie nazwać szpetną, najwyraźniej jednak poza posagiem nie miałam nic, co by jakoś szczególnie interesowało mojego męża.

Tytuł hrabiego Harleigh nosił obecnie brat Reggiego, Graham, który nie mógł sobie pozwolić na dalsze utrzymanie tego wielkiego domu. Na szczęście stał on na ziemi, którą jego pradziadek nabył niezależnie od tytułu szlacheckiego, a w związku z tym można go było bez przeszkód sprzedać.

Chwilowo jednak bardzo by się ten dom przydał.

– Ślub w ciągu tygodnia... To chyba jednak ciut za wcześniej – zauważyła Hetty. – Wasza matka nie zdąży przyjechać, a przecież Lily nie może wyjść za mąż bez jej obecności.

– Nie mogę? – zapytały drżące wagi Lily.

Rozumiałam, dlaczego wolałaby takie rozwiązanie. Nie byłam jednak skłonna zgodzić się na to, żeby wyszła za mąż pod nieobecność matki, ponieważ niezadowolone naszej rodzicielki spadłoby potem na mnie. Zresztą temu niezadowoleniu

niu trudno byłoby się dziwić, zważywszy że matka zamierzała przemierzyć drogę aż z Nowego Jorku, żeby towarzyszyć młodszej córce podczas ceremonii zaślubin.

– Nie, moja droga, nie możesz. – Zerknęłam do kalendarza, który leżał na biurku. – Jej statek przy pływa we wtorek. Rozsądnie byłoby zorganizować ślub jak najszybciej po jej przyjeździe, żeby miała mniej czasu na dochodzenie przyczyn nagłej zmiany planów.

– No i dlatego ten pomysł z ucieczką i potajemnym ślubem wydał mi się tak interesujący – stwierdziła Lily. – Rodziców Leo nie ma w tym tygodniu w mieście. Matka też jeszcze nie przyjechała. Moglibyśmy wziąć ślub i postawić ich przed faktem dokonanym.

Tylko że w praktyce młodzi by nikogo przed niczym nie stawiali. Ten wątpliwy zaszczyt spadłby na mnie.

– To nie byłoby w porządku w stosunku do Patricii Kendrick. Leo to jej jedyny syn. To dla niej na pewno ważne, żeby uczestniczyć w jego ślubie. – Skrzyżowałam ręce na piersiach i spojrzałam surowo na siostrę. – A wy dwoje prędzej czy później będziecie jej musieli powiedzieć o dziecku. Na pewno się ze mną zgadzasz.

– Dopiero po zakończeniu miesiąca miodowego. Masz oczywiście rację, że ona zapewne będzie rozczarowana naszym postępowaniem, jeśli jednak szybko weźmiemy ślub, to zapewnimy jej choć możliwość wyciszenia niektórych plotek. – Popatrzyła na mnie, jakby chciała mnie przekonać do swoich racji. – To raczej dobry pomysł, nie sądzisz?

– Tylko pod warunkiem, że uda nam się znaleźć dom na wsi, w którym mogłaby się odbyć niewielka uroczystość w rodzinnym gronie. Na razie zaś żaden mi nie przychodzi do głowy.

Hetty rzuciła mi takie spojrzenie, jakby nagle ją coś zaintrygowało.

– A czy takich domów się przypadkiem nie udostępnia na wynajem?

– Na pewno nie na tak krótki czas.

Hetty i Lily mieszkały w Londynie dopiero od kwietnia, kiedy to moja siostra po raz pierwszy zaprezentowała się w towarzystwie. Nadal nie do końca się orientowały, co i jak działa w tych kręgach. To znaczy w kręgach arystokratycznych. Zdarzało się, że ktoś wynajmował swoją posiadłość na rok czy dłużej – i choć był to dla wszystkich czytelny sygnał, że rodzina ma kłopoty finansowe, to powszechnie uznawano takie rozwiązanie za akceptowalny sposób ich rozwiązywania. Gdyby ktoś zdecydował się wynająć swój dom na tydzień, mógłby zostać

posądzony o prowadzenie hotelu czy innego rodzaju działalność typową dla klasy średniej. Czegoś takiego się po prostu nie praktykowało.

– A siostra Leo i jej mąż? – Zastanawiałam się, kto z dalszych znajomych mógłby nam przyjść z pomocą. – Nazywają się, o ile dobrze kojarzę, Durant? Mają dom w mieście, ale gdzie właściwie rezyduje rodzina pana Duranta?

Lily zmarszczyła nos.

– Właściwie to nie wiem, skąd oni są. Leo na pewno lepiej się orientuje. To może ja go przyprowadzę?

Wstała i przemierzyła pokój, zupełnie jakby Leo miał czekać w korytarzu. Otworzyła drzwi i wyciągnęła rękę.

Jakież było moje zdumienie, gdy go zobaczyłam zaraz za progiem.

Zerknęłam wymownie na Hetty, która tylko wzruszyła ramionami.

– Uznaliśmy, że łatwiej nam będzie przedstawić ci całą sprawę bez jego udziału.

Leo, człowiek zwykle przyjazny i towarzyski, teraz szedł przez moją bibliotekę jakby niepewnie i ze spuszczoną głową. Podążał pół kroku za Lily, zerkając na mnie ukradkiem. Ależ to był nietypowy widok! Choć Leo nie grzeszył może wzrostem, ramiona miał szerokie i potężne, więc drobniutka Lily wyglądała przy nim tak, jakby wiodła do mnie skruszonego Goliata.

Uznałam, że to właściwie dobrze. Odpowiadało mi, że on czuje się w tej sytuacji co najmniej równie niezręcznie jak ja, tym bardziej że walnie się przyczynił do jej zaistnienia. zaproponowałam mu, żeby usiadł, a sama szukałam odpowiednich słów.

Hetty się za to w ogóle nie krępowała.

– Rozmawialiśmy właśnie o waszej sytuacji, panie Kendrick. Lady Harleigh uważa, zdaje się, że ucieczka i potajemny ślub mogłyby całkiem niepotrzebnie dać pożywkę plotkom.

Leo przygryzł wargę i przez chwilę przyglądał mi się niepewnie swoimi ciepłymi brązowymi oczami.

– Ja z kolei przypuszczałbym, że mniej narazimy się na plotki, biorąc ślub potajemnie, niż gdybyśmy czekali z ceremonią do pierwotnie planowanego terminu.

– To być może prawda – odparłam. – Choć różnica byłaby niewielka. Zaproszenia nie zostały jeszcze rozesłane, więc być może moglibyście z Lily zmienić czas i miejsce uroczystości. Przenieść ją na wieś i zorganizować mniej więcej za tydzień, z udziałem samej tylko rodziny.

On przez chwilę się nad tym zastanawiał, a potem westchnął.

– Rozumiem oczywiście, dlaczego dobrze by było zorganizować skromny ślub w możliwie nieodległym terminie, ale gdzie konkretnie na wsi miałby się odbyć?

– A czy można by zorganizować przyjęcie w domu rodzinnym pana Duranta?

Leo otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– W Northumberland?

Raz jeszcze oparłam się o biurko, cmokając przy tym z niezadowoleniem.

– To aż tak daleko?

On przytaknął bezgłośnie.

– Na dodatek nie jestem przekonany, czy oni by na ten pomysł przystali. Durant nie utrzymuje bliskich relacji z rodziną. Nie wiem nawet, czy w ogóle zechciałby się do nich zwrócić z taką prośbą.

– No to nie ma o czym mówić – stwierdziła Lily. – Uciekamy i nie ma innego wyjścia. – Przysiadła na podłokietniku krzesła, które zajmował Leo. – I to czym prędzej, dopóki nie ma twoich rodziców.

W ogóle mi się ten pomysł nie podobał, ale zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, rozległo się pukanie i przez drzwi wsunęła się do środka siwa głowa pani Thompson.

– Pan Hazelton do pani, milady.

– Czyżby? – Uśmiechnęłam się mimowolnie, bo sama tylko myśl o George'u Hazeltonie skutecznie uwalniała mnie od wszystkich trosk.

– A musisz go przyjmować akurat teraz? – Na twarzy Lily wymalowało się zniecierpliwienie.

Podniosłam się do pozycji stojącej i odparłam:

– Owszem, muszę. On jedzie do Risings, więc nie zabawi długo. Poza tym mać z Leo mnóstwo spraw do zaplanowania. – Idąc za panią Thompson do drzwi, posłałam im jeszcze ostrzegawcze spojrzenie. – Tylko niech wam nie przyjdzie do głowy wychodzić, dopóki nie wrócę.

Gdy tylko przekroczyłam próg bawialni, George od razu porwał mnie w ramiona. Nie opierałam się, a wprost przeciwnie – uległam mu całą sobą. George Hazelton i ja postanowiliśmy się pobrać, ale na razie zachowywaliśmy to w tajemnicy, żeby nie odwracać uwagi od Lily. Nasze wieści mieliśmy zamiar przekazać światu zaraz po jej ślubie.

Westchnęłam cichutko, gdy o tym jej ślubie pomyślałam...

George odsunął się ode mnie lekko i spojrzał na mnie pytająco.

– Nie zabrzmiało to jak westchnienie zachwytu, Frances. Czy coś się stało?

Ależ ten George jest kochany! Nie zamierzałam wyzwalać się z jego objęć, ale przekrzywiłam głowę, żeby móc spojrzeć mu w oczy. Pozostawaliśmy tak blisko siebie, że dokładnie widziałam ciemne obwódki wokół jego jasnozielonych tęczywek. Tyle się w nich kryło tajemnic. Wiedziałam, że mogłabym je latami odkrywać i że sprawiałoby mi to wielką przyjemność.

Ujęłam go za rękę i poprowadziłam do części pokoju, w której zwykle toczyły się rozmowy. Znajdował się tu duży stolik do herbaty, a wokół niego stały miękkie sofy i fotele obite biało-niebieskim materiałem. Rozsiadliśmy się na jednej z kanap.

– Drobne komplikacje ze ślubem Lily i Leo. Zakładam jednak, że to nic straszniego.

On zmarszczył czoło tak bardzo, że między jego brwiami pojawiły się dwie pionowe linie.

– Powiedz mi tylko, że to nie jest nic takiego, przez co nie mogłabyś w przyszłym tygodniu przyjechać do mnie do domu mojego brata. Romantyczny wypad się nie odbędzie, jeśli nie zdołamy oboje w nim uczestniczyć. Wiesz dobrze, że bez ciebie to się nie uda.

Położyłam sobie dłoń na sercu.

– Ach, no tak. Ty, ja i kilkunastu innych uczestników polowania. Aż mi dech w piersi zapiera na myśl o tym, jaki romantyczny nastrój tam zapanuje.

– Zaproszeni zostali tylko Evingdonowie, moja siostra i jej mąż. Poza tym będą sąsiedzi, ale oni nocują u siebie. Przypuszczam więc, że powinienem być w stanie zapewnić nam kilka chwil tylko we dwoje.

Powiedział to tak niskim głosem, że aż poczułam lekkie drżenie w piersi.

George był najmłodszym z braci hrabiego Hartfielda, który akurat przebywał z żoną gdzieś kontynencie. Wybrali się w podróż, która miała być jak powtórnym miesiącem miodowy. Tyle że wyruszyli już miesiąc temu i planowali powrót dopiero po upływie kolejnego. A ponieważ nieroztropne byłoby pozostawianie posiadłości bez nadzoru na tak długo, hrabia poprosił George'a, aby dojrzał spraw Risings i wszystkiego dopilnował. George się oczywiście zgodził i właśnie dziś miał tam wyjechać na dwa tygodnie. A któż to widział, żeby spędzać dwa tygodnie jesienią na wsi i nie zorganizować polowania?

George cieszył się na to wydarzenie jak dziecko z nowego szczeniaka. Długo musiał mnie namawiać, żebym tam do niego przyjechała, ale w końcu się zgodziłam. Ponieważ jednak ślub Lily zbliżał się wielkimi krokami, postanowiłam wybrać się tylko na tydzień.

– Te konkretne komplikacje mogłyby wręcz sprawić, że dołączę do ciebie wcześniej.

George uśmiechnął się szeroko i rozchmurzył.

– Czyżby postanowili uciec i wziąć ślub potajemnie? Dobry wybór!

Wzruszyłam ramionami.

– To nie do końca kwestia wyboru.

– O, ty mówisz całkiem poważnie? – Odsunął się nieco i popatrzył na mnie zdumiony. – Ależ! Tyle mieli planów, a teraz chcą uciekać i brać ślub w tajemnicy przed wszystkimi?

– Ich ślub musi się odbyć wkrótce. – Posłałam mu wymowne spojrzenie.

Odpowiedziało mi niezrozumienie, które się wymalowało w jego oczach.

– Przecież ich ślub odbędzie się wkrótce.

Moje wymowne spojrzenie najwyraźniej nie było dość wymowne.

– Chciałam przez to powiedzieć, że muszą wziąć ślub czym prędzej.

Z uniesionych brwi George'a wywnioskowałam, że wreszcie zrozumiał, w czym rzecz.

– A czy twoja matka właśnie do nas nie płynie? Będzie straszliwie rozczarowana, jeśli ominie ją ceremonia.

– Matka Leo również, ale nie udało nam się wymyślić nic innego. Zaproponowałam, żeby zorganizowali uroczystość w rodzinnym gronie gdzieś na wsi, ale posiadłość w Harleigh została wystawiona na sprzedaż, więc tam się to odbyć nie może, a rodzice Leo nie mają domu za miastem. – Wzruszyłam ramionami. – A tym samym nie ma gdzie podjąć gości.

– Mogliby przyjechać do Risings. Tam się wszyscy zmieszczą.

– To bardzo miłe z twojej strony, ale twój brat nie jest przecież w żaden sposób spokrewniony z żadnym z nas. Nie możemy oczekiwać, że zgodzi się urządzić dla nas ślub, choćby nawet najskromniejszy. To byłoby nadużycie uprzejmości.

– Mała poprawka – powiedział George, unosząc palec wskazujący. – Wkrótce będziesz jego szwagierką, a to bardzo bliska koligacja. – Teraz do wskazującego palca dołączył środkowy. – Poza tym nie ma go akurat na miejscu, więc w żaden sposób tego nadużycia nie odczuje. I wreszcie... – W tym momencie pokazał trzeci palec. – I tak organizuję polowanie i mam jego zgodę na przyjmowanie gości wedle własnego uznania. Cóż to za różnica, czy będzie ich tuzin więcej czy mniej. – Wzruszył lekko ramieniem, jakby na zachętę. – Przywieź ich do Risings.

Przygryzłam wargę, wprost nie dowierając w tak szczęśliwe zrządzenie losu. Szczęśliwe zwłaszcza dla Lily. To nawet mogło się udać. Risings znajdowało się

w Hampshire, czyli wcale nie tak daleko od Londynu. Najbliższa rodzina mogła się tam zgromadzić w dość krótkim czasie. Moja matka miała przybyć za parę dni, państwo Kendrickowie nie zostaliby pozbawieni możliwości uczestnictwa w ślubie swojego dziecka. To naprawdę mogło się udać! Rzecz odbyłaby się szybko, ale zgodnie ze wszelkimi prawidłami. Uniknęlibyśmy rozczarowania rodziców. W towarzystwie nikt by się nie zorientował, co zaszło.

– Jeśli mówisz całkiem poważnie... Jeśli całkiem poważnie to proponujesz...

Zrobiłam stosowną pauzę, żeby dać mu szansę na wycofanie propozycji. On jednak tylko przekrzywił głowę i czekał na moją decyzję.

Spojrzałam na niego z ukosa, z ulgą stwierdzając, że udało się znaleźć dobre wyjście z całego ambarasu.

– Dziękuję ci, George. To rozwiązuje wszystkie nasze kłopoty.

– Zawsze ci chętnie we wszystkim pomagam. No i za nic bym nie chciał, żeby matkę ominął ślub jej córki.

Spojrzałam na niego, lekko się przy tym krzywiąc.

– Tak szczerze powiedziawszy, to właśnie myśl o niezadowoleniu mojej matki chyba najmocniej mnie motywuje do działania w tej sprawie.

Aż mnie ciarki po plecach przeszły, gdy sobie to uświadomiłam.

On skinął głową.

– Tak, miałem okazję poznać twoją matkę. Też nie chciałbym występować w roli posłańca, który jej przekazuje złe wieści.

– Na szczęście teraz żadne z nas nie będzie musiało tego robić. – Przyłożyłam sobie jego dłoń do policzka. – Dziękuję ci, George. Ty zawsze znajdujesz rozwiązania moich problemów.

– Bo zawsze mogę liczyć na wspaniałą nagrodę.

Ujął mnie za rękę i gestem zasugerował, żebyśmy wstali.

– Nie przypominam sobie, żeby ci obiecywała cokolwiek w zamian.

– Przybędziesz do Risings co najmniej tydzień wcześniej, niż planowaliśmy. Uważam, że to wspaniała nagroda.

Wydobył z kieszeni zegarek, całkiem niechcący wyciągając przy okazji list. Gdy on zerkał na tarczę, koperta opadła na podłogę.

– Musisz już jechać? – zapytałam.

– Niedługo. A ponieważ wcześniej jeszcze powinienem coś załatwić, będę się żegnać.

Zmierzał już do wyjścia, gdy ja podniosłam z ziemi list i podążyłam za nim.

– Masz coś do załatwienia w więzieniu Newgate?

– Co takiego? – Odwrócił się tak raptownie, że niemal na niego wpadłam. – Nie. A skąd to pytanie?

Odsunęłam się od niego zaskoczona i wyciągnęłam ku niemu dłoń trzymającą list.

– Wypadło ci to z kieszeni.

George rozluźnił szczękę, a wówczas wyraz napięcia szybko ustąpił z jego twarzy. Wziął ode mnie kopertę i schował ją z powrotem do marynarki.

– Przypadkiem zauważyłam, że list przyszedł z Newgate. Korespondujesz z jakimś więźniem?

Roześmiał się nerwowo.

– Bynajmniej, ale wiąże się to ze sprawą, którą mam do załatwienia. Jadę z tym do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. – Położył mi palec na ustach. – Nie pytaj nawet. Przecież wiesz, że nie mogę ci powiedzieć.

– Wychodzę za mąż za niezwykle tajemniczego człowieka – stwierdziłam, zdziwiona siłą nacisku jego palca.

George uśmiechnął się i zamiast palca przyłożył do moich ust wargi. Od razu mi się przypomniało, że bardzo go kocham.

Parę minut później żegnałam go już w drzwiach. Oparta o framugę, zastanawiałam się nad wszystkim, co się wydarzyło tego ranka. Stałam mianowicie przed dość niebagatelnym problemem, ale dzięki pomocy George'a udało mi się z nim uporać. Ślub w Risings wydawał się rozwiązaniem idealnym.

W uroczystości miała też uczestniczyć siostra George'a, Fiona, która wraz z mężem, sir Robertem, została zaproszona na polowanie. Wiedziałam, że mogę liczyć na jej pomoc. Teraz pozostawało mi tylko ustalić, w jaki sposób moja matka dotrze z portu na miejsce organizacji ślubu. No i zaplanować małą ceremonię. Nie spodziewałam się jednak, żeby miało się to okazać skomplikowane. Kto wie, może właśnie wyrwałam się z błędnego koła wzlotów i upadków?

ROZDZIAŁ 2

Odprowadziwszy George'a, wróciłam do biblioteki, aby przekazać dobre wieści tam zgromadzonym. Lily zaskoczyła mnie jednak, przyjmując je z wyraźnym niezadowoleniem.

– Jak mogłaś powiedzieć panu Hazeltonowi?

Nawet Leo się zarumienił. Znow odwrócił wzrok, jakby nie był w stanie spojrzeć mi w oczy.

W tym momencie dotarło do mnie, że być może należało to jednak zachować dla siebie. Sama traktowałam George'a niemal jak męża, ale oni troje nie wiedzieli przecież o naszych zaręczynach, więc nie mieli powodu uznawać go za członka rodziny. Usiadłam na parapecie przodem do siostry i jej narzeczonego.

I skłamałam...

– Nic mu nie powiedziałam, Lily. Wspomniałam tylko, że nie chcecie czekać aż osiem tygodni i grozicie ucieczką i potajemnym ślubem.

Teraz musiałam przy najbliższej okazji poprosić George'a, aby zapomniał, że wie cokolwiek na temat sytuacji Lily.

– A on wtedy zaproponował, że nasz ślub może odbyć się w domu, który należy do jego rodziny? – zapytał Leo z wyraźnym niedowierzaniem.

– No cóż... Nie omieszkałam wyrazić moich zastrzeżeń co do potajemnego ślubu. – Wzruszyłam ramionami. – I wtedy on właśnie coś takiego zaproponował.

Lily skinęła głową, jakby przyjęła moją propozycję. Tylko Leo przyglądał mi się podejrziwie.

– Mógł się oczywiście domyślać, że pośpiech wynika z czegoś więcej niż tylko z niecierpliwości – dodałam. – Skoro jednak zaoferował, że zorganizuje uroczystość i podejmie twoją rodzinę w domu swojego brata, to najpewniej nie ma zastrzeżeń ani też nie potępia waszego postępowania.

W tym momencie Leo poczerwieniał jeszcze bardziej, choć wcześniej wydało mi się, że bardziej się już spieszyć nie można.

– A dlaczego się wahacie? – Rozłożyłam ręce. – Czyż to nie jest idealne rozwiązanie?

– Moim zdaniem jest – odezwała się Hetty, przycupnięta na moim biurku. – Niemniej chyba zgodzisz się ze mną, Frances, że to niebagatelna przysługa. Trochę mnie zaskoczyłaś, przyjmując tak szczodłą propozycję. – Teraz ona zerknęła na mnie podejrzliwie. – Tego typu uprzejmości wyświadcza się raczej tylko w bliższych kręgach rodzinnych.

W tym momencie dostrzegłam na jej twarzy coś jakby lekko zadziorny uśmiech. Ciotka Hetty uważała, że George i ja doskonale byśmy do siebie pasowali. Liczyła na to, że weźmiemy ślub. Kusiło mnie trochę, żeby sprawić jej wielką radość wieścią o naszych zaręczynach, uznałam jednak, że w obliczu niezręcznej sytuacji Lily i Leo nie wypadłoby to najlepiej.

– Pan Hazelton tak blisko się z nami wszystkimi przyjaźni, że traktuje nas w zasadzie jak członków rodziny. Mając zaś na względzie Lily i Leo, a może nawet bardziej matkę jego i naszą, postanowiłam nie roztrząsać przesadnie kwestii stosowności tej propozycji. – Uniosłam brwi. – Może to tchórzostwo z mojej strony, ale wolałabym uniknąć konieczności tłumaczenia obu paniom, dlaczego ich dzieci postanowiły uciec i wziąć ślub w tajemnicy.

Teraz na twarzy Hetty wymalowała się mina, która świadczyła o zrozumieniu grozy takiej sytuacji.

– Ależ w ogóle ci się nie dziwię. Skoro jednak tak będzie, staniemy przed kolejnym wyzwaniem. Otóż bowiem Daisy i wasz brat mają przybić do portu dopiero za trzy dni. Jeśli wszyscy pojedziemy do Hampshire, to skąd będą wiedzieli, gdzie nas szukać?

Mówiąc o Daisy, ciotka miała na myśli moją matkę. Na chrzcie nadano jej imię Marguerite, ale jej ojciec, zapalony botanik, szybko zaczął nazywać ją Daisy, czyli Stokrotką. Nie przeszkadzało jej to w ogóle, dopóki nie zamieszkaliśmy w Nowym Jorku i nie rozpoczęła starań o dołączenie do starej socjety. Wtedy nagle imię wymyślone przez ojca zaczęło jej ciążyć, bo rzekomo świadczyło o przynależności do niższej klasy społecznej. W pewnym momencie tajemnica się jednak wydała i moja niepokieszona matka musiała pogodzić się z faktem, że odtąd wszyscy będą mówić o niej jak o kwiatku.

– Rodzice Leo także nie będą wiedzieli – zauważyła Lily.

Odkąd stwierdziła, że ten plan rzeczywiście może się powieść, wyraźnie przybyło jej animuszu.

– Leo, a czy nie mógłbyś posłać rodzicom wiadomości? – zapytałam. – Jeśli dobrze rozumiem, pojechali odwiedzić jedną z fabryk twojego ojca.

– Wolałbym nie uprzedzać ich zanadto – odparł Leo. – Moja matka najpewniej od razu zaciągnie ojca do domu, żeby mogła rozpocząć przygotowania lub spró-

bować nakłonić nas do zmiany decyzji. – Wykrzywił lekko wargi. – Teraz to ja przyznam się do tchórzostwa, ale wołałbym stosowne instrukcje powierzyć kamerdynerowi i to przez niego przekazać rodzicom, żeby po powrocie do domu udali się do Risings.

Lily przytaknęła, ja również rozumiałam ten tok myślenia. Skoro plan zaistniał, należało zadbać o to, aby nikt go nie pokrzyżował. Nawet matka z najlepszymi intencjami.

Do rozstrzygnięcia pozostawała więc tylko kwestia mojej matki.

– Ja się mogę zająć Daisy – zaproponowała Hetty.

Gdy odwróciłam się w jej stronę, zobaczyłam, jak robi głęboki wdech, zupełnie jakby przygotowywała się do wysłuchania gniewnej tyrady mojej matki.

– A co rozumiesz przez „zająć się”? – zapytałam.

Oczywiście zobaczyłam, jak Hetty zamyka matkę w jednym z wolnych pokoi.

– Poczekam na jej przyjazd, żeby ją powitać na miejscu. Przekażę jej wieść o zmianie planów i następnego dnia ruszymy razem do Hampshire.

– To bardzo miłe z pani strony, pani Chesney – powiedział Leo, spoglądając na nią z powątpiewaniem. – Nie wiem, co prawda, jak mielibyśmy to załatwić inaczej, ale na pewno chce się pani tego podjąć?

– Na pewno, drogi chłopcze. – Hetty nachyliła się do niego i poklepała go po dłoni. – Daisy podróżuje w towarzystwie brata Lily, Alonza. On na pewno mi pomoże.

– A co z siostrami Leo? – zapytała Lily. – I co z panem Treadwellem? – Tu zwróciła się do narzeczonego. – Czy on nie miał być twoim drużbą?

Leo, któremu jeszcze nie udzielił się entuzjazm Lily, spojrzał na mnie i zmarszczył brwi.

– O ile masz absolutną pewność, że nie nadużyjemy gościnności pana Hazeltona, to skłonny byłbym się zgodzić, że to lepsze rozwiązanie niż ucieczka i ślub w tajemnicy przed wszystkimi. – Ucisnęła dłoń Lily i trochę się odprężył. – I rzeczywiście cieszyłbym się, gdyby moi bliscy mogli uczestniczyć w naszej ceremonii.

– Zaproszenie pana Hazeltona dotyczy ich wszystkich. Możesz spać spokojnie, będą mile widziani. – Rozejrzałam się po pozostałych. – Czyli wszyscy się zgadzamy, że to dobry plan?

– Tak – potwierdził Leo z całą stanowczością. – I dziękuję pani, lady Harleigh.

Lily i Hetty też przytaknęły, na tym więc sprawa się skończyła. Przygotowania do podróży i powiadomienie rodzeństwa scedowałam na Leo. My miałyśmy dość własnych spraw, czym prędzej przystąpiłyśmy więc do pakowania.

Leo podzielał mój zapał organizacyjny, więc wczesnym rankiem następnego dnia razem sprawnie dostarczyliśmy góry bagażu, pięć pokojówek, osobistego służącego, nianię i ośmiolatkę na Victoria Station w samą porę, aby wsiąść do pociągu, który miał wyruszyć do miasta Harroway. Założyliśmy, że dorośli goście dotrą na miejsce własnym transportem.

Zbliżał się jednak czas odjazdu, a my w szóstkę niecierpliwie przebieraliśmy nogami, wyczekując starszej siostry Leo, Elizy, i jej męża Arthura.

Leo wyciągał szyję, licząc, że dostrzeże ich w tłumie napływających podróżnych.

– Jesteś pewien, że Eliza zamierzała tu do nas dołączyć?

Anne, młodsza siostra Leo, odpowiadała na to pytanie już po raz trzeci. Za każdym razem w jej głosie słychać było coraz większy niepokój.

– Leo, oni są dorośli. Jeśli się spóźnią, to na pewno znajdą jakiś sposób na to, aby na własną rękę dotrzeć do Risings.

Troje dzieci państwa Kendricków, które miałam okazję poznać, łączyło bliskie fizyczne podobieństwo. Siostry miały rysy bardzo podobne do Leo, tyle że łagodniejsze. Całą trójkę wyróżniał zaokrąglony ku dołowi czubek nosa, wszystkim brązowe włosy lekko się kręciły i wszyscy oglądali świat brązowymi oczami – w kolorze kawy z kropelką mleka. W żadnym razie nie powiedziałabym jednak, że oczy mają takie same. Okrągłe i szeroko otwarte oczy Leo odbijały wnętrze jego duszy jak przysłowiowe zwierciadło. Wystarczyło w nie spojrzeć, żeby wiedzieć, co on myśli i czuje. U najmłodszej z córek, Clary, oczy w kształcie półksiężyców cały czas błyszczały, a przy tym ich kąciki unosiły się lekko, jakby w uśmiechu zapowiadającym radosne rozszerzenie warg.

Oczy Anny w tym konkretnym momencie dało się określić jednym tylko słowem: niecierpliwe. Ta ich cecha bynajmniej jednak nie wiązała się li tylko ze spóźnieniem najstarszej z sióstr.

– Panna Kendrick ma rację, stary druhu. Powinniśmy wsiadać – odezwał się Ernest Treadwell, który również stał z nami na peronie.

Znaliśmy się dotąd tylko przelotnie, z przypadkowych spotkań w szerszym gronie towarzyskim. Treadwell miał dwadzieścia parę lat, był wysoki, szczupły i jasnowłosy. Roztaczał wokół siebie aurę uprzywilejowania, co zresztą można było powiedzieć o wielu młodych mężczyznach z tej klasy społecznej. Był drugim synem wicehrabiego, co w praktyce oznaczało, że nie odziedziczy tytułu. Nie

musiał się jednak martwić, że kiedykolwiek zabraknie mu pieniędzy, ponieważ rodzina dysponowała ogromnym majątkiem i szczerze łożyła na jego utrzymanie. W zamian oczekiwano od niego jedynie oglądy towarzyskiej i uroku osobistego, on zaś nie miał problemu ze spełnianiem tych standardów – o ile tylko zechciał. Dziwiłam się, że Leo przyjaźni się z kimś takim, ponieważ jednak bliskie więzi łączyły ich już w czasach szkolnych, Treadwell musiał mieć w sobie coś, co na razie umykało mojej uwadze.

Leo w końcu zgodził się, że nie ma sensu dłużej czekać. Treadwell pomagał właśnie jego młodszemu siostrzemu wsiąść do wagonu, gdy z odległego krańca peronu ktoś zaczął intensywnie machać do Leo. W końcu zjawili się Durantowie.

– W samą porę – powiedział Leo.

Wziął mnie pod rękę i pomógł mi dostać się do pociągu, a potem udzielił podobnej asysty mojej siostrze.

Siedzieliśmy już w przedziale, gdy dołączył do nas Arthur Durant. Skinieniem głowy przywitał się z pozostałymi. Eliza ciągle jeszcze stała w drzwiach, blokując przejście Leo. On przesunął ją lekko na bok, żeby nas sobie przedstawić.

Eliza niewątpliwie odziedziczyła urodę po matce. Miała gładką cerę, zaokrąglone policzki i wyrazisty podbródek, a jej twarz okalały złotobrązowe włosy. Podobnie jak Leo patrzyła na świat brązowymi oczami, które wyraźnie się zmrużyły na widok Treadwella.

– Dzień dobry, pani Durant. – Ten dotknął runda kapelusza, uśmiechając się do nich jakby niechętnie. – Jak dobrze, że państwo do nas dołączyli.

Eliza prychnęła lekko i zajęła miejsce obok mnie.

– Proszę nam wybaczyć tak późne przybycie – powiedziała. – Miałam kłopot z przekonaniem męża, żeby mi towarzyszył. Bardzo mu zależało na tym, żeby zostać w domu i doglądać interesu.

– Potwierdzam. Ktoś przecież powinien.

Durant zdjął kapelusz i płaszcz, a na kolanach położył sobie teczkę z dokumentami. Zmarszczki nad nosem sugerowały, że dość często zdarza mu się marszczyć brwi. Wyglądał przez to na starszego niż, jak sądzę, był, choć z powodu brody przesłaniającej szczękę i policzki, a także okularów rozmazujących obraz oczu, nie potrafiłam odgadnąć jego wieku. Bez problemu domyśliłam się natomiast, w jakim przybył nastroju. Pewnie współczuwałbym w tym momencie Elizie, gdyby nie to, że ona również sprawiała wrażenie do głębi poirytowanej.

Leo nie wiedział, w jakiej liczbie jego rodzeństwo wybierze się z nami w podróż, zarezerwował więc przedział pierwszej klasy w wagonie pulmanowskim. Jego decyzja okazała się słuszna, bo z chwilą przybycia państwa Durantów nasza

grupa liczyła osiem osób. Mieliśmy wszyscy dość miejsca, ale i tak się cieszyłam, że Rose spędzi czas podróży w towarzystwie niani, Bridget i pozostałych służących. Potrafiła się już zachować w towarzystwie, ale miałam wątpliwości, czy przesiadzałaby spokojnie dwugodzinną podróż.

Najwyraźniej jednak martwiłam się na wyrost. Ledwo bowiem pociąg ruszył, a już dwie młodsze siostry zaczęły się przekomarzać między sobą.

Clarę i Anne miałam okazję poznać podczas pierwszej kolacji, na którą zaprosili mnie do siebie rodzice Leo. Anne zrobiła na mnie wrażenie inteligentnej młodej kobiety. Przeżyła już dwadzieścia trzy wiosny, nadal jednak nie wyszła za mąż. Przypuszczałam, że najchętniej zajęłaby się biznesem i pracowała ramię w ramię z ojcem. Ponieważ jednak to nie wchodziło w grę, czas wypełniała sobie udziałem w wykładach, spotkaniami najróżniejszych komitetów i lekturą. Najmłodsza siostra Leo, Clara, niespełna osiemnastoletnia, najchętniej cały czas spędzałaby na przyjęciach, balach i uroczystościach. Nic w tym zresztą nie było dziwnego, zważywszy na jej wiek. Choć dziewczęta sporo różniło, niewątpliwie znały zasady etykiety i podczas naszego pierwszego spotkania odnosiły się do siebie z siostrzaną życzliwością. Teraz zaczynałam podejrzewać, że ich wzajemna uprzejmość została wtedy wymuszona obecnością rodziców.

Już kwadrans po odjeździe dane mi było się przekonać, jak się zachowują, gdy matka ich nie pilnuje. Przestrzeni w naszym przedziale nie brakowało. Pod obydwooma ścianami zamontowano miękkie fotele. Na podłodze leżał dywan, w oknach wisiały zasłony. Stolik dopełniający całości sprawiał, że można się tu było poczuć jak w malutkim saloniku. Leo i Durant zajęli dwa fotele po jednej stronie, organizując sobie przy tym stole prowizoryczne biurko. W rezultacie obok nich pozostało już niewiele miejsca. Z jakiegoś jednak powodu to właśnie tam usadowiły się Anne i Clara. Skutek był wybuchowy!

– Siedzisz mi na sukni!

Anne uniosła wzrok znad książki i poprawiła spódnicę. Wystarczyło to jednak zaledwie na niespełna pół minuty.

– Nie czytaj mi przez ramię – rzuciła Anne, ani na moment nie odrywając wzroku od tekstu.

– Nie czytam ci przez ramię. Kto by chciał czytać takie nudne i zakurzone stare tomiszcza? Dlaczego nie zabrałaś jakiejś powieści?

– Gdybym zabrała powieść, czytałabyś mi ją przez ramię.

– No widzisz! Czyli sama przyznajesz, że teraz nie czytam ci przez ramię.

– Gdybyś nie czytała, nie wiedziałabyś, co to za książka. A zresztą dlaczego sama nie zabrałaś powieści, skoro tak bardzo chciałaś czytać?

Taka wymiana zdań trwała jeszcze co najmniej przez piętnaście minut. Zerknąłem z ukosa na Lily, która siedziała obok pana Treadwella. Choć nie znajdowali się bezpośrednio naprzeciwko dziewcząt, ich ciągle przekomarzanie się najwyraźniej w ogóle nie przeszkadzało im w rozmowie, którą moja siostra prowadziła z uśmiechem na twarzy. Przeszło mi przez myśl, że być może tylko mnie jednej przeszkadzają te ich ciągle sprzeczki.

– Zachowujecie się jak dzieci – wybuchła nieoczekiwanie Eliza. Jej delikatne brwi się ściągnęły, ciemne oczy zmrużyły. Nachyliła się do siostr, przez co jej profil znalazł się prosto przed moimi oczami. Wyglądała w tym momencie jak jastrząb przygotowujący się do ataku. – Oczekiwałam, że w towarzystwie będziecie się zachowywać lepiej niż w domu.

Skarciła je, powiedziałabym, dość surowo. Zaskoczone dziewczęta odchyliły się do tyłu, a czas potrzebny na zaczerpnięcie oddechu wystarczył im do zwania szeregów w starciu przeciwko starszej siostrze. Przedział wypełnił potworny jazgot.

Leo i jego szwagier zachowywali się tak, jakby w ogóle niczego nie zauważyli. Ani na chwilę nie oderwali się od swoich dokumentów, choć ja zachodziłam w głowę, jak mogą się w tej sytuacji skupić. W pewnym momencie nie wytrzymałam.

– Anne.

Wszystkie trzy młode damy spojrzały teraz na mnie, jakby się zdziwiły, że ktoś oprócz nich śmiał się odezwać.

– Może zechciałabyś zamienić się ze mną miejscami? Po tej stronie jest więcej światła, będzie ci się lepiej czytało.

Wstałam, jeszcze zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, więc siłą rzeczy musiała przystać na moją propozycję. Po tej zamianie znalazłam się obok Clary, a naprzeciwko Lily i Treadwella. Eliza wyjęła jakąś robótkę, Anne zaś wróciła do swojej książki.

Liczyłam na to, że w nowym układzie miejsc łatwiej będzie utrzymać spokój. Uśmiechnęłam się do Clary. Miała na sobie strój podróżny z fioletowej wełny i małej kapelusik z fioletowym piórkiem wciśnięty w niesforne brązowe włosy o ciepłym odcieniu. Wyglądała w tym stroju na bardzo dorosłą, musiałam więc sobie przypominać, że ma dopiero siedemnaście lat i nie została jeszcze wprowadzona do towarzystwa.

– Często bywa pani na wsi, panno Kendrick? – zapytałam, na co ona pokręciła głową.

– Właściwie to nie wyjeżdżałam nigdy poza Londyn. Raz tylko byłam w Oxfordzie, gdy Leo się tam uczył. Rodzice oczywiście sporo podróżują w interesach, ale nas wtedy zostawiają w domu.

– W takim razie zapewne to dla pani nie lada przeżycie?

W tym momencie uświadomiłam sobie, że ona już mnie nie słucha. Podążyłam wzrokiem za jej spojrzeniem i wtedy zobaczyłam rzecz niewiarygodną. Treadwell, pogrążony niezmiennie w rozmowie z Lily, położył dłoń na jej dłoni... spoczywającej na jej kolanie.

Dotykali się tylko przez króciutką chwilę, bo Lily roześmiała się i cofnęła rękę. Wówczas Treadwell zabrał swoją, a zaraz potem nachylił się, żeby powiedzieć coś do Anne.

Lily zachowała w tym wszystkim niewzruszony spokój. Nie zarumieniła się ani nie zaczęła się nerwowo rozglądać, czy ktoś tego nie widział. Uznałam, że najpewniej wyolbrzymiam znaczenie tego gestu i że bezpodstawnie uznaję go za przejaw nadmiernej poufałości. Lily przecież kochała Leo, w co ani trochę nie wątpiłam.

Treadwell tymczasem był najlepszym jego przyjacielem i człowiekiem szlachetnie urodzonym. Oczywiście wśród dżentelmenów nie brakowało hulaków, ale Lily przecież nie interesowali mężczyźni szukający li tylko rozrywki. Ona chciała wieść życie u boku człowieka, który byłby jak nasz ojciec, który by pracował i zabiegał o dobre imię. Doszłam więc do wniosku, że najpewniej mi się to wszystko przywidziało i że powinnam czym prędzej przestać zaprzętać sobie tym głowę. Rozejrzałam się po przedziale, żeby sprawdzić, czy ktokolwiek oprócz mnie zauważył to zajście. Eliza właśnie odwracała wzrok, usta miała mocno zaciśnięte. Więc może jednak mi się nie przywidziało. Czy ona powie coś na ten temat Lily? Albo, co gorsza, swojemu bratu?

– Claro, czy ty nie widzisz, że napierasz na lady Harleigh? – odezwała się Eliza ostrym tonem.

Wyrwana przez te słowa z zamyślenia, zauważyłam, że dziewczyna rzeczywiście niemal opiera mi się na kolanie. Gdy się potem gwałtownie cofała, o mało nie uderzyła mnie w szczękę.

– Wcale nie napieram – odparła.

– Już nie.

Atmosfera w przedziale nie zmieniła się już do końca podróży. Co rusz na chwilę zapadała cisza, a potem ktoś coś mówił z przekąsem, ktoś kogoś upominał i wybuchała kłótnia na całego. Gdy Eliza fukała na siostry, zastanawiałam się, czy jej irytacja ma rzeczywiście związek z ich zachowaniem, czy też pani Durant zło-

ści się na zachowanie Treadwella względem Lily i tylko wyładowuje emocje na dziewczętach. Gdy dojechaliśmy do Harroway, miałam tego towarzystwa serdecznie dość i nie wytrzymałabym z nimi ani minuty dłużej.

Z niecierpliwością wyczekiwałam momentu, gdy pociąg się zatrzyma. Przeciągnęłam dłonią po sukni, żeby wyprostować zagniecenia na spódnicy. Poprawiłam kapelusz. Stwierdziwszy, że prezentuję się, jak należy, rozzejrzałam się po zgromadzonych. Wtedy zobaczyłam, że wszyscy czekają już tylko na mnie.

– Możemy?

Leo minął mnie i otworzył drzwi. Zanim zdążyłam postawić stopę na pierwszym szczeblu drabinki, wyrósł przede mną George, gotów służyć mi pomocą. Nigdy jeszcze tak mnie nie zachwyił swoją osobą. Kapelusz trzymał w dłoni, więc przez jego ciemne, gładko przystrzyżone włosy prześwitywało słońce. Strój miał do tego nienaganny, do jasnego kompletu wierzchniego włożył ciemniejszą kamizelkę. Ja tymczasem wysiadałam z pociągu zmizerowana po podróży. Z jego uśmiechu wyczytałam jednak, że on by się cieszył na mój widok, nawet gdybym stanęła przed nim w całkowitym nieładzie.

– Jakże to uprzejme z twojej strony, że po nas wyjechałeś – powiedziałam, z niechęcią myśląc o tym, że gdy już stanę na peronie, będę musiała wyciągnąć dłoń z jego dłoni. – Spodziewałam się, że pojedziesz na polowanie.

George chyba wolałby dalej trzymać mnie za rękę, bo przyciągnął sobie jeszcze moją dłoń do serca i odciągnął mnie na chwilę od pozostałych towarzyszy podróży.

– Miałbym przegapić twój przyjazd? Ani bym myślał.

Zatrzymaliśmy na końcu ruchliwego peronu, żeby zaczekać na pozostałych.

– Jak ci minęła podróż? – zapytał George.

– Następnym razem chyba pojedę z Rose i nianią. – Wywróciłam oczami. – Albo może w przedziale bagażowym.

Jego radosny śmiech pomógł mi się trochę rozchmurzyć.

– Aż tak źle?

– Nie, pewnie trochę jestem zmęczona. – Westchnęłam i puściłam jego dłoń, aby spleść dwie własne przed sobą. Pozostali mieli do nas wkrótce dołączyć. – Z córkami Kendricków dość trudno się podróżowało, ale jestem pewna, że wszystko będzie w porządku.

– W takim razie pewnie się ucieszysz na wieść, że do Risings zawiozą nas dwa powozy.

– Jesteś moim bohaterem – wyszeptałam, bo Lily i Leo wraz z resztą towarzystwa właśnie się do nas zbliżali.

– Aby jednak do nich dojść, musimy przejść kładką nad torami – oznajmił George. – Proponuję więc ruszać.

Nasza niewielka grupa zaczęła się wspinać po schodach na mostek. Na przedzie szedł George, do którego dołączył Leo. Odwróciłam się, żeby zobaczyć, czy Lily podąża gdzieś niedaleko. Miałam nadzieję, że nie będę musiała kontynuować podróży w towarzystwie sióstr Kendrick. Niestety dostrzegłam ją na samym końcu pochodu. Otwierałam usta, żeby ją do siebie przywołać, gdy nagle na peron wjechał kolejny pociąg i zaczął hamować z głośnym piskiem.

Postanowiłam poczekać, aż hałas ucichnie, ale w tym momencie coś innego odwróciło moją uwagę – trzask i łomot dobiegające z góry. Uniosłam wzrok w stronę schodów i wtedy zobaczyłam, jak pędzi po nich wózek załadowany po brzegi bagażami. Wprost na George'a i Leo! Z przerażenia aż mi odjęło mowę. Torby i kufry, które z niego pospadały, z łoskotem turlały się po stopniach. George płynnym ruchem chwycił Leo za ramię i odciągnął go całkiem na bok tuż przed tym, jak najpierw bagaże, a potem wózek roztrzaskały się na chodniku, wzbijając wokół chmurę kurzu.

ROZDZIAŁ 3

Zamarliśmy wszyscy w bezruchu, ale gdy pierwszy wstrząs minął, popędziliśmy hurmem, potykając się o porozrzucane bagaże i lawirując między nimi. George i Leo stanęli na równe nogi i otrzepali ubrania. Spodziewałam się znaleźć ich pod stertą pakunków, na ten widok poczułam więc przytłaczającą wręcz ulgę.

Obejrawszy George'a od stóp do głów, przeniosłam wzrok na Leo.

– Wprost trudno uwierzyć, że nic wam się nie stało.

– Całe szczęście, że Hazelton tak szybko zareagował – odparł Leo. – W przeciwnym razie mogłoby się stać. Przyznam szczerze, że gdy spojrzałem w górę i zobaczyłem te spadające bagaże, to przez chwilę myślałem, że już po nas.

– Byle wózek z bagażami spuszczone z uwięzi mnie nie pogrzebie – oświadczył George, odciągając mnie na bok, żeby Lily mogła swobodnie paść w ramiona Leo. Zazdrościłam jej trochę, że na razie w miejscach publicznych muszę zadowolnić się jedynie muśnięciem rękawa George'a.

Pozostali zgromadzili się wokół i bacznie przyglądali się całej scenie. Treadwell podał George'owi jego kapelusz.

– Moim zdaniem powinniśmy wezwać zawiadowcę stacji. Niech się wytłumaczy. Jak mogło dość do czegoś takiego?

– W ogóle nie pojmuję, dlaczego mielibyśmy go wzywać – zachnęła się Eliza. – On już powinien być na miejscu i badać przyczyny całego tego zamieszania.

Anne posłała siostrze pogardliwe spojrzenie.

– Na stację właśnie wjeżdżał pociąg. Nie wydaje mi się, aby ktokolwiek tutaj na peronie mógł w tym momencie cokolwiek usłyszeć.

– O ile nie uważa pan za konieczne go wzywać, Hazelton – rzucił Leo – wołałbym po prostu jechać. Dla mnie sprawa jest oczywista: ktoś pozostawił wózek bez nadzoru.

– I to u szczytu schodów. – Treadwell wymownie klasnął językiem. – Za takie zaniedbanie ten ktoś powinien stracić posadę.

– Również uważam, że powinniśmy wezwać zawiadowcę – wtrąciłam się. – Chętnie bym mu powiedziała, co o tym wszystkim myślę.

George musnął moje palce swoimi.

– Nie chciałbym odbierać pani prawa do satysfakcji, lady Harleigh – powiedział – ale podzielałam zdanie Kendricka. Wydarzyła się rzecz może niefortunna, ale nikomu nic się nie stało, więc sugerowałbym, żeby po prostu jechać do Risings i oddać się uciechom nadchodzącego tygodnia.

– Popieram, w pełni popieram – dorzucił Leo.

Skoro oni dwaj tak stanowczo nalegali, abyśmy przeszli nad całą sprawą do porządku dziennego i czym prędzej skupili się na zaplanowanych rozrywkach, byłoby grubiaństwem ze strony nas pozostałych, gdybyśmy dalej drażyli temat. Jedno po drugim skinęliśmy więc głowami lub wzruszyliśmy ramionami, a potem po kolei wspięliśmy się po schodach i rozsiedliśmy w powozach.

Wypadek na tyle nas spowolnił, że przed dworcem spotkaliśmy służbę. Załadunkiem naszego bagażu na wózek kierowało dwóch lokajów i jakiś człowiek w garniturze, prawdopodobnie służący wyższy rangą. Spotkałam też Rose, więc przejęłam od niani opiekę nad nią. W tym czasie George wprawnie rozsadził towarzystwo. Z nami podróżowali Leo, Lily i moja córka, natomiast pan Treadwell, pan Durant i siostry Kendrick zajęli miejsca w drugim powozie. Służący mieli zorganizować transport naszych bagażów do Risings.

Ostatni etap podróży trwał niespełna godzinę, ale to mi wystarczyło, żeby ochłonąć. Ostatecznie ani George, ani Leo nie ucierpieli w tym wypadku, a choć cała sprawa wydawała mi się dość niezwykła, to przecież nie ma takiego przedsięwzięcia, które by się udało zrealizować bez żadnych przeszkód. Kątem oka zerknęłam na George'a. Wydawał się cały i zdrowy.

– Nic mi się nie stało, lady Harleigh. – Uśmiechnął się zadziornie. – Niechże się pani przestanie martwić i skupi na podziwianiu widoków.

Nachyliłam się i wtedy dostrzegłam, że za chwilę wjedziemy na most prowadzący przez jezioro.

– Jak daleko mamy do posiadłości?

– Jesteśmy już na jej terenie – odparł George. – Jeśli się zamienimy miejscami, będziesz miała widok przez przednią szybę.

– Ja też bym chciała zobaczyć – powiedziała Rose i od razu zaczęła się niecierpliwie wiercić.

– Oczywiście sprawa. Podejź więc do okna, młoda damo. Twoja matka i ja możemy spoglądać ci nad głową.

George chwycił Rose za rękę, żeby pomóc jej utrzymać równowagę podczas zamiany miejsc. Lily i Leo, siedzący naprzeciwko siebie albo blisko ku sobie nachylieni, w ogóle nie zwracali na nas uwagi.

– Czy to jezioro należy do pana, panie Hazelton? – zapytała Rose.

– Nie należy do mnie, ale znajduje się na terenie posiadłości.

Potrzebowałam chwili, żeby się oswoić z myślą, że rodzina Hazeltonów znajduje się w posiadaniu tak pięknego jeziora. Przekraczaliśmy je w przewężeniu, ale po prawej woda rozlewała się szeroko, a w jej tafli odbijały się łąki połyskujące złotem i kontury ogromnej budowli. Przycisnęłam głowę do okna i aż westchnęłam na widok domu, który w tym momencie przede mną wyrósł. Łąka ustąpiła miejsca starannie przystrzyżonej trawie, ta zaś graniczyła ze żwirowym podjazdem usypanym przed frontowym wejściem do okazałego gmachu, który zdawał się ciągnąć w nieskończoność.

Powóz zatrzymał się przed rozłożystą klatką schodową, która prowadziła do sali rycerskiej stanowiącej serce tego domu. Z dwóch stron okalały ją skrzydła wznoszące się na wysokość trzech kondygnacji. Rzędy zadaszonych krążganków na drugim piętrze sugerowały, że to właśnie tam znajdują się reprezentacyjne pomieszczenia mieszkalne. Budynek najwyraźniej wzniesiono z myślą, że będą w nim gościć przedstawiciele rodu królewskiego. O takim pałacu śnią po nocach dziewczynki, którym marzy się los księżniczki.

Rose wysiadła z powozu oszołomiona tym widokiem, co z kolei mnie przypomniało, że powinnam zamknąć usta i nie wpatrywać się w to wszystko tak intensywnie.

– Boże drogi, panie Hazelton, pańska siostra opowiadała mi o Risings i oczywiście słyszałam, że to spektakularne miejsce, ale ten widok i tak zapiera mi dech w piersiach.

– Jesteś tu pierwszy raz? – George sprawiał wrażenie zaskoczonego. – Myślałem, że Fiona już cię tu kiedyś przywiozła.

Wsparta na jego ramieniu, dałam się poprowadzić w kierunku wejścia. Wstuchiwałam się w chrzęszczenie żwiru pod stopami.

– Gdy pierwszy raz odwiedzałam twoją siostrę, była już mężatką i miała własny dom na wsi.

– W takim razie koniecznie muszę cię oprowadzić – powiedział, gdy siwy i nie-wiarygodnie chudy kamerdyner powitał nas w progu skinieniem głowy.

Weszliśmy do sali rycerskiej, w której śmiało można by zorganizować bal. Ściany zostały tu wyłożone rzeźbionymi panelami z dębowego drewna, nad nimi zaś znajdowały się okna sięgające samego sklepienia. Z sufitu umieszczonego na wysokości pierwszego piętra zwisały trzy żyrandole. W wejściu czekała już na nas ochmistrzyni, pani Ansel, gotowa wskazać poszczególnym gościom drogę do ich pokoi. Po chwili na odświeżenie mieliśmy wszyscy spotkać się ponownie w bawialni przy herbacie.

Zanim zdążyłam wejść na schody, George ujął mnie za rękę. Poinformował panią Ansel, żeby na mnie nie czekała.

– Za chwilę dołączy do nas lady Nash. Chciała się przywitać z lady Harleigh.

– Już jestem.

W sali rycerskiej rozbrzmiał głos Fiony, która weszła przez drzwi po drugiej stronie. Sunąc przez pomieszczenie, stukała obcasami po marmurowej posadzce i wyciągała do mnie ręce w geście powitania. Należała do nielicznych znanych mi dam, które przewyższały mnie wzrostem. Spoglądała więc na mnie z góry, ale w tym jej spojrzeniu spływającym po wąskim nosie widziałam najprawdziwsze szczęście. Poza nią nikt nie wiedział o ustaleniach, które poczyniliśmy z George'em, a teraz spotykałyśmy się po raz pierwszy, odkąd poinformowałam ją o nich listownie. Jej entuzjazm był dla mnie w pełni zrozumiały.

Tryskając radością, kołysała się na piętach tak mocno, że jej kasztanowe włosy mogły w każdej chwili uwolnić się z upięcia i rozsypać się po ramionach. Zaraz później niania zabrała Rose do jej pokoju i zostaliśmy w sali rycerskiej sami, a wtedy Fiona ujęła mnie za rękę.

– Frances, nawet nie znajduję słów, żeby wyrazić mój zachwyt na myśl o tym, że się z George'em pobierzecie.

Ścisnęła moje dłonie raz jeszcze, po czym zwolniła uścisk, żeby teraz z kolei powinszować bratu i powiedzieć mu, że bardziej nie mógł jej uszczęśliwić.

– Twoje szczęście, Fi, było dla nas najważniejszym argumentem – odparł George, za co został skarcony żartobliwym szturchnięciem w pierś.

– No cóż, pewnie powinnam dać wam trochę prywatności. O ile dobrze kojarzę, George planował, że osobiście się tobą zaopiekuje i pokaże ci dom. – Ucałowała mnie symbolicznie w oba policzki. – Witaj w Risings, Frances. Na popołudnie umówiłam się z wikarym, więc znajdź mnie, gdy już się rozstaniesz z moim bratem.

Po tych słowa się ulotniła i wreszcie zostaliśmy z George'em sami.

– Tęskniłem za tobą – oświadczył.

Ujął moją dłoń i poprowadził mnie przez hol w kierunku bogato zdobionych podwójnych drzwi prowadzących do bawialni.

– Widzieliśmy się wczoraj – odparłam, mimo że jego wyznanie o tęsknocie bardzo mnie ucieszyło.

– O dzień przerwy za długo – wyszeptał mi prosto do ucha, łaskocząc mnie przy tym lekko swoim oddechem i obejmując w pasie.

Odwróciłam się już w jego ramionach.

– Ale teraz już jestem.

– O, tutaj was znalazłam!

Odkoczyliśmy od siebie jak oparzeni, bo do bawialni wpadła niczym mały szczeniak Lottie Evingdon. Tak intensywnie wymachiwała przy tym rękami, że poprzestawiała zdjęcia ustawione na jednym ze stolików. Kilka ramek się zatrzęsło, ale na szczęście żadna nie wyładowała na podłodze. W przypadku Lottie można to było uznać za sukces.

Ujęła mnie za rękę i rozłożyła moje ramiona na boki, jakby zmierzała mi się przyjrzeć. Odkąd się ostatnio widziałyśmy dwa miesiące wcześniej, w moim wyglądzie raczej nic się nie zmieniło. Podobnie zresztą jak i w jej aparycji. Ciemnorude włosy nadal nie poddawały się zabiegom pokojówki, na jasnym policzku zaznaczył się ślad po użyciu atramentu, a szal zsunął jej się z ramion i leżał teraz na podłodze.

– Jakże się cieszę, że tu wszyscy przyjechaliście. Widzimy się po raz pierwszy od mojego ślubu.

Lottie Evingdon, dawniej Deaver, przyjechała z Nowego Jorku, gdzie przyjaźniła się z Lily. Dołączyła do nas późnym latem i nawiązała znajomość z moim kuzynem, a zarazem przyjacielem George’a, Charlesem Evingdonem. Zakochali się w sobie, gdy intensywnie wszyscy pracowaliśmy nad tym, aby udowodnić jego niewinność w sprawie dotyczącej morderstwa. Być może nie najlepiej świadczy o mnie jako o przyzwoitce, że pozwoliłam pannie zadawać się z człowiekiem oskarżanym o taką zbrodnię, ale tych dwoje połączył ostatecznie węzeł małżeński, więc chyba nie najgorzej to wyszło.

Gdyby tylko Lottie nie przerwała nam chwili sam na sam... To jednak zapewne coś, do czego powinnam się przyzwyczaić. W końcu po domu kręciło się mnóstwo zaproszonych gości i oczywiste było, że na każdym kroku można się na kogoś natknąć.

Rozmawialiśmy trochę, a potem zasugerowałam Lottie, żeby poszła poszukać Lily. Gdy wyszła, zwróciłam się do George’a:

– Nie ma przypadkiem w tym domu jakiegoś ustronniejszego miejsca, które mógłbyś mi pokazać?

– Świetny pomysł.

George uśmiechnął się, ujął mnie za rękę i wyprowadził z bawialni do galerii wychodzącej z sali rycerskiej i łączącej ze sobą dwa skrzydła budynku. Poprowadził mnie na zewnątrz do ogrodu francuskiego urządzonego na bocznym dziedzińcu pałacu.

– Chciałbym ci coś pokazać – powiedział, gdy zatrzymaliśmy się między fontanną a wysokimi astrami.

– Czyżby? A czy to kwiat?

On wtedy sięgnął do kieszeni i po chwili między jego palcem wskazującym a kciukiem pojawiło się małe pudełeczko.

– To pierścionek. – Uśmiechnął się zadziornie. – Zaręczynowy.

Ręce mi zadrżały, złączyłam więc dłonie i przysłoniłam nimi usta, żeby powstrzymać pisk ekscytacji. Miałam ochotę śmiać się sama z siebie.

– Wybacz mi, George. Chichoczę jak dziewczyneczka.

– Ja też się denerwuję jak chyba nigdy dotąd.

Wyciągnął pudełeczko w moją stronę i je otworzył, a wtedy moim oczom ukazał się okrągły diament w oprawie ze złotej koronki wysadzanej drobnymi brylancikami.

Aż mi dech w piersi zapało.

– Piękny!

– Czy to znaczy, że ci się podoba?

Oderwałam wzrok od pierścionka, żeby spojrzeć na twarz George'a. Brwi miał ściągnięte w wyrazie zaniepokojenia. Uśmiechał się jakby niepewnie.

– Ty naprawdę jesteś zdenerwowany – powiedziałam.

– Zamówiłem go jeszcze tego samego dnia, gdy zgodziłaś się za mnie wyjść. Potem postanowiliśmy poczekać z ogłoszeniem naszej decyzji do ślubu twojej siostry. Mam go już więc od ponad miesiąca i za każdym razem, gdy na niego zerkam, obawiam się, że ci się nie spodoba.

– Jest idealny. – Poglaskałam go po policzku. – Nie potrafię sobie wyobrazić nic piękniejszego.

George odetchnął z ulgą, a potem ujął i ucałował moją dłoń. Kolejny pocałunek złożył już na moich ustach, a zaraz potem zamknął pudełeczko, żeby je schować do kieszeni.

Zatrzymałam jego rękę.

– A czy nie mogłabym przymierzyć?

– Nie, nie mogłabyś. – Pudełko zniknęło w połach jego marynarki. – Na razie nie możesz go nosić, a ja nie chcę zakładać ci pierścionka na palec tylko po to, żeby go zaraz zdejmować.

Wpatrywałam się w niego z niedowierzaniem, aż nawet lekko otwierając usta.

– Cóż więc miało za sens pokazywać mi go, skoro teraz znów zniknął w twojej kieszeni?

– A cóż ma za sens zaręczać się, jeśli się to utrzymuje w tajemnicy?

Zbił mnie z tropu. Pewnie byłabym nie mniej zdziwiona, gdyby on w tym momencie zrzucił z siebie ubranie i wskoczył do fontanny.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

On uniósł twarz ku niebu i westchnął ciężko.

– Niepotrzebnie się odezwałem. – Ujął mnie za rękę i poprowadził w kierunku domu. – Zwiedzajmy dalej. Lepiej mi się myśli, gdy jestem w ruchu.

Wróciliśmy do galerii i skierowaliśmy kroki w stronę północnego skrzydła. Szliśmy obok siebie, ręce trzymając za plecami. Ciągle jeszcze nie otrząsnęłam się ze zdumienia, więc się nie odzywałam. Po kilku minutach wsłuchiwania się w stukot obcasów na marmurach George zrobił głośno głęboki wdech.

– Naprawdę niepotrzebnie namąciłem. – Zerknął na mnie niepewnie. – Tyle że żyję w niepewności co do tego, kiedy ogłosimy zaręczyny i kiedy weźmiemy ślub, i przez to trochę się lękam.

Jakże wielki kamień spadł mi w tym momencie z serca! Co prawda jeszcze przed chwilą oglądałam pierścionek zaręczynowy, potem jednak nabrałam niemal całkowitego przeświadczenia, że wszystko się między nami popsuło. Uczucie ulgi szybko jednak wyparł gniew.

– Nigdy więcej mnie tak nie strasz. Jeśli nie podobał ci się pomysł z utrzymaniem zaręczyn w tajemnicy, to dlaczego od razu mi tego nie powiedziałeś?

George zrobił żartobliwie oburzoną minę, jakby chciał mnie w ten sposób skarcić za ostrość tych słów. Otwierając mi drzwi do biblioteki, rzucił:

– Nie przeszkadza mi, że zachowujemy tę wiadomość dla siebie, ale nie poczyniliśmy żadnych planów, nie wyznaczyliśmy daty. Nie mogę wyzbyć się obawy, że ciebie w zupełności zadowala bezterminowe narzeczeństwo. Mnie by tymczasem zależało na tym, żebyś została moją żoną.

Sens tych słów dotarł do mnie teraz z całą mocą. Tak bardzo pochłaniało mnie planowanie zamążpójścia Lily, że o własnym ślubie w ogóle nie myślałam. Poza tym w jego spostrzeżeniu zaiste tkwiło ziarno prawdy, trochę chyba dla mnie niewygodnej... Ja rzeczywiście mogłabym się zadowolić bezterminowym narzeczeństwem.

Opuściliśmy bibliotekę i chodziliśmy dalej po domu, ale nie potrafię sobie przypomnieć, co George mi pokazywał. Rozmawialiśmy o tym, jak przekazemy tę wiadomość Rose (ustaliliśmy, że wspólnie), jak powiadomimy moją matkę

(tym miałam się zająć sama) i jak szybko nastąpi ceremonia (gdy tylko damy na zapowiedzi). Nie wspomnieliśmy natomiast ani słowem o tym, co miało dla mnie największe znaczenie. Nie porozmawialiśmy o mojej roli w tym związku. Zanim zdążyłam ten temat podjąć, pojawiła się bowiem Fiona, żeby zabrać mnie ze sobą na wizytę u wikarego.

– Czyżbyś pokazywał Frances, gdzie może cię znaleźć, drogi bracie? – Fiona oparła rękę na balustradzie imponującej klatki schodowej.

Spojrzałam w górę schodów.

– A dokąd prowadzą? Myślałam, że ciągle jesteśmy w pomieszczeniach ogólnodostępnych.

– Na tym piętrze tak – odparł George. – Ale na górze mieszczą się pokoje kawalerów. To skrzydło dobudowano do drugiego piętra. Znajduje się nad kuchniami, a obok dawnego pokoju dziecięcego i pokoju do nauki. Taki układ ma chronić niezamężne panny przed rozpustnymi nieżonatymi gośćmi. Dalej jest jeszcze jedna klatka schodowa. – Tu uniósł znacząco brwi. – Wspominam o tym, na wypadek gdybyś mnie szukała.

– Rozumiem, zastanawiam się tylko, dlaczego mieszkacie tutaj, skoro należycie do rodziny. Na pewno są w tym domu również pokoje gościnne?

George się uśmiechnął.

– Zwykle mieszkam tu w dużym i dobrze wyposażonym pokoju na końcu południowego skrzydła. Mam stamtąd widok na ogrody i labirynt. Gdy się jednak okazało, że dołączy do nas twoja matka, odstąpiłem jej tamto lokum.

Fiona wywróciła oczami, bo ja w tym momencie westchnęłam i – zapewne – zrobiłam minę zauroczonego szczeniaczka.

– Jakie to uprzejme z twojej strony. – Tak zupełnie szczerze byłam pod wrażeniem, że George naprawdę myślał o wszystkim.

– To w ogóle wszystko bardzo miłe – Fiona próbowała zakończyć te rozmowę – ale czas już na nas, Frances. Wikary gdzieś nam ucieknie.

– A gdzie Lily? Nie jedzie z nami?

– O ile wiem, wybrali się z panem Kendrickiem na zwiedzanie posiadłości.

Fiona mocno pociągnęła mnie za rękę, ale nie dałam się ruszyć z miejsca.

– Jak to na zwiedzanie posiadłości? Ona powinna jechać z nami. To ostatecznie jej ślub.

Moja przyjaciółka nic sobie nie robiła z tych protestów.

– Też jej to sugerowałam, ale ona w pełni polega na twoim osądzie. Chce nacieszyć się kilkoma chwilami sam na sam z narzeczonym i nie widzi potrzeby,

żeby nam towarzyszyć.

Westchnęłam ciężko i przez moment rozważałam, czyby jednak nie przymusić Lily do udziału w tej wizycie, z miny Fiony wyczytałam jednak, że ona nie życzy sobie, aby ktokolwiek wtrącał się jej w ustalenia dotyczące przebiegu ceremonii ślubnej. Panny młodej najwyraźniej też to dotyczyło. Ostatecznie więc po prostu ustąpiłam.

Wizyta u wikarego przebiegła wprost wspaniale. Kamienna bryła siedemnastowiecznego kościoła usadowionego pośród zieleni pól i otoczonego murem porośniętym winem zachwycała malowniczością. Fiona zapewniała, że kwiatów rośnie w szklarniach Risings tyle, że na pewno ich nie zabraknie. Nie ulegało dla mnie najmniejszej wątpliwości, że Lily będzie zachwycona.

Przedłożyłyśmy wikaremu wszystkie stosowne dokumenty, a on przystał na nasze propozycje i wyznaczył datę ceremonii na sobotni poranek, czyli za sześć dni. Podpowiedział nam również, jak udekorować kościół i komu to zadanie najlepiej powierzyć.

Byłam pewna, że moja siostra wszystkie te ustalenia zaakceptuje, ale i tak postanowiłam przywieźć ją tutaj przed sobotą, żeby mogła na własne oczy zobaczyć to miejsce i ostatecznie przypieczętować nasze decyzje. Ustaliwszy wszystko, co tego wymagało, dwie godziny później wędrowałyśmy już z Fioną zadrzewioną ścieżką, którą można sobie było skrócić drogę do domu. Obserwowałyśmy cętki, które malowało na ziemi słońce przebijające przez liściaste korony, i wsłuchiwałyśmy się w chrzęst suchych liści, które rozgniataliśmy wraz z każdym krokiem.

– Ty i George też moglibyście pobrać się tutaj – odezwała się Fiona. – Rozmawialiście już o tym, gdzie miałyby się odbyć wasz ślub?

– Jeszcze nie, ale właśnie rano czyniliśmy pierwsze ustalenia. – Zachichotałam. – Po raz pierwszy w ogóle rozmawialiśmy o jakichkolwiek szczegółach. George się martwił, że mogłabym chcieć odkładać ślub w nieskończoność.

– A chcesz tego? – zapytała, mrużąc oczy i bacznie mi się przyglądając.

– Oczywiście, że nie.

Wtedy Fiona położyła mi rękę na ramieniu i zatrzymałyśmy się.

– Nie jesteś ze mną do końca szczerą. Powinnaś być przecież cała w skowronkach. Coś musi być nie tak, w przeciwnym razie snułabyś najróżniejsze plany już od tygodni. Mówże, o co chodzi.

– A o cóż miałyby chodzić? – Chciałam iść dalej, ale Fiona chwyciła mnie mocniej i nie pozwoliła mi się ruszyć. – No dobrze... Skoro koniecznie musisz wiedzieć, to trochę się obawiam, że zostanę znów zesłana do kiszienia się na wsi, oddelegowana li tylko do roli żony i matki.

- George nie ma domu na wsi.
- Przecież wiesz, o co mi chodzi.

Zastanawiałam się jednak, czy Fiona rzeczywiście mnie rozumie. George wykonywał różne poufne zlecenia dla Korony, a ja nie potrafiłam ocenić, na ile jego siostra orientuje się lub coś podejrzewa w tej kwestii. Ja tymczasem byłabym spokojniejsza, wiedząc, czy będę wtajemniczana w te przedsięwzięcia, czy też pozostanie mi siedzieć w domu i martwić się o jego los.

– Zważywszy na to, jak wyglądało twoje małżeństwo z Reggie, pewnie masz powody do niepokoju. Ale przecież George jest zupełnie innym człowiekiem, a ty ostatecznie będziesz jego żoną... i na dodatek jesteś matką. Wolałabyś robić coś innego? Coś, co jemu mogłoby się nie spodobać?

Gdybym tylko mogła jej to wyjaśnić...

– Chciałabym, żebyśmy byli partnerami. Nie chcę pełnić w małżeństwie roli podrzędnej.

– Moja droga, jestem pewna, że z tym akurat świetnie sobie poradzisz. – Posłała mi jakby ostrzegawcze spojrzenie. – Jeśli jednak rzeczywiście cię to martwi, powinnaś o tym porozmawiać z George'em. W przeciwnym razie on może wyczuć twoje wahanie i uznać, że masz wątpliwości i że być może nie chcesz już za niego wychodzić.

Poczułam mocne ukłucie w piersi, bo nagle sobie przypomniałam, jak sama zaledwie kilka godzin wcześniej przestraszyłam się, że mogłabym go stracić.

– W żadnym razie nie chciałam, żeby tak pomyślał.

– Nie ma się co zanadto martwić, moja droga. Mój brat jest stanowczo zbyt pewny siebie i stanowczo zbyt zdeterminowany, aby pozwolić ci na zmianę zdania.

– Tak, pewności siebie mu nie brakuje. Ale masz rację. Powinam z nim porozmawiać o tym, co mnie trapi.

Odwrociłam się, bo gdzieś z oddali dobiegły nas okrzyki i odgłosy poruszenia. Wymieniłyśmy zaintrygowane spojrzenia, a potem pospieszyłyśmy w tamtą stronę. Dogoniłyśmy George'a, któremu towarzyszyli dwaj nieznani mi mężczyźni, sądząc po ubraniach, pracujący na terenie posiadłości. Jeden z nich trzymał za uzdę spłoszonego konia, który zdenerwował się jeszcze bardziej, gdy Leo podjechał do niego na drugim wierzchowcu i zeskoczył na ziemię. Gdy przyszedł pan młody odciągnął oba konie na bok, naszym oczom ukazał się mężczyzna leżący twarzą w dół na ścieżce.

Po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Najwyraźniej doszło do jakiegoś wypadku.

ROZDZIAŁ 4

Szybkiem krokiem przemierzyliśmy z Fioną dystans, który dzielił nas od grupki mężczyzn zgromadzonych wokół leżącego człowieka. Jeden z pracowników posiadłości, młody chłopak, pomógł George'owi odwrócić ofiarę wypadku na plecy. Okrzyk bóleści wydobył się z ust powalonego na ziemię nieszczęśnika, akurat gdy dotarliśmy na miejsce. Ciarki przeszły mi po plecach, ale pocieszałam się myślą, że skoro ktoś wydobywa z siebie głos, to znaczy, że nadal żyje.

– Co się stało?

George przytrzymał mężczyznę, a jego młody pomocnik jął ocierać mu twarz i głowę kawałkiem tkaniny, najpewniej żeby ocenić obrażenia głowy. Na zarośniętej, obłoconej i zakurzonej twarzy krwi nie dało się tak od razu zobaczyć.

– Żaden z nas tego nie widział – oznajmił George – ale wszystko wskazuje na to, że koń go zrzucił. – Przeniósł wzrok na nogę mężczyzny, ułożoną w dość przerażająco nienaturalnej pozycji. Skrzywiłam się na myśl o tym, jak bardzo to musiało boleć. – Wygląda na to, że nie wyszedł z tego bez szwanku.

George zwrócił się do chłopaka, który mu pomagał.

– Pracujesz z Gibbsem, prawda?

Młodzieniec przytaknął. Rozpoznałam go. Był na dworcu, pomagał w przygotowaniach do transportu służby i bagażu.

– Tak, proszę pana. Nazywam się John Winnie. Jestem pomocnikiem pana Gibbsa.

– No dobrze, Winnie, to idź do stajni i zorganizuj jakieś nosze. Na razie Gibbs raczej nie będzie w stanie chodzić o własnych siłach.

– I niech ktoś wezwie lekarza – zawołała Fiona za chłopakiem. – Trzeba go będzie opatrzeć.

George polecił drugiemu z ludzi, żeby poszedł z Winniem i odprowadził konia pana Gibbsa do stajni. Sam Gibbs był przytomny i rozglądał się, by zobaczyć, co się dzieje wokół. Jeśli nie liczyć kilku zadrapań i złamania nogi, nie doznał chyba poważniejszych obrażeń. Jęknął głośno.

– Niech się pan nie próbuje ruszać – polecił mu George.

– Potrafi nam pan powiedzieć, co się stało? – zapytał Leo. – Spadł pan z konia?

Gibbs mruknął coś ponuro, z początku wydawało mi się, że z bólu. Najwyraźniej jednak przede wszystkim się wściekał.

– Od dziecka mi się nie zdarzyło, żebym spadł z konia. Nie spadłem. W coś wjechałem. Coś mnie walnęło w pierś i obaliło. Szarpnąłem wodze w tył. Szczęście, że mnie ta kobyła nie zdeptała.

– Zaiste, szczęście... – powiedziałam. – Cóż za straszny wypadek.

– Żaden wypadek. – Mężczyzna chciał na mnie spojrzeć, ale zmiana pozycji wywołała ból.

– Niech pan leży spokojnie – nakazał mu George. – Niech się ta noga nie rusza, dopóki doktor jej nie obejrzy i nie nastawi.

Mężczyzna położył się z powrotem na ziemię i coś mruknął.

– Żaden wypadek – wymamrotał znowu.

Leo podszedł do mnie, prowadząc za sobą siwego konia.

– Pewnie wjechał w jakąś niską gałąź – stwierdził.

Ścieżka wyglądała jednak na użytkowaną od niepamiętnych czasów. Była szeroka, a wokół rosły potężne drzewa, na pierwszy rzut oka bardzo stare. Nigdzie w zasięgu wzroku nie dostrzegłam żadnej nisko zwieszanej gałęzi, uznałam jednak, że to nie najlepszy moment, żeby się nad tym rozwoździć.

Aż podskoczyłam, gdy koń trącił mnie w ramię chrapami.

– Musiałeś przerwać sobie przejażdżkę, Leo?

– Nie, właśnie się zbierałem, gdy usłyszałem zawodzenie. Przyjechałem więc zobaczyć, co się wydarzyło.

Spojrzałam na drogę za jego plecami. Stajni nie było stąd widać, wiedziałam jednak, że budynek znajduje się tuż za zakrętem.

– To daleko nie ujechałeś. Jeśli masz ochotę kontynuować spacer, to sytuacja wydaje się być pod kontrolą.

Posłał mi szeroki uśmiech.

– To może pojedę. Rzadko mam okazję poszaleć na końskim grzbiecie. – Dosiadł siwka i raz jeszcze zerknął na rannego. – Na pewno na nic się tu nie przydam?

Zbyłam jego pytanie machnięciem ręki.

– Już idą ludzie z noszami. Jedź, dopóki światło sprzyja.

Leo odjechał, a John Winnie ułożył nosze na ziemi. George nachylił się, żeby pomóc przenieść na nie zarządcę. Pracownicy stwierdzili, że najlepiej będzie przetransportować go do jego chatki, bo to najbliżej położony budynek. Skoro

zaś sytuacja została opanowana, wyruszyliśmy z Fioną w drogę powrotną do domu, żeby stamtąd pokierować lekarza, gdy przybędzie zając się poszkodowanym.

Reszta popołudnia minęła nam bardzo szybko. Rozmawiałam z Lily na temat ustaleń, które poczyniliśmy z wikarym, zażegnałam kłótnię, w którą wdały się siostry Leo, wreszcie zrzuciłam z siebie zakurzone odzienie i przebrałam się przed kolacją w coś bardziej stosownego. Włożyłam nową jedwabną suknię w kolorze oberżynowym, z koronkowym żabotem spływającym po lewej stronie od ramienia wzdłuż tułowia aż do krótkiego trenu. Bridget uporowała się z moją fryzurą dopiero na godzinę przed kolacją. Panowie zdążyli już wrócić z polowania, a ja wdałam się w radosną pogawędkę z Lottie w bawialni.

Ledwo skończyliśmy wspominać jej ślub, gdy rozmowę przerwał nam Charles.

– Kuzynko Frances – zagadnął, zajmując miejsce obok swojej młodej żony. – Jakże się cieszę, że ostatecznie udało ci się dołączyć do nas wraz z rodziną. Hazelton wspominał, że próbowałaś go zbyć, ale nie ustąpił. Chyba się ze mną zgodzisz, że zwykle dopina swego?

Otworzyłam usta, żeby się włączyć do tej rozmowy, ale on nie pozwolił sobie przerwać.

– Ty jednak też wiesz dobrze, czego chcesz. Gdybyś więc postanowiła nie przyjeżdżać, to na pewno by cię do tego nie namówił. W tej sytuacji trudno mi zatem stwierdzić, które z was zatriumfowało.

Lottie próbowała powstrzymać ten jego słowotok, lekko szturchając go łokciem. Tak się jednak nieszczęśliwie złożyło, że w tej samej dłoni trzymała filiżankę, a Charles akurat się nachylił. Rezultat był taki, że łokieć wbił się w oparcie sofy, a ona połała sobie herbatą spódnice.

Uśmiechnęłam się sama do siebie. Dobrze wiedzieć, że pewne rzeczy się nie zmieniają.

– A jak się udało dziś polowanie, Charles?

– A dziękuję, wyśmienicie.

Uśmiechnął się szeroko, ukazując dwa urocze dołeczki. Był starszy od Lottie o ponad dziesięć lat. Niezależnie od wspomnianego uroku dołeczków, bujności jego jasnych włosów, chłopięcego wdzięku i niespożytej energii, ta różnica wieku początkowo mnie trapiła, gdy się zorientowałam, że Charles okazuje Lottie względy natury romantycznej. Jak się jednak przekonałam, martwiłam się zupełnie niepotrzebnie. Tych dwoje sprawiało wrażenie całkiem szczęśliwych w swoim towarzystwie.

Lottie osuszała spódnice serwetką, ciężko przy tym wzdychając.

– Obawiam się, że muszę iść z tym od razu do pokojówki, żeby nie została plama.

Ciemny ślad wyraźnie rozlał się po materiale.

– Dziewczyna na pewno sobie z tym poradzi – uspokoiłam ją. – Taką mam w każdym razie nadzieję, bo do twarzy ci w tym kolorze.

W rzeczy samej łagodny róż idealnie podkreślał rudość jej włosów i świetnie się komponował z brązem jej oczu.

Charles wstał i podał jej rękę.

– Pójdę z tobą. Wkrótce rozlegnie się pierwszy gong, więc też powinienem się przebrać do kolacji.

– A czy w drodze do domu spotkałeś może pana Hazeltona, Charles?

– Widziałem go niespełna dwadzieścia minut temu. Szedł do gabinetu hrabiego.

Odprowadziłam tych dwoje wzrokiem, a potem wstałam z kanapy. Wzięłam sobie do serca słowa Fiony i teraz chciałam omówić z George'em moje wątpliwości. Z uwagi na obecność licznych gości w domu nie mogłam liczyć na nadmiar okazji do prywatnej rozmowy. Skoro więc teraz George był sam w gabinecie, postanowiłam wykorzystać przychylne wiatry.

Fiona miała rację, że nie powinnam zachowywać się tak, jakbym się wahała co do samej propozycji małżeństwa. Już miałam przekroczyć próg bawialni, gdy nagle zwolniłam kroku. Tak się bowiem składało, że miałam wątpliwości, tyle że nie dotyczyły one George'a czy łączącego nas uczucia. Wiązały się raczej z tym, jak wyglądał mój poprzedni związek.

Nie bardzo tylko wiedziałam, jak właściwie miałabym poruszyć ten temat.

Postanowiłam mimo wszystko spróbować, wyszłam więc do sali rycerskiej, a stamtąd do galerii. Dom był ogromny, zapamiętałam jednak, że gabinetów należy szukać w skrzydle północnym, w głębi korytarza. Szłam i szłam, a z każdym krokiem ubywało mi odwagi. Zastanawiałam się, co zrobię, jeśli usłyszę od niego, że wyobraża sobie mnie wyłącznie w roli żony funkcjonującej gdzieś w tle i że nie zamierza mnie dłużej angażować w swoje przedsięwzięcia śledcze.

Doszłam w końcu do zamkniętych drzwi gabinetu. W myślach dodałam sobie otuchy, bo przecież ostatecznie lepiej dowiedzieć się prawdy teraz aniżeli później.

Zapukałam.

Drzwi otworzył mi Leo.

Leo? A cóż to? Najwyraźniej odbywali jakieś spotkanie. Chciałam się wycofać, ale on zbył moje opory i zaprosił mnie do środka, gdzie oprócz niego zastałam nie tylko George'a, ale również męża Fiony, sir Roberta Nasha, Arthura Duranta, Ernesta Treadwella i Johna Winniego. Mąż i brat Fiony siedzieli w głębokich fotelach, Durant i Treadwell opierali się o duże mahoniowe biurko, Winnie zaś stał za nim w pozycji na baczność.

– Panowie wybaczą, że przeszkodziłam. Chciałam pomówić z panem Hazeltonem, ale to może zaczekać.

– Nie musi pani wychodzić, lady Harleigh. – George wstał, ujął mnie za rękę i poprowadził w stronę fotela. – Zapewne chciałyby się pani dowiedzieć, jak się miewa pan Gibbs.

– Oczywiście. – Prawdę powiedziawszy, zdążyłam już zapomnieć o zarządcy i jego wypadku, postanowiłam jednak nie wyprowadzać George'a z błędu. – Noga wyglądała na mocno pokiereszowaną – zauważyłam, przysiadając na skraju fotela, który jakby próbował mnie wchłonąć do swojego wnętrza. – Czy doszło do złamania? Czy to bardzo bolesne?

– Ból wręcz się nasilił, bo trzeba było nastawić kość – odparł Nash, wykonując dłońmi gest sugerujący wykręcanie czegoś. – Obawiam się, że trochę to potrwa, zanim biedak wróci do zdrowia.

George położył dłoń na oparciu fotela.

– Ma siostrę w wiosce. Wikary zabrał go do niej swoim wozem. Obłożyliśmy go materiałem, a lekarz podał mu laudanum na czas podróży, ale gdy lek przestanie działać, ból będzie mu najpewniej mocno dokuczać. – George skrzywił się w wyrazie ubolewania. – Tam jednak będzie mu lepiej, bo ktoś się nim zaopiekuje. Sam na pewno by sobie nie poradził.

– Cieszę się, że ma się kto nim zaopiekować – powiedziałam. – Ale jak ty sobie poradzisz bez niego?

George skinął na Johna Winniego.

– Ten oto młodzieniec asystował Gibbsowi w ostatnich miesiącach i chyba go-tów jest przejąć jego obowiązki.

Pan Winnie miał najwyżej dwadzieścia lat. Jasne włosy nosił krótko przycięte tuż nad kołnierzykiem, wygładzone pomadą i zaczesane do tyłu najpewniej po to, aby wyglądać poważniej, nic jednak nie mógł zaradzić na wiotkość figury i lichość zarostu na policzkach i brodzie, które zdradzały jego młody wiek.

– Gibbs powiada, że to zdolny człowiek i szybko się uczy – stwierdził George. – Myślę, że razem sobie tu ze wszystkim poradzimy.

– Jeszcze z polowaniem musimy sobie poradzić – dorzucił Nash. – Nie zapominajmy o polowaniu.

Nowo mianowany zarządca nie odrywał wzroku od George'a, ale w tym momencie jakby wyrwał się z transu i uchylił czapki w stronę starszego mężczyzny stojącego w rogu – którego ja wcześniej nie zauważyłam.

– Nad polowaniem czuwa pański znamienity łowczy, sir. Nie śmiałybym sobie przypisywać tych umiejętności.

George wyprostował się elegancko i gestem wskazał człowieka, który chcąc nie chcąc musiał wyjść ze swojej kryjówki w cieniu i pokazać się zgromadzonym.

– Bez obaw, Nash – powiedział George. – Winnie słusznie mówi. Mój brat ma wielkie szczęście zatrudnić jednego z najlepszych łowczych w tym kraju. Nasz Tuttle dopilnuje, żeby polowanie przebiegało bez najmniejszych zakłóceń.

– Tak jest. Słonki, cietrzewia i kuropatwy jest u nas pod dostatkiem. Nie ma obaw.

– Obawiać się możesz co najwyżej, czy trafisz – rzucił George z szelmowskim uśmiechem.

– Wygląda na to, że wszystko będzie dobrze – stwierdziłam. – Pan Gibbs ma opiekę na czas powrotu do zdrowia, pan Winnie przejmie jego zadania, polowanie będzie trwać, a pod koniec tygodnia pan Kendrick opuści stan kawalerski.

Leo mrugnął zaskoczony, a potem wyraźnie się ucieszył.

– Wnioskuje z tego, że udało się ustalić datę. Powiedziałbym, że trzeba to uczcić. Na pewno się państwo zgodzicie?

– Owszem, owszem – przytaknął George pośród gromkich okrzyków radości. – Durant, zechce pan zerknąć, co też mój brat ma w swoim barku?

Durant i Treadwell unieśli się znad biurka i ruszyli w kierunku przeszkłonej szafki.

– Wygląda mi to na sherry – stwierdził Durant, przystępując do wyjmowania kieliszków.

George wzruszył ramionami.

– Zatem niech będzie sherry.

Durant szczerze napełniał kieliszki, a Treadwell i Winnie rozdawali je wszystkim zgromadzonym, w tym również mnie. Swoją porcję trunku odebrałam od szarmanckiego Treadwella.

– Za Lily i Leo – poddał George, mrugając do mnie porozumiewawczo. – Niech im będzie dane wiele szczęśliwych lat.

– Pamiętaj tylko, że żona ma zawsze rację – dorzucił Nash, a wszyscy roześmiali się i wychylili kieliszki.

Opróżniwszy swój, Nash jęknął z niesmakiem.

– Nie sądzicie, że trzeba to będzie powtórzyć, ale tym razem dobrą whisky?

– Do końca tygodnia okazji na pewno nie zabraknie – odparł Leo.

W oddali rozbrzmiał gong wzywający na kolację. George rozejrzał się po zgromadzonych.

– Wydaje się, że wszystko tu ustaliliśmy, więc na mnie już pora. Udamę się do jadalni. Tuttle, z panem widzimy się rano, gotowi na polowanie. Winnie, jeśli chciałby pan zamieszkać w chatce Gibbsa, proszę na razie znaleźć miejsce na jego rzeczycy.

Młody człowiek przyjął polecenie rozkojarzonym mrugnięciem oczu. Przeszło mi przez myśl, że lada dzień zacznie George'a ni mniej, ni więcej, tylko ubóstwiać. Obaj z Tuttle'em odstawili kieliszki na tacę. Panowie teraz już wszyscy wstali, a gdy Leo do mnie podszedł, zauważyłam, że jeśli w ogóle cokolwiek wypił ze swojego kieliszka, to tylko odrobinę.

– Czyżby pan nie świętował własnego szczęścia, Leo? – zapytałam.

– Nigdy nie lubiłem sherry. – Z grymasem niesmaku na ustach odstawił kieliszek na tacę. – Mam nadzieję, że nie ma żadnego przesądu, który by zmuszał do wznoszenia toastu za własny ślub.

Już miał ponownie sięgnąć po kieliszek, ale go powstrzymałam.

– Na pewno nie trzeba pić, żeby zapewnić sobie szczęście.

Gdy wszyscy wyszli, George podszedł do mnie.

– Czy miałaś do mnie jakąś konkretną sprawę, Frances? Muszę się jeszcze przebrać przed kolacją, ale jeśli chodzi o coś pilnego, to najwyżej zaryzykuję spóźnienie.

Skorzyszałam z okazji, żeby odsunąć tę rozmowę w czasie. On miał w tej chwili tyle spraw na głowie, że nie chciałam zaprzętać jego uwagi kolejną.

– Nie, chciałam tylko zapytać o stan pana Gibbsa. Nic więcej.

George uniósł brwi.

– Nic więcej?

– No i oczywiście stęskniłam się za tobą. – Dla mnie samej było zaskoczeniem, jak prawdziwe wydały mi się te słowa.

George przełożył sobie moją rękę przez ramię.

– W takim razie pozwól się odprowadzić do schodów.

Chętnie na tę propozycję przystałam.

– Czy sądzisz, że pan Gibbs będzie niezadowolony, gdy się dowie, że pan Winnie ma się wprowadzić do jego mieszkania?

Zwolniłszy kroku, bo zbliżaliśmy się do schodów, których wcześniej w ogóle nie zauważyłam.

– To tylne wejście do korytarza kawalerskiego – oznajmił George. – Tędy będę miał bliżej. A jeśli chodzi o Gibbsa, to jakoś się nad tym nie zastanawiałem. W tej chatce zarządca mieszka i pracuje. Uznałem, że Winniemu będzie wygodniej tam zamieszkać, skoro i tak będzie tam pracować. A nieobecność Gibbsa potrwa miesiąc, a może i dłużej.

– Aż tak długo? A czy twoim zdaniem pan Winnie sobie poradzi?

– Na pewno lepiej niż ktokolwiek inny. Gibbs nie wyjechał nigdzie daleko, więc zawsze można się będzie z nim skonsultować, jeśli się pojawi jakikolwiek problem. Mój brat i jego zarządca wszystko tu świetnie zorganizowali, więc wystarczy tylko niczego nie popsuć. Nie przewiduję żadnych kłopotów.

– Za to kłopot będzie, jeśli się spóźnisz na kolację. Idź się przebierać. Do zobaczenia wkrótce w bawialni.

Gdy dotarłam z powrotem do południowego skrzydła, wszyscy poza George'em i Leo czekali już w bawialni. Podwójne drzwi prowadzące do sali rycerskiej stały otworem, podobnie zresztą jak te wychodzące na taras od nasłonecznionej strony. Ostatnie promienie zachodu przecinały wzorzysty dywan po przekątnej, tak że jedna jego część połyskiwała złotym blaskiem, druga zaś zachwycała głęboką czerwień. Arthur i Eliza Durantowie stali obok siebie dokładnie na linii, która ich również rozdzielała. Jej lewe ramię połyskiwało srebrem, a reszta sukni wydawała się ciemnoszara. Połowa twarzy Arthura ujmowała życzliwością i serdecznością, druga zaś sprawiała wrażenie chłodnej i mrocznej.

Porzuciwszy te nietypowe obserwacje, wkroczyłam do przestronnego i bogato zdobionego pomieszczenia. Dotąd tak bogato urządzone wnętrza widywałam tylko w pałacach królewskich. Ściany zostały tu wyłożone kością słoniową o ciepłym odcieniu, a sufit okalała finezyjna sztukateria z motywem złotych liści. Z portretów patrzyli na nas przodkowie Hazeltonów, idealnie wkomponowani w panele ścienne. Część mebli wykonano w stylu typowym dla epoki Jakuba I, część pochodziła z czasów restauracji monarchii w tysiąc sześćset sześćdziesiątym roku. Były piękne i dobrze zachowane.

Fiona wyczekiwała mnie przy drzwiach i od razu poprowadziła mnie na bok.

– Udało ci się znaleźć mojego brata?

Ujęła mnie pod rękę, dzięki czemu stałyśmy dość blisko, aby prowadzić pofną rozmowę.

– Owszem, udało mi się, ale miał towarzystwo.

Odpowiedziało mi ciche cmoknięcie.

– W obecności Kendricka, Duranta, Treadwella i Nasha omawiał z dwoma pracownikami organizację polowań i kwestię zastępstwa dla pana Gibbsa. – Zgrzytnęłam zębami, przypomniawszy sobie jego niefortunny uraz. – Potwierdziło się, że złamał nogę. Trochę to potrwa, zanim się zagoi.

– A to pech – odparła Fiona obojętnie.

Nie potrafiłam stwierdzić, czy ta jej uwaga odnosiła się do sytuacji zarządcy, czy raczej do tego, że nie udało mi się porozmawiać z George'em na osobności.

Fiona zaprowadziła mnie do sofy i niejako usadowiła obok siebie.

– Opowiedz mi coś o siostrach pana Kendricka – poprosiła szeptem. – One są zawsze takie trudne?

– Chyba tylko gdy są razem i pod nieobecność rodziców. Poza tym spędza się z nimi czas zupełnie przyjemnie.

– Słowem, jeśli mamy się tu wszyscy dobrze bawić, powinniśmy zadbać o to, żeby je zawsze rozdzielać. To chcesz powiedzieć? Jedną na przykład wysłać na poszukiwania dzwoneczków do lasu, drugą zaś zamknąć na strychu albo coś w tym stylu? To by dopiero była zabawa.

– Jestem pewna, że znajdziesz sobie lepszą rozrywkę niż dręczenie sióstr Leo, ale właściwie to masz rację. Może powinnyśmy rozdzielić siostry między siebie.

– Jedna by została.

– Tylko cóż ona jedna pocnie? Sama ze sobą będzie się klócić? Zresztą Leo i Charles w ciągu dnia będą na polowaniu, więc Lily i Lottie mogłyby zadbać o to, żeby siostrzyczki za bardzo nie dawały nam się we znaki.

– Lottie być może, ale Lily na pewno nie będzie narzekać na brak zajęć. – Fiona zerknęła na drugą stronę bawialni, gdzie moja siostra prowadziła właśnie ożywioną dyskusję z Ernestem Treadwellem. – O co w tym w ogóle chodzi? – zapytała. – Czy on zamierza stawać w szranki z Kendrickiem w ostatnich dniach przed ślubem?

– Nie mam pojęcia, co on sobie umyślił. Rzeczywiście okazuje jej duże zainteresowanie. Zauważyłam to już w pociągu z Londynu, Eliza Durant zresztą też. Nie rozumiem, dlaczego Lily nie położyła temu tamy. Albo Leo. Treadwell to rzekomo jego drużba, a zachowuje się raczej tak, jakby zabiegał o względy jego narzeczonej.

Właśnie podnosiłam się z kanapy, gdy Lily położyła dłoń na ramieniu pana Treadwella. Pozwalała sobie stanowczo na zbyt wiele poufałości. Czyżby to ona jego uwodziła? Podeszłam do nich i chwyciłam siostrę za rękę.

– Kochana, chciałybyśmy z Fioną porozmawiać z tobą o przygotowaniach w kościele. Do kolacji zostało nam jeszcze parę minut, więc może teraz byłaby okazja? – Zwróciwszy się zaś do młodego człowieka, który z irytacją zaciskał wargi, powiedziałam: – Wybacz nam pan, prawda, panie Treadwell?

– Oczywiście – odparł dźwięcznym barytonem.

Uśmiechnął się przy tym, ale wyraźnie tylko do Lily. Miał niewątpliwie ogromną wprawę we flirtowaniu, choć jego zachowanie dalece wykraczało poza granice zwykłego flirtu.

– Oczywiście – powtórzyłam, odciągając Lily.

Zarzykowałabym twierdzenie, że jej Treadwell wybaczyłby wszystko.

– Frances, przecież przekazałyście mi już wszystkie informacje na temat ceremonii w kościele. Czy jest jeszcze coś, o czym powinnam wiedzieć?

– Nie, moja droga. – Zatrzymałyśmy się przy otwartych drzwiach, a ja posłałam uśmiech George'owi, który właśnie wchodził i w wieczorowym stroju prezentował się iście olśniewająco. Fiona subtelnie go od nas odgoniła, siłą rzeczy skupiłam więc uwagę z powrotem na Lily. – To ja chciałabym się czegoś dowiedzieć. Konkretnie zaś chciałabym cię zapytać, dlaczego zabiegasz o względy tego młodego mężczyzny.

Zdumiona Lily spojrzała na Fionę, która w odpowiedzi tylko uniosła brwi. Nie mogąc liczyć na jej wsparcie, moja siostra wróciła wzrokiem do mnie. Ja zaś czekałam, choć nie do końca cierpliwie. W końcu Lily westchnęła ciężko.

– Nie zabiegam o jego względy. Jak możesz w ogóle tak mówić?

– Co najmniej pozwalasz mu je sobie okazywać, co on może uznawać za zachętę. Pan Treadwell jest dobrym przyjacielem twojego narzeczonego. Powinnaś tego czym prędzej zaprzestać, bo sprowadzisz wielkie nieszczęście na wiele osób.

Lily buńczucznie zadarła brodę.

– Ja na nic nie pozwalam. On jest po prostu uprzejmy.

Na twarzy Fiony wymalowało się powątpiewanie, a ja uniosłam rękę, dając Lily znak, żeby zamilkła.

– Jesteście obie przeciwko mnie – oburzyła się.

– Gdyby był p o p r o s t u uprzejmy albo życzliwy, to nie miałabym zastrzeżeń ani do jego zachowania, ani do twojego. Zaczynam jednak przypuszczać, że

on może żywić uczucia innego rodzaju. Zachęcając go do awansów, postępujesz nie tylko okrutnie wobec niego, ale także nieuczciwie wobec Leo. Czy ty tego nie rozumiesz?

Lily wydawała się szczerze zaskoczona.

– Wydaje ci się, że on żywi jakieś uczucia?

– Owszem. Chcesz powiedzieć, że tego nie zauważyłaś?

– Nie. – Lily zmarszczyła brwi, jakby próbowała rozwiązać jakąś zagadkę. – Chciałam się z nim zaprzyjaźnić, bo to przecież bliski towarzysz Leo. Dość dużo czasu razem spędzamy, a gdy Leo akurat nie ma, on zapewnia mi świetną rozrywkę. – Pokręciła głową i cofnęła się o krok. – Zapewniam cię jednak, że od początku widzę w nim tylko przyjaciela, nawet jeśli od czasu wyjazdu z Londynu poświęca mi nieco więcej uwagi.

– Przypuszczam, że on może się na to zapatrywać inaczej – odezwała się Fiona.

Przygryzłam usta i przytaknęłam jej.

– Ulżyło mi, skoro mówisz, że nie pogrywasz sobie z jego uczuciami i nie próbujesz dręczyć Leo. Jeśli jednak nie chcesz narazić na szwank relacji z narzeczonym, radziłabym ci postępować z panem Treadwellem rozważnie.

W tym momencie Leo ruszył w naszą stronę przez pokój w towarzystwie George'a. Rozległ się też gong wzywający nas do stołu. Lily posłała narzeczonemu uśmiech. Wyczytałam z niego, że szczerze go kocha, nabrałam więc pewności, że odtąd będzie się zachowywać rozważnie. Cóż jednak z panem Treadwellem? Dlaczego, będąc bliskim przyjacielem Leo, poświęcał aż tyle uwagi wybrance jego serca?

ROZDZIAŁ 5

Chcąc rozdzielić siostry Kendrick, zaproponowałam Anne, aby nazajutrz wybrała się ze mną i Rose na poranną przejażdżkę. Zmierzałyśmy właśnie do pokoju porannego na herbatę i grzankę, gdy zatrzymał nas lokaj, który wręczył mi list.

– Pan Hazelton prosi, żeby dołączyła pani do niego w stajni, milady.

Zaskoczył mnie taki wybór miejsca. Lokaj uklonił się i oddalił, a ja otworzyłam liścik. „Wybieramy odpowiedniego wierzchowca dla Lady Rose. Czy zechcesz do nas dołączyć?” Zalała mnie fala ciepłych uczuć, które dość jednoznacznie mi mówiły, że ten człowiek skradł moje serce. Bardzo cieszyłam się też myślą, że próbuje się wkraść w łaski mojej córki.

Anne nie miała nic przeciwko temu, żeby zrezygnować ze śniadania, i postanowiła udać się do stajni razem ze mną. Zachwycając się rzeźkością porannego powietrza, lekkim, beztroskim krokiem popędziłam do stajni. Przez szeroko otwarte podwoje weszłam do środka dokładnie w momencie, gdy George pomagał Rose usadowić się w siodle... na grzbiecie tego samego siwka, którego wczoraj dosiadał Leo. Moim zdaniem to był stanowczo zbyt duży koń jak dla niej. Jeszcze niewiele ponad miesiąc temu jeździła przecież na kucyku.

Rose mnie zauważyła i zaczęła do mnie machać. George pomógł jej zająć poprawną pozycję, a potem odwrócił się do mnie z uśmiechem. Nie chciałam psuć nikomu nastroju, ale cóż mi pozostawało jako matce?

– Pan oczywiście zaręcza, że nic się jej nie stanie na tym koniu. Prawda, panie Hazelton?

Mina trochę mu zrzędła.

– Oczywiście, że nie, lady Harleigh. Wybrałem przecież dla niej najdzikszego ogiera z całej stajni. Nikt tu z okolicy sobie z nim nie poradził, ale Rose postanowiła spróbować, więc uznałem, że damy jej szansę.

Powiedział to z takim spokojem, że mogłabym wziąć jego słowa na poważnie, gdyby Rose się w tym momencie nie roześmiała.

– To nie jest ogier, mamusiu. To klacz.

Uśmiechnęłam się do George'a bez przekonania.

– Śmieję się, jeśli chcecie. Ja się jednak obawiam, że przeceniacie umiejętności Rose.

– Przecież dobrze jeżdżę. – Rose spaşowiała, a dla mnie stało się jasne, że ją tą uwagą zawstydziłam.

Anne, nic nie mówiąc, udała się ze stajennym na poszukiwanie konia dla siebie, a ja próbowałam jakoś ratować sytuację.

– Wiem, kochanie. Może trochę przesadziłam.

George położył mi rękę na ramieniu.

– Paloma to naprawdę łagodny i dobrze ułożony wierzchowiec. Gdyby nie to, że spodobała się Rose, zaproponowałbym ją tobie. – Wzruszył ramionami. – A tak kazałem ci osiodłać dzikiego ogiera.

Tym razem roześmiałam się razem z nim, a Rose do nas dołączyła.

– Jeśli Paloma ma równie dobrze ułożoną siostrę – powiedziałam – to właśnie jej bym chętnie dosiadła.

– Zobaczymy, co da się zrobić.

Podczas gdy stajenny pomagał Anne, George wybrał spośród dostępnych koni takiego, po którym nie spodziewał się żadnych wybryków. Wkrótce potem wszystkie trzy byłyśmy gotowe na przejażdżkę. Gdy wyprowadzałyśmy konie ze stajni, musiałam sobie przypominać, że Rose potrafi się zachować i potrafi zapanować nad zwierzęciem, na którego grzbiecie siedzi. To zaś oznaczało, że ja winnam po prostu cieszyć się tą wyprawą. Na wschodzie słońce wznosiło się właśnie nad korony drzew. Wyruszyłyśmy ścieżką, którą polecił nam George. Prowadziła najpierw przez las, gdzie w powietrzu czuć było chłód, a potem wychodziła na otwartą przestrzeń, na której konie mogły trochę poszaleć. Nie żebym zamierzała mojego do tego zachęcać. Dopiero uczyłam się jeździć, więc na samą myśl o szybszym chodzie doznawałam lekkich palpacji serca.

Dereszowaty wałach imieniem Herkules, który niósł mnie na swoim grzbiecie tego ranka, miał jednak na tę kwestię inne zapatrywania. Gdy tylko minęliśmy linię drzew, Rose i Anne wymieniły spojrzenia i puściły się przed siebie galopem. Mój wierzchowiec najwyraźniej uznał, że coś go omija, bo – całkowicie bez porozumienia ze mną – popędził za nimi. Choć szczęśliwie dogonił towarzyszy już po kilku chwilach, a potem zwolnił i złapał rytm, z którym byłam sobie w stanie poradzić, to doświadczenie wstrząsnęło mocno moim ciałem i duszą, nie wspominając o tym, jak mocno przekrzywiło mi kapelusz.

Tymczasem Rose i Anne w ogóle niczego nie zauważyły. Droga prowadziła na teren sąsiedniej posiadłości, więc moje towarzyszki zawróciły i zwolniły do stępu. Herkules na szczęście dopasował się do pozostałych.

– Tak to można zgubić resztki snu – powiedziała Anna, której policzki czerwieniły się z wysiłku.

– I kapelusz.

Próbowałam ocenić stan mojego upięcia, które ze zwartego koka przeistoczyło się w bezładną płataninę włosów.

– Rozejrzemy się za nim w drodze powrotnej – zaproponowała Anna, gdy do mnie podjechały.

Starsza z moich towarzyszek przyglądała mi się teraz z pewnym zaniepokojeniem. Rose też się do mnie nachyliła i nawet chwyciła mnie za ramię.

– Wszystko w porządku, mamusiu? – zapytała.

– Oczywiście, kochanie – odparłam tak swobodnie, jak tylko byłam w stanie. – Niezła z pani amazonka, Anne. Rose musiała się trochę wysilić, żeby za panią nadążyć.

– Jeżdżę, odkąd byłam wieku Rose. Na północ od Londynu nie brakuje dobrych terenów, ale cieszyłabym się, gdybym mogła częściej bywać na wsi i fundować sobie takie przejażdżki. – Skinęła głową do mojej córki. – A skoro zdołałaś dotrzymać mi kroku, to najpewniej będziesz w przyszłości jeździć jeszcze lepiej niż ja. O ile oczywiście będziesz dalej ćwiczyć.

Rose rozpromieniła się, słysząc te słowa uznania. Od dwóch miesięcy brałyśmy razem lekcje. To był mój prezent dla niej z okazji jej ósmych urodzin. Rose już wcześniej dobrze jeździła, ale zapragnęła nauczyć się skakać. Nie tak dawno temu nabawiła się nawet kontuzji, gdy próbowała skłonić swojego krągłutkiego kucyka do pokonania płotu. Wykazała się tak wielką determinacją, że uznałam za konieczne zapewnić jej porządne lekcje i odpowiedniego wierzchowca. Na pomysł dołączenia do niej wpadłam nieco później, uznając to za dobry prezent dla siebie samej z okazji moich dwudziestych ósmych z kolei urodzin. Wcześniej nigdy nie potrafiłam dobrze jeździć, skoro jednak mogłyśmy spędzać w ten sposób wspólnie czas, uznałam, że może pora wreszcie nadrobić te braki.

Ruszyliśmy przed siebie stępem i szliśmy równo obok siebie, z Rose pośrodku. W pewnej odległości za nami podążał stajenny.

– Zamierzamy z matką jeździć codziennie rano, dopóki tutaj jesteśmy – oznajmiła Rose. – Cieszyłabym się, gdyby miała pani ochotę do nas dołączyć, panno Kendrick.

– Zamierzamy jeździć, o ile nie będzie to kolidowało z planami lady Fiony – doprecyzowałam. – Również mam nadzieję, że będzie nam pani towarzyszyć, Anne.

Niezależnie od tego, że wcześniej podjęłam się zapewnić jej rozrywkę, dobrze się bawiłam w jej towarzystwie. Jeśli zaś chodzi o jeździectwo, to mogła stanowić dla Rose znacznie lepszy wzór do naśladowania niż ja.

– Z największą przyjemnością. – Anne odchrząknęła i nachyliła się, żeby poklepać konia. – Uprzedzam jednak, że choć moje siostry nie jeżdżą zbyt często, mogą zechcieć również się wybrać, jeśli się dowiedzą o naszych wspólnych wyprawach.

Oznaczałoby to, że osiągnęłam skutek przeciwny do zamierzonego.

– A lubią panie spędzać razem czas?

Anne się wzdrygnęła.

– Bynajmniej. Tyle że Eliza bywa niezmiernie zazdrosna. Jeśli uzna, że okazuje mi pani nadzwyczajne względy, spróbuje zapewnić sobie takie samo traktowanie. Clara zaś nie znosi, gdy ją cokolwiek omija.

Rose przyglądała się Anne z wyraźnym zainteresowaniem. Być może cieszyła się, że nie ma rodzeństwa.

– Nie sądzę, żebyśmy się musiały przejmować pani siostrami, w szczególności panią Durant. Odnoszę wrażenie, że lady Fiona zapałała do niej wielką sympatią. A jak znam Fionę, oznacza to, że pani siostra nie zazna ani chwili wytchnienia.

Anne jakby się rozpromieniła.

– Jak dobrze to słyszeć. Paplaninę Clary jeszcze jakoś znoszę, ale Eliza bywa zwyczajnie okrutna. – Zerknęła na mnie zaniepokojona. – Może „okrutna” to nieco zbyt mocne słowo, ale lubi postawić na swoim. Jest też bardzo zazdrosna o wszystkich, zwłaszcza o Leo. Uważam, że ojciec powinien przyznać jej mężowi prawa współnika w swojej firmie, na tych samych zasadach co w przypadku Leo.

Przypuszczalnie zdradziła mi w ten sposób informacje, które nie powinny opuszczać kręgów rodzinnych.

– Pani ojciec na pewno najlepiej wie, co będzie służyło jego interesom, i podjął taką decyzję w najlepszej wierze. – Wymownie skinęłam głową, aby w ten sposób zakończyć temat.

– Oczywiście, że tak – ciągnęła jednak Anne. – Jego zdaniem Arthur powinien zrezygnować z pracy zawodowej, gdy tylko odziedziczy tytuł po ojcu. Dlatego nie widzi sensu, aby poświęcać czas na wdrażanie go w tajniki biznesu. Po co miałby powierzać mu jakiegokolwiek odpowiedzialne stanowisko, skoro Arthur lada moment porzuci to zajęcie?

Jakkolwiek logiczne było dla mnie to wyjaśnienie, o jedną rzecz nie mogłam nie zapytać – nawet jeśli dobre manieri nakazywałyby mi ugryźć się w język.

– Oczywiście pani ojciec zdaje sobie sprawę, że ojciec Arthura Duranta nie ma jeszcze nawet pięćdziesięciu lat, prawda?

Anne przytaknęła i zaraz potem zacisnęła wargi, jakby próbowała powstrzymać śmiech – co ostatecznie i tak jej się nie udało. Rose i ja również się roześmiałyśmy, choć nie wiem, czy moja córka rozumiała powód tej naszej wesołości. Ostatecznie jednak poranek był uroczy, a ona wybrała się na przejażdżkę w miłym towarzystwie. Jej to już zapewne wystarczyło, żeby się cieszyć.

– Mam szczerą nadzieję, że lord Durant nie zdaje sobie sprawy, jak rychły koniec wieści mu mój ojciec. – Anne niemal popłakała się ze śmiechu, przez co miała trudności z wyartykułowaniem tej myśli.

– Obiecuję mu tego nie zdradzić. – Nachyliłam się do Rose, uśmiechając się przy tym konspiracyjnie. – Rose, ciebie również poproszę, abyś to zachowała dla siebie.

Ona nakreśliła dłonią krzyżyk na sercu, co przyjąłam z ulgą.

– Cieszę się, że ciocia Lily i pan Kendrick postanowili wziąć ślub tutaj, a nie jakimś wielkim kościele w Londynie. Na wsi jest znacznie lepiej.

Anne gestem dała jej znać, że się z nią zgadza.

– Huczne śluby są na pokaz, nie sądzicie?

Rose chyba nie potrafiła zająć stanowiska w tej sprawie, ja natomiast mogłabym powiedzieć, że mój ślub z całą pewnością odbył się na pokaz. Pompa i ceremonia, na które tak nalegała moja matka, mnie wprawiały w zażenowanie. Teraz pozostawało mi liczyć na to, że matka jakoś się pogodzi z myślą o ascetycznej formule weselnej jej młodszej córki.

– Ja wołałabym skromną ceremonię w gronie rodziny niż wystawną imprezę dla licznego grona. – Uśmiechnęłam się do obu dziewcząt. – Uwielbiam też wizyty na wsi, więc zgodzę się z Rose. Również uważam, że dobrze się złożyło.

– Mamusiu, jest twój kapelus.

Zaczęłam rozglądać się wokół, bo spodziewałam się zobaczyć go na jakiejś wysokiej gałęzi albo pośród liści żywopłotu. Tymczasem dostrzegłam go w dłoniach eleganckiego dżentelmena, który w tweedowym ubraniu i filcowym kapeluszu zmierzał w naszą stronę z uśmiechem na twarzy.

Zatrzymałyśmy konie, żeby mógł do nas podejść.

– To najpewniej należy do pani?

Podał mi malutki kapelusik z woalką, która niestety się podarła. Jak na dżentelmena przystało, dłonie miał zadbane, a paznokcie równo przycięte i wygładzone.

Odebrałam od niego zgubę i odwzajemniłam uśmiech.

– Jeśli sugeruje pan, szanowny panie, że powinnam osłonić czymś zmierzwione włosy, to w pełni się z panem zgadzam.

Mężczyzna zdjął kapelusz i uklonił się nam uprzejmie. Jego ciemne oczy zniknęły na chwilę pod gęstą zasłoną jasnych włosów, które po chwili odsunął wprawnym gestem, najpewniej całkiem odruchowym.

– Jakżebym śmiał coś takiego sugerować? Zauważyłem jedynie, że pasuje do reszty pani stroju. Czy wyjechały panie z Risings?

– Owszem. A pan, szanowny panie? Dość to nietypowe miejsce na piesze spacerery.

– Rzeczywiście z pań perspektywy może się takim wydawać, gdy jednak przejdą panie jeszcze kilka kroków – wskazał dłonią za siebie – zobaczą panie ścieżkę prowadzącą do Fairview. Przyjechałem w odwiedziny do ciotki.

Przywołałam z pamięci informację na temat właścicieli tej posiadłości.

– Zapewne zatem do lady Esther? Jest pan jej bratankiem?

– Wnukiem stryjecznym. – Uśmiechnął się szeroko, przez co wokół jego oczu pojawiły się zmarszczki. – Percy Bradmore, do usług. Czy zna pani moją ciotkę?

– Już mi się pan wielce przysłużył, panie Bradmore. Bardzo panu dziękuję za uratowanie kapelusza. Co zaś się tyczy pańskiej ciotki, to miałyśmy okazję kilkakrotnie spotkać się w mieście. Jak ona się miewa?

– Obawiam się, że nie najlepiej. Wraca właśnie do sił po chorobie i choć jej stan istotnie się już poprawił, to zapewne sporo jeszcze czasu minie, zanim znów będzie się mogła cieszyć dobrym zdrowiem.

Nagle poczułam się nieswojo ze świadomością, że zawsze widziałam w lady Esther zrzędliwą staruszkę. Nigdy nie życzyłam jej źle, ale zazwyczaj wołałam przebywać poza zasięgiem jej wzroku... A już w szczególności poza zasięgiem jej głosu. Zważywszy że ten człowiek był z nią spokrewniony i przynajmniej chwilowo zaliczał się do sąsiadów George'a, uznałam za stosowne mu się przedstawić.

Podaliśmy więc panu Bradmore'owi nasze nazwiska, a potem nachyliłam się – na tyle, na ile mogłam to zrobić, siedząc w siodle ubrana w gorset – i podałam mu rękę.

– Dobrze wiedzieć, że Risings nie stoi puste – powiedział. – Słyszałem, że hrabia podróżuje po kontynencie.

– Zgadza się. Domem zaś opiekuje się jego brat, pan Hazelton. Właśnie organizuje jednocześnie polowanie i ślub.

– No proszę, Hazelton się żeni?

Zarumieniłam się, słysząc to pytanie, ale szybko doprecyzowałam:

– Nie, to nie jego ślub. Czy pan zna rodzinę Hazeltonów? – zapytałam, ale po chwili machnęłam ręką, jakbym chciała tę wypowiedź cofnąć. – Na pewno pan zna. Cóż to za głupie pytanie. W końcu jesteście sąsiadami.

– A jednak tak się składa, że się nie znamy. W każdym razie nie znamy się jako dorośli. Ostatni raz byłam tu jako sześciolatnie dziecko. Pamiętam dzieci z okolicy, ale nie na tyle dobrze, by kogokolwiek rozpoznać. – Wzruszył ramionami. – Nie bywam też zbyt często w Londynie, co by zresztą wyjaśniało, dlaczego dotąd nie mieliśmy okazji się poznać, milady. Cieszyłbym się, gdybym mógł od czasu do czasu odwiedzić sąsiadów ciotki i pogawędzić chwilę, dopóki ona nie wydobrzeje. Przyjechałam zaledwie wczoraj, ale ponura cisza jej domu już daje mi się mocno we znaki.

Biedny człowiek. Jak ja go dobrze rozumiałam. Jako mężatka większość czasu spędzałam samotnie w domu w Harleigh. Samotność w nadmiarze bywa bardzo dokuczliwa.

– Sprawia pan wrażenie człowieka, który lubi przebywać w towarzystwie – zagadnęłam. – Szczerze liczę, że w wolnej chwili zechce pan nas odwiedzić.

Pomyślałam, że muszę koniecznie powiedzieć Fionie o tym spotkaniu z jej sąsiadem. Nie miałam jednak najmniejszych wątpliwości, że ona od razu wyśle mi zaproszenie. Niewykluczone, że uczestnicy polowania również chętnie powitają w swoim gronie kolejnego kompana.

– Bardzo dziękuję, na pewno się pojawię. Panowie zapewne polują na słonki? – Uśmiechnął się szelmowsko, ale zaraz potem spoważniał. – Czy to nie podczas polowania ucierpiał zarządca hrabiego? Słyszałem, że wraca do zdrowia pod opieką siostry.

Tu na wsi, widać, wieści szybko się rozchodzą.

– Spadł z konia – odparła Anna.

Bradmore przekrzywił głowę.

– No proszę... Wersja krążąca po wiosce kreśli bardziej dramatyczny scenariusz. Mówi się nawet o tym, że go napadli rozbójnicy, co oczywiście uznałem za nieprawdopodobne. – Zachichotał.

Czyli wieści nie tylko się rozchodzą, ale też nabierają nowych kształtów.

– Zmartwię pana, ale nic aż tak dramatycznego się nie wydarzyło. To był po prostu wypadek.

Mężczyzna przyjął to do wiadomości.

– Wypadki bywają równie groźne. Zapewne powinni państwo wszyscy na siebie uważać, zwłaszcza podczas polowań.

– Większość uczestników tych wypraw ma duże doświadczenie, więc nowicjusze są pod dobrą opieką.

Bradmore uklonił się szarmancko.

– Bardzo miło było panie poznać. Liczę na to, że w najbliższych dniach nadarzy się okazja do ponownego spotkania.

Rose zaczynała się niecierpliwic, uznałam więc, że pora jechać. Życzyłyśmy panu Bradmore'owi dobrego dnia i wyruszyłyśmy z powrotem w stronę domu. Odgłos wystrzału uświadomił mi, że zbliżamy się do rozległej otwartej łąki, gestem przywołałam więc jadącego za nami masztalerza i posłałam go naprzód, żeby wskazał nam drogę. Chłopak poprowadził nas na leśną ścieżkę, która wiodła okrężną trasą ku przeciwległej części domu i do stajni.

Jechałyśmy stępem w swobodnej atmosferze, gawędząc zawsze wtedy, gdy konie mogły iść obok siebie. Gdy zaś dukt się zwężał, każda z nas tonęła we własnych myślach. Rześki poranek przeszedł płynnie w słoneczny dzień, a wędrówka zacienionym szlakiem sprawiała nam wiele przyjemności. W pewnym momencie minęłyśmy zakręt i wtedy zauważyłam, że znajdujemy się w pobliżu trasy, którą szłyśmy z Fioną do wioski. Za chwilę miałyśmy dotrzeć do miejsca, w którym zarządca spadł z konia.

Przypomniałam sobie, z jaką stanowczością pan Gibbs podkreślał, że wcale nie spadł, tylko został strącony z siodła. Zastanawiałam się, na ile jego zapewnienia mogą mieć jakieś rzeczywiste podstawy, a na ile miały go uchronić przed zażenowaniem. W feralnym miejscu ścieżka mocno się zwężała, ale – jak już zresztą zauważyłam wczoraj – wokół rosły dorodne drzewa, których konary wznosiły się wysoko ponad naszymi głowami. Naprawdę wysoko. Pan Gibbs na pewno był ode mnie wyższy, ale musiałby mierzyć z metr więcej niż ja, żeby móc o nie zahażyć.

Przechodząc tamtędy, rozglądałam się w poszukiwaniu złamanych gałęzi czy jakichkolwiek uszkodzeń na pniach świadczących o niedawnym odłamaniu konaru. Nie wypatrywałam zresztą niczego konkretnego, bo jakie to właściwie miało znaczenie, czy pan Gibbs po prostu spadł z konia, czy został z niego strącony?

Wtedy jednak mój wzrok zatrzymał się na czymś, co wydało mi się całkiem nie na miejscu. Dostrzegłam mianowicie fragment liny zaplątany między liśćmi. Skierowałam konia w tamtą stronę i zobaczyłam coś, co przypominało plecionkę na ryby. Poplątana linka zwisała mniej więcej na wysokości moich ramion, mimo

że gałąź wyrastała z pnia dobrych kilka cali niżej. Choćbym nawet bardzo chciała, nie potrafiłam się uporać z tą płataniną.

– Czy pomóc w czymś pani, milady?

Stajenny podjechał do mnie, podczas gdy moje dwie towarzyszki cierpliwie czekały za nim i tylko z zaciekawieniem obserwowały moje poczynania.

– Zastanawiam się, co to tutaj robi.

– Nie wiem, milady. Może ktoś wymachiwał wędką i linka mu się zaplątała. Tak bym się domyślał.

Z miny młodego człowieka wnioskowałam, że nie pojmuje, dlaczego postanowiłam zainteresować się tą sprawą.

– Pewnie mogło tak być. – Cofnęłam konia na ścieżkę. – Nie ma potrzeby tego zdejmować. Ot, dostrzegłam coś pośród liści i chciałam się temu przyjrzeć. – Uśmiechnęłam się do Anne i Rose. – Wybaczcie ten przystanek. Pewnie jesteście już głodne, podobnie jak i ja. Jedziemy na śniadanie?

Chętnie przystały na tę propozycję, więc przejechałyśmy obok stajni i przez trawnik sąsiadujący z labiryntem. Burczenie w brzuchu zdołało skutecznie wyprzeć z mojej głowy myśl o pleciance wędkarskiej. Ostatecznie ona tam mogła wisieć już ładnych parę lat.

Zsiadłyśmy z koni na podjeździe i weszłyśmy do domu, wierzchowce zostawiłyśmy stajennemu. Rose chciała mu pomóc, ale odwiodłam ją od tego pomysłu.

– Niania będzie na ciebie czekała – wytłumaczyłam, po czym z sali rycerskiej posłałam ją na górę, a sama zwróciłam się do Anne. – Czy przypuszcza pani, że zdążymy się przebrać i odświeżyć, zanim całe śniadanie zniknie?

Na jej twarzy wymalował się wyraz powątpiewania.

– Lady Fiona planowała poranne wyjście, więc spora część towarzystwa zapewne wyruszyła w drogę wcześniej. Pójdę sprawdzić, jak się sprawy mają w pokoju porannym. Jeśli podgrzewacze nadal stoją, poproszę, aby je pozostawiono dla pani.

– Dziękuję pani, moja droga.

Nie zdążyłam jednak pokonać nawet pierwszego stopnia, gdy zza obitych suk-nem drzwi na końcu sali wyłoniła się ochmistrzyni i mnie zatrzymała. Podeszła do mnie z wyraźnym pośpiechem.

– Tak, pani Ansel? Czy coś się stało?

– Milady, na dole zapanował straszny rwetes i chyba sobie sama nie poradzę. Pan Hazelton wyjechał bladym świtem, a lady Fiona z samego rana zabrała pozo-

stałych gości na wycieczkę. W domu nikogo więcej nie ma, a służba drze się wniebogłosy.

Wydało mi się to bardzo dziwne. Wcześniej odniosłam wrażenie, że ludzie obsługujący dom wykazują się żelazną dyscypliną. Musiało się wydarzyć coś poważnego, skoro tak trudno było nad nimi zapanować. Odwróciłam się i poszłam za ochmistrzynią w kierunku drzwi prowadzących do pomieszczeń służbowych.

– Zrobię, co w mojej mocy, pani Ansel. A co się konkretnie stało?

Ona wtedy spojrzała na mnie zakłopotana i westchnęła ciężko.

– W nocy zmarł jeden z lokajów. Teraz niektórzy twierdzą, że został zamordowany.

ROZDZIAŁ 6

Zamordowany? Chryste Panie!

Pani Ansel żwawym krokiem przeszła przez galerię w kierunku północnego skrzydła, a następnie otworzyła drzwi prowadzące do kuchni i pomieszczeń roboczych. Zaiste panował tam rwetes i nawet surowy kamerdyner stojący teraz do nas plecami nie był w stanie uspokoić zebranych. W rogu kuliły się dwie zapłakane dziewczyny, zapewne kuchenne. Przy stole siedziała starsza kobieta z twarzą ukrytą w dłoniach, a nad jej głową spierało się ze sobą dwóch lokajów. Paru innych służących mamrotało coś między sobą. Kamerdyner przyglądał się temu wszystkiemu ze zgrozą i raz po raz klaskał w dłonie, aby przywołać wszystkich do porządku – ale bez skutku.

Podniosłam głos, żeby mnie było słychać pośród całego tego gwaru.

– Jak rozumiem, wydarzyła się tragedia.

Kamerdyner, nazwiskiem Crocker, obrócił się do mnie, a gdy mnie rozpoznał, na jego niezadowolonym obliczu pojawił się wyraz ulgi. Pozostali poderwali się na równe nogi i w pomieszczeniu zapadła cisza.

– Czy to prawda, że ubiegłej nocy umarł lokaj?

Crocker potwierdził.

– Tak, milady. Wszystko wskazuje na to, że odszedł w swoim pokoju zeszłej nocy lub dziś wczesnym rankiem.

– A czy ktoś posłał po lekarza? Ktoś powiadomił pana Hazeltona?

– Doktora wezwaliśmy, ale pana Hazeltona jeszcze nie. Nie zostawił wiadomości, dokąd towarzystwo wybiera się dziś na polowanie. Lada moment zamierzaliśmy wysłać kogoś w tej sprawie do pana Tuttle'a.

Podszedł do nas jeden z lokajów, który przed chwilą brał udział w głośnym sporze.

– Rano przy śniadaniu słyszałem, jak jeden z panów wymieniał miejsce polowania. Czy mam się tam udać po pana Hazeltona?

– Idź do stajni – zaordynował Crocker. – Niech któryś ze stajennych powie mi, co zaszło i że potrzebujemy jego pomocy.

Młody człowiek skinął głową i żwawo się oddalił. Zastanawiałam się, jak bardzo historia zdąży się pozmieniać, zanim George tu dotrze. Gestem przywoła-

łam pana Crockera i panią Ansel, żeby porozmawiać z nimi na uboczu.

– Proszę mi wyjaśnić, skąd całe to poruszenie. Kto wspomniał o morderstwie i czy to może być prawda?

Pani Ansel, wyraźnie zaniepokojona, zerknęła ukradkiem na kamerdynera.

– Panie Crocker – zwróciłam się do niego – czyżby lokaj nie zmarł spokojnie we śnie?

– Nie, proszę pani. – Zmarszczki na jego czole mocno się zarysowały. – Wyrażnie coś mu dolegało. Bardzo się rozchorował. Chwilowo brakuje nam jednego lokaja, więc nie miał współlokatora w pokoju. Gdyby było inaczej, być może udałoby się szybciej sprowadzić pomoc.

– Rozumiem. Bardzo przykra sprawa. Coś takiego rzeczywiście mogło wywołać poruszenie wśród służby, skąd jednak aż taki zamęt? Skąd pogłoska o morderstwie?

– Mówią, że musiał coś zjeść i dlatego się tak rozchorował – mruknęła z oburzeniem pani Ansel. – Niektórzy obarczają winą kucharkę. Mówią, że podała mu zatrute jedzenie.

Na dźwięk tych słów, aż mi mowę odebrało. Oto jeden człowiek umarł, a reszta służby domniemywa, że przyczynił się do tego ktoś spośród nich? Trudno byłoby mi sobie wyobrazić, żeby moja służba miała się tak zachować.

– A mają jakiegokolwiek podstawy, żeby ją o coś takiego podejrzewać? Wydawałoby mi się to mało roztropne, bo dowody szybko by doprowadziły do rozpoznania winnego.

– Nie ma żadnych podstaw, proszę pani – odparła pani Ansel, ponieważ kamerdyner milczał. – Nie wiem, skąd się wzięły takie domniemania. Wszystko tu jednak zdaje się brać z niczego. Trzy pokojówki uciekły z domu, opowiadając na prawo i lewo o rosyjskiej grypie. Młodszy kamerdyner stwierdził, że to dogodna przykrywka dla truciciela. – Rozłożyła bezradnie ręce. – Ktoś powiedział, że zatrzymała go jedna z pokojowych. Teraz się okazuje, że podejrzenia padły jednak na kucharkę.

Cóż to za dziwna zbieranina ludzi.

– Przykro mi, że muszą się tu państwo zmagać z takimi trudnościami. Poczekajmy na doktora, niech się wypowie na temat przyczyny zgonu. Wtedy będzie można posłać po te pokojówki, żeby wróciły do pracy.

Crocker popatrzył na mnie wyraźnie oburzony.

– Mielibyśmy zwrócić im posady po tym, jak je opuściły?

– Lady Fiona może się na to zapatrywać inaczej, ale jeśli lekarz orzeknie, że nie ma powodu obawiać się choroby zakaźnej, powinno się chyba pozwolić im na powrót. Ostatecznie trudno się dziwić, że się boją. Na pewno pan wie, jak szybko rozprzestrzenia się rosyjska grypa. Nie mam do nich żalu, że uciekły. Jeśli zaś chodzi o kucharkę, to przecież wypadki się zdarzają, ale wydaje się mało prawdopodobne, żeby zepsute mięso miało zaszkodzić tylko jednemu z was.

Zerknęłam na nieliczną grupę służących, którzy krzętałi się po pomieszczeniu wspólnym.

– Czy pozostali wrócili już do swoich obowiązków?

– Większość z nas zdążyła się zająć swoimi sprawami, zanim ta wiadomość gruchnęła. – Pani Ansel uporczywie poprawiała sobie mankiety. – Pan Crocker rozesłał wszystkich pozostałych do obowiązków, ale dziewczęta pani Humphries nie dają sobie bez niej rady. – Zerknęła na kucharkę. – A dlaczego lokaje ciągle jeszcze walcują ten temat, tego nie pojmuję.

To ostatnie zdanie wypowiedziała podniesionym głosem, żeby przywołać uwagę tychże lokajów i skłonić ich do opuszczenia sali. Ja pewnie wolałabym, żeby nie wychodzili, choć właściwie sama nie wiedziałam, po co mieliby zostać. Jeśli to ktoś ze służby rzeczywiście przyczynił się do śmierci lokaja, to miał przecież dość czasu, żeby zatrzeć po sobie ślady.

Pani Humphries cały czas łkała.

– Proszę spróbować ją uspokoić, pani Ansel. Przypuszczam, że doktor będzie tu lada moment i najpewniej uwolni ją od wszystkich zarzutów.

To właśnie lekarza spodziewałam się zobaczyć, gdy usłyszałam kroki na schodach. Zza rogu wyłonił się jednak George, wyraźnie zaniepokojony. Spojrzał na mnie badawczo.

– Frances... Hm... Lady Harleigh, czy ja dobrze słyszałem? Że ktoś umarł?

– Tak, niestety dobrze pan słyszał, panie Hazelton. – Przekazałam mu w kilku zdaniach wszystko, czego dotychczas udało mi się dowiedzieć. – Lekarz powinien być lada chwila.

On skinął głową.

– To ja na razie zajrzę do tego lokaja.

Crocker postąpił naprzód, aby go zaprowadzić, ale ja położyłam George'owi dłoń na ramieniu.

– A czy to aby na pewno rozsądne? A co jeśli to grypa?

George jednak pokręcił głową.

– Nie slyszalem o zadnych przypadkach w okolicy, a chcialbym na wlasne oczy zobaczyc, co spotkalo tego mlodego czlowieka.

– No dobrze, w takim razie idę z tobą.

Zatrzymał się i spojrzal na mnie zaskoczony.

– A czy nie mówilasz, że obawiasz się grypy?

– Sam wlasnie powiedzialasz, że to na pewno nie grypa.

Ściągnął brwi, po czym obrócił się i w geście niecierpliwosci položyl dloni na biodrze.

– Nie powiedzialem, że na pewno, tylko że to bardzo malo prawdopodobne.

– Jeśli tobie to wystarczy, to i mnie wystarczy. – Spojrzalam na niego, jakbym go wyzywala na słowny pojedynek.

– Uprzedzam tylko, lady Harleigh, że to nie będzie przyjemny widok – zaznaczył.

– Pokój zostal posprzeczany, sir.

George zerknął na kamerdynera.

– A ciało przenosiliscie?

Crocker cofnal się o krok.

– Nie, proszę pana.

George zacisnala usta i nachyлил się do mnie.

– Uważam, że lepiej by bylo, gdybyś zostala tutaj.

Nie mialam najmniejszej ochoty przebywac w ciasnym pomieszczeniu z trupem, ale jeszcze bardziej mi nie odpowiadalo, że się na mnie chucha i dmucha. Poslalam George'owi najbardziej lekcewazace spojrzenie, na jakie bylam w stanie się zdobyć.

– Przeciez widywalam juz ciała. Idę z tobą.

Crocker spojrzal na mnie z przerazeniem w oczach, gdy przemaszerowalam obok niego, aby wraz z George'em przejść z pomieszczenia wspólnego dla służby na schody prowadzace do ich kwatery. Stukot naszych obcasow na drewnianych stopniach odbijal się glosnym echem między ścianami ciasnej klatki schodowej.

– Crocker, a jak się nazywal ten czlowiek?

– Nazywal się Michael, proszę pani – odparl kamerdynery, wspinając się po schodach za nami. – Michael O'Brien.

– Dziękuję. Pomyślalam, że byloby bezdusznoscia z naszej strony dalej mówić o nim po prostu „lokaj”.

George dotarł już na drugie piętro i skręcił w korytarz. Przyspieszyłam, żeby dotrzeć mu kroku.

– Ostatnie drzwi po lewej, proszę pana – odezwał się Crocker zza moich pleców.

George posłał mi jeszcze jedno ostrzegawcze spojrzenie, potem zaś pchnął drzwi i wszedł do środka. A ja za nim.

Przez dwa niewielkie okienka pod sufitem wpadało do środka bardzo mało światła. W niewielkim wnętrzu mieściła się komódka, dwa łóżka z jednym stolikiem między nimi, krzesło z trzcinowym oparciem i kufer stojący od strony drzwi. Lampka nocna się nie świeciła. To pomieszczenie przedstawiałoby sobą ponury widok, nawet gdyby w powietrzu nie unosił się zapach śmierci – i wymiocin – i nawet gdyby na łóżku nie leżał trup. Pomyślałam, że może jednak powinienam była pozwolić George’owi na siebie chuchać i dmuchać.

On zdążył już przyciągnąć krzesło do łóżka i zajrzeć chłopakowi pod powieki. Gdy weszłam, uniósł wzrok i spojrzał na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Ostrzegalem”. Ściągnęłam łopatki i podeszłam do niego.

– Czego szukasz? – zapytałam.

George wzruszył ramionami.

– Czegokolwiek, co by wyjaśniało przyczynę śmierci.

– Na pewno miał jakieś dolegliwości żołądkowe.

George zmarszczył nos i skinął porozumiewawczo głową, a potem odwrócił się z powrotem do ciała i ujął dłoń Michaela O’Briena.

– W pierwszej chwili miałem żal do Crockera, że pokój został posprzątany, skoro jednak nadal czuć wszystko tak wyraźnie, to pewnie powinienem się jednak cieszyć, że tak się stało.

Crocker wstawił głowę przez drzwi.

– Sprzątano dość pobieżnie, sir. Nikt nie chciał tam zbyt długo przebywać.

– Crocker, a czy podczas tego spotkania coś stąd zabrano? Jakies jedzenie, picie? Może dzbanek na wodę?

– Nie, proszę pana. Niczego nie wyniesiono.

– A kiedy on po raz pierwszy wspomniał, że się źle czuje?

– O ile mi wiadomo, wczoraj w ciągu dnia nic mu nie dolegało, proszę pana. – Crocker nadal stał w progu. – Dopiero wieczorem zaczął się skarżyć.

Biedny lokaj – taki młody, a do tego najpewniej umierał w męczarniach. Twarz miał nadal wykrzywioną grymasem, jakby cierpiał. Gdyby nie to, śmiało można

by go określić mianem przystojnego. Był wysoki i dobrze zbudowany, jak przystało na lokaja. Skórę miał jasną, a włosy ciemne.

Z tych rozmyślań wyrwało mnie pytanie George'a:

– A na co się skarżył?

– Na ból brzucha, proszę pana. Twarz miał zarumienioną, a ponieważ podejmujemy obecnie licznych gości, obawiałem się, żeby nikogo nie zaraził, więc zwolniłem go z obowiązków i odesłałem do pokoju.

– I nikt do niego nie zaglądał? Nie wezwano lekarza? – Aż trudno mi było uwierzyć, że ten człowiek został bez pomocy i umierał w samotności.

– Pozwolę sobie przypomnieć, milady, że mamy licznych gości, więc służba stale miała ręce pełne roboty. Było zbyt późno, aby posyłać po doktora, a do jego drzwi pukałem osobiście, zanim udałem się na spoczynek. Nie otworzył, więc uznałem, że śpi.

– Mógł też już wtedy nie żyć, Crocker. – George wstał od łóżka. – Lekarz powinien rozstrzygnąć to jednoznacznie, ale opis jego objawów, jak również tempo ich nasilania się i szybki zgon każą mi podejrzewać arszenik.

Usłyszałam, jak kamerdyner nerwowo robi wdech, odwróciłam się więc w jego stronę. Crocker zaczął się wycofywać w głąb korytarza, bezgłośnie poruszając przy tym wargami. Przeniosłam wzrok z powrotem na George'a i wypowiedziałam te słowa, na które służący się nie zdobył:

– Chcesz powiedzieć, że ktoś go zamordował?

George się obruszył.

– Ależ skąd. Ja w każdym razie nie mam żadnych powodów, aby coś takiego podejrzewać. – Zmrużył oczy. – A ty? Słyszałaś coś?

– Nie. Gdy pani Ansel sprowadziła mnie na dół, wśród służby panował wielki zamęt. Udało mi się wszystkim uspokoić dopiero na krótko przed twoim przybyciem.

– Na pewno powinniśmy popytać, czy ktoś aby nie miał z nim jakichś rachunków do wyrównania, ale potrafię też sobie wyobrazić, że biedny O'Brien zażył arszenik przypadkiem.

– A jak się zażywa arszenik przypadkiem?

– Ktoś powiedział: „arszenik”?

To był nowy głos, dobiegał z korytarza. Przeszłam za drugie łóżko, aby zrobić miejsce dla przybysza. Domyślałam się, że to wezwany lekarz. Był to wysoki mężczyzna o jasnych włosach przyprószonej mocno siwizną, raczej tęgi niż po-

stawny, choć zapewne dwadzieścia lat wcześniej użyłabym tych określeń na odwrót.

George przedstawił mi go jako doktora Woodrowa i uściśnął mu dłoń na powitanie, po czym odsunął się nieco, żeby zapewnić lekarzowi dostęp do ciała.

– To takie moje przypuszczenie, doktorze. Rozstrzygnięcie pozostawiam panu.

Doktor Woodrow nachylił się nad nieboszczykiem i zaczął mamrotać pod nosem coś do siebie. W tym czasie George odciągnął mnie na bok i oznajmił:

– Zamierzam rozejrzeć się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, w czym mógł się znajdować arsenik. A ty może wróc do pomieszczenia wspólnego służby i spróbuj się czegoś dowiedzieć na temat O'Briena.

Opuszczałam tamten pokój z nieukrywaną ulgą. Crocker, gdy go mijalam na korytarzu, był tak blady, że aż zielony. Pani Ansel czekała na mnie u podnóża schodów, więc dyskretnie zaproponowałam, żebyśmy wypity herbatę w jej saloniku. Odrywała się od pracy niechętnie, ale się zgodziła.

Przez tych kilka minut, których potrzebowałam, żeby zaparzyć dla nas herbatę w kuchni, zdążyłam zastanowić się nad tym, jakie pytania mogłyby zapewnić lepsze rozeznanie co do osoby nieboszczyka. Niestety ochmistrzyni okazała się osobą małomówną i na większość moich pytań odpowiadała jednym słowem. Dowiedziałam się, że choć O'Brien miał irlandzkie korzenie, przyjechał tu z Londynu, a rodzinę odwiedził zaledwie dwukrotnie. Posadę w tym domu piastował od nieco ponad roku. Na tyle dobrze wywiązywał się ze swoich obowiązków, że został drugim lokajem i wedle obserwacji pani Ansel niezłe się dogadywał z resztą służby.

– A czy dużo czasu spędzał w wiosce? – zapytałam, zastanawiając się, czy może popadł w spór z kimś spoza służby.

Kobieta zmarszczyła czoło i chwilę się zastanawiała.

– Powiedziałabym, że tak, zwłaszcza w ostatnim miesiącu. Pod nieobecność pana domu lokaje zwykle kończą pracę dość wczesnym wieczorem. Nie podaje się przeciwko kolacji. Lokale mogą wychodzić do wioski, jeśli chcą. O ile po powrocie w ich oddechu nie czuć ginu i o ile stawiają się w domu, zanim pan Crocker zamknie drzwi, czyli około dziesiątej.

– A czy zdarzyło się kiedyś, żeby było od niego czuć gin?

Ochmistrzyni uniosła brwi.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo, a raczej bym coś o tym słyszała, bo pan Crocker nie pozwalał pić swoim lokajom.

Pomyślałam, że być może powinnam porozmawiać o O'Brienie z kimś jeszcze. Jeśli Crocker był tak wymagającym przełożonym i nie tolerował picia, to być może podlegli mu ludzie kryli się nawzajem. Moment wydawał mi się mało stosowny, ale uznałam, że w razie konieczności popytam jeszcze wśród niższej służby. Na razie ustaliłam, że po zakończeniu naszej kolacji O'Brien usiadł do stołu wraz z resztą służby, ale krótko potem – jak to już wcześniej powiedział Crocker – wymówił się złym samopoczuciem i udał do swojego pokoju.

– Służący spoza domu dopiero co przyjechali, siedzieliśmy więc w pomieszczeniu wspólnym nieco dłużej, bo chcieliśmy się lepiej poznać i poopowiadać sobie różne rzeczy.

Służący spoza domu... Jak ja mogłam o tym zapomnieć? Przecież sama przywozłam ze sobą pokojówkę. Większość gości przybyła tu w asyście osobistego służącego czy służącej. Pomyślałam, że może w takim razie Bridget będzie w stanie powiedzieć mi coś na temat O'Briena. Znali się, co prawda, bardzo krótko, ale ona miała naprawdę dobre oko do ludzi. Zapisałam sobie w pamięci, żeby ją koniecznie o to zapytać.

– A o której zakończył się ten wieczór? O której wszyscy się rozeszli na spoczynek?

– Osobiste służące i służący poszli dojrzyć swoich państwa mniej więcej o dziesiętej. Mniej więcej o tej samej porze wyszli Peter, młodszy kamerdyner, oraz Ben, nasz pierwszy lokaj. Musieli posprzątać w jadalni. Zebrać kieliszki i tak dalej.

Pani Ansel opłotła dłońmi filiżankę i uniosła wzrok do sufitu, jakby próbowała odtworzyć w myślach tamtą scenę.

– Najwcześniej położyły się kucharka i jej pomocnice. Nie potrafię dokładnie powiedzieć, kto kiedy wychodził, ale gdy ja udawałam się do siebie, tak około wpół do jedenastej, na nogach byli już tylko Ben i Peter, ale nie zdążyli jeszcze wrócić do sali wspólnej.

– A O'Brien był u siebie?

– Tak, proszę pani.

– A kto go rano znalazł?

– Pan Crocker. Jakoś o szóstej.

Nie miałam pojęcia, jak szybko działa arszenik. Nie wiedziałam też, czy George ma rację i czy tu w ogóle chodziło o arszenik. Na pewno jednak dobrze byłoby stwierdzić, że to nie kucharka zawiniła.

– A czy wszyscy siedli razem do kolacji?

Ochmistrzydni pokiwała głową, a potem od razu odpowiedziała na moje następne pytanie:

– I wszyscy jedliśmy to samo.

Żadne dalsze pytania nie przychodziły mi już do głowy, więc podziękowałam jej za jej czas i podreptałam z powrotem na górę, do pokoju O'Briena, żeby zobaczyć, jak sobie radzą George i doktor Woodrow. Gdy zajrzałam do środka, przeglądali akurat rzeczy lokaja. Lekarz przetrząsał zawartość szuflad, a George do słownie wsunął się pod łóżko.

– Chyba znalazłem – oznajmił, ale potem zbyt szybko podniósł głowę, bo uderzył nią o belki podtrzymujące materac. – Ach! Niech to szlag!

– Cóż ty tam wyczyniasz? Okaż trochę szacunku biednemu O'Brienowi!

Zaskoczony doktor Woodrow odwrócił się tak gwałtownie, że zapomniał odłożyć wyjętą z szuflady bieliznę.

Patrzyłam na George'a karcącym wzrokiem.

– Co też panom przyszło do głowy? Dlaczego przeglądacie rzeczy nieboszczyka?

– Wybacz, Frances.

George wygramolił się spod łóżka, a potem usiadł na podłodze i oparł się plecami o materac. W dłoni trzymał butelkę z zielonego szkła.

Założyłam ręce na piersiach i pokręciłam głową.

– To nie mnie się należą przeprosiny.

Wolną ręką George podparł się, żeby wstać.

– Przepraszałem za niewytworny język. Co do O'Briena, to on by się zapewne nie obraził, że szukamy dowodów w jego sprawie. – Uniósł znalezisko, które trzymał za szyjkę. – Coś chyba mam.

Woodrow przemierzył niewielki pokój dwoma susami i przejął od George'a butelkę. Wyciągnąwszy korek, powąchał jej zawartość.

– Tak, piwo imbirowe.

Nie miałam pojęcia, dlaczego uznali to za tak istotne.

– Chcą panowie powiedzieć, że O'Brien zmarł od nadmiaru piwa imbirowego? George zacisnął usta.

– W rzeczy samej to chcemy powiedzieć. O ile to piwo zawiera arszenik.

– A jak to niby jest możliwe?

– Woda, z którego zostało uwarzone, mogła zawierać arszenik. Woodrow mówi, że ostatnio zamknięto w okolicy jedną czy dwie studnie, właśnie z po-

wodu skażenia. A tego napoju się nie destyluje. Jeśli więc woda była zatruta, to piwo również.

Woodrow przyjął to wyjaśnienie z uznaniem.

– Jeśli O'Brien źle się poczuł, mógł sobie próbować w ten sposób pomóc. Piwo imbirowe bywa stosowane w przypadku rozstroju żołądka. Ale jeśli woda była skażona, to im więcej go wypił, tym gorzej się czuł, bo spożywał coraz więcej arszeniku.

Aż nazbyt to było dla mnie jasne.

– A im gorzej się czuł, tym więcej pił. To panowie chcą powiedzieć?

George przytaknął.

– Aż w końcu spożył taką dawkę arszeniku, że nie było już dla niego ratunku.

Panowie sprawiali wrażenie przekonanych o słuszności takiego wyjaśnienia. Mnie się ono jednak wydawało stanowczo zbyt proste.

– Tylko że nie wiadomo na pewno, czy to piwo rzeczywiście zawierało arszenik.

– Nie, nie wiadomo. Dlatego zabiorę je ze sobą do analizy – oznajmił Woodrow i schował butelkę do skórzanego torby, z którą przyszedł. – Przeprowadzę też dalsze badania ciała, ale właściwie nie mam większych wątpliwości, że śmierć nastąpiła w wyniku zatrucia arszenikiem. Biedny chłopak.

Na moment zamknęłam oczy. Coś mi się w tym wszystkim nie zgadzało. Chyba zdążyłam już nabrać przekonania, że ktoś jednak stał za śmiercią pana O'Briena, a tymczasem George i doktor Woodrow właśnie obalali moją teorię. Niby przedstawili zupełnie logiczne wyjaśnienie, ale jakoś mnie to nie przekonywało. Tylko dlaczego?

ROZDZIAŁ 7

Doktor zgodził się objąć pieczę nad ciałem i przygotować je do pogrzebu. Powiadomiłam o sprawie panią Ansel, prosząc ją przy tym o podanie adresu rodziców młodego mężczyzny. Przypuszczałam, że pod nieobecność hrabiny obowiązek powiadomienia ich o śmierci syna wezmą na siebie Fiona lub George.

Ponieważ rano nie miałam okazji nic zjeść, a od wczorajszej kolacji minęło bardzo dużo czasu, nieco się rozczarowałam, gdy w pokoju śniadaniowym nie zastałam już ani bufetu, ani w ogóle nikogo. Zerknąwszy na zegar, stwierdziłam, że południe wybiło pół godziny temu. Pozostawało mi mieć nadzieję, że Fiona przewidywała podanie lunchu i że wkrótce wróci ze swoimi gośćmi z porannej wyprawy. Tymczasem podreptałam do swojej sypialni, gdzie Bridget pomogła mi zdjąć strój do jazdy konnej i włożyć suknię stosowną do pory dnia.

Podczas rozpinania niezliczonych guzików kurtki pokojówka zagadnęła mnie z wyraźnie zaniepokojoną miną:

– Ależ straszny los spotkał tego biednego lokaja, milady.

Pokręciła głową i westchnęła kilkakrotnie.

– Rzeczywiście, bardzo przykra sprawa – odparłam. – A miałaś okazję z nim wczoraj porozmawiać?

– Tak, proszę pani. Sprawiał wrażenie miłego człowieka. Do tego był dość przystojny. Taka strata.

Bridget ustawiła się teraz za moimi plecami, żeby pomóc mi zdjąć okrycie. Znacznie łatwiej byłoby to zrobić, gdybym potrafiła odzepić sobie ramiona od tułowia. Zrobiłam krok naprzód, w ten sposób uwalniając ręce z rękawów, ale też wywracając te ostatnie na drugą stronę. Nie potrafiłam pojąć, dlaczego te ubrania muszą być takie wąskie.

– A jak się zachowywał w stosunku do pozostałych służących? Dogadywali się?

Starałam się mówić to możliwie swobodnym tonem, ale Bridget – choć w pierwszym odruchu wzruszyła ramionami – nagle otworzyła szeroko oczy i zatrzymała się w pół słowa.

– Czy pani podejrzewa, że został zamordowany? Czy będzie pani badać tę sprawę?

Nie zaskoczyło mnie to pytanie. Gdybym podejrzewała, że doszło do zabójstwa, albo gdybym miała badać tę sprawę... to przecież nie byłby pierwszy raz. Nie pierwszy raz angażowałabym też Bridget w te moje potajemne wysiłki śledcze.

Gdybym podejrzewała, że doszło do zabójstwa...

Tego zaś nie powinnam podejrzewać. George i Woodrow mogli mieć rację. Biedny chłopak mógł sam na siebie sprowadzić zgubę, i to całkiem przypadkowo.

Bridget przypatrywała mi się teraz z wysoko uniesionymi brwiami, czekając na odpowiedź.

– Nie. I nie. – Podczas gdy ona poprawiała rękawy mojej marynarki, ja zajęłam się rozpinaniem spódnicy. – Pan Hazelton i doktor zgadzają się co do tego, że Michael próbował leczyć ból żołądka piwem imbirowym, które zostało uwarzone na zatrutej wodzie. Jeśli ich teoria się potwierdzi, wówczas trzeba będzie uznać, że do śmierci doszło przypadkiem.

– Ale pani nie wierzy, że tak było, prawda?

Wychodząc ze spódnicy, o mało co się nie potknęłam. Bridget chwyciła mnie za ramię, żeby pomóc mi złapać równowagę. Pomyślałam, że ona stanowczo za dobrze mnie zna.

– Nie mam powodów, żebym im nie wierzyć. – Niewykluczone, że starałam się przekonywać w tym momencie nie tylko ją, ale również siebie. – Tak czy owak, doktor ma poddać napój analizie i wkrótce będzie wiadomo, czy jego przypuszczenia są słuszne.

– Ehm...

Bridget schyliła się po moją spódnice, ale najpierw posłała mi przenikliwe spojrzenie.

– Bridget, moja droga. Mówię ci wszystko, co wiem. Nie ma powodów, aby kogokolwiek podejrzewać o morderstwo.

– Dobrze to słyszeć, proszę pani.

Zniknęła na chwilę w garderobie, a potem wyszła stamtąd z wełnianą suknią spacerową w kolorze niebieskim. Widząc moje zdumienie, wyjaśniła:

– O ile dobrze zrozumiałam, po południu panie wybierają się do wsi. Założyłam, że pani również idzie, milady.

– No tak. Zastanawiałam się właśnie, co też zaplanowała dla nas lady Fiona. Powiedz mi tylko, proszę, że najpierw zostanie podany lunch.

Bridget przygryzła wargi.

– Na ten temat nic nie wiem, ale jeśli jest pani głodna, mogę zejść do kuchni i za chwilę wrócić z herbatą i ciastem albo kanapkami.

– Bardzo to miłe z twojej strony, ale to może poczekać, aż się ubiorę.

Podczas wkładania sukni zaczęłam znów rozmyślać o lokaju.

– Nie odpowiedziałas mi na moje pytanie, Bridget. Jak sądzisz, na ile dobrze Michael dogadywał się z pozostałymi służącymi?

Pokojówka odwróciła mnie i skupiła się na zapinaniu guzików.

– Trudno stwierdzić, czy ktokolwiek ze służby miał do niego jakieś pretensje, ale nie zdziwiłabym się, gdyby dogadywał się lepiej z kobietami niż z mężczyznami.

– Czyżby? A z czego to wnioskujesz?

– Z urody twarzy i skłonności do flirtu. – Ściągała materiał na plecach, dopóki się nie wyprostowałam. – Tak można sobie zaskarbić względy kobiet, ale przyjaźń mężczyzn już niekoniecznie. Choć przypuszczam, że jeśli flirtował przesadnie, to i wśród kobiet mógł sobie narobić wrogów. – Wzruszyła ramionami i dopięła pozostałe guziki. – Spędziłam w jego towarzystwie może godzinę, więc nie za wiele jestem w stanie powiedzieć na temat jego charakteru. Być może dogadywał się z ludźmi bez trudu. To, co powiedziałam, to tylko moje wrażenie.

Wiedziałam jednak, że takie wrażenia Bridget bywają często równie prawdziwe jak fakty. To była ładna i zgrabna dziewczyna o złotych włosach i interesującej osobowości. Przyciągała mężczyzn, odkąd w wieku piętnastu lat pojawiła się w domu w Harleigh. Przez dziesięć lat, które minęły od tamtej pory, sporo się na ich temat nauczyła. Miałam wielkie szczęście, że nie zamierzała wychodzić za mąż, dopóki nie pozna kogoś, kto zechciałby się razem z nią zająć interesami. Niestety musiałam liczyć się z tym, że w końcu ktoś taki się znajdzie.

– Będę to mieć na uwadze, Bridget. Ty natomiast pamiętaj, że ja pytam tylko z czystej ciekawości. Jestem przekonana, że śmierć tego młodego człowieka zostanie uznana za wypadek.

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Bridget podeszła, żeby je otworzyć, ale zaraz potem odskoczyła, bo do pokoju z właściwą sobie energią wkroczyła Fiona.

– Frances, dozgonnie ci jestem wdzięczna, że pod moją nieobecność wzięłaś na siebie dziś rano ciężar całej sprawy.

– Ależ to nic takiego, moja droga. Domyślałam się, że rozmawiałaś z panią Ansel i znasz już wszystkie szczegóły.

– Owszem. Jaki straszny wypadek! – Zmarszczyła brwi i przysiadła na ławce ustawionej w nogach łóżka. – Ponoć wśród służby panował wielki zamęt, dopóki nie zaprowadziłaś porządku.

To powiedziawszy, Fiona dziwnie na mnie spojrzała.

– Co się stało?

Teraz uniosła dłoń do głowy i zrobiła dziwną minę.

– Chodzi o twoją fryzurę, moja droga. Cóż się takiego z nią stało?

Nagle przypomniałam sobie o porannej przygodzie ze zgubionym kapeluszem. Włożywszy dłoń w splątane włosy, czym prędzej podeszłam do toaletki. Gdy zerknęłam w lustro, z moich ust wydobył się okrzyk przerażenia. Wyglądało to tak, jakby jakieś ptaszysko postanowiło zamieszkać na mojej głowie, a potem jego gniazdo wytarosił porywisty wiatr. Wspaniale! I w takim stanie oglądali mnie nie tylko służący, ale także George i doktor Woodrow.

Bridget sięgnęła po grzebień i ustawiła się za moimi plecami.

– Mała chwilka i wszystko będzie w porządku, milady.

Zerknęłam z niezadowoleniem na narzędzie tortur, które trzymała w dłoni, ale potulnie usiadłam przez lustrem. Innego wyjścia nie było.

– Jak sądzisz, co się stało? – zapytała Fiona.

Zbyłam jej pytanie gestem dłoni.

– Doskonale wiem, co się stało. Podczas porannej przejażdżki zgubiłam kapelusz. Znalazłam go dopiero w drodze powrotnej do domu. A skoro już o tym mowa, to miałyśmy okazję poznać dziś jednego z waszych sąsiadów. Ścisłej rzecz biorąc, bratanek waszej sąsiadki, lady Esther.

Fiona uniosła brwi.

– Moje pytanie dotyczyło śmierci lokaja, ale zaintrygowałaś mnie: cóż to za bratanek lady Esther?

– Percy Bradmore. Znasz go?

Fiona przyłożyła na moment palec do warg, a potem pokręciła głową.

– Nie wydaje mi się.

Znów uniosłam rękę. Tym razem Bridget skorzystała z okazji i położyła mi na dłoni kilka wsuwek. Uznałam, że być może za dużo gestykuuję.

– Twierdzi, że ostatni raz był tu w dzieciństwie. Powiedział też, że jego ciotka wraca właśnie do zdrowia po jakiejś chorobie. – Wzruszyłam ramionami i podałam Bridget jedną ze spinek. – Rzekomo jego obecność jest jej do tego niezbędna. Upprzedzę lojalnie, że zaprosiłam go tu bez porozumienia z tobą.

– Oczywiście, oczywiście. No cóż... Muszę spróbować się dowiedzieć, co też się takiego przydarzyło lady Esther i czy nie należałoby złożyć jej wizyty. Bo może wystarczyłoby tylko wysłać jej życzenia szybkiego powrotu do zdrowia. Jeszcze z czasów dzieciństwa pamiętam ją jako zrędliwą staruszkę. Aż trudno mi sobie wyobrazić, jaka jest teraz.

– Gdy ją ostatnio widziałam, nadal była zrędliva.

Zacisnęłam zęby, bo Bridget przeciągnęła grzebieniem przez kolejne pasmo moich włosów z taką siłą, że aż odchyliłam głowę.

– A co do rodziny, to pewnie powinnam ustalić, kogo powiadomić o śmierci lokaja. Nie wiem też, co z pogrzebem. – Uniosła dłonie. – Nie miałam jeszcze dotąd do czynienia ze śmiercią kogoś ze służby.

– Pani Ansel albo pan Crocker zapewne będą ci w stanie pomóc. Mam już adres jego najbliższej rodziny, mogę ci podać. Zapewne dowiesz się od nich, czego sobie życzą. Tymczasem lekarz prowadzi swoje badania, ale nie wiadomo, jak długo to potrwa.

– Jakie badania?

– Doktor chce ustalić, czy Michael zmarł na skutek zatrucia arsenikiem.

– Wydawało mi się, że to już zostało stwierdzone.

Wzruszyłam ramionami.

– Z dość dużą dozą pewności, tak. Ale doktor chce rozwiązać wszelkie wątpliwości.

– W takim razie mam nadzieję, że jego wstępne przypuszczenia się potwierdzą. W przeciwnym razie znów będziemy się zmagać z chaosem wśród służby. Ludzie zaczną doszukiwać się między sobą zabójcy chłopaka. Nikt nie będzie chciał nic zjeść, żeby ich pani Humphries nie otruła...

Mnie również by ulżyło, gdyby zostało oficjalnie potwierdzone, że do śmierci Michaela doszło przypadkiem. Pomimo wszystkich rozterek nie pogardziłabym w tym momencie jakimś wyrobem z kuchni.

– Fiono, powiedz, proszę, że zaplanowałaś lunch.

– Ależ oczywiście. Spotkamy się z panami na pikniku, a po południu wybieremy się na spacer do wioski.

Polowanie chyba się udało. Panowie przybyli na szybki lunch w naszym towarzystwie w bardzo dobrych nastrojach. Polowali dziś w Greenbriars. Posiadłość sąsiadowała z Risings od południa i należała do pana Eastona, który wraz ze szwagrem dołączył dziś do eskapady. Fiona zaprosiła obu panów, a także panią Easton, na kolację w ciągu tygodnia.

Gawędziliśmy mniej więcej przez godzinę, ale panowie tęsknili za polowaniem, gdy więc skończyli się posilać, czym prędzej chwycili ponownie za broń. Tylko jeden się jakby ociągał.

Ernest Treadwell, nie odstępujący Lily na krok, zawołał do Leo:

– Panie wybierają się dziś po południu na spacer, stary druhu. Jeśli ty nie masz ochoty towarzyszyć swojej narzeczonej, to być może powinienem cię zastąpić.

Słońce rozbłyskało wokół jego jasnej czupryny, tworząc coś na kształt aureoli – choć jemu samemu daleko było do anioła.

– Wedle życzenia, Treadwell – rzucił Leo na odchodnym. – Ty możesz towarzyszyć paniom podczas wizyty w sklepach, a ja tymczasem upoluję coś na kolację. – Odwrócił się, żeby mrugnąć do nas porozumiewawczo. – Zobaczmy, który z nas zrobi lepsze wrażenie.

Boże drogi, Lily powinna raz na zawsze położyć temu kres. Młodsze panny Kendrick znów pochłonęła jakaś kłótnia, ale Eliza Durant piorunowała wzrokiem Lily i Treadwella. Podniosłam się do pozycji stojącej, aby oddalić kawalera, ale uprzedziła mnie Fiona.

– Niechże pan wyrusza, Treadwell – powiedziała, podchodząc do nich i gestem ręki odganiając go od Lily. – To spacer tylko dla pań. Bywam w wiosce od dziecka i nigdy nie potrzebowałyśmy męskiego wsparcia. Niechże pan wraca do polowania, pan Kendrick słusznie zauważył, że przyda nam się ptactwo na kolację. Spodziewam się, że przyniesie pan całe naręczce.

Treadwell chwilę się wahał, być może nawet chciał się sprzeciwić decyzji Fiony, ostatecznie jednak uśmiechnął się szeroko, uklonił się szarmancko i podążył za resztą oddalającego się towarzystwa. Lily stała nieruchomo, wpatrując się w swoje buty. W końcu ujęłam ją pod rękę i pociągnęłam w kierunku ścieżki, zapominając na chwilę, że miałam się zajmować się Anne Kendrick. Moja siostra chwilowo była dla mnie ważniejsza.

– Co ty wyprawiasz? – syknęłam, gdy tylko oddaliłam się od grupy.

Wtedy Lily się otrząsnęła i spojrzała na mnie gniewnie.

– O co ci chodzi?

– Przecież rozmawialiśmy o tym. Obiecałaś zniechęcać pana Treadwella do okazywania ci względów.

Lily chciała chyba wyglądać w tym momencie na oburzoną. Ja zaś byłam oburzona szczerze. Różnych rzeczy bym się po niej spodziewała, ale nie czegoś takiego.

– Powiedz mi prawdę: czy dopuszczacie się razem jakichś niestosowności?

Tym razem Lily zareagowała najzupełniej autentycznym zaskoczeniem.

– Nie. Nie! Nic z tych rzeczy. Na litość boską, Franny! Przecież ty wiesz, że ja kocham Leo najbardziej na świecie.

– Oczywiście, że wiem. Gotowa byłabym postawić na to pieniądze.

– No to już wszystko wiesz.

Chciałam coś powiedzieć, ale nie znalazłam odpowiednich słów. Zaczęłyśmy się zbierać, żeby za chwilę wyruszyć do wioski. Clara Kendrick zastąpiła drogę Anne.

– Kto ci pozwolił włożyć moje buty?

Trzymając Lily pod rękę, podążyłam w stronę wioski. Tym razem cieszyłam się, że ta kłótnia wybuchła, bo odwróciła uwagę od naszej rozmowy.

– Co niby wiem? Nic mi nie powiedziałaś, a w szczególności nie wyjaśniłaś, dlaczego pozwalasz Treadwellowi na... na... – Wymachiwałam rękami, jakby mi to miało pomóc precyzyjniej wyrazić myśli. – Dlaczego go zachęcasz?

– Nie zachęcam. On po prostu... – Westchnęła tylko. – Miłe to jest, że ktoś mi okazuje trochę uwagi.

Aż mnie zatkało.

– Czy Leo przestał ci okazywać uwagę?

– Odkąd wyruszyliśmy do Risings... – W jej oczach zabłyśły łzy, ale szybko otarła je wierzchem dłoni. – Albo rozmawia z Durantem o interesach, albo chodzi krok w krok za panem Hazeltonem jak szczeniak za swoim właścicielem. Polowanie pochłonęło go bez reszty i tak się świetnie bawi w towarzystwie innych panów, że mnie równie dobrze mogłoby w ogóle nie być.

Stłumiłam uśmiech.

– To są ostatnie dni przed ożenkiem, moja droga. Zapewne postanowił jeszcze trochę poszaleć, zanim się ustatkuje i zostanie wzorowym mężem.

Lily złączyła na chwilę wargi, a potem wydała z siebie bardzo nieelegancki dźwięk.

– Pewnie powinnam być wdzięczna, że zechciał dać mi się usidlić.

– Lily, cóż to za myśli chodzą ci po głowie? – Nagle mnie olśniło. – Może marwisz się bardziej, bo wkrótce ma się pojawić dziecko. Czy o to chodzi? Że tak szybko zakładacie rodzinę?

Przeszłyśmy ładnych parę kroków, zanim mi odpowiedziała:

– Tak szczerze mówiąc, to nie wiem. Tyle się dzieje. Zmiana daty ślubu bez porozumienia z jego rodzicami. Utrzymywanie dziecka w tajemnicy. W ogóle samo

zamążpójsie. To wszystko takie przytłaczające... Chyba chciałabym, żeby Leo był przy mnie i mógł mnie w każdej chwili zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

– A czy on wie, że się tak zamartwiasz?

Lily pokręciła głową.

– Nie musisz mi tłumaczyć, że nie może mnie pocieszyć, skoro nie wie, że mnie coś trapi. – Rozłożyła ręce w geście bezradności. – Wiem, że to nie ma sensu. Nie potrafię tego wyjaśnić, bo sama tego nie rozumiem.

Biedna istotka... Chwyciłam ją w pasie i przyciągnęłam do siebie.

– Może łatwiej ci to będzie zrozumieć, jeśli ci powiem, że ciąży to dla matki czas nasilonych emocji. W jednej chwili czujesz się dobrze, a zaraz potem źle. Raz tryskasz energią, kiedy indziej nagle brakuje ci siły na cokolwiek. A w tym wszystkim nie ma żadnego sensu, nie sposób dojrzeć żadnych prawidłowości. Z jakiegoś powodu trudniej też choćby w najmniejszym stopniu zapanować nad emocjami. A ty na dodatek musisz utrzymywać swój stan w tajemnicy, jeszcze co najmniej przez jakiś czas. To tylko nasila twoje zdenerwowanie. No i wreszcie musiałaś zmienić plany ślubne. Naprawdę nic w tym dziwnego, że czujesz się przytłoczona.

– No tak. Właśnie tak. – Tak jej ulżyło, że aż jej sił zabrakło. – Tak się cieszę, że ty to rozumiesz. Tylko dlaczego nie rozumie tego Leo? Dlaczego bawi się w najlepsze z dżentelmenami, gdy ja tak bardzo go potrzebuję?

– Ponieważ o tym nie wie, Lily. Możesz mu powiedzieć. On ci jest oddany. Z pewnością gotów byłby nie odstępować cię na krok do końca ciąży.

Lily przygryzła wargę i utkwiała wzrok w jakimś punkcie w oddali.

– Ale możesz też zwierzyć się mnie i pozwolić się na razie o siebie zatroszczyć, żeby Leo mógł w pełni cieszyć się tym tygodniem. Biedny człowiek tak ciężko pracuje. Nie zażywa rozrywek tak często, jak wszyscy ci pozostali dżentelmeni. Wiecznie dogląda jakichś interesów. A Treadwell się w tym czasie bawi.

Odpowiedział mi dźwięk, który mógł sugerować, że Lily się ze mną zgadza, więc ciągnęłam:

– Dla Leo to wielka atrakcja. A gdy tydzień dobiegnie końca, będziecie już tylko ty i on. Po ślubie będziesz go już miała wyłącznie dla siebie.

Teraz moja siostra ciężko westchnęła.

– Masz rację. On zasługuje na to, żeby się dobrze bawić. Nie ma po temu zbyt wielu okazji.

– Ty też zasługujesz na to, żeby się dobrze bawić. Tyle że powinnaś jakoś zniechęcić pana Treadwella. Jemu się wydaje, a w każdym razie tak się obawiam, że

mógłby cię odbić Leo.

Zerknęła na mnie z ukosa.

– Oczywiście nie może.

Spojrzałam na nią wymownie.

– Czy zatem nie byłoby uczciwie względem niego dać mu to jasno do zrozumienia?

– No tak... Ale będę za nim tęsknić.

– Nie tak bardzo, jak tęskniłabyś za Leo.

Teraz w jej spojrzeniu dostrzegłam zaniepokojenie.

– Myślisz, że Leo mógłby mnie porzucić z powodu względów pana Treadwella?

– Nie mam nawet pewności, czy Leo cokolwiek zauważył. On ostatecznie widzi w ludziach tylko to, co dobre. Nie mam natomiast najmniejszych wątpliwości, że sprawa nie uszła uwadze innych osób, na przykład Elizy Durant. Ona może wspomnieć o tym bratu. Zastanów się, jak byś się czuła, gdyby sytuacja przedstawiała się odwrotnie. Co by było, gdyby Leo i Lottie bez przerwy flirtowali, a Leo w żaden sposób nie próbował tego ukrócić?

– Rozumiem, co chcesz powiedzieć. No dobrze, Frances. Zrobię, co w mojej mocy, żeby go zniechęcić. Tyle że to bliski przyjaciel Leo. Nie mogę więc tak zupełnie go unikać.

– Panowie spędzą większość poranków w tym tygodniu na polowaniach, więc nie powinno to być wcale takie trudne.

Zatrzymałyśmy się na skraju wioski i tam czekałyśmy, aż reszta dam do nas dołączy.

– Lily, kościół jest parę kroków w lewo stąd. Może chciałabyś go obejrzeć?

– Tak, bardzo chętnie. A czy to nie będzie z naszej strony nieuprzejme, że się odłączymy od grupy?

– Jeśli nie zabawimy zbyt długo, to nie, ale Fiona i Lottie nie poradzą sobie same z rozdzielaniem siostr Kendrick.

Lily przechyliła głowę na bok.

– A dlaczego chcesz je rozdzielać?

– Z powodu tych wiecznych kłótni. Czyżbyś nie zauważyła?

– Chyba po prostu przywykłam – odpowiedziała mi lekko. – Nawet do głowy by mi nie przyszło, żeby je rozdzielać, ale spróbuję wam w tym pomóc.

Gdy pozostałe panie do nas dołączyły, przedstawiłyśmy im nasz plan krótkiej wizyty w kościele i po uzyskaniu ich aprobaty zadeklarowałyśmy, że odnaj-

dziemy je w wiosce – po czym skierowałyśmy się na wschód. Okolice kościoła urzekły mnie swoją malowniczością już przy pierwszej wizycie, więc gdy teraz szłyśmy z Lily ścieżką wiodącą między cmentarzem a pięknym ogrodem, miałam nadzieję, że obrosnięte winem kamienie zauroczą ją tak samo jak mnie. Ucieszyło mnie jej pełne zachwyty westchnienie.

– Tu jest po prostu pięknie – powiedziała.

Wzięłam ją za rękę i pociągnęłam za sobą.

– Poczekaj, aż zajrzysz do środka. Ten skośny dach widoczny z zewnątrz kryje pod spodem kopulaste sklepienie.

Jakże byłyśmy zaskoczone, gdy w kościele spotkałyśmy kobietę – może z dziesięć lat starszą ode mnie, z ciemnymi włosami nisko upiętymi w kok, w okularach i praktycznej niebieskiej sukni. W rękach trzymała stos śpiewników.

– Witam szanowne panie. Jak mogę pomóc?

Przedstawiłyśmy się jej, a ona nam. To była pani Carruthers, żona wikarego. Gdy wyjaśniłyśmy, że Lily bierze w sobotę ślub w tym kościele, odłożyła tomiki i zaczęła nam w szczegółach opowiadać o budowlu, którą się opiekowała. Potem zaś zaprosiła nas na herbatę.

Ponieważ sprawiała wrażenie spragnionej naszego towarzystwa, uznałam, że możemy spędzić z nią jeszcze kwadrans czy dwadzieścia minut. Za poczęstunek podziękowałyśmy, a czas niezbędny na zaparzenie herbaty upłynął nam na pogawędce o sprawach kościelnych.

– Byłabym zapomniała – powiedziała pani Carruthers. – Na pewno chciałyby panie wiedzieć, że pan Gibbs został już wygodnie ulokowany w domu swojej siostry. Pomogłam jej wszystko urządzić, bo wcześniej nie mieszkał w tym domu mężczyzna. Jej mąż od dziesięciu lat nie żyje, więc ona chętnie się zajęła bratem.

– Dobrze wiedzieć, że pan Gibbs może liczyć na dobrą opiekę. To taki straszny wypadek i uraz też straszliwy. Sam na pewno by sobie nie poradził. A czy ból choć trochę ustąpił?

Kobieta przechyliła głowę i spojrzała na nas znad okularów.

– Jeśli sędzić po jego nastroju, to raczej nie. Staralam się zachowywać grzeczność i uprzejmie, ale nie mogłam nie zapytać o przyczynę całego zajścia. Ledwo zdążyłam wspomnieć o upadku z konia, a on natychmiast... Jakby jakiś szal go ogarnął. Powiedział, że nie spał. Że ktoś go strącił.

– Tak, wczoraj też o tym wspomniał. Nie rozumiem jednak, jak to mogłoby się stać.

– Możliwe, że biedaczysko spadł, ale teraz nie chce się do tego przyznać. Postępuje przecież w latach i już nie spędza na końskim grzbiecie tyle czasu, co kiedyś. O ile mi wiadomo, głównie przesiaduje za biurkiem. – Zachichotała. – Proszę mu jednak tego nie mówić, bo zacznie grozić, że zrzuci koszulę z pleców.

– Zrzuci koszulę? – Lily zmarszczyła nos. – Dlaczego miałby to zrobić?

Żona pastora spojrzała na nas tak, jakby dobrze rozumiała nasze zdumienie.

– Żeby pokazać pręgę, którą rzekomo ma na klatce piersiowej i która dowodzi, że coś go z wielką siłą uderzyło i strąciło z konia.

Lily się zachnęła.

– Równie dobrze mógł w coś wjechać.

W tym momencie przypomniała mi się ta linka, którą rano widziałam w gałęziach drzewa. Znajdowała się mniej więcej tam, gdzie miał miejsce wypadek Gibbsa.

– Rzeczywiście mogło być tak, że w coś wjechał – stwierdziłam. – A czy on powiedział w co?

– Na pewno nie mnie. Na mnie tylko wrzeszczał i warczał. – Pani Carruthers wrzuciła ramionami. – Może w gałąź... To by wyjaśniało ten ślad.

– A czy pani potrafiłaby wskazać kogokolwiek, kto by go chciał skrzywdzić?

Kobieta machnęła ręką, jakby uważała temat za nieistotny.

– Proszę nie zwracać uwagi na te jego narzekania, milady. Ot, człowiek nie chce się przyznać do upadku. Nie znam nikogo, kto chciałby mu wyrządzić krzywdę. Zwyczajnie spadł z konia i teraz mu wstyd. Już ja jestem pewna, że o nic więcej tu nie chodzi.

Człowiek, który wsiada na koński grzbiet, czasem z niego spada. Nie ma się czego wstydzić. Choć oczywiście nie mogłam wiedzieć, jak się na to zapatruje mężczyzna, zwłaszcza jeśli świadkiem jego upadku był pracodawca, a w każdym razie ktoś, kto występował w jego imieniu. Zaświtało mi nagle, że ta jedna rzecz na pewno łączyła Gibbsa i Michaela O'Briena. Obaj pracowali dla hrabiego Hartfielda. Może wcale nie chodziło o to, że ktoś życzył źle któremukolwiek z nich. Może żywił urazę do hrabiego. Pani Carruthers mogła mieć oczywiście rację, ale zważywszy że jeden po drugim wydarzyły się aż dwa tak zwane wypadki, jakoś nie podzielałam jej pewności.

ROZDZIAŁ 8

– Jak mogłam dopuścić do tego, że usiadło nas przy stole trzynaścioro? – Fiona cmoknęła z niezadowoleniem. – To przecież pechowa liczba!

Uśmiechnęłam się sama do siebie, robiąc przy tym nieco miejsca lokajowi, który nalewał mi właśnie kremowej zupy kasztanowej. Ta niefortunna liczba bardziej chyba Fionę zaskoczyła, niż zmartwiła.

– Czy życzysz sobie, abym was opuścił, moja droga? – Sir Robert wstał z talerzem w dłoniach i spojrzał na nią przekornie. – Nie chcemy pecha na polowaniu, a najpewniej to mnie najmniej ci tu będzie brakować.

Fiona skarciła go spojrzeniem posłanym z drugiego końca stołu. Pełniła w tym domu rolę gospodyni, zajmowała więc miejsce u szczytu. Jej mąż zasiadał po przeciwległej stronie, mając po bokach George’a, Lottie, Duranta i mnie.

– Siadajże, Nash, zanim rozlejesz tę zupę i narobisz jeszcze większych kłopotów.

– Nie musisz nas opuszczać, Nash. – Mruknęłam do niego porozumiewawczo. – Mogę wezwać z góry Rose.

– To byłby świetny pomysł. – Kilkoro gości zachichotało, ale Fiona chyba mówiła zupełnie poważnie.

– Ależ, Fiono! Ona ma przecież osiem lat. Jest już dawno po kolacji.

Gospodyni prychnęła lekko, a potem zanurzyła łyżkę w zupie.

– W takim razie pozostaje nam trzymać kciuki albo znaleźć jakiś inny sposób na to, żeby szczęście jednak wzięło górę nad pechem.

– Może jutro zaprosimy na kolację pana Bradmore’a?

– Drogi bracie, zupełnie zapomniałam dopytać cię o samopoczucie lady Esther. – Fiona wywołała George’a do odpowiedzi. – Czy ty pamiętasz lady Esther? Frances mówi, że przebywa akurat na wsi i nie najlepiej się czuje. Jeśli jednak mogłaby nas podjąć, być może chciałbyś do niej ze mną pojechać?

W tym momencie George odkrył w sobie nagle zainteresowanie zawartością swojego talerza. Zdawało się, że nie jest w stanie oderwać od niego wzroku.

– Nie uwzględniaj mnie w swoich planach, Fi – powiedział wreszcie. – Przecież wiesz, że organizuję polowanie.

Skrzywiła się na krótką chwilę, ale zaraz potem przywołała na twarz uśmiech i zwróciła się do mnie.

– Tak czy owak, Frances, masz rację. Jutro go zaproszę i dzięki temu usiądziemy do stołu w szczęśliwszej liczbie.

– Moim zdaniem fortuna całkiem nam sprzyja – rzucił radośnie Charles Evingdon, który siedział obok Fiony. – Nie przypominam sobie, żeby mi się kiedyś tak wiodło na polowaniu jak dziś. Nie żebym kiedykolwiek wcześniej strzelał do słońek, to fakt, ale najpewniej wszyscy się ze mną zgodzą, że poszło nam dziś świetnie. Dla mnie ten dzień bije wszystkie inne na głowę. Na starość na pewno będę go chętnie wspominać. Będę o nim opowiadać wnukom i w ogóle. Krótko mówiąc, bardzo udany dzień.

Uśmiechnął się i zaprezentował swoje uroczę dołeczki Anne Kendrick, która siedziała po jego prawej stronie i nie potrafiła w tym momencie znaleźć słów, więc czym prędzej przeniosła wzrok na swojego drugiego sąsiada, czyli Leo. Ja wówczas zerknęłam na George'a, którego miałam po lewej, i powiedziałam cicho:

– Kuzyn Charles chyba dobrze się dziś bawił.

– Jak wiesz, Charles niemal zawsze dobrze się bawi. Na przyszłość będę go chyba jednak musiał prosić, żeby poskromił swój entuzjazm. – George zniżył głos do szeptu. – Jego nieustanne gładzenie płoszy ptaki w promieniu wielu kroków od nas. Z tego właśnie powodu niewiele udało nam się dziś ustrzelić. – Wzruszył ramionami. – Mnie to nie przeszkadza, ale Eastonowie liczyli na dużą zdobycz.

– A dokąd się wybieracie jutro? – zapytała Lottie, która siedziała z kolei po lewej stronie George'a. Mówiła to z radosnym uśmiechem, co pozwalało mi przypuszczać, że nie słyszała, co mówiliśmy na temat jej męża.

– Na tereny położone po drugiej stronie wioski, należące do Williama Stafforda. To oznacza, że trzeba będzie wcześniej wstać. Stafford lubi wyruszać z samego rana.

Skoro George rozmawiał z Lottie, ja zwróciłam się do pana Duranta.

– A pan dobrze się bawi na polowaniu?

Mąż Elizy opuścił łyżkę i zastanawiał się nad odpowiedzią nieco dłużej, niż bym się spodziewała. Był niewątpliwie intrygującym człowiekiem. Jako najstarszy syn swoich rodziców miał w przyszłości odziedziczyć rodowy tytuł, za to ani na wielki majątek, ani na posiadłości ziemskie nie mógł liczyć. Zdawałam sobie oczywiście sprawę, że mój mąż ożenił się ze mną dla posagu. Zastanawiałam się więc, czy i on postąpił podobnie.

Gdy lokaj zbierał puste już talerze po zupie, Durant spojrzął na mnie przez szkła okularów, które powiększały jego niewielkie brązowe oczy.

– Na polowaniu... No tak... Polowanie to wspaniała zabawa, jeśli się ma na nią czas... Ja rzadko mogę sobie pozwolić na takie rozrywki.

Opuścił wzrok na talerz i chyba zdziwił się, że zupa już zniknęła. Odłożył więc łyżkę i ponownie skupił się na mnie.

– Nie wydaje mi się to rozsądne, że chwilowo nikt nie dogląda interesu, ani pan Kendrick, ani Leo, ani ja... Bo kto tam niby teraz trzyma rękę na pulsie?

– Chyba nie twierdzi pan, że człowiek nie może zapomnieć o pracy nawet na czas swojego ślubu?

– Leo niechże zapomina na jak długo chce, ale jeśli przez pięć czy sześć dni żaden z nas trzech nie dogląda interesu, może się wydarzyć wiele złego. Niedobrze się złożyło, że data ślubu została przesunięta. Pozostaje tylko mieć nadzieję, że po ślubie Kendrickowi nie wejdzie to w krew.

– Ma pan na myśli zmienianie planów?

– Raczej lekceważenie obowiązków.

Nie mieliśmy dotąd okazji wymienić się konkretniejszymi uwagami na żaden temat. Jego krytyka Leo nie przypadła mi do gustu, ale ten człowiek niewątpliwie bardzo poważnie podchodził do swojej pracy. Na chwilę rozdzielił nas lokaj, który podawał właśnie curry z homara. Pozwoliłam nałożyć sobie porcję, a potem czekałam cierpliwie, aż napelni się również talerz pana Duranta. Gdy lokaj przeszedł dalej, postanowiłam dopytać go o jego aktywność zawodową.

– Świat biznesu jest fascynujący, lady Harleigh. Zaiste, fascynujący. Ponadto cieszę się, że mogę robić w życiu coś pożytecznego. – Uśmiechnął się szeroko i roześmiał cicho. – Przekonałem się bowiem, że to lubię... Wielce w ten sposób rozczarowując mojego ojca i teścia zresztą też. Bo mój teść chciał, żeby jego córka wyszła za dżentelmena.

– Musiał przecież wiedzieć, że nierychło odziedziczy pan tytuł.

– Wydawałoby się, że to dla wszystkich jasne, prawda? A tymczasem nie ma dnia, żeby nie dopytywał o zdrowie mojego ojca.

Przypomniał mi się dowcip, który rankiem wymieniliśmy z Anne, i o mało co nie zakrztusiłam się homarem.

Tymczasem jego wargi rozsunęły się w lekkim i chyba gorzkim uśmiechu.

– Codziennie mu mówię, że mój ojciec ma się dobrze. Dodaję, że życzyłbym sobie, żeby to się nie zmieniło jeszcze przez co najmniej czterdzieści lat. – Pokręcił głową. – Wcale nie mam ochoty osiadać na wsi w roli dżentelmena. Dobrze się

czuję w biznesie, a co nawet ważniejsze, dobrze sobie w tym świecie radzę. Przeszkadza mi, że mój teść tego nie docenia i że wypatruje chwili, w której odziedziczę tytuł i opuszczę jego firmę.

Uznałam, że byłoby to przykre, gdyby został w ten sposób wypchnięty z interesów.

– Pan Kendrick na pewno docenia pańskie talenty i zaangażowanie.

– Nie byłbym tego taki pewien. Jeśli nie zdołam przekonać go do siebie ciężką pracą i pomysłowością, będę pewnie zmuszony uciec się do skrajnych środków. – Wmieszał curry w ryż, robiąc przy tym niezadowoloną minę. – Ten tydzień na polowaniu na pewno nie przysłuży się mojej sprawie.

– Przyjechał pan przecież na ślub. Proszę nie zapominać o ślubie.

– Nie zapominam. Choć jednocześnie nie pojmuję, co skłania ludzi do wywracania wszystkiego do góry nogami.

– Uznali po prostu, że nie chcą hucznego weseliska z udziałem licznych gości. Gdy zaś pan Hazelton zaprosił nas tutaj, trudno było nie skorzystać z okazji.

Durant zacisnął wargi.

– Pan chyba nie sądzi, że państwo Kendrickowie mogliby mieć coś przeciwko temu?

Na jego twarzy wymalowało się w tym momencie całkowite zaskoczenie, jakby wprost nie wierzył, że czuję potrzebę o coś takiego pytać.

– Kendrickowie nie mają nic przeciwko niczemu, co robi Leo. To oczko w głowie całej rodziny. Jemu się po prostu nie zdarza zrobić czegoś nie tak.

– Ależ, panie Durant. Pan wszak też jest najstarszym synem swoich rodziców. Przecież mi pan nie powie, że ojciec traktuje pana inaczej, niż pan Kendrick traktuje Leo. Na pewno też jest pan jego oczkiem w głowie.

Durant upił łyk piwa i uśmiechnął się, ale tylko kurtuazyjnie.

– No tak. Pewnie jeśliby nie liczyć mojej aktywności zawodowej, to tak. Po prostu wyobrażałem sobie, że w świecie biznesu wygląda to inaczej.

Przechyliłam głowę lekko na bok.

– Cokolwiek by mówić, w tej rodzinie Leo jest dziedzicem. Co prawda firmy, a nie tytułu, ale jednak.

– To nie ulega najmniejszej wątpliwości.

Tym razem raczej się skrzywił, niż uśmiechnął.

Lokaj podał nam półmisek z warzywami, z którego coś sobie nabrałam. Durant odwrócił się w tym czasie, żeby wymienić parę zdań ze swoją szwagierką

Clara. Gdy służący odszedł, mogłam znów przez chwilę porozmawiać z George'em.

– Doktor Woodrow przekazał ci już jakieś wieści? – zapytałam.

– Jeszcze nie. Lekarze na wsi mają dużo pracy. Ale ma mi przesłać wiadomość, gdy tylko znajdzie chwilę wolnego.

– No tak, na pewno nie narzeka teraz na brak zajęć. Tym bardziej że podaliśmy mu dwóch dodatkowych pacjentów.

Widząc uniesione brwi George'a, zdałam sobie sprawę, że użyłam niezbyt fortunnego sformułowania.

– Choć pewnie Michaela już tak nie można nazwać, to prawda. Biedny człowiek. Co zaś się tyczy pana Gibbsa, to ponoć nie ułatwia siostrze opieki nad sobą.

– Gibbs nikomu niczego nie ułatwia, nawet gdy humor mu dopisuje. Uraz na pewno nie poprawił sytuacji. Niemniej jego siostra na pewno zdawała sobie sprawę, co ją czeka, gdy zobowiązywała się przyjąć go pod swój dach. – W tym momencie w oczach George'a rozbłysło pytanie. – Czyżbyś go odwiedziła?

Pokręciłam głową.

– Zajrzałyśmy z Lily do kościoła i tam spotkałyśmy żonę wikarego. Ona wcześniej miała okazję odwiedzić Gibbsa, żeby pomóc jego siostrze wszystko urządzić. Jeśli wierzyć jej słowom, on nadal twierdzi, że coś go strąciło z konia.

– Uparty z niego człowiek. Może pora mu sprawić okulary.

– Pani Carruthers sugerowała, że mógł po prostu wyjść z jeździeckiej wprawy.

– Tego też nie można wykluczyć. – George zmrużył oczy. – Ale czy ty do czegoś zmierzasz?

– To raczej nic takiego, ale podczas porannej przejażdżki z Anne i Rose trafiłyśmy na tę ścieżkę, na której on spadł z konia... Czy też został z niego strącony... – Wykonałam widelcem okrężny ruch. – Cokolwiek tam się stało... W każdym razie dostrzegłam pośród gałęzi kawałek czegoś, co wyglądało jak plecionka wędkarska i jakoś mi nie pasowało do tego miejsca.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Nie bardzo wiedziałam, co właściwie chcę przez to powiedzieć.

– Pewności nie mam, ale pan Gibbs upiera się, że został z konia strącony. Gdyby ta linka była zaczepiona między drzewami i rozciągnięta w poprzek ścieżki, to ktoś poruszający się z dużą prędkością zdecydowanie mógłby jej nie zauważyć. Plecionka wyglądała na dość mocną, w każdym razie na tyle, żeby strącić jeźdźca z konia, a co najmniej zachwiać nim w siodle na tyle, żeby stracił równowagę i spadł.

George odłożył widelec i spojrzał na mnie z powagą.

– A dlaczego ktoś miałby coś takiego zrobić?

– Nie wiem, czy ktoś zrobił coś takiego, ale drzewa były tam porządnie przycięte, żeby nic nie zagradzało drogi. Skąd więc wzięła się ta plecionka?

Z jego miny wywnioskowałam, że tworzy już w głowie całą listę możliwych wyjaśnień.

– To bardzo uczęszczana ścieżka. Można ktoś tę linkę po prostu zgubił.

Czyli jednak nie lista...

– Moją uwagę zwróciło to, jak bardzo jest splątana. Jakby ją ktoś wcześniej mocno napiął, a potem gwałtownie zwolnił.

– A czy była dość długa, żeby sięgnąć na drugą stronę ścieżki?

– Nie, wyglądała na przeciętą. Mogła się też zerwać, gdy Gibbs o nią zahaczył. Właściwie powinnam była sprawdzić po drugiej stronie.

George spojrzał na mnie ze zdumieniem. Nachylił się do mnie, lekko się przy tym uśmiechając.

– Czy to aby nie tak, Frances, że ostatnio ciągle się angażujesz w jakieś tajemnicze sprawy? Może więc dostrzegasz spisek tam, gdzie chodzi tylko o kawałek porzuconego sznurka? – Uniósł brwi. – On mógł przecież równie dobrze wypaść jakiemuś ptakowi z dzioba.

Owszem, mógł. Musiałby to być co prawda bardzo duży ptak, ale wykluczyć się tego nie dało. Zrobiło mi się głupio. Opuściłam wzrok na talerz, gotowa przyznać George'owi rację. Wtedy jednak poczułam, jak on pod stołem dotyka mojej ręki.

– A dlaczego przypuszczasz, że to mógł nie być zwykły wypadek?

– Nie wiem. Pewnie rzeczywiście wyciągam pochopne wnioski.

– Być może, ale nauczyłem się ufać twoim instynktom, więc chętnie się dowiem, co też ci tym razem podpowiadają. Skąd te podejrzenia?

Powinnam była mieć więcej zaufania do George'a i wiedzieć, że nie zlekceważy moich spostrzeżeń. Teraz jednak musiałam odpowiedzieć na jego pytanie – skąd się brały moje podejrzenia.

– No, po pierwsze mamy samego Gibbsa, który twierdzi, że spadł z konia, bo coś go uderzyło w pierś. Twierdzi, że to coś zostawiło tam ślad na skórze.

– A ktoś ten ślad widział?

Roześmiałam się perliście.

– Tę informację mam od żony wikarego. Gibbs oczywiście nie pokazywał jej piersi, ale dlaczego miałby kłamać?

George wzruszył ramionami.

– Bo się ośmieszył i próbuje w ten sposób ratować twarz.

– A skąd takie przypuszczenie?

– Bo to mężczyzna.

Z moich ust wydobył się cichy odgłos dezaprobaty.

– To mężczyzna zaawansowany wiekiem, który nie chce, żeby jego pracodawca uznał, że jest stary albo, co gorsza, nieporadny.

– Przecież nie jesteś jego pracodawcą. W ogóle nie znasz pana Gibbsa. To przecież może być najuczciwszy z ludzi. Nie masz żadnych podstaw, żeby wysnuwać takie przypuszczenia.

– Co zatem twoim zdaniem powinienem zrobić? Poprosić go, żeby mi pokazał ten ślad na piersi?

Uśmiechnęłam się szeroko.

– Jeśli wierzyć pani Carruthers, on by ci go chętnie pokazał. Ale przecież doktor Woodrow go oglądał. Na pewno nie przeoczył pręgi na klatce piersiowej.

– Woodrow skupiał się na złamanej nodze, a Gibbs nie skarżył się na żadne inne dolegliwości.

– W takim razie nie ma innego wyjścia, jak tylko zapytać jego samego. – Uniosłam kieliszek i upiłam łyk wina. – To najprostszy sposób, aby stwierdzić, czy wyciągam pochopne wnioski, czy nie. Chętnie bym się tego dowiedziała.

– Tylko że nie możesz wmaszerować do pokoju chorego człowieka i zażądać, aby obnażył przed tobą pierś. Nie mógłbym ci na to pozwolić. To zaś oznacza, że ja muszę to zrobić.

– Dziękuję ci, George. Taki jesteś dla mnie wyrozumiały.

Uśmiechnął się krzywo.

– Dlaczego czuję się tak, jakbym właśnie przegrał partię w szachy?

– W szachy? Zupełnie nie rozumiem, o co ci chodzi. – Ścisnęłam go lekko za rękę, a potem cofnęłam dłoń na kolano. – Zgodziłeś się wyjaśnić pewne moje podejrzenia, a ja jestem ci za to bardzo wdzięczna.

– Czego ja bym dla ciebie nie zrobił, moja droga. – Gdy szeptał te słowa, w jego oczach pojawił się blask. Sprawilo mi to wszystko bardzo dużą przyjemność. – To jednak będzie musiało trochę zaczekać. Jutro nie zdołam się tym zająć. Ale powiedz mi jeszcze, jaki miałś drugi powód?

Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Gdy zapytałam, z czego wynikają twoje podejrzenia, stwierdziłaś, że po pierwsze chodzi o Gibbsa. A po drugie?

George cierpliwie czekał na odpowiedź, podczas gdy ja przesuwiałam odrobinę curry po talerzu. Byłam przekonana, że uzna moje domysły za przejaw czystego szaleństwa, z kim jednak miałabym się nimi podzielić, jeśli nie z nim.

– Druga rzecz to sprawa lokaja. Jednego dnia dwaj mężczyźni pracujący dla hrabiego padli ofiarami poważnych wypadków.

George popatrzył na mnie z takim niedowierzaniem, że na moment zwątpiłam, ale przygryzłam wargę i wytrzymałam przy swoim.

– Wiem, że to brzmi absurdalnie, ale może ktoś knuje jakąś intrygę przeciwko twojemu bratu?

– Zabijając ludzi?

– Może O'Brien nie miał umrzeć, może miał się tylko rozchorować. Ktokolwiek sprzedał mu to piwo, nie mógł przecież wiedzieć, że on od razu wypije całą butelkę.

– A co taki diaboliczny plan miałby mieć na celu? Może zniechęcenie ludzi do pracy w tym majątku? Hart z łatwością znalazłby innych.

– Nie wiem, co mogłoby kogoś do tego skłonić. Zastanawiam się tylko, czy to na pewno tylko zbieg okoliczności.

George otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zaraz potem je zamknął. Ściągnął tylko brwi i westchnął.

– Może poczekajmy ze spekulowaniem do czasu, aż doktor Woodrow przekaże nam swoje wnioski. A na razie pojedę obejrzeć tę linkę, którą znalazłaś.

Uznałam za pocieszające, że George również nie wierzy w zbiegi okoliczności.

Dni na wsi niespecjalnie się od siebie różniły. We wtorek Anne, Rose i ja znów wybrałyśmy się na poranną przejażdżkę i tego dnia także spotkałyśmy Percy'ego Bradmore'a. Tym razem, mając już zgodę Fiony, zaprosiłam go na popołudnie na lunch, który miał zostać podany na wschodnim trawniku tuż przy rozarium. Po zakończeniu posiłku zaplanowano dla nas niespodziankę.

Co to za niespodzianka, dowiedziałam się, gdy szłam przez trawnik w kierunku pozostałych gości i niemal wpadłam na pana Winniego, który wyłonił się z labiryntu z naręczem sprzętu do strzelania z łuku. Zatrzymał się prawie w miejscu i rzucił cały ekwipunek na ziemię, przez co idący za nim stajenny – również mocno objuczony – na chwilę stracił równowagę. W ogóle nie zwróciwszy na to uwagi, Winnie skupił się na tym, żebym to ja się nie przewróciła.

– Proszę o wybaczenie, lady Harleigh. Nie zauważyłam pani.

– Trudno się panu dziwić. Niósł pan tyle rzeczy, że przesłaniały panu widok.

Gdy w odpowiedzi chłopak szeroko się uśmiechnął, zobaczyłam, że dołeczek w jego policzku wypada dokładnie w miejscu, gdzie brakuje mu zarostu.

– Pewnie powinienem zaangażować do pomocy więcej ludzi albo też wcześniej się tym zająć.

– Niech zgadnę, kto te łuki wymyślił. Zapewne lady Fiona.

– Owszem, proszę pani. Gdy tylko się okazało, że gości będzie więcej, poleciła mi szukać tarcz i wszystkiego innego. Tyle różnych kątów musiałem przetrząsnąć, że prawie cały dzień mi na to zeszło. Ale w końcu znalazłem, gdzieś pośród starego sprzętu wędkarskiego i kijów do krykieta.

– No cóż, nie będę pana zatrzymywać.

Winnie nachylił się, żeby zebrać łuki i strzały.

– Dziękuję, proszę pani. Rzeczywiście mam sporo do nadgonienia, gdy już się uporam z tym.

To mi przypomniało, że od wypadku Gibbsa to właśnie Winnie pełni funkcje zarządcy majątku.

– Panie Winnie, lady Fiona na pewno nie oczekuje od pana, że osobiście rozstawi pan tarcze. Śmiało może pan zlecić komuś to zadanie, jeśli zajmuje pana akurat coś innego.

– Będę o tym pamiętać.

Skinął głową i wrócił do pracy, a ja pomaszerowałam w stronę stołów, na których miał zostać podany lunch. Przechodząc obok labiryntu, z zaciekawieniem zerknęłam do środka. Bardzo lubiłam takie zabawy, ale do tego konkretnego nie miałam jeszcze okazji zajrzeć. Cisowe ściany wznosiły się wysoko ponad moją głowę. Przeszło mi przez myśl, że być może mogłabym się zaszyć pośród nich na czas strzelania z łuku. Jakoś nigdy nie znalazłam czasu, żeby poćwiczyć, więc z moją celnością bywało bardzo różnie. Potrafiłam zaskoczyć sama siebie i trafić niemal prosto w środek tarczy, ale kiedy indziej chybiałam z kretesem. Nie zdołałam nigdy rozstrzygnąć, czy winne jest oko, pozycja ciała, czy rytm, zdarzało mi się nie tylko posłać strzałę daleko od tarczy, ale też wystrzelić ją na tyle słabo, że upadała zaledwie jard czy dwa od moich stóp – zapewne przygnieciona ciężarem mojego upokorzenia.

Nagle tuż obok mnie pojawiła się rozświergotana Fiona.

– Ależ się będziemy dobrze bawić, prawda, kochana? Łucznictwo to ta z rozrywek, przy których swoich sił mogą próbować zarówno panowie, jak i panie. Wiedziałam, że gdzieś się te tarcze na pewno znajdują. Nie posiadałam się ze szczę-

ścia, gdy Winnie je w końcu znalazł. – Szturchnęła mnie lekko w bok. – A ty kiedy ostatnio strzelałaś?

– Bardzo dawno. Nie wiem, czy to rozsądne wręczać mi łuk i strzały. Ktoś może ucierpieć przy tej zabawie.

– Nonsens! Będziesz w drużynie z George'em. On ci przypomni, jak się ustawić i jaką technikę zastosować. – Zatrzepotała rżęsami. – Na pewno będziemy się dobrze bawić.

Co do tego nie mogłam się z nią nie zgodzić. Zawsze się dobrze bawiłam, gdy George brał mnie w ramiona. Mimo wszystko słowa Fiony trochę mnie zmartwiły.

– Powiedziałaś „w drużynie”?

– Właśnie tak. To będą zawody. Taki swego rodzaju turniej. Mamy trzy tarcze, możemy więc urządzać rozgrywki dwójek lub trójek.

– A czy nie lepiej byłoby postrzelać tylko dla zabawy albo z myślą o doskonaleniu umiejętności?

– A jaki to by miało sens? – Fiona pokręciła głową. – Bez rywalizacji ani rusz.

– Ale ty tu mamy mężczyzn. Oni są wszyscy tacy... zawzięci... Będą się spierać o zasady, o odległość do celu i Bóg wie o co jeszcze. Jeszcze się to wszystko skończy wielką awanturą.

– Ależ skąd! Wszystko mamy ustalone, odległość do celu zostanie dokładnie odmierzona, a na podważanie zasad zwyczajnie nie pozwolę. – Wzruszyła ramionami. – A jeśli ma wybuchnąć awantura, to niech wybuchnie. Zapewniam cię jednak, że nikt do tego nie dopuści.

– Mnie nie musisz niczego wmawiać, moja droga. Przecież znam twój kunszt łuczniczy. Tak bardzo ci na tym zależy, bo spodziewasz się wygrać. – Fiona zaciśnęła wargi, a ja cicho zachichotałam. – Dziwię się tylko, że nie wzięłaś sobie George'a do drużyny.

Teraz ona roześmiała się w głos.

– George świetnie sobie radzi z łukiem, ale Nash dużo ostatnio ćwiczył. Moim zdaniem mamy całkiem spore szanse. No, ale dość już tego. – Przeciągnęła dłonią po spódnicy, mimo że ta wcale nie wymagała prostowania. – Bądźże dobrą przyjaciółką i przedstaw mnie panu Bradmore'owi. Bo to on, jak mniemam, właśnie zmierza do nas przez trawnik.

W rzeczy samej pan Bradmore miał już do nas tylko kilka kroków. Uniosłam rękę, żeby zwrócić jego uwagę i przedstawić go Fionie.

– Aż trudno uwierzyć, że się nigdy dotąd nie poznaliśmy, panie Bradmore. Czyżby pan wcześniej nie odwiedzał ciotki i wuja?

– Tylko dzieckiem będąc, lady Fiono. Właściwie to jestem ich wnukiem stryjecznym. Mój ojciec i baron nie utrzymywali zażyłych stosunków, a ponieważ mój ojciec służył w wojsku, wychowywałem się tam, gdzie akurat stacjonował.

– Jako ktoś, kto w dzieciństwie prawie nie opuszczał posiadłości, trochę panu zazdroszczę tych przygód. Ale w Londynie też ich pan nigdy nie odwiedzał?

– Rzadko tam bywam. Nieco częściej jedynie, odkąd się jednak okazało, że odziedziczy tytuł. Lord de Brook większość czasu spędza w Londynie, więc tam właśnie się z nim widuję, częściej jednak w interesach niż w okolicznościach towarzyskich. Trudno mi sobie nawet przypomnieć, kiedy ostatnio uczestniczyłem w jakimś wieczornym spotkaniu w mieście.

– Słusznie. Zapomniałam już, że obecny baron nie ma dzieci. Nie dziwię się panu, oczywiście, panie Bradmore, że unika pan Londynu. Musiałby się pan opędząć od licznych matek rozglądających się za najlepszą partią dla swoich córek.

Gość przekrzywił głowę i uśmiechnął się zadziornie.

– Rozgryzła mnie pani, lady Nash.

Postanowiłam nie przeszkadzać im w tej rozmowie. Kawalerowie do wzięcia od zawsze uciekali przed matkami córek. Nic w tym nie było nowego. Trudno mi było jednak oprzeć się wrażeniu, że pan Bradmore bardzo chętnie podchwycił wymówkę, którą mu podsunęła Fiona. Bynajmniej to bowiem nie tłumaczyło, dlaczego nie był w mieście przez ostatnich dziesięć lat czy nawet dłużej. To był przecież mężczyzna co najwyżej trzydziestoletni. Przywołałam się jednak do porządku. Może tak chętnie przytaknął Fionie, bo nie chciał odpowiadać na jej pytanie. Cóż nas właściwie mogło interesować, z jakiego powodu nie był w Londynie? Czy w ogóle musiał mieć po temu powody? To był ostatecznie tylko bratanek sąsiadów. Nie musiałyśmy wiedzieć o nim wszystkiego.

Fiona wzięła go pod rękę i zaczęła po kolei przedstawiać pozostałym, a ja tymczasem znów podeszłam do stołu zastawionego jedzeniem. Mimo osłony białych namiotów obrusy trzepotały na wietrze. Goście podchodzili, żeby się czymś poczęstować, a potem jedli w małych grupkach na krzesłach i kocach rozłożonych w pobliżu.

Na kocu pod drzewem dostrzegłam Leo i Lily, wyraźnie odprężonych. Pan Treadwell, jak zwykle, trzymał się w pobliżu. Teraz rozłożył się obok mojej siostry, wsparty na łokciu. Panowie przebrali się ze strojów myśliwskich w odzież tweedową, w której zwykle się spacerować po wsi. Pan Treadwell miał rozpiętą marynarkę i swobodnie wyciągał nogi przed siebie. Jego oczy zniknęły za osłoną

słomkowego kapelusza. To był młody człowiek, dość przystojny, a do tego bajecznie bogaty. Zastanawiałam się, czy taki fortunny stan rzeczy doprowadził go do przekonania, że może mieć w życiu wszystko, czego tylko zapragnie. Na przykład narzeczoną przyjaciela...

Podeszłam do nich wolnym krokiem. Na mój widok Treadwell poderwał się, jakby chciał wstać.

– Nie musi mi pan robić miejsca, panie Treadwell. Zmieszczę się bez kłopotu.

Opadłam na koc naprzeciwko, nogi odsuwając lekko na bok.

– Jak się panom udało polowanie?

Leo uśmiechnął się promiennie.

– Wybornie, lady Harleigh. Brałem udział w polowaniach za czasów szkolnych, ale to nadal dla mnie nowe doświadczenie. Nie wiem, czy kiedykolwiek lepiej się bawiłem.

– Dobrze to słyszeć. Tym bardziej że ma pan okazję tak świetnie się bawić w towarzystwie starego przyjaciela. – Zwróciłam się do Treadwella, który już siedział prosto z nogami skrzyżowanymi przed sobą. – Jak rozumiem, panowie przyjaźnią się już od wielu, wielu lat.

Treadwell spojrział na mnie bez entuzjazmu. Najpewniej doskonale wiedział, do czego piję.

– Może nie od aż tak wielu. Powiedziałbym, że od dobrych dziesięciu albo ja-koś tak. Znamy się z czasów szkolnych.

– Od tamtej pory jesteśmy w zasadzie nierozłączni, prawda, stary druhu? Czego to my razem nie robiliśmy.

Leo wychylił się zza pleców narzeczonej, żeby posłać Treadwellowi szelmowski uśmiech.

Lily wtedy uraczyła go słodkim uśmiechem.

– Powiedziałabym, że widuję pana Treadwella równie często jak siebie.

– Taka wieloletnia, bliska przyjaźń to skarb nie do przecenienia – powiedziałam do Treadwella. – No a teraz, proszę bardzo, towarzyszy mu pan w przygotowaniach do wykonania ważnego życiowego kroku.

Odpowiedziało mi tylko skinienie głowy.

– Ale skoro panowie tak wszystko robią razem, to czy pan również ma w najbliższych planach ożenek?

W jego oczach błysnęło napięcie.

– Ależ nie... Jeśli chodzi o poszukiwanie miłości, nie miałem takiego szczęścia jak Kendrick.

– Być może powinien się pan rozejrzeć gdzieś nieco dalej. – Gestem głowy wskazałam mu miejsce, w którym siedziały samotnie młodsze siostry Leo.

– Na pewno dalej niż na tym kocu, Treadwell. Panna Price jest już zajęta.

Leo wypowiedział te słowa bez cienia złośliwości, ale najpewniej nawet nie zdawał sobie sprawy, że mógłby w ten sposób sprawić przyjacielowi przykrość. Ja zresztą też nie potrafiłam stwierdzić, czy Treadwell żywi do Lily jakieś uczucia, czy tylko bawi się jej kosztem.

On w tym momencie podniósł się na równe nogi.

– Ma pani rację, lady Harleigh. Jako gość powinienem wziąć na siebie ciężar zabawiania innych dam, które również zostały zaproszone.

Otrzeptał marynarkę i żwawym krokiem poszedł do Clary i Anne, żeby zaproponować im coś do jedzenia.

Lily odprowadziła go wzrokiem, a potem przeniosła wzrok na mnie i bezgłośnie ułożyła wargi w słowo „Dziękuję”.

Uznałam, że zrobiłam, co do mnie należało, więc mogę się oddalić.

– Pójdę zobaczyć, co też lady Fiona poleciła przyrządzić na lunch.

Gdy wszyscy pojeśli i popili, atmosfera wyraźnie się rozluźniła, a opowieści o porannym polowaniu nabrały kolorytu. Po upływie kolejnej godziny Fiona nie dała się już dłużej zwodzić i wyruszyliśmy wszyscy na trawnik, na którym został urządzony tor łuczniczy. Po krótkich dywagacjach na temat składów drużyn zapadła decyzja, że będziemy rywalizować dwójkami. Eliza Durant zrezygnowała z udziału w konkursie i poszła spacerem w stronę labiryntu.

Lottie rozejrzała się i szybko nas policzyła.

– Teraz ktoś nie będzie miał pary, więc ja się chętnie wycofam i potrzymam kciuki za Charlesa.

Ta deklaracja sprawiła, że wszystkim wyraźnie ulżyło.

– Mamy zatem sześć drużyn. Będziemy ciągnąć słomki – oznajmiła Fiona, wchodząc pomiędzy nas z losami w zaciśniętej dłoni. – Pierwsi strzelają ci, którym przypadnie w udziale długa.

Wyciągnąwszy słomkę, która wyglądała na długą, George zrobił udręczoną minę.

– Moja siostra ma w zwyczaju ściśle przestrzegać zasad.

– Wspomniała mi, że nie dopuści do żadnych dyskusji między drużynami. Do-myślałam się, że tak właśnie zamierza im zapobiegać.

– No, już, już. Wystarczy!

Słyszając jej stanowczy głos, obydwójce się odwróciliśmy. Trzymając Leo pod rękę, szła w kierunku tarczy ustawionej najbliżej labiryntu. Za nimi dreptała Lily.

– Ona chyba chce, żebyśmy zmierzyli się z Leo i Lily. Nie dajmy jej na siebie czekać.

Jak słusznie się domyśliłam, mieliśmy we czworo strzelać do pierwszej tarczy, którą dzieliło od ściany labiryntu jakieś pięćdziesiąt stóp¹. Winnie rozstawił cele w takich odległościach od siebie, żebyśmy mogli wygodnie zbierać strzały. Po prawej stronie mieliśmy kuzyna Charlesa, Arthura Duranta i siostry Leo. Fiona z Nashem oraz Percy Bradmore z Ernestem Treadwellem ustawili się przed ostatnią tarczą.

George przystanął tuż obok mnie i zapytał:

– A jak pani umiejętności łucznicze, milady?

Przypominając sobie żartobliwe uwagi Fiony, uśmiechnęłam się zadziornie.

– Trochę już czasu minęło, odkąd ostatnio trzymałam łuk w ręku. Nie wiem, czy jeszcze pamiętam, jak to się robi.

On wtedy ułożył broń w moich ramionach i pomógł mi zająć odpowiednią pozycję. Otuliwszy mnie ramionami, przyłożył mi wargi do ucha i szepnął:

– Podejrzewam, że się ze mną droczysz, Frances. Muszę powiedzieć, że bardzo mi się to podoba.

– A niby dlaczego ty masz strzelać pierwsza?

Ostry ton tych słów wyrwał mnie z rozkosznego zamyślenia. Wyjrzelśmy oboje z George'em zza pleców Leo i zobaczyliśmy, jak Clara Kendrick tupie wściekle i piorunuje wzrokiem siostrę.

Anne opuściła łuk.

– Na litość boską, Claro, jeśli chcesz, to strzelaj pierwsza.

Podążyła siostrze łuk, odsunęła się od linii strzału i stanęła obok pana Bradmore'a, który przyglądał się całemu zamieszaniu z rozbawieniem. Clara na chwilę opuściła wzrok, ale zaraz potem posłała Bradmore'owi niewinny uśmiech.

– Panie Bradmore, czy zechciałby mi pan pomóc ze strzałą?

Durant nie zamierzał tego znieść.

– Bradmore ma swoją grupę. – Wyrwał jej łuk z dłoni i sprawnie założył strzałę. – Powinnaś opanować tę prostą umiejętność, zanim się zaczniesz domagać pierwszeństwa strzału.

Clara splonęła rumieńcem, a ja przeniosłam wzrok na George'a.

– Nie wyszło jej to chyba tak, jak sobie zamierzyła.

– Ona się zachowuje jak rozpieszczone dziecko.

George stał na szczęście na tyle blisko, że przekazał mi tę myśl szeptem. Żle by się stało, gdyby Leo to usłyszał. Tak się jednak złożyło, że Leo nie odnotował ani tej uwagi, ani oburzenia swojej siostry. Być może właśnie obojętność na takie rzeczy pomagała mu zachować dobry humor. Mógł sobie wmawiać, że wszystko jest w porządku i że może się spokojnie zajmować własnymi sprawami.

– Skoro to ma być turniej, to dlaczego dobraliśmy się w drużyny?

Durant zdawał się nie kierować tego pytania do nikogo w szczególności, ale Fiona uznała za konieczne przemówić do wszystkich uczestników zabawy.

– To nie jest jakiś oficjalny konkurs. Proszę jednak o uwagę, to przedstawię wszystkim państwu zasady.

Wspomniane przedstawianie zasad trwało bardzo długo, ale w istocie sprowadzało się do stwierdzenia, że drużyny dzielące ze sobą tarcze rywalizują nie tylko ze sobą, ponieważ po każdej rundzie odpadać będą dwie pary o najsłabszym wyniku i w ten sposób wyłonione zostaną te finałowe. Lottie dostała za zadanie zasygnalizować za pomocą gwizdka, że runda dobiegła końca i można zbierać strzały. Rzecz wydawała się w istocie dość prosta.

Tak oto konkurs się rozpoczął. Ja miałam strzelać jako pierwsza z naszej czwórki. Odetchnęłam głęboko, nie wiedziałam bowiem, która z moich osobowości zechce się dziś objawić: łuczniczka wytrawna czy nieporadna. Nałożyłam pocisk i spojrzałam w kierunku tarczy. Wydawała się stać dziwnie daleko. Ustawiłam się, naciągnęłam cięciwę, raz jeszcze odetchnęłam – i posłałam strzałę w powietrze.

George i moi rywale nagrodzili mój występ radosnymi okrzykami. Spojrzałam w kierunku tarczy. Strzała nie tylko doleciała, co już samo w sobie by mnie ucieszyło, ale też wbiła się całkiem blisko środka. Jakże się szczęśliwie złożyło, że dziś w konkursie postanowiła wziąć udział akurat Frances Łuczniczka.

– Świetnie, Frances. – Rozpromieniona Lily przejęła ode mnie łuk. – Nie wiedziałam, że potrafisz tak dobrze strzelać.

– Ja też nie – dorzucił George z błyskiem w oku. – Nie przestajesz mnie zadziwiać.

– Wierzcie mi, że raz bywa lepiej, raz gorzej. – Machnęłam ręką od niechcenia. – Nie liczcie na to, że wszystkie strzały dolecą, bo możecie się strogo rozczarować.

Przyglądaliśmy się, jak Leo pomaga Lily chwycić łuk i nałożyć strzałę. Zakrzyknęliśmy radośnie, gdy trafiła w tarczę, mimo że znacznie na lewo od środka. Lily zwiesiła głowę, co Leo przyjął jako niedorzeczne.

– Ależ to była twoja pierwsza próba – powiedział. – Trafiłaś w tarczę, to najważniejsze.

Następny strzelał George, który trafił odrobinę lepiej niż ja. Potem przyszła kolej Leo, który umieścił strzałę tuż nad centrum tarczy. Gdy wszyscy opuścili już luki, Lottie przyłożyła gwizdek do ust. Klepiąc się po plecach, panowie poszli po strzały. Rywalizacja trwała dalej. Tylko jedna z moich strzał w ogóle nie doleciała do tarczy. Pozostałe trafiały niezmiennie blisko jej środka. Lily z czasem uzyskiwała coraz lepsze rezultaty, ale o tytuł najlepszego tak naprawdę walczyli między sobą George i Leo. Trafiali niemal tak samo celnie, raz po raz przekazując jeden drugiemu palmę pierwszeństwa.

Pierwszą rundę wygraliśmy, ale ponieważ mieliśmy bardzo zbliżone wyniki, podczas drugiej rundy ponownie przypadła nam wspólna tarcza z Leo i Lily. Z konkursu odpadli Bradmore i Treadwell oraz Charles i Clara. Część spośród tych, którzy już nie brali udziału w rywalizacji, znalazła sobie inne zajęcia. Ernest Treadwell udał się po coś do jedzenia, a Clara Kendrick poszła za nim. Pozostali postanowili zostać i popatrzeć, co właściwie tylko poprawiło atmosferę, bo dopingowali tych, których wybrali na swoich faworytów, na wszystkich pozostałych zaś wyrzekali.

Teraz wyraźniej wyczuwało się ducha rywalizacji, ale skutkowało to również wzrostem napięcia, bo zwłaszcza panowie – co było do przewidzenia – zaczęli ostro ze sobą dyskutować. Widzowie dopatrywali się najróżniejszych przewin, bo czy aby George nie przekroczył linii albo czy ktoś nie kaszlnął akurat wtedy, gdy Leo celował? Przy tarczy obok rzecz miała się wcale nie lepiej. Fiona i Durant co chwila domagali się prawa do powtórzenia strzału. Nikt też nie czekał z podchodzeniem do tarcz na gwizdek Lottie, co wszakże mogło wynikać z tego, że w ogólnym zgiełku i tak nie było go słychać.

Debata przybrała na sile zwłaszcza podczas tej rundy, w której George i Leo umieścili swoje strzały bardzo blisko środka tarczy – choć nie w samym czerwonym polu. Choć rywalizacja pozostałych drużyn trwała dalej, dwaj panowie postanowili podejść do naszej tarczy, aby rozstrzygnąć spór. Wywracając oczami, obserwowałam, jak George przykłada kciuk, żeby ustalić odległość dzielącą obie strzały od centrum koła.

Potem dołączył do nich Charles, który miał do przedstawienia własne zdanie na ten temat. Przystawił nos do środka tarczy, aby się precyzyjnie wypowiedzieć.

– To przecież niesprawiedliwe – powiedziała Lily, wskazując na to, co się tam działo. – Wiadomo, że Charles i George się przyjaźnią. Rozstrzygać powinien ktoś bezstronny.

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem.

– To przecież tylko zabawa, Lily. Charles na pewno wyda sprawiedliwy werdykt.

I wtedy usłyszałam krzyk. A potem wrzask.

Spojrzałam w kierunku tarczy. Trzej stojący przy niej panowie tak ściśle do siebie przylgnęli, że nie potrafiłam stwierdzić, co tam właściwie zaszło. Wszyscy do nich popędzili, ja również. Z bliższej odległości mogłam już zobaczyć, co się stało.

Charles leżał na ziemi na brzuchu i jęczał żałośnie. Lottie, która pobiegła mu na pomoc, klęczała tuż obok. Leo zaś patrzył na nich całkowicie zdumiony.

Ja również byłam zdumiona.

Tam, gdzie kończyły się plecy Charlesa, tkwiła strzała.

¹ 50 stóp to około 15 metrów – przyp. tłum.

ROZDZIAŁ 9

– Jak do tego doszło?! – krzyczałam, ale w panującym zamieszaniu nikt mnie nie słyszał.

Wszyscy mówili głośniejsze, bo atmosfera była bardzo napięta. Ktoś zaczął rzucać jakieś polecenia, których nikt nie słuchał. Przepychaliśmy się jedno przez drugie, ni to żeby podejść do Charlesa, ni to żeby od niego uciec. On zaś, biedaczysko, leżał na ziemi twarzą w dół i całkiem sztywno. Wyraźnie bał się choćby poruszyć. Lottie głaskała go po twarzy i przemawiała do niego kojącem głosem, jakby go próbowała uspokoić – choć tak naprawdę Charles był chyba z nas wszystkich najspokojniejszy. Co parę sekund rozlegał się kolejny wrzask, bo znów ktoś zobaczył strzałę utkwnioną w jego ciele. Trzeba przyznać, że przedstawiało to dość niepokojący widok, ale szczęśliwie rana nie krwawiła jakoś obficie.

W końcu do mnie dotarło, że polecenia wykrzykuje George.

– Ty! – krzyknął do jednego z lokajów. – Znajdź Hancocka i przyprowadź go tu natychmiast. Potem pošlij po doktora Woodrowa i niech on też tu przyjdzie.

Służący skinął głową i pobiegł w kierunku domu.

Lottie uniosła wzrok i spojrzała na George'a oczami pełnymi łez.

– Czy możemy to wyciągnąć? – Zerknęła na strzałę. – To wygląda, jakby musiało boleć.

George odsunął ją na bok i przyklęknął przy Charlesie.

– Jeśli pozwolicie, to jeszcze nie. Chciałbym mieć pewność, że przeniesienie go gdziekolwiek, czy też wyjęcie tej strzały, nie spowoduje poważniejszych obrażeń.

– Na rany boskie, George. Powiedz mi, że się przesłyszałem i nie wezwałeś Hancocka – wycedził Charles przez zaciśnięte zęby.

– Przykro mi, stary druhu. Jeśli wolisz czekać, aż uda się znaleźć i sprowadzić lekarza, to odeślę Hancocka z powrotem do stajni.

– A kto to jest Hancock?

Lottie otarła łzy i zaczęła wstawać. Ponieważ jednak miała z tym trudności, chwyciłam ją pod rękę, żeby jej pomóc. Przeklinałam przy tym w duchu ciasność gorsetów.

George uśmiechnął się do niej lekko.

– To kowal i weterynarz, a oficjalnie nasz koniuszy. Odkąd pamiętam, leczy zwierzęta, a od czasu do czasu też kogoś z Hazeltonów. Na pewno będzie wiedział, jak to bezpiecznie wyjąć.

Lottie przesłoniła policzki dłońmi, a w jej oczach zobaczyłam – całkowicie dla mnie zrozumiałe – przerażenie. Jak to możliwe, żeby weterynarz miał opatrywać Charlesa?

George również wstał.

– Oto i on. – Przywołał skinieniem głowy patykowatego mężczyznę w roboczym stroju, który szedł przez trawnik spiesznie, ale kulejąc nieco. – Masz szczęście, Charles. Wygląda na to, że Hancock niesie dla ciebie odrobinę whisky.

– Zaczny człowiek – jęknął Charles.

George ujął mnie pod rękę i odciągnął w kierunku Leo.

– Czy wy dwoje moglibyście tu wszystkiego dopilnować?

– Oczywiście – odparłam, a Leo przytaknął gestem.

Właśnie otwierałam usta, żeby zapytać George'a, dokąd on się wybiera, ale zdążył się już odwrócić i odmaszerować w kierunku labiryntu.

Lottie cały czas patrzyła panu Hancockowi na ręce, żeby przypadkiem nie zrobił jeszcze większej krzywdy jej mężowi. Próbowалаm ją od niego odciągnąć, żeby pozwolić człowiekowi zająć się Charlesem w spokoju.

– Widziałś, co się stało?

– Nie, rozmawiałam akurat z lady Nash. Nawet nie patrzyłam w tę stronę, dopóki Charles nie zaczął ryczeć.

– Wcale nie ryczałem – obruszył się Charles.

– A ty, Leo?

Ten pokręcił głową.

– Stałem tuż obok pana Evingdona i wpatrywałam się w tarczę. Nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby się obrócić i zobaczyć, kto właściwie strzelał.

Ja również na to nie wpadłam.

– Strzelała Anne. Strzała musiała całkiem zboczyć z kursu – wtrącił Arthur Durant, który właśnie pojawił się obok mnie.

Anne, ciągle jeszcze z łukiem w dłoni, stała tuż za nim, cała czerwona na twarzy i wyraźnie oburzona.

– Nie bądź śmieszny. Moja strzała trafiła w naszą tarczę.

Durant wykonał ręką gest w kierunku rzuconej tarczy.

– To jest moja strzała. Twoja trafiła Evingdona.

Anne spojrzała na szwagra, a potem przeniosła wzrok na mnie. Uniosła dłoń w błagalnym geście i patrzyła na mnie tak, jakby bardzo chciała mnie przekonać o swojej niewinności.

– Ja go nie trafiłam.

– Nie mówię, że celowo. – Durant położył jej dłoń na ramieniu. – To był wypadek.

Anne prychnęła cicho, a potem odchyliła ramię, żeby uwolnić się od jego dotyku, i odeszła, wyraźnie obruszona.

Durant właśnie się nachylał, żeby wymienić jakieś uwagi z Leo i Hancockiem, gdy podeszła do nas Lily.

– Któż to ugodził strzałą pana Evingdona? – zapytała.

– Nie wiem – odparłam, bo zdążyłam już nabrać wątpliwości, że uczyniła to Anna i że to w ogóle był wypadek.

George zniknął gdzieś w labiryncie. Czyżby podejrzewał, że to stamtąd został wypuszczony pocisk? Postanowiłam pozostawić Lottie pod opieką Lily.

– Zostań z nią, moja droga. I nikogo tu więcej nie dopuszczaj. Spróbujmy zapewnić Charlesowi odrobinę prywatności.

To powiedziawszy, pospieszyłam w stronę wejścia do labiryntu. Pan Winnie, który właśnie wyłonił się zza domu, uchylił kapelusza na mój widok.

– Usłyszałem, że zrobiło się jakieś zamieszanie, więc przyszedłem zobaczyć, co zaszło. – Wskazał gestem ludzi zgromadzonych przy tarczach. – Czy ktoś jest ranny?

Pokrótkie przedstawiłam mu sytuację.

– Jeśli Hancock uzna za stosowne wyjmować strzałą, być może się pan tam przyda.

Młody człowiek przyjął polecenie i podążył w stronę zbiegowiska. Ja tymczasem weszłam do labiryntu. Już za pierwszym zakrętem spotkałam pana Treadwella.

– No proszę! Szukam tego przekłętego wejścia od dobrych dziesięciu minut. – Wyraźnie mu ulżyło na mój widok. – Co tam się wydarzyło? Słyszałem krzyki, ale nie mogłem się stąd wydostać.

– Pan Evingdon został trafiony strzałą. – Zmierzyłam go od stóp do głów, nie dostrzegłam jednak zabrudzeń na jego ubraniu ani też choćby jednego przekrzywionego włosa. Przede wszystkim zaś nie miał łuku w dłoni. – Długo się pan tu wałęsał?

Gdy go ostatnio widziałam, stał z Clarą przy stole z przekąskami.

– Stanowczo zbyt długo! – Przeciągnął dłonią po włosach i ponownie nałożył kapelusz. – Pani wybaczy, ale może zdołam tam jakoś pomóc.

Minął mnie w wąskim przejściu, a potem wyszedł. Zanim jednak zupełnie zniknął mi z oczu, raz jeszcze wstawił głowę do labiryntu.

– Tylko proszę uważać. Tu się naprawdę łatwo zgubić.

Zgadzałam się z nim, że to najzupełniej możliwe. Cisy sięgały wysoko nad nasze głowy, a przy tym rosły naprawdę gęsto. Wiedziałam, że George meandruje gdzieś między nimi, ale go nie widziałam. Mogłam iść tylko przed siebie, wchodząc coraz bardziej w głąb płataniny korytarzy. Zastanawiałam się, czyby go nie zawołać, uznałam jednak, że jeśli on tu przyszedł szukać strzelca, to ten może się nadal znajdować w labiryncie.

Choć właściwie nie wiedziałam, po co George tu przyszedł. Zaczynałam czuć się nie do końca mądrze, raz po raz skręcając w prawo, liczyłam jednak, że w ten sposób zdołam dotrzeć do zewnętrznej ściany labiryntu i do rogu najbliższego tarczom strzelniczym. Zastanawiałam się, w jakim innym celu George mógłby tu wchodzić. Przecież nie porzuciłby rannego przyjaciela, żeby oddawać się rozrywkom. Skręciwszy po raz kolejny, stanęłam twarzą w twarz z Clarą Kendrick.

Obie krzyknęłyśmy przerażone.

Ona przytknęła dłoń do piersi i przypadła plecami do żywopłotu.

– Lady Harleigh, przestraszyła mnie pani niemal na śmierć.

– Tak, no cóż... – Zaczęłam wachlować się dłonią. – Nie spodziewałam się tu zastać tak wielu osób. Szukam pana Hazeltona. Nie widziała go pani przypadkiem?

Clara nie potrafiła mi pomóc, za to ja musiałam po raz kolejny opowiedzieć, co się wydarzyło podczas zawodów łuczniczych.

– To straszne!

Na jej twarzy przerażenie mieszało się z ekscytacją. Spieszyło jej się, żeby dołączyć do pozostałych, przyłgnęłam więc do cisów, żeby ją przepuścić, i wskazałam jej drogę, która moim zdaniem prowadziła do wyjścia.

Gdy pokonałam kolejny zakręt, szum rozmów dobiegający zza żywopłotu wyraźnie przybrał na sile. Widocznie znajdowałam się przy zewnętrznej ścianie. Idąc przed siebie, słyszałam głosy coraz wyraźniej – nadal jednak nie całkiem wyraźnie. Wychwytywałam odrębne słowa, ale nie potrafiłam ich rozpoznać. Skręciłam raz jeszcze i wtedy zobaczyłam George'a, który siedział na piętach twarzą do ściany labiryntu.

Gdy mnie usłyszał, gwałtownie się poderwał – i wtedy po raz drugi tego dnia ktoś na mój widok złapał się za serce. Widocznie bardzo sprawnie się skradałam.

George szybko się otrząsnął, odetchnął i oparł pięść na biodrze. Drugą ręką wykonał niecierpliwy gest, jakim się czasem przywołuje niesforne dzieci. Nie spodziewałam się, że mnie w ten sposób potraktuje.

Ostentacyjnie obejrzałam się za siebie, a potem spojrzałam na niego, robiąc oczy niewiniątka.

– Nie wierzę, że to na mnie tak machasz.

On zacisnął wargi i opuścił wzrok, po czym przez chwilę wpatrywał się z ziemię. Czyżby liczył do dziesięciu? Potem posłał mi spojrzenie, szczerząc przy tym zęby, być może w uśmiechu.

– Najdroższa Frances, czy zechciałaś uczynić mi ten zaszczyt i tu podejść?

– Ależ oczywiście, najdroższy George'u. – Zrobiłam parę kroków w jego stronę. – Cóż takiego tak skrupulatnie oglądasz? Dlaczego w ogóle tu przyszedłeś? Czyżbyś przypuszczał, że to stąd posłano strzałę?

Wywrócił oczami na ten grad pytań, a potem wskazał na ziemię w miejscu, w którym staliśmy.

– Widzisz te wszystkie ślady? Wygląda na to, że ktoś tu stał przez dłuższy czas.

Spojrzałam w miejsce, które mi pokazywał palcem. Z uwagi na bliskość lasu ta część labiryntu tonęła w cieniu, a słońce docierało tu tylko przez godzinę czy dwie w okolicach południa. W rezultacie grunt był tu może nie błotnisty, ale na pewno wilgotny i zarówno moje ślady, jak i George'a wyraźnie się odbijały. On jednak pokazywał mi głębsze odciski, świadczące o tym, że ktoś wcześniej stał w tym miejscu – twarzą do ściany labiryntu – i być może przebierał nogami.

Wodząc wzrokiem wzdłuż roślinnej ściany, dostrzegłam coś jeszcze. Coś nawet bardziej zaskakującego. Gałęzie cisów od naszej strony zostały wyraźnie przerzedzone, być może sektorem, ewentualnie nożem. Nie doprowadziło to do powstania otworu sensu stricto, ale ktoś powycinał fragmenty żywopłotu i potykał je w innych miejscach – a część leżała bezładnie na ziemi.

George wskazał dłonią to przerzedzone miejsce.

– Zerknij tam – rzucił.

Musiałam wspiąć się na palce, żeby wyrzeć przed przecinkę, ale gdy to robiłam, zobaczyłam przez pozostałe liście tarcze strzelnicze. Patrzyłam na nie od boku.

– Ten, kto tu stał, bez problemu mógł wycelować w Charlesa – stwierdziłam.

– Pistoletem to może tak, ale wypuszczenie tędy strzały z łuku stanowiłoby kłopot. Dałoby się to zrobić, ale gałęzie, choć nieliczne, mogłyby zakłócić lot pocisku.

Zdezorientowana i przerażona cofnąłam się od żywoplotu.

– Chcesz powiedzieć, że strzelec mógł nie celować w dolną część pleców Charlesa?

– Przez to? – George przeciągnął dłonią po przyciętych cisach. – Trzeba by najpierw oddać kilka strzałów na próbę, żeby się zorientować co do trajektorii. Jeśli sprawca rzeczywiście stał tutaj, to nie mógł wiedzieć, w co konkretnie trafi.

– Staliście przed tymi tarczami ty, Leo i Charles. Komu mogłoby zależeć, żeby ranić kogoś z was?

– To właśnie miałem nadzieję ustalić, gdy tu przybiegłem, ale nie udało mi się nakryć nikogo na gorącym uczynku.

– Ktokolwiek to był, pewnie zobaczył przez tę przecinkę, że wyruszyłeś w pościg.

– To dość oczywiste, tylko jak się stąd wydostał? Zdaję sobie sprawę, że dłuższą chwilę poświęciłem na opiekę nad Charlesem, ale do labiryntu wchodzi się i wychodzi tylko jedną drogą. Kogoś byśmy widzieli w wejściu.

– Z tym akurat się nie zgodzę. Gdy cię szukałam, spotkałam w korytarzach Clarę Kendrick i Ernesta Treadwella, a nie zauważyłam, aby którekolwiek z nich wchodziło pomiędzy cisy. Ty przecież znajdowałeś się przy tarczach i udzielałeś pomocy Charlesowi. Tyle osób tłoczyło się wokół, że nie mogłeś dokładnie wiedzieć, co się dzieje przy wejściu do labiryntu.

George przekrzywił głowę, jakby nie usłyszał mnie dokładnie.

– Spotkałaś Treadwella i pannę Kendrick? A co oni tu robili?

– Nie byli razem, jeśli o to pytasz. Ja zaś nie dociekałam, z jakiego powodu weszli do labiryntu. Domyślałam się jednak, że Treadwell znudził się obserwowaniem rozgrywek i postanowił trochę się poszwendać. – Wzruszyłam ramionami. – Clara zaś pewnie go zauważyła i postanowiła pójść za nim. Ona chyba lubi poflirtować.

George oparł się o cisową ścianę i założył ręce na piersiach.

– A niech to... Czyli przegapiłem aż trzy osoby, które tu weszły.

– A kogo jeszcze?

– Gdy wszedłem, spotkałem Percy'ego Bradmore'a, który właśnie szukał wyjścia. Twierdził, że zwyczajnie sobie spacerował, gdy usłyszał odgłosy zamieszania. Dopytywał, co się stało.

– Bradmore? Na litość boską, zaraz się okaże, że połowa gości tu była. A czy on kogoś widział?

– Nie. Zaproponował mi pomoc w poszukiwaniach, ale odesłałem go do towarzystwa. Powinienem się być po prostu przedrzeć przez te zarośla.

Uniosłem brwi.

– A niby jak miałbyś to zrobić? Chyba mi nie powiesz, że na co dzień nosisz w bucie podręczną maczetę? Poza tym tu był ktoś, kto strzelał do ciebie z łuku. Osobiście się cieszę, że się przez nic nie przedzierałeś.

Milczeliśmy przez chwilę, bo oboje zastanawialiśmy się, co tu się właściwie wydarzyło. Ktoś wypuścił strzałę w kierunku trzech dżentelmenów. Nie wiedzieliśmy, kto to mógł być. Wiedzieliśmy natomiast, że zrobił to stąd. Nacięcia w żywopłocie zostały wykonane niedawno. Tyle że nie było ani łuku, ani sprawcy. Troje ludzi, którzy przebywali w tym czasie w labiryncie, rzekomo nikogo nie widziało. Choć oczywiście każde z nich mogło kłamać.

– Jakoś trudno mi sobie wyobrazić, żeby Bradmore, Treadwell czy panna Kendrick mieli wycinać żywopłot. Mógł to natomiast zrobić któryś z pracowników posiadłości. A czy nie dopuszczasz myśli, że tu się nic strasznego nie wydarzyło i tylko po prostu ktoś chciał sobie popatrzeć na zawody? Strzałę zaś, która ugodziła Charlesa, wystrzelił jeden z uczestników konkursu.

George wyginał wargi to w jedną, to w drugą stronę, jakby się nad tym intensywnie zastanawiał.

– Nie można tego wykluczyć. Skoro już tu jednak jesteśmy, to pozwól jeszcze ze mną na chwilę. Obejrzymy te ściany z zewnątrz.

– Przypuszczasz, że sprawca mógł sobie wyciąć wyjście? Interesujący pomysł.
– Chwyciłam George’a za rękę. – Prowadź.

Ścisnął mi lekko palce, a potem ułożył moje ramię na swoim.

– Ach, Frances, ty zawsze potrafisz sprawić, że czuję się tak, jakbym wiedział, co robię, a nie tylko szukał po omacku jakichkolwiek wskazówek.

Rozejrzeliśmy się raz jeszcze dookoła, a potem George poprowadził mnie do wyjścia, które odnalazł bez najmniejszego kłopotu. Rzut oka w stronę torów łuczniczych wystarczył nam, żeby stwierdzić, że Charles został już przeniesiony do domu, a pozostali goście znaleźli sobie jakieś inne zajęcie. Szliśmy wzdłuż żywopłotu, oddalając się cały czas od głównego budynku, a zmierzając w stronę stajni. Z zewnątrz labirynt sprawiał wrażenie ogromnego.

– Od jak dawna on tu stoi?

– Ten to pewnie z pięćdziesiąt lat, ale wcześniej znajdował się tu inny, ponoć sięgający korzeniami epoki elżbietańskiej.

Zrobiło to na mnie duże wrażenie.

– Czy to znaczy, że tytuł hrabiego Hartfielda ma dłużą historię niż Harleigh? Bardzo cię proszę, nie wspominaj o tym mojemu szwagrowi.

– Spokojna głowa, oba tytuły zostały nadane mniej więcej w tym samym czasie. – Zerknął na mnie, mrużąc oczy. – A czy to dla Grahama aż takie ważne?

Rozłożyłam ręce w geście bezradności.

– On czerpie wielką dumę z rodzinnej tradycji. Ja pewnie też bym czerpała, gdyby to była moja rodzinna tradycja.

– Przecież jest twoja.

– Nie przez urodzenie. Ja jestem kimś z zewnątrz, a w każdym razie tak mnie zawsze traktowano w rodzinie. – Spojrzałam na niego filuternie. – A czy wspominałam ci już o tym, jak bardzo mnie to cieszy, że ty nie odziedziczysz tytułu?

George parsknął śmiechem.

– Czyli to cię tak we mnie pociąga, wszystko jasne! No cóż, mnie również bardzo to cieszy. Mogę doglądać posiadłości przez parę tygodni, ale nie zostałem stworzony do takiego życia. Sama zresztą dobrze wiesz, że za dobrze się bawię podczas rozwiązywania zagadek i poszukiwania wskazówek.

– Uważaj tylko, bo zaraz jedną przegapisz.

Przed chwilą dotarliśmy do końca ściany, skręciliśmy i znajdowaliśmy się teraz na tyłach labiryntu. Wskazałam mu głową miejsce, w którym gałęzie zostały porąbane na drobne kawałeczki, a między dwoma cisami pojawiło się szerokie przejście. Ucięte pędy i igły rozsypane po trawniku jednoznacznie świadczyły o tym, że aktu wandalizmu dokonano względnie niedawno.

George opadł na kolana, żeby się temu wszystkiemu dokładniej przyjrzeć.

– Powiedziałbym, że to argument potwierdzający moją teorię. Nasz sprawca był w labiryncie.

– Może powinniśmy porozmawiać w tej sprawie z panem Winniem – zaproponowałam, gdy wracaliśmy do domu. – Z chatki zarządcy widać właśnie tę ścianę labiryntu, a spotkałam go, gdy biegłam za tobą. Wyszedł sprawdzić, co też się wydarzyło przy tarczach.

George skinął głową.

– Na pewno nie zaszkodzi zapytać, ale czy naprawdę sądzisz, że zobaczył, jak ktoś wycina dziurę w ścianie labiryntu, i nic z tym nie zrobił?

– Gdy tak to ujmujesz, to trudno nie przyznać ci racji. Ale zapytajmy mimo wszystko.

Przez chwilę szliśmy w ciszy, a potem George ujął mnie za rękę i przyciągnął ją sobie do ust.

– Gdy nakłaniałem cię do przyjazdu, wyobrażałem sobie ten tydzień zupełnie inaczej.

– Naprawdę nie spodziewałeś się, że zarządca zostanie ranny, lokaj umrze na skutek zatrucia, a Charlesa strzała ugodzi w pośladek? – Pokręciłam głową w udawanym niedowierzaniu. – A ja naiwna myślałam, że dokładnie tak to wszystko zaplanowałeś.

– Szczerze mówiąc, to marzyły mi się raczej romantyczne spacerunki w świetle księżycy, czas sam na sam z tobą, a oprócz tego może chwila na organizowanie naszego ślubu. – Ścisnął moją dłoń. – Może to egoistyczne z mojej strony, ale i tak się cieszę, że tu jesteś. Bardzo mi pomagasz.

– Poważnie mówisz? A niby jak ci pomagam?

– Zachowujesz spokojną głowę w całym tym zamieszaniu. Sama wiesz, jak dobrze sobie poradziłaś z uspokajaniem nastrojów wśród służby. Rozejrzałaś się też uważnie po ataku na Evingdona. Zadawałaś pytania, które mi nie pozwoliły zbyć tych wydarzeń jako całkowicie niepowiązanych ze sobą przypadków.

Tym ostatnim stwierdzeniem mnie zaskoczył.

– A ja myślałam, że uważałeś uraz Gibbsa i zatrucie lokaja za zbieg okoliczności.

George uśmiechnął się do mnie.

– No cóż, nie mogę ci przecież mówić wszystkiego.

– Tu się z tobą nie zgodzę. Nie życzę sobie, żebyś miał przede mną jakiegokolwiek tajemnice. Rozumiemy się? A teraz zechciej się łaskawie wytłumaczyć.

Pociągnął mnie za ramię i poszliśmy dalej.

– Sam do końca nie wiem, co myśleć. Mimo wszystko może się okazać, że te wszystkie wydarzenia nie miały ze sobą żadnego związku. Odkąd jednak zaczęłaś się nad tym zastanawiać, a już zwłaszcza po tym, co się przydarzyło Charlesowi, zaczynam patrzeć na to inaczej. Ta strzała nie została wysłana przypadkiem, nie sposób się więc nie zastanawiać nad charakterem pozostałych incydentów.

– Powinieneś porozmawiać z panem Gibbem.

– Z całą pewnością. Woodrow być może też wie już coś więcej na temat tego piwa imbirowego.

Westchnęłam cicho.

– Nawet jeśli zawierało arszenik, to przecież ktoś mógł go też dodać do butelki już na miejscu. Ktoś z domu mógł zatruć napój, wiedząc, że lokaj prędzej czy później go wypije.

– Moja droga Frances, jakimi ścieżkami podążają twoje myśli? Najgorsze w tym wszystkim jest jednak to, że możesz mieć rację. Na razie jednak trochę nam brakuje faktów. – Uśmiechnął się smutno. – To zaś oznacza, że nie będzie nam dane przeżyć tego tygodnia w romantycznym nastroju. Spędzimy go razem, ale pracując nad sprawą.

Choć uwielbiałam te nasze działania śledcze, tym razem zupełnie nie wiedziałam, od czego należałoby zacząć. Przypuszczaliśmy, że ktoś celowo zaatakował trzy osoby przebywające na terenie posiadłości. Jedna z nich nie żyła. A co będzie dalej?

Na schodach domu George nieoczekiwanie mnie zatrzymał.

– Najpierw chciałbym zajrzeć do Charlesa i porozmawiać z doktorem Woodrowem, jeśli jest już na miejscu. Potem musimy znaleźć chwilę i nakreślić plan działania.

Spojrzałam mu prosto w oczy.

– Niczego bardziej nie pragnę, niż kreślić z tobą plany, George.

Uśmiechnął się i nachylił, żeby mnie pocałować, więc zamykając oczy, zatrzępotałam powiekami.

W tym samym momencie na górze z trzaskiem otworzyły się drzwi.

– Frances, tutaj jesteś. Gdzież to się podziewaliście?

Usłyszawszy ten głos, ledwo stłumiłam w sobie jęk. Zastanawiałam się, co będzie dalej – no i się wyjaśniło.

Przyjechała moja matka.

ROZDZIAŁ 10

Muszę powiedzieć, że przyjazdu matki spodziewałam się dopiero następnego dnia. Gdy przywoływała nas od drzwi, po raz kolejny zdumiało mnie, jak bardzo Lily jest do niej podobna. Moja siostra za dwadzieścia albo trzydzieści lat będzie wyglądać dokładnie tak jak ona. Oczywiście pod warunkiem, że o siebie zadba. Moja matka bardzo dbała o wygląd i wystrzegała się słońca jak ognia, dzięki czemu w ogóle nie wyglądała na dwadzieścia lat starszą od swoich córek. Jej jasne włosy – bardziej lniane niż złote jak u Lily – przeplatały gdzieniegdzie srebrne nitki, ale na twarzy na próżno by szukać choćby jednej zmarszczki.

Wspięłam się na szczyt schodów i weszłam do sali rycerskiej, dziękując losowi za to, że towarzyszy mi w tym momencie George. Ucałowałam matkę w policzek, który w moją stronę wystawiła, wciągnęłam do płuc zapach bzu, który od zawsze mi się z nią kojarzył, a potem udałam się powitać Hetty i Alonza.

– Franny, jesteś taka piękna, jaką cię zapamiętałem.

Alonzo wziął mnie w objęcia i uniósł, a potem okręcił i odstawił.

– Na litość boską, Lon! Przestań i pozwól mi się sobie przyjrzeć.

Zrobiłam krok do tyłu i z emfazą mierzyłam go od stóp do głów. Alonzo miał dwanaście lat, gdy wyjeżdżałam do Anglii. Odwiedził mnie potem z matką jako tyczkowaty czternastolatek. Teraz mój młodszy braciszek miał już dwadzieścia dwa lata i wyrósł na przystojnego młodego mężczyznę.

Stał przede mną w stroju podróżnym z cienkiej wełny. Nawet bez poduszek jego ramiona zachwycały szerokością. Podobnie jak ja odziedziczył po ojcu wzrost i kolor włosów, w przeciwieństwie jednak do mnie oczy miał brązowe, a twarz długą i pociągłą. Gdyby ktoś się przyglądał tej trójce podczas ich wspólnej podróży, najpewniej doszedłby do wniosku, że matką Alonza jest ciotka Hetty.

– Powiedziałałabym, że wyrosłeś, Lon.

– Wyrósł, wyrósł! Na najbardziej rozchwytywanego kawalera w Nowym Jorku. Jeśli nie uda mi się wzenie go w rodzinę Goeletów albo Rhinelandarów, to będzie to wyłącznie wina jego uporu.

Lon wykrzywił się w tym momencie, korzystając zapewne z faktu, że matka stoi za jego plecami i go nie widzi.

W trakcie naszej rozmowy George wydawał Crockerowi polecenia odnośnie do bagażu. Gdy skończył, przyciągnęłam go z powrotem do nas.

– Przedstawiam wam pana Hazeltona, to on nas tu gości. Posiadłość Risings należy do jego rodziny. – Przerwałam na chwilę, bo na twarzy mojej matki pojawił się jakiś dziwny grymas. Ponieważ jednak bardzo szybko zniknął, uznałam, że być może tylko mi się przywidziało. – Z matką chyba mieliście się już okazję poznać, ale to było dawno temu, więc pomyślałam, że przedstawię was sobie ponownie.

Zaraz potem przedstawiłam także mojego brata.

George ujął dłoń mojej matki i skinął głową w geście powitania, ona zaś przyglądała mu się, mrużąc oczy.

– Możliwe, że już się kiedyś poznaliśmy, ale prawdę powiedziawszy, nie potrafisz sobie przypomnieć ani gdzie, ani kiedy.

Alonzo zrobił krok naprzód i wyciągnął dłoń.

– Miło mi pana poznać, Hazelton. To bardzo uprzejme z pana strony, że nas pan tu wszystkich zaprosił. O ile zrozumbałem, oprócz ślubu odbywa się tu również polowanie. – Efektownym gestem uniósł rękę i odrzucił do tyłu głowę. – Tutuu! Pora zadąć w róg.

Rozejrzał się po naszych zdumionych twarzach, po czym uśmiechnął się szeroko.

– Dobrze się przygotowałem – oznajmił.

– Potwierdzam, przygotowywał się. – Hetty wbiła mi palce w ramię, a potem wyszeptała mi prosto do ucha: – W domu. Na dworcu kolejowym. W pociągu.

– Panowie strzelają do ptactwa, Lon. Nie polują na lisa – sprostowałam. – Żadnego dęcia w róg nie będzie.

– Nie? – Mój brat posmutniał i zwrócił się do George'a. – Nie będziemy pędzić wierzchem przez las, dąć w rogi i wołać „Darzbór!”?

George'owi należy się podziw za to, że nie wybuchł w tym momencie śmiechem.

– Obawiam się, że dopóki strzelamy do ptactwa, to nie. Tylko byśmy je wystraszyli. Jeśli jednak zechce pan tego zawołania używać w innych okolicznościach, to nic temu nie stoi na przeszkodzie.

Wspaniale! Odtąd będę wysłuchiwać myśliwskich pozdrowień również w domu.

– W porządku. – Lon skinął głową. – Widocznie coś źle zrozumbałem.

– Nadal nie jest dla mnie do końca jasne, dlaczego się tu znaleźliśmy – wtrąciła matka. – Dlaczego Lily zmieniała miejsce ślubu? Hetty nie chciała mi tego zdradzić.

Ciotka w tym momencie zacisnęła szczękę, z czego należało wnioskować, że temat został poruszony nie raz i nie dwa razy.

– Nie ma w tym żadnej tajemnicy, Daisy – powiedziała. – Tłumaczyłam ci przecież, że młodzi postanowili zorganizować skromną uroczystość na wsi, jedynie w gronie rodziny i najbliższych przyjaciół. Cóż w tym tajemniczego?

W głosie Hetty pobrzmiwało napięcie wyraźnie świadczące o zniecierpliwieniu, któremu zresztą trudno się było dziwić, skoro od półtora dnia znosiła utyskiwania mojej matki i myśliwskie zawołania Alonza.

Moja matka, której brak pompy i przepychu na pewno był nie w smak, spiorunowała ciotkę wzrokiem, a potem spojrzała na mnie z rozczarowaniem i jakby szukając we mnie zrozumienia.

– Sama widzisz... Ale może ty mi to wyjaśnisz, Frances?

George zaproponował, żebyśmy przenieśli się do bawialni, ale Hetty wołała iść odpocząć. Towarzystwo poszło przodem, a ja zostałam chwilę, żeby jej podziękować za przywiezienie matki i brata do Risings.

– Potrzeba ci czegoś, ciociu Hetty? Zanim się udasz do swojego pokoju?

Na jej zmęczonej twarzy na chwilę zawitał uśmiech.

– Ciszy. Tylko tego mi teraz potrzeba. Daisy cały czas mówi, odkąd tylko przekroczyła próg twojego domu. Teraz więc pragnę tylko ciszy.

Crocker stał wyprostowany jak struna pod wyłożoną drewnem ścianą, zdołałam jednak ściągnąć go wzrokiem.

– Gdy już odprowadzi pan moją ciotkę do pokoju, proszę posłać do niej kogoś z kapką whisky.

– A jeszcze lepiej z butelką – wymamrotała Hetty.

Skinęłam głową do kamerdynera, a potem podążyłam za pozostałymi do bawialni. Gdy tam weszłam, George właśnie nalewał brandy dla Alonza. Matka siedziała przycupnięta na jednej z sof obitych bogato wyszywanym materiałem i cały czas mówiła.

– Za nic nie rozumiem twojej siostry, Frances. Skoro już musi organizować ślub na wsi, to dlaczego nie w Harleigh?

– Tłumaczyłam ci przecież, mamó – Alonzo przysiadł się do niej z kryształową koniakówką w dłoni – że tamten dom został wystawiony na sprzedaż.

– No tak, ale skoro nie został jeszcze sprzedany, to można by tam zorganizować wesele. Przynajmniej odbyłoby się w rodzinnych włościach.

George dołączył do nas, siadając naprzeciwko mnie, po drugiej stronie stolika.

– Zamówić dla pani herbatę, pani Price?

– Chętnie bym się napiła, dziękuję. Gdyby jednak Frances zechciała wskazać mi mój pokój, to prosiłabym ją podać tam. – Matka wstała, a wtedy my troje również. – Chodź, Frances. Niech sobie panowie wypiją brandy.

Posłałam George'owi i mojemu bratu zrozpaczone spojrzenie, ale oni całkiem ostantacyjnie je zignorowali. Przeraziła mnie wizja rozmowy w cztery oczy z moją matką. Nie zamierzałam ukrywać, że ona mnie trochę onieśmiela. Za czasów dzieciństwa i młodości cały czas mnie pouczała i krytykowała, a ja stale się lękałam, że nie sprostam jej oczekiwaniom. Nasze pogawędki rzadko dobrze się kończyły, ale przecież musiałam pogodzić się z myślą, że prędzej czy później taka rozmowa musi się odbyć.

– A gdzie jest Lily? – zapytała, gdy szłyśmy obok siebie szeroką klatką schodową.

– Na pewno gdzieś tu w pobliżu. – Pewnie się chowa, dopowiedziałam w myślach. Gdy weszłyśmy do jej pokoju, zerknęłam na zegar stojący na biurku. – Za parę godzin kolacja, a o wpół do ósmej spotykamy się w bawialni. Przypuszczalnie więc teraz zażywa świeżego powietrza, dopóki pogoda sprzyja. Na pewno zajrzy do ciebie wkrótce.

Pokojówka mojej matki, Emma, rozpakowywała bagaże w garderobie, ale najwyraźniej zanim się tym zajęła, zdążyła zamówić herbatę. Usiadłam przy niewielkim stoliku pod oknem i nalałam nam po filiżance. Matka tymczasem zdjęła kapelusz i przyglądała włosy.

– A jak podróż? – zapytałam, gdy się przysiadła.

Machnęła tylko ręką.

– Ach, w porządku. Choć niewiele płynęło z nami osób, z którymi warto by utrzymywać kontakty, więc po kilku dniach zaczęło nam brakować tematów do rozmowy. Powiem szczerze, że tylko trudy podróży odwodzą mnie od tego, żeby spędzać tu z tobą więcej czasu, moja droga. Tym bardziej że teraz Lily też tu jest.

Podziękowałam w duszy losowi za to, że podróż przez ocean tyle trwa.

– Gdyby nie liczne zobowiązania towarzyskie w Nowym Jorku, chętnie bym jej towarzyszyła w czasie debiutu. – Pokręciła głową z żalem. – No i sama wiesz, jak nie lubię podróżować bez twojego ojca.

– A dlaczego on nie wybrał się z tobą? Nie widziałam się z nim od mojego ślubu. Nigdy nawet nie poznał swojej wnuczki.

Matka zajęła się mieszaniem herbaty, co mnie o tyle zdziwiło, że niczego wcześniej nie nasypała ani nie wlała do filiżanki.

– Próbowалаm go nakłonić do wspólnego przyjazdu, ale wymówił się obowiązkami zawodowymi. Zupełnie jakby się obawiał, że rynek się załamie z powodu jego dwutygodniowej nieobecności.

To powiedziawszy, uśmiechnęła się, ale zanim to się stało, dostrzegłam w jej spojrzeniu coś jeszcze. Coś jakby żal. Matka przez blisko trzydzieści lat naciskała na ojca, aby budował rodzinną fortunę, sama zaś zajmowała się wychowywaniem dzieci. W rezultacie on całkowicie zżył się ze swoją pracą, a dzieci poszły swoją drogą – i cóż jej zostało?

– Powinnas namawiać ojca, żeby trochę zwolnił tempa i częściej cieszył się owocami swojej pracy. Moglibyście podróżować, a jeśli to go zupełnie nie interesuje, to przynajmniej więcej bywać w towarzystwie.

Dostrzegłam na jej twarzy wyraźne napięcie.

– Twój ojciec i ja od ponad trzydziestu lat dobrze sobie radzimy bez twoich rad, kochanie. – Strzepnęła z rękawa nitkę, której tam wcale nie było. – Więc może raczej opowiedz mi coś o tym przyszłym mężu Lily.

To była czytelna aluzja. Przysłałam na zmianę tematu.

– Bardzo lubię Leo. To rozsądny i życzliwy człowiek o świetnych perspektywach. Jako jedyny dziedzic przejął po ojcu firmę, więc Lily niczego nie będzie w życiu brakowało. Jest błyskotliwy i układowy, i bardzo ją kocha. Moim zdaniem to świetny kandydat na męża.

Matka wysłuchiwała mnie i westchnęła.

– Próbuję zachować w tej sprawie stoicki spokój, ale im dłużej cię słucham, tym trudniej jest mi się oprzeć wrażeniu, że nas zawiodłaś. Jeśli dobrze zrozumiałam, ten człowiek nie ma żadnych koneksji arystokratycznych? A ty przecież dobrze wiesz, że zależało mi na wprowadzeniu do rodziny kolejnego tytułu.

Zabolały mnie jej słowa.

– Kogo niby zawiodłam?

– Rodzinę, oczywiście. Po cóż zabiegać o pieniądze, jeśli nie po to, aby podnieść swój status społeczny? Lily zdaje się tego nie rozumieć, ale tobie nie powinienam musieć tego tłumaczyć.

Zaiste nie musiała. Doskonale znałam jej stanowisko. Tyle że zaraz po ślubie z Reggie przestałam się z nim zgadzać. A gdy Lily przyjechała do Londynu i za-

częła się rozglądać w towarzystwie, skrupulatnie zadbałam o to, żeby nie wyszła za jakiegoś łajdaka tylko dlatego, że ma tytuł. Matki w te moje poczynania oczywiście nie wtajemniczałam.

– Lily poznała wielu kawalerów, ale to Leo skradł jej serce. Jestem pewna, że ty również się do niego przekonasz, gdy tylko lepiej się poznacie.

– Zobaczymy.

Ona zanurzyła wargi w herbacie, a ja nałożyłam jej kawałek ciasta.

– Ubolewam też nad tym, że ślub odbywa się na takim odludziu – dodała. – Powinni byli przyjechać do Nowego Jorku, żebym ich mogła pokazać światu. Ewentualnie mogli się pobrać w Londynie. Tam się bywa. Ale to? Z całą stanowczością powiem, że to mi się podoba.

Wbiła widelczyk w ciasto, jakby się zastanawiała, z czego będzie musiała zrezygnować później, jeśli teraz pozwoli sobie na taką przekąskę. Zawsze uważała, że niczego nie należy jeść w nadmiarze, bo to szkodzi na figurę. W końcu włożyła do ust małej kawałek i zamknęła oczy, żeby rozkoszować się smakiem. Gdy je otworzyła, na jej twarzy malował się grymas niezadowolenia – zapewne dlatego, że ja się uśmiechałam.

Odłożywszy widelczyk na brzegu talerzyka, matka odsunęła od siebie ciasto.

– Gorset pomaga, ale cudów nie czyni. Ale ty całkiem dobrze wyglądasz, moja droga – powiedziała, mierząc mnie od stóp do głów. – Choć kreację masz już trochę niemodną.

– Kupiłam ją jeszcze za życia Reggiego, więc rzeczywiście parę lat już ma. Trochę ją jednak przerobiłam. – Spojrzałam na popołudniową suknię uszytą z mięciutkiej wełny w kolorze szmaragdowym. – Wydawało mi się, że krawcowa całkiem dobrze się spisała.

Matka wzruszyła ramionami, nie chcąc wyrazić aprobaty.

– Gdy tak teraz o tym myślę, to chyba sobie przypominam Hazeltona. Przyjaźniłaś się blisko z jego siostrą, prawda?

– Owszem, przyjaźniłam się i nadal się przyjaźnię. Zresztą Fiona i jej mąż, sir Robert Nash, również tu są w tym tygodniu. Zapewne spotkasz ich podczas kolacji, o ile nie wcześniej.

– A jak to możliwe, że tak blisko się zaprzyjaźniłaś z jej bratem? Jako młoda wdowa powinnaś starannie dobierać sobie znajomych spośród dżentelmenów. Zbyt często spotkania mogą stać się przyczynkiem do plotek.

Świdrowała mnie wzrokiem, bo najwyraźniej coś podejrzewała. Na razie jednak nie zamierzałam jej informować o naszych zaręczynach. Wiedziałam, że

prędzej czy później będę jej musiała powiedzieć, ale nie teraz.

– Mieszkamy z panem Hazeltonem po sąsiedzku w Londynie. Gdy przyjechała Lily, zgodził się użyczać nam powozu. O ile tylko mógł, towarzyszył nam również podczas wieczorków i balów. Masz więc słuszość, wszystkie trzy blisko się z nim zaprzyjaźniłyśmy.

– A co z twoim szwagrem? Dlaczego nie on wam towarzyszył na salonach?

Mało brakowało, a zakrztusiłabym się herbatą. Graham miałby cokolwiek zrobić dla kogoś innego? Matka najwyraźniej nie miała pojęcia, kim byli ludzie, których mi wybrała na nową rodzinę.

– Graham spędzał większość czasu w posiadłości Harleigh, a nawet jeśli był w Londynie, to zwykle zajmowały go różne sprawy związane z prowadzeniem majątku.

– A teraz go sprzedaje. – Matka zmarszczyła brwi i znów wbiła widelczyk w ciasto, być może po to, aby odłączyć od całości kolejną drobinę, którą mogłaby zjeść.

– Tylko dom i ziemię, która bezpośrednio do niego przylega. Reszta podlega prawu ordynacji. – Wzruszyłam ramionami. – Graham ma szczęście, że może sprzedać dom. Utrzymywanie tych wszystkich starych posiadłości wymaga wielkich nakładów.

– Hm, to pewnie prawda. Niemniej szkoda pieniędzy twojego ojca.

I dziesięciu lat mojego życia, pomyślałam gorzko.

Dalej matka wypytywała o Rose, więc obiecałam zabrać ją do pokoju dziecięcego na spotkanie z wnuczką, gdy tylko chwilę odpocznie.

– Do pokoju dziecięcego? Brzmi to tak, jakbyście się tu zdążyły zdomowić. A powiedz mi, ten dom należy do pana Hazeltona?

– Właścicielem domu jest hrabia Hartfield, brat pana Hazeltona. Wyjechał na wakacje z rodziną, a pod jego nieobecność pan Hazelton zgodził się wszystkiego tu dojrzeć.

– Czyli hrabia jest żonaty? Szkoda. – Matka wstała. – Pójdę trochę odpocząć, Frances. Gdybyś jednak spotkała Lily, przyslij ją do mnie.

– Oczywiście, mamo.

Jakże ja się cieszyłam, że ta rozmowa wreszcie dobiegła końca. Czułam się tak, jakbym znów miała osiemnaście lat i jakbym niczego w życiu nie pragnęła bardziej niż uszczęśliwić matkę. Zdążyłam już zapomnieć, że to bywa bardzo męczące, a momentami zwyczajnie niewykonalne. Leo nie spotkał się – na przynajmniej na razie – z jej przychylną oceną. Moja przyjaźń z George'em najwyraźniej

też budziła jej zastrzeżenia. Zastanawiałam się, czy ona go rzeczywiście pamięta. Gdy ja debiutowałam w towarzystwie, bywał w mieście bardzo rzadko. Owszem, miałam wtedy okazję go poznać, spotkaliśmy się przy jednej czy dwóch okazjach, ale gdy pojawił się Reggie, George zupełnie zniknął z horyzontu.

Wzdychając ciężko, zamknęłam drzwi i udałam się do swojego pokoju. Matka odnosiła się do George'a raczej chłodno, zapewne dlatego że nie miał tytułu. Jej na niczym tak nie zależało jak na dostępie do świata brytyjskiej arystokracji.

Tak się zamyśliłam, że omal nie wpadłam na doktora, który wraz z Lottie wychodził akurat z pokoju zajmowanego przez nią i Charlesa. W jednej chwili przywróciło mnie to do rzeczywistości i przypomniało mi o najnowszych niefortunnych wypadkach. Aż dziw bierze, że można się tak łatwo rozkojarzyć.

– Jak on się czuje? – Zauważyłam, że doktor Woodrow trzyma w dłoni strzałę.

– Lepiej – odparła Lottie.

– Miał dużo szczęścia – dodał lekarz.

Uniosłam brwi.

– Zważywszy, że został ugodzony strzałą, pewnie by się z panem w tej kwestii nie zgodził.

– Rzeczywiście. Konsekwentnie będę jednak twierdzić, że w lepsze miejsce nie mógł dać się trafić. Strzała wbiła się na dwa cale, przecinając skórę i tkankę podskórną, ale mięśnia prawie nie naruszyła. Do żadnych poważniejszych obrażeń nie doszło, jest tylko niewielka rana wlotowa. Nerw pozostał nietknięty. Owszem, pacjent odczuwa ból, ale w mojej ocenie miał dużo szczęścia. Trafienie w inne miejsce mogłoby się skończyć znacznie gorzej. Na ten moment martwić nas może tylko ewentualna infekcja.

– Doktor szczegółowo mi wyjaśnił, jakiej opieki wymaga Charles. Już ja za dbam o to, żeby nie doszło do zakażenia rany.

Lottie pokręciła głową z taką stanowczością, że aż kapelusz jej się przekrzywił. Wisiał teraz na kilku pasmach włosów i objął się o policzek. Lottie zamachnęła się więc, odsuwając na bok kapelusz, a przy okazji uderzając doktora w tył głowy. On wtedy zbył jej przeprosiny tak automatycznie, jakby robił to nie pierwszy raz.

– Byłam zajęta przez ostatnią godzinę z powodu przyjazdu matki. Czy ktoś się już przyznał do wypuszczenia tej strzały?

– Ja cały ten czas spędziłam tutaj, z Charlesem, więc nie wiem nic więcej niż ty. Niemniej to przecież musiał być wypadek. Komuż spośród nas nigdy się nie przytrafił żaden wypadek?

Rozmowę przerwał nam Charles, który wołał Lottie z łóżka. Lottie nas przeprosiła, a ja wzięłam na siebie obowiązek odprowadzenia doktora do drzwi.

– Nie jestem całkiem przekonana, że to był wypadek – przyznałam. – Tyle się tu działo w ostatnich dniach, że nietrudno w to zwątpić.

– Przypuszcza pani, że ktoś świadomie wycelował łuk w pana Evingdona?

– Nie do końca to chcę powiedzieć. Myślę, że raczej pan Evingdon w ostatniej chwili stanął tej strzale na drodze. To się wszystko wydarzyło tak szybko, że nie sposób byłoby celować dokładnie w niego, skoro obok stali jeszcze dwaj panowie, Hazelton i Kendrick.

Woodrow przez chwilę bacznie mi się przyglądał, najpewniej zastanawiając się, czy tylko przesadzam, czy to już objawy hysterii.

– A jak to możliwe, że nikt z państwa nie wie, kto tę strzałę wypuścił?

Rozłożyłam ręce.

– Najpewniej z powodu zamieszania. Staliśmy w niewielkich grupkach, rozproszeni po całym trawniku. Sprawca mógł to wykorzystać. A skoro już o tym mowa, czy potrafiłby pan ocenić, z jakiej odległości od pana Evingdona mógł się znajdować łucznik? Gdy strzelaliśmy do tarcz, strzały wbijały się na więcej niż dwa cale.

Lekarz się uśmiechnął.

– Tarcze są wykonane z innego materiału, takiego, w który strzały łatwo wchodzi. Wiele też zależy od siły łucznika. Drobna kobieta nie naciągnie ciężki tak mocno jak rośli i silny mężczyzna, więc wypuszczona przez nią strzała nie poleci ani tak szybko, ani tak daleko jak jego.

– Oczywiście... A jeśliby ktoś chciał oddać strzał w pośpiechu, to zapewne też nie użyłby całej swojej siły.

– To prawda. O ile nikt nie widział sprawcy lub też ów sprawca sam się nie przyzna, raczej nigdy się nie dowiemy, kto tę strzałę wypuścił.

– A może to rzeczywiście był wypadek i tylko ja się dopatruję intrygi tam, gdzie jej wcale nie ma.

Doszliśmy do drzwi. Poprawiając kapelusz, lekarz jeszcze raz zwrócił się do mnie:

– To niewykluczone, ale czyichś złych intencji też nie można wykluczyć. – Jego wąs uniósł się lekko, jakby doktor zamierzał jeszcze coś dodać. – Mam wyniki analizy piwa imbirowego. Zamierzałem przekazać je panu Hazeltonowi, ale może zechce mnie pani w tym wyręczyć?

Nachyliłam się do niego, szczerze zainteresowana jego ustaleniami.

– Oczywiście.

– Żadnego arszeniku nie stwierdziłem.

Sens jej słów dotarł do mnie dopiero po chwili.

– Jak to możliwe? Obaj z panem Hazeltonem przypuszczaliście, że lokaj zatruł piwem imbirowym.

– To były błędne przypuszczenia.

– A czy nadal pan utrzymuje, że ten młody człowiek zmarł w wyniku zatrucia arszenikiem?

Lekarz przytaknął.

– Owszem. Moje badania wskazują na wysoki poziom arszeniku w jego organizmie. Nie potrafię powiedzieć, jak trucizna się tam dostała, ale to arszenik był przyczyną zgonu i taką właśnie informację podam władzom.

Skinęłam głową, całkowicie tym wszystkim oszołomiona. Lekarz się oddalił, ale ja nadal stałam przy wejściu i wpatrywałam się w drzwi. Działo się coś dziwnego. Skoro lokaj nie zażył tego arszeniku świadomie i skoro nie stwierdzono go w jego napoju, to wyjaśnienie może być tylko jedno: ktoś go otruł. Tylko dlaczego? I kto mógł to zrobić? Czy to zabójstwo miało cokolwiek wspólnego z rzekomym wypadkiem zarządcy albo z tym, co się przydarzyło Charlesowi?

Z zamyślenia wyrwały mnie odgłosy kłótni dochodzące z bawialni.

– Nie wiem, dlaczego się po prostu nie przyznasz, Anne. Nikt przecież nie twierdzi, że zrobiłaś to celowo. – Przenikliwy pisk wydawała z siebie Eliza Durant. Zerknęłam jeszcze raz w stronę frontowych drzwi, rozważając ucieczkę z tego domu. – Po prostu zbyt szybko puściłaś cięciwę albo może źle wycelowałaś, albo sama już nie wiem, co się stało. Tak czy owak powinnaś się przyznać, bo inaczej nikt z nas nie będzie wolny od podejrzeń.

– Bardzo mi przykro, że pan Evingdon został ranny, ale ja nie miałam z tym nic wspólnego.

Anne mówiła to takim tonem, jakby miała się za chwilę rozplakać. Westchnęłam. Uciec oczywiście nie mogłam, udałam się więc do bawialni, przeklinając w duchu Arthura Duranta za to, że w ogóle wysnuł takie oskarżenie. Zresztą czyż on nie strzelał razem z Anne? W moim odczuciu on byłby bardziej zdolny dopuścić się czegoś takiego niż ona. Czy jednak w tym przypadku w ogóle ktoś się cokolwiek dopuścił? Czy to jednak był zwykły wypadek? Jeśli bowiem był to wypadek, to być może Durant rzeczywiście widział, jak Anne posyła strzałę w złym kierunku. Postanowiłam porozmawiać o tym z George'em, najpierw jednak pospieszyłam na ratunek Anne.

Właśnie dochodziłam do drzwi, gdy Eliza wystosowała pod adresem siostry kolejne oskarżenie. Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć albo zrobić, odezwał się ktoś inny.

– Może miałyby pani ochotę na przechadzkę po ogrodzie, panno Kendrick? Tu jakoś tak gorąco się zrobiło.

Pchnęłam drzwi i zobaczyłam, że głos należy do mojego brata. Alonzo podszedł do Anne i wyciągnął do niej rękę.

Ona lekko rozwarła usta i przez chwilę patrzyła na niego oniemiała. Potem się podniosła i podała mu dłoń, a wtedy ja zaczęłam się powoli wycofywać z bawialni. Należało liczyć się z tym, że matka jeszcze nieraz przysporzy mi w tym tygodniu przykrości, ale za to z obecności brata niepomiernie się cieszyłam.

ROZDZIAŁ 11

George'a mogłabym szukać w tym domu całymi godzinami, na szczęście jednak natknęłam się na Crockera, który mnie poinformował, że pan Hazelton naradza się właśnie z panami Winniem i Tuttle'em. Popołudnie miało się ku końcowi, a ja koniecznie chciałam pomówić z George'em przed kolacją, wyruszyłam więc do chatki zarządcy, bo tam mieściło się jego biuro.

Po drodze mijałam zaimprovizowany tor łuczniczy, który teraz wyglądał jakoś tak złowrogo. Sprzęt nie został jeszcze zebrany, więc leżał w różnych przypadkowych miejscach na trawniku. Ujęłam w dłoń jakąś zbląkaną strzałę i podeszłam z nią do tarcz. Mocno zaciskając palce na drzewcu, wbiłam ją z całej siły w sam środek okręgu. Doktor Woodrow miał rację. Grot wszedł głęboko w tarczę, która zapewne została wykonana z siana lub słomy, a w każdym razie z jakiegoś materiału bardziej porowatego niż pośladki Charlesa. Nie można było wykluczyć, że strzałę wypuścił jeden z uczestników konkursu i że to był zwykły wypadek. Tak to w każdym razie wyglądało.

Odłożyłam strzałę tam, gdzie leżały inne, i ruszyłam wzdłuż ściany labiryntu. Gdy znalazłam się w pobliżu wejścia, dobiegł mnie dźwięczny śmiech. Przede mną stali Lily i Leo.

– O, tutaj jesteście – powitałam ich.

Odskoczyli od siebie gwałtownie, robiąc przy tym absurdalnie zawstyżone miny.

– Szukałaś nas? – zapytała Lily.

– Matka o ciebie dopytuje.

Lily zatrzepotała rękami.

– Matka tu jest? Już?

Skinęłam głową.

– Przyjechała dzień wcześniej. Wraz z Hetty i Alonzem dotarli na miejsce już dobrą godzinę temu. Jeśli nie chcesz jej rozczarować, powinnaś co najmniej się z nią przywitać przed kolacją.

Lily bacznie przyglądała się ziemi w miejscu, w którym jej stopa kreśliła akurat dźwięczne kółeczka.

– Tak, pewnie powinnam.

Zaskoczyła mnie zarówno jej niechęć, jak i to, że użyła zaimka w liczbie pojedynczej. To mi jednak uświadomiło, że matka również nie zgłosiła chęci poznania Leo. Moja matka i siostra na pewno korespondowały ze sobą w ubiegłych miesiącach. Czy wydarzyło się między nimi coś, o czym powinnam wiedzieć?

Leo spojrział wyczekująco na Lily, ale ona ciągle jeszcze nie zapanowała nad nerwowością. Choć właściwie mnie to nie dziwiło, postanowiłam się wtrącić – z myślą o Leo.

– Na pewno nie możesz się doczekać, żeby jej przedstawić Leo. – Uśmiechnęłam się do niego ujmująco. – Matka na pewno będzie tobą zachwycona.

– Tak, powinniśmy się z nią przywitać jak należy – odparł Leo, patrząc na Lily. – Chętnie ją poznam. Lady Harleigh ciągle mi opowiada, jakie to jesteście do siebie podobne.

Czy rzeczywiście powiedziałam coś, co mogło go doprowadzić do takiego przekonania?

– One są do siebie bardzo podobne z wyglądu, za to pod względem osobowości zasadniczo się różnią.

Lily zachichotała, słysząc to niezręczne wyjaśnienie.

– Leo na pewno szybko sam do tego dojdzie – skwitowała, jakby się prostując. – Ale owszem – dodała kategorięcznym tonem – ona na pewno będzie zachwycona Leo. Inaczej przecież być nie może. – Ściągnęła łopatki i spojrzała mi prosto w oczy. – Powinnam jej szukać w bawialni?

– Poszła do swojego pokoju. Pewnie czyta albo przegląda korespondencję. Niedługo będzie się przebierać do kolacji.

– To wspaniale – stwierdził Leo, podając narzeczonej ramię. – Będziemy ją mieli tylko dla siebie.

Lily przywołała na usta wymuszony uśmiech i przełożyła dłoń przez jego ramię, robiąc przy tym zdeterminowaną minę.

– Zaiste wspaniale!

Ruszyli jedno oparte na drugim w kierunku domu, a ja odprowadzałam ich wzrokiem. Cieszyłam się, że spędzają czas sami, a ściślej rzecz biorąc bez towarzystwa pana Treadwella.

Skupiłam się na nowo na tym, aby znaleźć George'a. Przeszłam przez trawnik obok labiryntu i pomaszero瓦łam do kwatery zarządcy, mieszczącej się w urokliwej chatce z drewna i kamienia, z dachem krytym strzechą. Brukowana ścieżka zaprowadziła mnie wprost pod ciężkie drewniane drzwi. Gdy zapukałam, otworzył mi nie kto inny, tylko George.

– Lady Harleigh. Czyżbym się zasiedział w towarzystwie miłych panów? Zapraszam do środka. Już kończymy.

Odpowiadając na jego zamaszty zapraszający gest, przekroczyłam próg chatki.

– Ostatnio dość często przerywam panom spotkania. Jeśli to jednak dobiega już końca, to chętnie poczekam na zewnątrz.

– Nonsens, dołączcie do nas.

– Proszę, niech pani wejdzie, lady Harleigh – zawtórował mu Winnie. – To nam pozwoli zmienić temat rozmowy.

George się roześmiał i zamknął za mną drzwi, a potem wskazał ręką krzesło, na którym najpewniej siedział przed moim przybyciem. Skinęłam głową do Winniego, który stał teraz za biurkiem, wciśniętym w róg pokoju. W ten sposób przywitałam również pana Tuttle’a, krzepkiego łowczego, który stał oparty o ścianę za biurkiem, obok regału obłożonego różnymi dokumentami, teczkami i książkami. Funkcję saloniku pełniły w tym pomieszczeniu dwa fotele ustawione przy niewielkim stole. Przez drzwi, przy których stał łowczy, wchodziło się najpewniej do kolejnego pokoju.

– Zakładaliśmy się właśnie z Tuttle’em, ile to potrwa, zanim Winnie wyhoduje sensowną brodę.

Twarz młodego chłopaka rzeczywiście zarastała w bardzo nieregularny sposób. Teraz Winnie posłał George’owi jawnie oburzone spojrzenie.

– Zgadzam się z panem Winniem, że najwyższa pora zmienić temat.

– Jak sobie życzycie – odparł na to George, po czym oparł się biodrem o biurko i zwrócił do dwóch mężczyzn. – Podobnie jak i ja, lady Harleigh ma pewne wątpliwości co do natury zdarzeń, których świadkami byliśmy w ostatnich dniach.

– W ostatnich dniach, sir? – Winnie zmarszczył brwi. – Wydawało mi się, że dopytywał pan jedynie o niefortunny wypadek pana Evingdona.

– Rzeczywiście ta sprawa zajmuje mnie w największym stopniu, bo dopiero co zaszła. – Westchnął i zwrócił się do mnie. – Myślałem, że może któryś z panów widział dziś po południu kogoś, kto skradałby się w okolicach labiryntu.

– A widział? – Przysiadłam na skraju krzesła.

– Niestety nie. – Obaj mężczyźni pokręcili w tym momencie głowami, jakby na potwierdzenie słów George’a. – Tuttle sprawdzi uszkodzenia w ścianie, żeby ustalić, czy szkodę mogło wyrządzić zwierzę. Winnie zaś popyta wśród ogrodników.

– A cóż za ogrodnik narobiłby takiego bałaganu przy żywopłocie?

– Pan Hazelton wspomniał, że w okolicach uszkodzenia ściany znaleźli państwo ślady stóp – powiedział Winnie. – Być może któryś z ogrodników badał sprawę i starał się ustalić, jak naprawić szkodę.

George przytaknął.

– Wspominając o ostatnich dniach, miałem na myśli wypadek konny Gibbisa i śmierć lokaja. – Nagle przerwał i przekrzywił głowę. – No ale... Czy którykolwiek z was w ogóle znał O'Briena?

– Nie wydaje mi się, żebym znał któregokolwiek z lokajów albo którąkolwiek z pokojówek, sir – odparł Tuttle. – Jeśli nie liczyć kucharki i jej pomocnic, nie zadają się z nikim z domu.

Winnie też pokręcił głową.

– Ja pracuję tu od niedawna. Spośród służby domowej zdążyłem poznać tylko pana Crockera. Nazwisko O'Briena usłyszałem po raz pierwszy, gdy się okazało, że nie żyje. – On również przekrzywił głowę. – Czy chce pan powiedzieć, że on został zamordowany?

– Na razie nie, ale trzy wypadki w tak krótkim czasie mogą nie być wyłącznie kwestią zbiegu okoliczności. Zastanawiam się więc, czy ktoś nie ma złych intencji.

Tuttle podrapał się po brodzie.

– W pracy czasem się coś komuś stanie. To prawda, że dotąd nie działo się to często, ale czasem wypadek to po prostu wypadek.

– Niemniej – wtrącił Winnie – będziemy zwracać uwagę na wszystko, co mogłoby się wydać niepokojące.

George wzruszył ramionami.

– O nic więcej nie proszę.

Klepnął Tuttle'a po plecach, a potem wyciągnął rękę do Winniego, który jednak tylko na nią spojrział i zmrucił oczy. Przez moment wydawało się, że nie zamierza wymienić z George'em uścisku dłoni, potem jednak zerwał się gwałtownie na równe nogi i chwycił mocno podaną rękę. George przez chwilę rozprostowywał palce, żeby odzyskać w nich czucie. Wyszedł z chatki wsparta na jego ramieniu, pożegnawszy się z obydwojema pracownikami.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, George zwrócił się do mnie.

– To było dziwne.

Zachichotałam.

– Pan Winnie przypuszczalnie myśli sobie teraz to samo.

– Nie chciał uścisnąć mi ręki.

– Raczej nie wiedział, co ma z nią zrobić – poprawiłam go. – Najpewniej hrabia nie ma w zwyczaju wymieniać uścisków dłoni ze swoimi pracownikami.

– Pewnie nie. Ja zresztą też z tego zrezygnuję, bo moje palce tego nie wytrzymają. Widać człowiek uczy się przez całe życie. No dobrze, ale może podzielił się ze mną swoimi wrażeniami?

Zamrugęłam powiekami, bo zaskoczyło mnie to pytanie.

– Jakimi wrażeniami?

– Jak sądzisz, czy mówili prawdę? Winnie i Tuttle?

– Nie mam powodów podejrzewać, że nie. – Spojrzałam na niego zaskoczona. – A ty masz?

Opuścił wzrok i pokierował nas w stronę labiryntu.

– Nie, pewnie nie. Winnie pracował u siebie w chatce nad rachunkami, a Tuttle doglądał kuropatw nad stawem. Żaden z nich nie widział, żeby się ktokolwiek kręcił w okolicach labiryntu.

– Pan Winnie twierdzi, że był u siebie, gdy usłyszał jakieś hałasy. Poszedł zobaczyć, co się dzieje, i wtedy stwierdził, że Charles został trafiony strzałą. W zasadzie wiemy więc, co i kiedy robił. A Tuttle?

– Tuttle wyruszył w teren w towarzystwie jednego ze swoich ludzi, więc jego alibi też można potwierdzić.

Pozwoliłam George'owi wprowadzić nas do labiryntu.

– Dlaczego tam idziemy?

Wzruszył ramionami.

– Bo tam można porozmawiać spokojnie. Nikt nam nie będzie przeszkadzać.

– Brzmi to trochę tak, jakbyś nadal powątpiewał w przypadkowość tych ostatnich wydarzeń. Czy się mylę?

– Kwestia dwóch pierwszych pozostaje do wyjaśnienia, ale naprawdę nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek z uczestników konkursu mógł niechcący trafić Evingdona tuż poniżej pleców. Chyba się ze mną zgodzisz?

– Owszem. Gdyby to rzeczywiście była zbłąkana strzała, to łucznik zapewne by krzyknął albo próbował jakoś przestrzec pozostałych.

George rozplótł nasze ramiona, ujął mnie za rękę i poprowadził krętymi, wąskimi przejściami. Wzruszane gałązki cisu roztaczały wokół świeżą drzewną woń.

Nagle George obrócił się i spojrzał na mnie przez ramię.

– Jeśli ktoś tu knuje jakąś intrygę, chciałbym go powstrzymać, zanim komuś jeszcze stanie się krzywda. No i oczywiście nie jestem zadowolony, że to się wszystko wydarzyło w czasie, gdy to ja sprawuję opiekę nad majątkiem. Moim zdaniem należałoby przeprowadzić dochodzenie w tej sprawie, nie sądzisz?

– Przypuszczam, że to nie my będziemy decydować w tej kwestii.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Odchyliłam głowę na bok i uśmiechnęłam się do niego z nieukrywaną satysfakcją.

– W piwie imbirowym nie było arszeniku.

George otworzył szeroko oczy.

– Nie było? Woodrow ci tak powiedział?

– Owszem. Zamierza o tym poinformować również lokalne władze. Czy teraz jesteś skłonny uznać śmierć Michaela za mniej przypadkową?

– Być może. – Znów chwycił mnie za rękę i pociągnął dalej przed siebie. – Chodź, usiądźmy i omówmy to.

Pokonawszy jeszcze kilka zakrętów, znaleźliśmy się w centrum labiryntu. Była to kwadratowa przestrzeń o powierzchni niewielkiego pokoju... albo może sporej garderoby... George poprowadził mnie w kierunku ławki z kutego żelaza, stojącej pośród ceniolubnych roślin.

– Ukryty ogród. Jak uroczo – zachwyciłam się, na co on się uśmiechnął.

– Gdy byłem dzieckiem, rosła tu tylko trawa. Lubiliśmy się tu bawić, ale nowy pomysł mojego brata też mi się podoba.

Usiadłam na wąskiej ławeczce, a on przycupnął obok mnie. Gdy na niego spojrzałam, nasze usta niemal się stykały.

– Mnie to się również podoba – odparłam jakby chrapliwie.

George pogłaskał mnie po policzku, a potem nachylił się jeszcze bardziej i tak oto na kilka minut zupełnie przestałam myśleć o wypadkach i morderstwach. W końcu złożył ostatni pocałunek na mojej skroni, a ja wtedy oparłam mu głowę na ramieniu.

– Idąc do ciebie, spotkałam Lily i Leo, jak wychodzili z labiryntu. Ciekawe, czy właśnie w to miejsce zmierzali.

– Są zakochani, tak samo jak my. Za kilka dni będą małżeństwem, więc w czym problem?

– Nie ma żadnego problemu. Moim zdaniem zachowują się dokładnie tak, jak przystało na młodych kochanków. Całym sercem to popieram. Ale pewnie im przeszkodziłam.

George lekko musnął mnie brodą, bo odchylił głowę do tyłu, żeby na mnie spojrzeć.

– A co takiego zrobiłaś?

– Wysłałam ich do domu, żeby się przywitali z matką. To mogło skutecznie stłumić ogień w ich sercach.

– Rzeczywiście, nie można tego wykluczyć – westchnął George. – A skoro twoja matka już przyjechała, to zamierzasz jej powiedzieć o naszych planach?

Skinęłam głową.

– Po ślubie, gdy już wsuniesz mi na palec ten piękny pierścionek. – Również odchyliłam głowę, żeby na niego spojrzeć. – Spodziewam się, że wróci ze mną do domu. Być może zechce zostać do naszego ślubu.

George zacisnął wargi.

– Ona może zechcieć zrobić nawet coś więcej.

– Co mianowicie? – zapytałam, a on na chwilę spochmurniał, ale potem przywołał na usta uśmiech. Wyswobodziłam się z jego objęć, żeby lepiej widzieć jego twarz. – George, czy coś cię łączy z moją matką? Tak mi się właśnie wydawało, że ona dziwnie się zachowywała, gdy się witaliśmy.

Teraz na jego obliczu wymalowało się udawane przerażenie.

– Czy coś nas łączy? Ależ Frances! Twoja matka ma tyle lat, że mogłaby być... ni mniej, ni więcej tylko moją matką. Cóż miałoby nas łączyć?

Zmrużyłam oczy i bacznie mu się przyglądałam.

– To bym właśnie chciała wiedzieć. Najpierw zachowywała się tak, jakby cię w ogóle nie pamiętała. Potem powiedziała coś, co mogłoby sugerować, że doskonale cię pamięta. Dopytywała też, jak to się stało, że się zaprzyjaźniliśmy. Czy wtedy przed laty coś się między wami wydarzyło?

– Niepotrzebnie w ogóle o tym wspomniałem. Ograniczę się do stwierdzenia, że moja znajomość z panią Price miała dość niefortunny początek. Jeśli chciała-bys wiedzieć cokolwiek więcej, musisz pytać matkę. – Uniósł dłoń, jakby chciał mnie powstrzymać przed dalszym dociekaniem. – Wykorzystajmy może chwilę spokoju na omówienie tych tak zwanych wypadków, dobrze? Lada moment powinniśmy wracać do domu.

Wolałabym, co prawda, wykorzystać tę chwilę na coś bardziej romantycznego, ale trudno było odmówić George'owi słuszności.

– No dobrze. – Musiałam na razie poskromić ciekawość. Przypuszczałam, że choć on nie chce mi zdradzić szczegółów sprawy, matka z pewnością chętnie to

uczyni. – Zakładam, że Woodrow bezzwłocznie poinformuje policję o swoich ustaleniach. Nie wiem tylko, jak szybko oni zareagują.

– Spodziewałbym się, że ktoś z posterunku pojawi się już jutro rano.

– Policja będzie badać sprawę śmierci Michaela O'Briena. A co z dwoma pozostałymi wypadkami? Mówiłeś, że im również należałoby się przyjrzeć bliżej.

– Dotąd byłem przekonany, że strzała została wypuszczona z labiryntu. Zwątpiłem jednak, gdy Tuttle powiedział, że ścianę mogły uszkodzić zwierzęta. Ostatecznie, kto miałby chcieć krzywdy Charlesa?

– Nie wydaje mi się, żeby sprawca celował akurat w niego.

– To może i racja.

– Ty i Leo staliście przy tarczy ładnych kilka minut. A w każdym razie dość długo, żeby wycelować i naciągnąć cięciwę. – Wzruszyłam ramionami. – Charles wyszedł zza ciebie i znalazł się na drodze pędzącej strzały. Sprawca celował w ciebie lub w Leo.

Aż zadrżałam na dźwięk tych słów, George natomiast się skrzywił.

– Biedny Charles, w nieodpowiednim momencie zrobił krok w nieodpowiednią stronę. Jakkolwiek wstrętna to myśl, takie rozumowanie wydaje się mieć sens. Nadal jednak nie bardzo rozumiem, po co ktoś miałby coś takiego robić. Kto miałby chcieć zabić kogośkolwiek z nas?

– A sądzisz, że ktoś chciał zadać śmiertelną ranę? Strzelec celował dość nisko.

– Nic na ten temat nie sądzę. To równie dobrze mógł być przypadek. Niemniej wcale nie trzeba ugodzić ofiary w serce, żeby ją zabić. W niższych partiach ciała znajduje się kilka bardzo ważnych tętnic, a nadto, jeśli strzała wbije się dość głęboko, może dojść do śmiertelnego w skutkach zakażenia. Trzeba też wziąć pod uwagę fakt, że Charles poruszył się akurat w krytycznym momencie. Łucznik mógł się zawahać i przez to spudłować. – Teraz George rozłożył ręce w geście bezradności. – Mogło też być tak, że labirynt został uszkodzony przez jakieś zwierzę, a Charlesa trafił ktoś z uczestników konkursu.

Postanowiłam streścić George'owi przebieg mojej rozmowy z doktorem Woodrowem.

– Wyraziłam zaskoczenie, że strzała nie wbiła się Charlesowi głęboko w... – odwróciłam wzrok przed jego spojrzeniem – nogę...

On roześmiał się serdecznie.

– Przecież on dostał prosto w zadek, Frances. Grzeczniej można by to miejsce nazwać poślądkiem. Jest tam w co trafić, sam mięsień też jest sporych rozmiarów. Skoro jednak już o tym rozmawiamy, to trzeba pamiętać, że strzały do tarcz

nie są ostre, a w każdym razie te nie były. Trzeba by niemałych umiejętności łuczniczych, żeby śmiertelnie kogoś ranić takim pociskiem. Można pogruchotać kości albo zadać ranę, która nie będzie się chciała zagoić i w ten sposób doprowadzi ofiarę do powolnego końca, ale żeby trafić w szyję albo w jakąś ważną tętnicę, trzeba by nie lada wprawy. Raczej nikt by nie używał do takiego celu strzały ćwiczebnej. Zaczynam skłaniać się ku wersji, w której to był zwykły wypadek.

– Zdaniem doktora Woodrowa Charles miał dużo szczęścia, że został trafiony akurat w to miejsce, nie gdzie indziej. Więc on by się chyba z tobą nie zgodził. – Przygryzłam dolną wargę. – Ja zresztą też się chyba nie zgadzam. Ktoś, kto chciał zabić Leo, mógł zwyczajnie nie zdawać sobie sprawy, że strzały są tępe. Zwyczajnie użył tego, co miał pod ręką.

George uniósł brwi.

– Leo? A czy ktokolwiek żywi o coś urazę do Leo?

– Być może. Nie znam tych wszystkich panów aż tak dobrze, więc trudno mi ocenić, czy którykolwiek z nich posunąłby się do morderstwa, ale pan Durant z całą pewnością zazdrości Leo jego pozycji w firmie ojca. Sam chętnie zostałby wspólnikiem, ale pan Kendrick nie zamierza awansować do tej rangi nikogo poza własnym synem. Choćby jego zięć nie wiadomo jak ciężko pracował.

– Ja też go dobrze nie znam, ale zgodzę się, że chyba czerpie z pracy więcej przyjemności niż Leo. – Kiwnął głową, zachęcając mnie do kontynuowania wywodu. – A ktoś jeszcze?

– Jego drużba, Ernest Treadwell. Lily wyraźnie wpadła mu w oko i on nawet nie próbuje tego ukrywać. Co z niego za przyjaciel?

– Tak, ja też to zauważyłem. A dlaczego Lily tego nie ukróci?

– Też bym chciała wiedzieć. Niby nie jest nim zainteresowana, ale pewnie schlebia jej, że ktoś jej okazuje tyle uwagi. Rozmawialiśmy już o tym i zgodziła się jednoznacznie położyć temu kres przy najbliższej okazji. – Nagle coś mi przyszło na myśl. – A może ona już to zrobiła, a odrzucony zalotnik postanowił wyładować swoją złość na Leo?

George ściągnął brwi i przez chwilę się nad tym zastanawiał.

– Niedorzeczne to jest, prawda? Nikt by się przecież nie posunął do morderstwa z tak błahego powodu.

– Daleki byłbym od lekceważenia spraw sercowych jako motywu zbrodni – odparł. – Podobnie jak nie lekceważyłbym kwestii władzy i pieniędzy, a więc zadry Duranta. Jakkolwiek jednak obaj panowie mogli mieć motyw, aby zabić Duranta, to nie wyobrażam sobie z jakiego powodu mieliby życzyć źle mojemu zarządcy

czy lokajowi. Może więc nie należy się w tym wszystkim doszukiwać drugiego dna. Może to faktycznie tylko wypadki.

– Twój zarządca jest innego zdania.

– To prawda. A ja go ciągle jeszcze nie odwiedziłem.

– Powinieneś to czym prędzej zrobić.

George uraczył mnie szelmowskim uśmiechem.

– Tak jest, proszę pani.

– Poważnie mówię.

– Ja też, Frances. Wszystko, co mówisz, ma głęboki sens. Proponuję więc, co następuje. Poczekajmy, aż się dowiemy, co Tuttle ustalił w sprawie ścian labiryntu, a także na wieści, które Winnie przyniesie od ogrodników. Ja tymczasem odwiedzę Gibbsa. Dowiem się, jak się miewa i obejrzę sobie tę pręgę na jego klatce piersiowej.

Odepchnęłam go lekko, chcąc go w ten sposób skarcić za bezczelność, ale tylko się roześmiał.

– Będę się też baczniej przyglądał Treadwellowi i Durantowi, bo może któryś z nich rzeczywiście ma mordercze zapędy względem Leo.

– To dobry początek, ale podpowiem ci jeszcze jednego podejrzanego, w osobie pana Bradmore'a. Był w labiryncie, gdy została wypuszczona strzała.

– Podobnie jak Treadwell.

George skinął głową.

– I jak Clara. I tak, wiem, że chwilowo nie mamy pewności, czy strzała rzeczywiście została wysłana z labiryntu, pozwól jednak, że skupię się na chwilę na Bradmorze. Granica posiadłości, na której terenie obecnie zamieszkuje, przebiega niedaleko miejsca, gdzie pan Gibbs spadł z konia. On twierdzi, że jest krewnym dziedziczki, ale ani ty, ani Fiona nigdy wcześniej nie mieliście okazji go poznać.

– Czy to go czyni podejrzanym?

– „Podejrzanym” to pewnie za mocne słowo, ale nie wiemy o nim nic poza tym, że przybył na wieś zaledwie parę dni temu. A odkąd się pojawił, zdarzają się tu dziwne wypadki. W tej sytuacji trudno się nie zastanawiać, czy istnieje jakiś związek między jego obecnością a tymi zdarzeniami.

– Niczego nie można wykluczyć. – George na chwilę zacisnął wargi, a potem westchnął. – Policja może się zjawić jutro pod moją nieobecność. Gdyby tak się stało, spróbuj może włączyć się jakoś w ich dochodzenie. Najpewniej będą chcieli przesłuchać służbę, a nie zaszkodziłoby wiedzieć, co kto ma im do powiedzenia.

– Zrobię, co w mojej mocy. Dobrze byłoby się dowiedzieć, jak Michael zatrul się arszenikiem. To by mogło wiele wyjaśnić.

– W takim razie od jutra prowadzimy śledztwo.

Uśmiechnęłam się od ucha do ucha.

– Moglibyśmy zacząć już dziś wieczorem. Fiona zaprosiła Bradmore'a na kolację. Poproszę, żeby go posadziła obok mnie. Wtedy będę mu mogła zadać kilka pytań.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, ja obok niego usiądę. – George wstał i podał mi rękę. – Bradmore jest kawalerem i można uznać twoje dociekania za sygnał, że się nim interesujesz. A nawet jeśli on tak nie pomyśli, to twoja matka na pewno.

ROZDZIAŁ 12

Jakież było moje zdziwienie, gdy następnego ranka zeszłam na śniadanie i zastałam tam przy stole tylko George'a. Siedział samotnie nad pustym już talerzem.

– Dzień dobry, George. Jak miło, że jeszcze jesteś.

Mijając go, przesunęłam mu ręką po plecach. On zaraz potem podniósł się, ujął tę moją dłoń i zerkając na mnie zalotnie, uniósł ją do ust.

– Schlebiałoby mi to, moja droga, gdyby nie to, że przecież wiem doskonale, o co chodzi. Chcesz mieć z kim porozmawiać o morderstwie. – Mrugnął do mnie porozumiewawczo i zacisnął swoje palce wokół moich. – Podejrzewam wręcz, że zgodziłaś się za mnie wyjść tylko dlatego, że dostarczam ci tej nietypowej rozrywki i w ten sposób syć twój głód makabry.

W tym momencie w drzwiach stanął lokaj z dzbankiem świeżej kawy. W moim własnym domu by mnie to nie zdziwiło, nigdzie indziej jednak tego nie oczekiwałam. George uśmiechnął się wymownie.

– Tylu mamy gości z Ameryki, że uznałem za niezbędne o to zadbać.

Cofnęłam dłoń i nachyliłam się do George'a.

– Jakże to przemyślnie z twojej strony. To bardzo cenna cecha u męża. Wiedz jednak, że wychodzę za ciebie dlatego, że beze mnie byś sobie nie poradził. Już zapomniałeś?

– Jak zwykle masz rację. Zupełnie nie wiem, jak ja sobie radziłem przez te wszystkie lata bez twojej pomocy.

Roześmiał się, a ja wtedy pchnęłam go lekko z powrotem na krzesło.

– Nie musisz się podrywać na mój widok. Obsłużę się sama.

Na znak dany przez George'a lokaj wyjął z kredensu filiżankę i nalał mi do niej kawy, ja tymczasem udałam się z talerzem do bufetu, żeby wybrać sobie coś na śniadanie. Ostatecznie zdecydowałam się na grzanekę, kawałek kielbaski i gotowane jajko z podgrzewacza. Nałożywszy to wszystko, dołączyłam do siedzącego przy stole George'a. On wtedy odprawił gestem służącego.

– Panowie już najpewniej na polowaniu?

Sięgnęłam po konfiturę malinową i nałożyłam sobie odrobinę na talerz.

– Wyruszyli niespełna godzinę temu. Martwiłem się, że nie uda nam się rano porozmawiać w cztery oczy, ale na razie nie widać pań nigdzie na horyzoncie.

– Matka zamówiła śniadanie do pokoju, Rose ma zjeść z nią. Lily ostatnimi czasami nie jada ranną porą, bo biedactwo źle się czuje. Panny Kendrick mają zaś w zwyczaju sypiać do późna.

George nachylił się tak blisko, że jego wargi musnęły moje ucho.

– W takim razie jesteście sami i raczej nikt nam nie będzie przeszkadzać. Ten pokój stał się więc wyspą prywatności w tym tłoczonym od gości domu.

– Czyż to nie wspaniale? – Odwróciłam głowę i teraz nasze nosy się zetknęły. – W końcu możemy porozmawiać o naszych podejrzanych bez obaw, że ktoś nas usłyszy.

George cofnął lekko głowę i ją przekrzywił.

– Poważnie mówisz? Ja tylko żartowałem z tym twoim głodem makabry. Czy rzeczywiście właśnie w takim celu chcesz spożytkować nasze sam na sam?

Przytknęłam dłoń do jego policzka.

– Nie bocz się, George. Tu nie chodzi o to, czego ja chcę. Tu chodzi o bezpieczeństwo nasze i naszych gości.

– Niech będzie. – Rozsiadł się z powrotem na swoim krześle, a ja przeniosłam wzrok na talerz. – A konkretnie o kim chciałabyś rozmawiać?

Rozsmarowałam sobie konfiturę na grzance.

– Czy wczoraj podczas kolacji udało ci się czegoś dowiedzieć na temat pana Bradmore'a?

– Mniej, niżbym oczekiwał. – George upił łyk kawy, a potem odsunął na bok pusty talerz.

– Dziwne to... Nie zrobił na mnie wrażenia człowieka powściągliwego.

– Nie powiedziałbym, że jest powściągliwy. Mnie się wydał raczej skryty. Próbowiałem rozpocząć rozmowę od ogólniejszych tematów. Wspominałem o polowaniu i strzelectwie. Pytałem, jak się czuje na wsi i jakie rozrywki ceni sobie w mieście.

– No proszę...

– Zwykle w takich rozmowach udaje mi się uzyskać jakieś konkretne deklaracje typu: lubię polowanie albo nie lubię, bo wolę innego rodzaju aktywność; w mieście bywam w tym albo tamtym klubie, chodzę do opery i takie tam. – Uniósł brwi. – Sama rozumiesz.

– Owszem. Jak się domyślam, on żadnych konkretnych deklaracji nie złożył.

– Ani jednej. Gawędził tylko o tym i o tamtym, nie zdradzając przy okazji zupełnie nic o sobie.

– Co zatem zrobiłeś?

– Zacząłem zadawać bardziej bezpośrednie pytania. Kiedy ostatnio odwiedzał pan ciotkę? Do których klubów pan należy? Gdzie spędza pan czas, gdy akurat nie przebywa pan w mieście?

– Gdzie pan był, kiedy pana Evingdona ugodziła strzała?

George zrobił markotną minę.

– To zapewne też by nic nie dało.

– Chcesz powiedzieć, że odmawiał odpowiedzi na twoje pytania?

Ugryzłam grzanekę i poczułam na języku cierpką słodycz malin.

– To nie do końca tak. W żadnym momencie nie przerwał rozmowy, ale z jego wypowiedzi nic konkretnego nie wynikało. – George skrzywił się i pokręcił głową. – Zdołałem od niego wydobyć, że przyjechał na wieś tego samego dnia co ty i twoi towarzysze podróży.

– Ciekawe, czy jechał tym samym pociągiem.

– To zależy, skąd przybył. Ale tego też nie udało mi się od niego wyciągnąć. – George odłożył serwetkę na stół. – Jeszcze nigdy nie spotkałem nikogo, kto by tak skutecznie się wykręcał od odpowiedzi na pytania. Wybacz mi, moja droga.

Gestem dałam mu znać, że nie powinien się aż tak przejmować.

– Tajemniczy z niego człowiek.

– Z mojego doświadczenia wynika, że ludzie tajemniczy często coś knują.

– I kto to mówi? Od ciebie też często trudno wydobyć informacje. Też potrafisz kluczyć w wypowiedzi.

– No właśnie. A to dlatego, że ja zwykle coś knuję.

– No tak, z tym to nie sposób polemizować. A co zamierzasz teraz zrobić?

– Będę mu się bacznie przyglądać. Fiona wspominała coś o odwiedzinach u lady Esther. Wydaje się, że to całkiem dobry pomysł.

– Może wybierze się dziś, ale późniejszą porą. Rano wraz z paniami i Rose jedzie obejrzeć ruiny jakiegoś starego zamku.

– A ty nie jedziesz?

– Nie – odparłam, udając żal. – Zrezygnowałam z tej rozrywki, żeby być na miejscu, gdy pojawi się policja.

– Jeśli uda ci się czegoś dowiedzieć, koniecznie mi powiedz. – George wstał od stołu. – Ja tymczasem udam się do Gibbsa. Mam nadzieję, że wrócę, zanim panowie przybędą z polowania. Wymienimy się wtedy informacjami.

Do pokoju śniadaniowego weszła Fiona w porannej niebieskiej sukni z wełny. Tryskała energią i roztaczała wokół siebie aurę świeżości, ale bardzo się zdziwiła

na widok George'a.

– Dzień dobry, drogi bracie. Nie spodziewałam się zastać cię w domu. Czyżbyś nie brał udziału w polowaniu?

– Niestety nie. Mam dziś rano coś do załatwienia. I też pora na mnie. Zostawiam cię pod opieką lady Harleigh.

Zanim wyszedł, ścisnęłam jeszcze jego dłoń.

– Proszę na siebie uważać, panie Hazelton.

Ucałował mnie w rękę, a potem ją puścił.

– Będę uważał, jak zawsze. Pani zaś niech mi obieca, że sama nie zrobi nic nieroztropnego.

– Oczywiście.

Gdy wyszedł, Fiona prychnęła, a potem wydała z siebie jeszcze jakiś inny mało uprzejmy dźwięk podczas nalewania kawy.

– Jak mniemam, oznacza to, że zamierzacie zaangażować się w jakieś niegodziwości. I cóż to za nonsens z tym panem Hazeltonem i lady Harleigh? Wydawałoby mi się, że w moim towarzystwie nie powinniście czuć potrzeby zwracania się do siebie w tak oficjalny sposób.

Zanurzyła wargi w filiżance i zamknęła oczy, żeby rozkoszować się smakiem napoju.

Zerknęłam na nią porozumiewawczo.

– To prawda, ale przecież nigdy nie wiadomo, kto nas akurat usłyszy. A ja na razie jeszcze nie mam zamiaru informować matki o naszych planach.

– A zechcesz mnie poinformować, cóż to za przedsięwzięcie zaplanowaliście na dzisiejszy poranek?

– Żadne to przedsięwzięcie. Zgłębiaamy tylko rzeczywistą naturę tak zwanych wypadków, które się tu wydarzyły w ostatnim czasie.

Fiona odstawiała filiżankę.

– Masz na myśli wczorajszy niefortunny postrzał, którego doznał kuzyn Charles?

– Nie tylko, ale skoro już o tym mowa, to czy widziałas wtedy cokolwiek?

– Nie widziałam, żeby ktoś w niego celował, jeśli o to pytasz. Rozmawiałam akurat z Elizą Durant. Wzrok przeniosłam w tamtą stronę, dopiero gdy usłyszałam krzyk pana Evingdona. Zakładałam, że wydał go z siebie, gdy został ugodzony.

– Wynika z tego, że możemy skreślić z listy Elizę.

– Z listy podejrzanych? – Fiona uniosła brwi. – Czyżbyście przypuszczali, że to ona mogła pośląć tę strzałę?

– Ktoś to z całą pewnością zrobił. Dlaczego miałyby to nie być Eliza?

– Może dlatego, że nie brała udział w zawodach? Nigdy w życiu nie trzymała łuku w dłoni.

Zerknęłam na przyjaciółkę znad filizanki.

– No to też dość istotne. Niemniej to jej mąż zaczął rozpowszechniać plotkę, że strzałę wypuściła Anne. Można by się zastanawiać, czy w ten sposób nie próbował odwrócić uwagi od kogoś innego.

– Niczego takiego nie słyszałam. A ty mu nie wierzysz?

– On nie powiedział, że cokolwiek widział. Sugerował jedynie, że to musiała być Anne. Mnie to nie przekonuje, tym bardziej że Anne zaprzecza.

– Aż dziw bierze, że tylu nas tam było, a nikt niczego nie widział.

Otarłam usta serwetką, którą potem odłożyłam na stół.

– Kwestię wypadku Charlesa też na pewno uda nam się wyjaśnić, na razie jednak twój brat pojechał rozmawiać z zarządcą. Spodziewamy się też lada moment wizyty kogoś z posterunku. Policja zapewne zechce przesłuchać służbę w sprawie Michaela O'Briena. George poprosił mnie, żebym była obecna przy tych rozmowach.

– W takim razie powinnaś się pospieszyć. Pani Ansel właśnie wprowadziła sierżanta Fiska do sali wspólnej dla służby.

Na litość boską, ledwo zaczęłam to śledztwo, a już nie dopilnowuję swoich obowiązków! Gdyby nie Fiona, mogłabym w ogóle przegapić wizytę policji.

Panią Ansel odnalazła na moją prośbę kucharka, pani Humphries. Obie kobiety wyraźnie się zdumiały, widząc mnie w swojej domenie. Zwłaszcza ochmi-strzyni robiła wrażenie przerażonej. Podbiegła do mnie i poprosiła o rozmowę na korytarzu.

– Bardzo panią przepraszam, milady – powiedziała, zamykając wahadłowe drzwi prowadzące do kuchni. – Pani Humphries jeszcze nie wie, że przyjechała policja. Obawiam się, że wpadnie w histerię, gdy się dowie. – Uniosła brwi. – Bo jak się domyślam, pani właśnie w tej sprawie przysłała?

Zdążyłam już zapomnieć, że to właśnie kucharkę – na początku – oskarżono o otrucie O'Briena.

– Pewnie i tak wkrótce się dowie, pani Ansel.

– Owszem, chciałam jednak zachować to przed nią w tajemnicy do czasu, aż przyrządzi lunch. Czy życzy sobie pani rozmawiać z sierżantem policji?

– Tak. Wie pani, gdzie go znajdzie?

– Jest u pana Crockera. Mogę panią zaprowadzić do jego saloniku. – Ruszyła przed siebie korytarzem, ale po chwili zatrzymała się i odwróciła do mnie. – A czy pani wie, po co oni przyszli, milady? Domyślam się, że chodzi o Michaela, ale dotąd myślałam, że doktor uznał jego śmierć za wypadek.

Pani Ansel miała wiecznie niewzruszoną minę i chodziła wyprostowana jak struna. Pod tym względem bardzo mi przypominała panią Thompson. Niewykluczone, że gospodynie dobrze by sobie radziły jako oficerowie w wojsku, gdyby je dopuszczano do służby.

– Być może pamięta pani, że doktor zabrał do badań butelkę po piwie imbirowym, którą znaleźliśmy w pokoju Michaela O'Briena. Miał zamiar szukać w niej arszeniku.

Kobieta skinęła głową.

– Arszeniku w niej nie było.

Ochmistrzyni spłotła dłonie na wysokości pasa.

– Przecież doktor był pewny, że chłopak zmarł na skutek spożycia arszeniku.

– W tej kwestii zdania nie zmienił. Nie wie natomiast, jak do tego spożycia doszło, i dlatego zawiadomił policję.

– Niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli pani Humphries miała z tym cokolwiek wspólnego. Gdzie ja znajdę kucharkę, która zdoła dla nas wszystkich gotować. – Widząc moją minę, ochmistrzyni poczerwieniła. – Chciałam powiedzieć, że to anioł nie kobieta. Nigdy by nikogo nie skrzywdziła.

– Rozumiem, że się pani niepokoi, pani Ansel. Nie ma jednak żadnych powodów, aby sądzić, że to ona otruła chłopaka. Jedliście wszyscy to samo, a nikt się nie rozchorował. Policja na pewno ją przesłucha, ale pani Humphries nie powinna się martwić.

Ochmistrzyni skinęła głową i odetchnęła z ulgą.

– Ciekawa jestem, czy zauważyła pani, że zniknęło coś, co mogło zawierać arsenik. Na przykład trutka na szczury. Albo może jakieś proszki do czyszczenia.

Pani Ansel zasłoniła usta dłonią i otworzyła szeroko oczy.

– Czyżby coś przyszło pani do głowy?

Opuściła ręce i znów spłotła palce.

– Nie jestem pewna, ale ostatnio zauważyłam, że z pralni zniknęła trutka na szczury. Tam ją zwykle trzymamy. Pomyślałam, że ktoś ją przeniósł w inne miejsce.

– To zupełnie logiczny wniosek, pani Ansel. I tak też mogło się stać. Byłabym jednak wdzięczna, gdyby zechciała pani zlecić poszukiwania. Proszę powierzyć to zadanie komuś zaufanemu. I niech ten ktoś dokładnie zapamięta, gdzie się ta trutka znalazła, a potem mi o tym powie. I policji oczywiście też. Policję też należy o tym poinformować.

– Dobrze, milady.

– A teraz proszę mnie zaprowadzić do saloniku pana Crockera.

Przeszliśmy jeszcze kilka kroków, po czym ona się zatrzymała i nerwowo zastukała do drzwi, a następnie je otworzyła i moim oczom ukazał się salonik kamerdynera. Pan Crocker wraz z drugim mężczyzną siedzieli po dwóch stronach niewielkiego prostokątnego stolika. Gdy weszłam do pokoju, obaj dźwignęli się na równe nogi. Pani Ansel wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

– Lady Harleigh – powitał mnie Crocker. – W czym mogę pani służyć?

– Doszły mnie słuchy, że przyjechała policja. W sprawie Michaela O'Briena. – Zerknęłam na człowieka po drugiej stronie stołu. Miał może trzydzieści lat, więc wydał mi się nieco za młody jak na sierżanta. Miał na sobie nie najnowszy, ale starannie odprasowany brązowy garnitur. Jasnobrązowe włosy zaczesywał na gładko z przedziałkiem pośrodku, co niepotrzebnie uwydatniało pociągłość jego twarzy. W jego wyglądzie najbardziej zaskoczyły mnie jednak usta, a konkretnie wargi wykrzywione w jakby pogardliwym uśmiechu. Skinęłam do niego głową. – Pan zapewne z policji?

– Zaiste, milady. Sierżant Fisk. Okazuje się, że sprawa śmierci tego całego O'Briena budzi pewne wątpliwości. Przyjechałam przesłuchać służbę i ustalić, czy uda się na tej podstawie te wątpliwości wyjaśnić. Pan C. właśnie mnie wprowadzał w temat.

Zaskoczyło mnie jego: „Pan C.”. Crockerowi nie mogło się to podobać, a Fisk najpewniej doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– A co udało się panu dotychczas ustalić?

– Wszystko wskazuje na to, że chłopak był dobrym lokajem. Ponad rok tu był i jeśli wierzyć panu C., cieszył się powszechnym uwielbieniem.

Uniosłam brwi, słysząc sarkazm w jego głosie. Spojrzałam na Crockera, który zrobił się czerwony na twarzy, ale potwierdził słowa policjanta skinieniem głowy.

– O ile mi wiadomo, O'Brien prowadził się należycie i dobrze się dogadywał z resztą służby. Nie słyszałem, żeby były z nim jakiegokolwiek kłopoty.

– Tyle na razie ustaliliśmy – oznajmił Fisk.

– Wspaniale. W takim razie wiele mnie nie ominęło.

– A zamierza pani zostać?

– Owszem, taki mam zamiar. Ma pan jeszcze jedno siedzisko, Crocker?

Kamerdyner podniósł kapelusz policjanta z trzeciego krzesła i podstawił je do stołu. Na jego wargach przez chwilę zatańczył uśmiech, bo Fisk świdrował mnie wzrokiem i prychnął lekko, wyraźnie niezadowolony ze zmiany układu sił.

– Milady, w roli strażnika praw służby występuje tu już pan C. Nie wydaje mi się, żeby pani obecność była niezbędna, a na pewno ma pani ważniejsze sprawy na głowie.

– Zapewniam pana, sierżancie Fisk, że to chwilowo najważniejsze z moich zadań. Proszę więc kontynuować przesłuchanie.

Fisk otworzył gwałtownie mały notatnik i ponownie skupił się na kamerdynerze.

– A kiedy chłopak miał ostatnio wychodne? Czy wie pan, co robił w wolnym czasie?

Crocker ponownie usiadł na krześle.

– Miał pół dnia wolnego w niedzielę. Wychodne na cały dzień dostał ostatnio w zeszły czwartek. Jeśli zaś chodzi o to, co porabiał poza Risings, to pierwszego dnia po objęciu posady informujemy każdego służącego, czego się od niego oczekuje i jakie zachowania nie będą tolerowane. O ile nie dochodzą nas wieści o jakimkolwiek naruszeniu zasad, nie wtrącamy się w prywatne życie ludzi.

Boże drogi, jaki ten człowiek jest sztywny! Gdyby Fisk zdołał wzbudzić we mnie choć odrobinę sympatii, w tym momencie zrobiłoby mi się go żal.

– A czy pamięta pan, jakie obowiązki powierzył mu w dniu jego śmierci? – zapytałam, zanim zdążyłam sama sobie przypomnieć, że to nie ja tu prowadzę dochodzenie.

– Obowiązki, milady?

– Zastanawiam się, czy robił tego dnia coś, co mogło go narazić na kontakt z arsenikiem. Czy powierzono mu do wykonania jakieś nietypowe zadanie? Może na przykład rozprawiał się z gryzoniami?

Crocker potwierdził skinieniem głowy, że zrozumiał pytanie.

– Musiałbym to sprawdzić w harmonogramie, żeby odpowiedzieć z całą pewnością, ale wydaje mi się, że nic nadzwyczajnego nie robił. Zwykle pracował ramię w ramię z Benem. Jeśli sierżant F. nie ma już do mnie więcej pytań, mogę go tu zawołać.

Fisk wyraził aprobatę gestem, więc Crocker wyszedł po lokaja, całkiem celowo zostawiając drzwi otwarte. Uśmiechnęłam się. Pomyślałam, że może jednak jesteśmy swego rodzaju sojusznikami.

– Nadęty strasznie jak na służącego. – Fisk pokręcił głową i coś sobie zanotował.

– Crocker to wysoko wykwalifikowany kamerdyner, który odpowiada za funkcjonowanie tego domu. Musi pan wiedzieć, panie Fisk, że służba to nie tylko ukłony i sprzątanie. Jeśli w pana mniemaniu on jest nadęty, sugerowałabym, żeby nie zadzierał pan ze mną.

Crocker wrócił właśnie w towarzystwie młodego, postawnego człowieka w liberii, więc sierżant nic nie zdążył odpowiedzieć. Posłał mi tylko zaintrygowane spojrzenie.

Kamerdyner przedstawił nam Bena, który pracował w domu jako starszy lokaj. Miał osiemnaście, może dwadzieścia lat, a z twarzy wyglądał na szczerego i otwartego chłopaka. Kamerdyner pozostał w pozycji stojącej, Ben zaś usiadł przy stole. Położył dłonie na kolanach i splótł palce tak mocno, że aż mu zbieleły opuszki.

Fisk skrzyżował ręce na piersi i opadł na oparcie krzesła.

– Jak rozumiem, na co dzień pracował pan z nieboszczykiem. Czy może nam pan powiedzieć, czym się zajmowaliście w dniu jego śmierci?

Chłopak czuł się wyraźnie niekomfortowo, trudno mi jednak było stwierdzić, czy wynikało to z obecności policjanta, czy może z nadzoru Crockera.

– Większość dnia spędziliśmy razem. W domu są goście, więc nakrywaliśmy stół do śniadania i doglądaliśmy naczyń ustawionych na podgrzewaczach oraz dzbanków z kawą i herbatą, żeby niczego nie zabrakło. Gdy już goście pojedli, uprzątnęliśmy naczynia i zamieśliśmy jadalnię. Dwaj dżentelmeni przybyli w gości bez swoich osobistych służących, więc ja pomagałem panu Durantowi, a Michael służył panu Kendrickowi. Nie wzywali nas zbyt często, ale zdarzało się, że dzwonek się odzywał i któryś z nas musiał iść. Gdy panowie poszli się przygotowywać do posiłku, uprzątnęliśmy gabinet hrabiego, a potem podawaliśmy kolację.

Gdy Fisk skupił się na robieniu notatek, dorzuciłam jedno pytanie od siebie.

– Wnioskuje z tego, że byliście razem przez cały dzień z wyjątkiem tych momentów, gdy któryś z was służył akurat jednemu z gości. Czy to się zgadza?

Chłopak zmarszczył brwi.

– W zasadzie tak, milady. Pan Kendrick zadzwonił jeszcze jakoś godzinę po kolacji. Akurat byłem wtedy w pokoju wspólnym, więc zapukałem do Michaela,

żeby poszedł na górę. On mi wtedy powiedział, że nie czuje się najlepiej, więc udałem się do pana Kendricka zamiast niego.

– A z Michaelem rozmawiałeś przez drzwi?

– Nie, otworzyłem je i zajrzałem do środka. Leżał w łóżku i rzeczywiście wyglądał bardzo źle.

Fisk gwałtownie uniósł głowę znad notatek.

– I nie pomyślałeś, żeby posłać po lekarza?

– Zaproponowałem mu to, sir, ale powiedział, że napił się właśnie piwa imbirowego i że się kładzie spać.

– Tak w każdym razie twierdzisz – wymamrotał Fisk.

– Obaj tak twierdzimy – wtrącił Crocker. – Ben bezzwłocznie poinformował mnie, że Michael niedomaga, a ja wtedy osobiście do niego zajrzałem. Widać było, że źle się czuje, więc zwolniłem go z obowiązków, a do sprzątania jadalni przydzieliłem Benowi młodszego kamerdynera.

Fisk westchnął ciężko, a potem znów zwrócił się do Bena.

– A czy dobrze się dogadywałeś z Michaelem?

Chłopak przekrzywił głowę.

– Chyba mniej więcej tak jak wszyscy.

– A pozostali jak się z nim dogadywali? Czy on był lubiany?

Wzrok Bena uciekł na bok. W kierunku pana Crockera. Czyżby chłopak obawiał się mówić szczerze w obecności przełożonego? A może chodziło o coś innego? Milczenie przeciągało się na tyle długo, że kamerdyner uznał za stosowne odchrząknąć.

– Wszyscy się tu dogadywali. Nikt się nigdy nie skarżył na Michaela, nikt nie miał do niego żadnych pretensji. – Crocker posłał lokajowi wymowne spojrzenie.

– Chyba się ze mną zgodzisz, Ben?

Ben zareagował zgodnie z jego oczekiwaniami.

– Tak, proszę pana. Nikt się nie skarżył.

Czy to jednak była prawda? To stwierdzenie w zasadzie zamykało temat. O ileż by było lepiej, gdyby po drugiej stronie stołu siedział Delaney, a nie Fisk. Sierżant na pewno miał o sobie wysokie mniemanie, ja za to nie miałam wrażenia, żeby on wiedział, co robi.

Z tej relacji nie wynikało, żeby Michael robił tamtego dnia cokolwiek, co mogło go narazić na styczność z arsenikiem. Zważywszy zaś na to, że trutka na szczury gdzieś zniknęła, można było przypuszczać, że ktoś go jednak nie lubił,

i to na tyle, żeby zatruć jego posiłek. Ostatecznie chłopak rozchorował się tuż po kolacji.

– A czy któryś z panów przypomina sobie, czy Michael odchodził od stołu już po rozpoczęciu posiłku?

Crocker zmarszczył brwi, oburzony najpewniej sugestią, że ktoś z podległej mu służby mógłby się tak niegrzecznie zachować.

– Cały czas siedział z nami, milady.

– Pani Ansel powiedziała, że z pralni zniknęła trucinka na szczury. Któryś z panów może wie, gdzie ona może być?

Wcale mnie nie cieszyło, że podaję Fiskowi na tacy kolejne powody, aby szukać winnego pośród służby, to jednak była informacja, której w żadnym razie nie mogłam zachować dla siebie.

Wszyscy trzej panowie spojrzeli na mnie zaskoczeni. Ben pokręcił głową.

– Ja nie mam pojęcia, proszę pani.

Fisk skinął do niego głową.

– Jeśli cokolwiek sobie przypomnisz, koniecznie przyslij wiadomość na posterunek.

– Mnie również o tym poinformuj. – Kamerdyner zwrócił się do chłopaka, który właśnie wstawał.

Ben wyszedł, uprzednio poinstruowany, aby odnaleźć i przyprowadzić kolejną osobę. To przesłuchanie bardzo mnie rozczarowało. Fisk chyba uważał odpowiedzi Bena za wiarygodne, mnie jednak coś podpowiadało, że w obecności surowego przełożonego chłopak nie mówił całkiem szczerze. Kolejne rozmowy przebiegały według podobnego schematu. Fisk zadawał wszystkim w zasadzie te same pytania, a przesłuchiwanym wahało się przed udzieleniem odpowiedzi dokładnie tak samo jak Ben, ale ostatecznie zapewniali, że służba to szczęśliwa i zgrana grupa ludzi. Nie wiem, jak Fisk oceniał efekty swojej porannej pracy – ale ja w zasadzie niczego się nie dowiedziałam.

Gdy krótko przed dwunastą sierżant w końcu zaczął się zbierać, zapytałam go o dalsze plany w tej sprawie, a on tylko lekceważąco się uśmiechnął.

– Popytam jeszcze w wiosce, milady, a potem przejrzę notatki. Na pewno nie musi sobie pani tym zaprzątać głowy. Proszę mi jedynie dać znać, gdyby znalazła się trucinka na szczury.

Crocker wyprowadził policjanta przez kuchnię na zewnątrz, ja zaś udałam się w kierunku obitych suknem drzwi, przez które wchodziło się do galerii i stamtąd do sali rycerskiej.

– Lady Harleigh...

Aż podskoczyłam na dźwięk pełnych napięcia słów wypowiedzianych szeptem. Pod schodami prowadzącymi do korytarza kawalerskiego kulił się starszy lokaj.

– Ben, przestraszyłeś mnie. Czy coś się stało?

– Tak, milady. Pan Cocker od razu by mnie zwolnił, gdyby się dowiedział, że z panią mówiłem, ale ja nie powiedziałem prawdy, gdy mnie ten policjant pytał.

Nie chciałam, żeby lokaj stracił przez to pracę, ale koniecznie musiałam się dowiedzieć, czego nie wyjawiał podczas przesłuchania.

– A możesz mi to szybko powiedzieć? Czy tutaj ktoś nas podsłucha?

Podobnie jak on, rozejrzałam się, czy nikt się nie zbliży, a potem weszłam w ślad za nim głębiej pod schody.

– Chodzi o to, proszę pani, że nikt tu tak naprawdę nie lubił Michaela. Może jeszcze stajenni i ogrodnicy, może młode dziewczyny się nim zachwycaly, ale tu w domu, to nikt za bardzo nie miał do niego zaufania. On sobie nieładnie poczynił z dziewczętami na służbie, zaglądał do kieliszka... No i rzeczy znikaly, gdy akurat był w pobliżu.

Chłopak cały czas wyglądał na galerię i mówił tak szybko i tak cicho, jak tylko się dało, a ja słuchałam go oniemiała. Jakże się to różniło od tego, co zeznał Fiskowi!

– Dlaczego wcześniej o tym nie wspomniałeś?

– Chodzi o pana Crockera, proszę pani. On nie toleruje nonsensownych zachowań. Nie ma za grosz zrozumienia. Wyrzuciłby nie tylko Michaela, pokojówki też. I dlatego one się nie skarżyły. On nic nie wie o tym, żeby Michael zachowywał się nienależycie. A jeśli chodzi o kradzieże, to tak jak mówiłem, różne rzeczy znikaly, ale nie mam żadnego dowodu na to, że to przez niego.

Wyjrzał na galerię raz jeszcze, dokładnie w momencie gdy gdzieś w oddali odezwał się zegar.

– Muszę wracać do obowiązków, milady.

Aż trudno mi było uwierzyć w to, co właśnie usłyszałam.

– Ben, ty przecież musisz to wyjawić Fiskowi. Michael mógł zostać zamordowany przez kogoś z tego domu.

Chłopak uniósł rękę, jakby chciał mnie powstrzymać.

– Nie, proszę pani. Ja tylko mówię, że tu nikt by nie dał za niego złamanego grosza. Nawet jednak przez myśl mi nie przeszło, że ktoś byłby gotów go zabić.

Ciągle się jeszcze nie otrząsnęłam po tym, co mi powiedział.

– Skoro jednak nikt go tu nie lubił, to dlaczego wszyscy go kryjecie? Rozumiem, że pokojówki obawiały się utraty pracy, ale dlaczego nikt nie zgłosił, że on pije?

– Myślałam o tym, proszę pani. Tyle że nam tutaj i tak niewiele wolno, więc bałam się, że pan Crocker tylko zaostrzyłby zasady dla nas wszystkich. A przecież tylko Michael sobie folgował. – Westchnął ciężko. – Gdy tamtego dnia sprzątałśmy w gabinecie hrabiego, opróżnił do dna wszystkie kieliszki po dżentelmenach. Mimo że był w pracy. – Przygryzł wargę i pokręcił głową. – To był diabeł, bez dwóch zdań. W wiosce na pewno zachowywał się nie lepiej niż w domu. Może tam znajdzie się ktoś, kto mógłby chcieć go zabić. To tam policja powinna szukać. Proszę pani, ja już naprawdę muszę wracać do pracy.

Odesłałam go z powrotem do pomieszczeń dla służby, a sama próbowałam uporządkować w głowie te wszystkie nowe i zdumiewające informacje. Rzeczywiście mogło być tak, że to ktoś z wioski bardzo źle mu życzył, tyle że on tam był po raz ostatni w czwartek. Jeśli więc jego śmierć nie była przypadkiem, to mordercy należało szukać w domu.

ROZDZIAŁ 13

Podczas wędrówki na górę udało mi się rozstrzygnąć dwie rzeczy. Po pierwsze decyzję w sprawie informacji przekazanych przez Bena postanowiłam pozostawić George'owi. Po drugie zaś uznałam, że trzeba jeszcze raz porozmawiać z pokojówkami, tym razem na osobności. To jednak musiało na razie poczekać, bo Lily i Rose przymierzały sukienki i moja siostra chciała się ze mną skonsultować. Dotarłam właśnie do szczytu schodów i skręcałam w południowy korytarz, gdy dostrzegłam mężczyznę, który ukradkiem opuszczał jeden z pokoi gościnnych. Zamknął za sobą drzwi starannie i po cichu, a potem oddalił się ode mnie i zniknął w przejściu dla służby, które znajdowało się w połowie korytarza. Można było zejść tamtędy do galerii. Mężczyzna miał na sobie tylko spodnie i koszulę, a ramiona skrywał mu płaszcz, w żaden sposób nie dało się więc rozpoznać, czy był to dzentelmen, czy ktoś ze służby.

Wydało mi się to dziwne. Panowie, przynajmniej teoretycznie, ciągle jeszcze zajmowali się strzelaniem do ptactwa. Zresztą dlaczego ktokolwiek z gości miałby korzystać ze schodów dla służby? Nagle mnie olśniło, że odpowiedź na to pytanie jest prosta: żeby nie zostać zauważonym, ot co. Niektórzy przecież głównie po to brali udział w tego rodzaju wizytach, aby przy okazji spędzić trochę czasu z kim innym niż własna żona. Akurat w tym jednak przypadku w domu przebywali ludzie należący do tej samej rodziny – albo mający wkrótce do niej dołączyć. To mnie skłaniało do wniosku, że widziany przeze mnie mężczyzna musiał być służącym. Kogo jednak odwiedzał?

Stwierdziłam, że jak zwykle mam za dużo spraw na głowie. Postanowiłam zastanowić się nad tą konkretną sprawą przy innej okazji, a tymczasem zastukałam do drzwi i weszłam do pokoju Lily.

– Frances, zapraszam do środka.

Choć na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że moja siostra czuje się lepiej niż rano, to w jej głosie pobrzmiwało napięcie, jakby ledwo panowała nad emocjami. Zastanawiałam się, co takiego mogło się wydarzyć. Rozglądałam się po sporych rozmiarów pomieszczeniu urządzonej na biało-różowo. W promieniach wpadającego przez okna południowego słońca ujrzałam moją matkę. Być może to jej obecność tak działała Lily na nerwy.

Moja siostra stała na stołeczku, a krawcowa poprawiała jej coś w okolicach pasa. Rose i matka siedziały na ławce dostawionej do łóżka. Moja córka uśmiechała się i machała nogami, moja matka zaś miała zaciśnięte wargi i ściągnięte brwi. Wszystko to wskazywało, że to zaiste ona stanowi przyczynę poruszenia Lily.

Zrobiłam krok naprzód.

– Leo będzie zachwycony tą suknią, moja droga. Wyglądasz olśniewająco.

– Też mi coś. Moim zdaniem wszystko na nic.

Matka skwitowała swoją opinię prychnięciem. Po prostu prychnęła! Na litość boską, co też ona wyprawia?

Lily odwróciła się nieoczekiwanie, zmuszając biedną krawcową do przesunięcia się w przód. Mało brakowało, a suknia by się przy tym rozdarła. Musiałam wejść do pokoju w trakcie trwającej kłótni.

Wyciągnęłam rękę do Rose, która zeskoczyła z ławki i podbiegła do mnie, pociągając nosem.

– Jak się udała poranna przejażdżka?

Zmarszczyła nosek i kichnęła.

– Z zamku zostały tylko ruiny. – Wzruszyła ramionami. – Ale jechało się przyjemnie.

Podalam jej chusteczkę.

– A co to za pociąganie nosem i kichanie, moja mała? Czy na pewno dobrze się czujesz?

Ona skinęła głową, a ja kontrolnie przyłożyłam jej rękę do czoła. Szczęśliwie okazało się chłodne.

– No dobrze. Twoja sukienka jest u mnie w garderobie. Może byś tam poszła i poprosiła Bridget, żeby pomogła ci ją odnaleźć?

Rose odwróciła się i zerknęła na babkę i ciotkę. Przez moment pomyślałam, że się sprzeciwi, bo będzie chciała nadal śledzić przebieg rozmowy.

– Teraz? – zapytała.

– Najlepiej by było.

Maszerowała w kierunku drzwi tak powolnym krokiem, jakbym ją właśnie posyłała na ścięcie. W końcu jednak niepowstrzymana przez nikogo dotarła do klamki, więc westchnęła tylko i wyszła.

Wtedy zwróciłam się do matki.

– Czyżbyś miała zastrzeżenia do sukni?

– Suknia jest boska. – Obdarzyła mnie chłodnym i surowym spojrzeniem. – Zastrzeżenia mam do pana młodego.

Usiadłam obok niej.

– Nie mogę cię oczywiście powstrzymać przed dyskutowaniem z Lily na temat jej wyboru męża, ale dla mojej córki to najbardziej romantyczne doświadczenie w całym jej dotychczasowym życiu. Cokolwiek zaś powiesz, Leo najpewniej wkrótce zostanie jej wujem, byłabym ci więc wdzięczna, gdybyś w jej obecności nie wypowiadała krytycznych uwag pod jego adresem.

Matka wybałuszyła oczy tak mocno, że lada moment mogły jej wyskoczyć z orbit. Później zaś wydarzyło się coś, co potem wielokrotnie określałam mianem „niemal cudu”. Moja matka się wycofała. Ona, kobieta zawsze przekonana o wyższości swoich racji, tym razem nie podniosła rękawicy. Opuściła tylko wzrok i westchnęła ciężko.

Potem poklepała mnie po dłoni i wypowiedziała słowach, które nigdy wcześniej nie padły z jej ust w mojej obecności.

– Masz rację, moja droga.

Ledwo się powstrzymałam przed otwarciem szeroko ust.

– Nie powinnam nic mówić przy Rose. Jednocześnie uważam za swój matczyzny obowiązek doradzić Lily w kwestii wyboru męża. Liczyłam na to, że pod moją nieobecność ten obowiązek weźmiesz na siebie ty, a jeśli nie ty, to Hetty.

Westchnęła i spojrzała na mnie z rozczarowaniem w oczach. Ot, i nagle wszystko wróciło do normy. Moja matka znów zachowywała się tak, jak miała w zwyczaju.

Ścisnęła moją dłoń i mówiła dalej.

– Pamiętasz, jak się wspaniale bawiliśmy podczas twojego debiutu? Naprawdę zablysnęłaś wśród londyńskiego towarzystwa. Pomyśleć, że nawet jeden udzielnny książę ubiegał się o twoją rękę.

– Nie wydaje mi się, żeby on rzeczywiście był księciem, mamó. Nigdy nie udało mi się znaleźć na mapie tego jego rzekomego państwa. Zresztą on wcale nie poprosił mnie o rękę. – W rzeczywistości wystosował prośbę tak oburzającą, że wymierzyłam mu policzek, w ten sposób kładąc kres jego zalotom.

Matka zwolniła chwyt i uniosła dłonie ku górze, jakby zbywając te moje uwagi.

– Może i nie, rzecz jednak w tym, że tworzyliśmy niezwykle zgrany duet. Ty dobrze rozumiałaś, że wchodzisz do towarzystwa po to, aby zapewnić nam wszystkim awans społeczny. Lily tymczasem zawsze przedkładała swoje pragnienie miłości ponad nasze rodzinne cele. Nie potrafiła się skupić.

– Mamo, a ty wiesz, że ta Lily też tu jest, prawda? – odezwała się moja siostra ze swojego zydła. Nagłym gestem skrzyżowała ręce na piersiach, ku utrapieniu krawcowej podciągając przy tym suknię w górę. – Słyszę każde twoje słowo.

Matka tymczasem pogrążyła się we wspomnieniach.

– Wydawało mi się, że może poprowadzisz ją lepiej niż ja. Spodziewałam się, że posłuszysz jej radę.

– Frances mi doradzała, podobnie jak ciocia Hetty. Obie są zadowolone z mojego wyboru. Tylko ty zgłaszasz sprzeciw.

– Czyżby? – Matka spojrzała na mnie pytającym wzrokiem. – A cóż ty jej konkretnie doradzałaś, Frances? Żeby wybrała tego jednego jedynego człowieka z ludu, którego spotka wśród arystokratów, i właśnie za niego wyszła?

Otworzyłam usta, żeby jej odpowiedzieć, ale Lily mnie uprzedziła.

– Powiedziała mi, żebym poszła za głosem serca.

Usta matki wykrzywiły się w sztucznym, gorzkim uśmiechu, a nozdrza delikatnie jej się rozwarły.

– Czyżby?

To nie do końca tak było.

– Przyjrzałyśmy się uważnie wszystkim kandydatom do ręki Lily. Nie chciałam, żeby padła ofiarą jakiegoś łowcy posagów. – Takiego jak ten tak zwany książe. – A wśród absztyfikantów dwóch się takich znalazło.

– Jak mniemam, szlachetnie urodzonych?

To także było trudne pytanie. Nie chciałam wdawać się w szczegóły i analizować rodowodu poszczególnych panów. To by zbyt długo trwało. Wzruszyłam więc tylko ramionami. Niech sobie matka myśli, co chce.

– Ty wyszłaś za arystokratę. Nie wydawało ci się, że twoja siostra również na to zasługuje?

Lily uniosła dłonie w geście kapitulacji, a potem zwróciła się do krawcowej, żeby omówić z nią jakiś szczegół dotyczący lamówki. Ja tymczasem posłałam matce oburzone spojrzenie.

– Oczywiście, że Lily zasługiwałaby na to, żeby wyjść za arystokratę. Przede wszystkim jednak zasługuje na to, aby wyjść za mężczyznę, który będzie ją kochał i o nią zadba. Leo jest takim mężczyzną. Będę wiedli razem szczęśliwe życie w małżeństwie. A nie takie jak ja...

– Szczęście. – Matka zbyła całą tę koncepcję machnięciem ręki. – Małżeństwo nie ma dać kobiecie szczęścia. Ma jej zapewnić status, majątek albo pozycję.

– Żadna z tych rzeczy nie jest warta życia u boku męża, z którym się jest nie-szczęśliwą.

Matka pokręciła głową.

– Nie dramatyzuj. Kobieta może czerpać szczęście z bycia matką albo też z życia towarzyskiego. Nieszczęśliwa byłaś, powiadasz? Z pieniędzmi ojca i tytułem męża miałaś Londyn u swoich stóp.

Teraz to ja westchnęłam. Przez lata naszego małżeństwa mąż trzymał mnie w swoim rodzinnym domu na wsi. Do Londynu jeździłam może raz, może dwa razy do roku i nikt tam mi nigdy nie padał do stóp. Oczywiście moja matka wołała sobie wmawiać, że było inaczej.

– Nie rozumiem cię, Frances. Lily zawsze robiła wszystko na opak...

Moja siostra skwitowała to tylko ciężkim westchnieniem.

–...ale ty zdawałaś się rozumieć, do czego służy małżeństwo w naszym świecie. – Wpatrywała się teraz we mnie, jakby szukając zrozumienia. – A teraz tak się zmieniłaś, że ledwo cię poznaję.

Owszem, zmieniłam się – i to wcale nie tylko za sprawą mojego nieudanego małżeństwa. Zmieniłam się również dlatego, że zakochałam się w George’u. Odkąd to się stało, patrzę na świat zupełnie inaczej. Przekonałam się, że o mojej wartości decyduje nie tylko to, ile mogę wnieść w posagu. Ta miłość zaspokajała różne moje potrzeby, o których istnieniu nawet dotąd nie wiedziałam. I w tym momencie uświadomiłam sobie, że jeśli moja matka nie odnajdzie w sobie żadnych uczuć do ojca, to gdy wreszcie wszystkie jej dzieci się ustatkują, samotność zacznie jej bardzo doskwierać.

– Próbuję was jedynie przekonać, że być może jeszcze nie jest za późno, żeby ten ślub odroczyć. – To ostatnie słowo wypowiedziała z emfazą, wymownie przebijając przy tym palcami. – Tylko tyle. Wczoraj wieczorem usiadło z nami do kolacji dwóch kawalerów, obaj należący do znamienitych rodzin, jeden mający w perspektywie odziedziczenie tytułu. Obaj przy tym atrakcyjni, a jeden wyraźnie zainteresowany Lily.

Lily zarumieniała się na samą wzmiankę o Erneście Treadwellu, ja zaś pomyślałam, że w najbliższych dniach muszę koniecznie trzymać ich z dala od siebie – bo jeszcze wspólnie wymyślą coś, co pozwoliłoby „odroczyć” ślub. Drugim z rozważanych przez matkę kawalerów musiał być natomiast Percy Bradmore.

– Lily już postanowiła, a ślub odbywa się raptem za kilka dni. To już nie czas, aby cokolwiek odwoływać czy odraczać.

– Tym bardziej że ja niczego takiego nie chcę – dorzuciła Lily, zerkając mi przez ramię.

– Nie rozumiem, co się z tobą stało, Frances. Krztyny ambicji w sobie nie macie, drogie dziewczęta. – Matka uniosła brodę i posłała mi gniewne spojrzenie. – A jakie ty masz perspektywy? Rozważasz ponowne zamążpójście?

Zaskoczyła mnie ta nagle zmiana tematu. Nie spodziewałam się, że matka wyprowadzi przeciwko mnie tak bezpośredni atak. Poczułam, że się rumienię, więc czym prędzej zerknęłam na siostrę, szukając u niej pomocy. Ona chyba chciała przyjść mi na ratunek, ale wahała się jeszcze, czy lepiej będzie wystąpić w mojej obronie, czy raczej uciec przed kolejną konfrontacją. Właśnie miałam się odezwać, gdy Lily jednak zdecydowała się na walkę.

– Na razie Frances towarzyszy mi w mojej drodze do ołtarza, mammo. Wstrzymaj się z naciskaniem w jej sprawie choć do momentu, gdy ja wyjdę za mąż.

Moja matka rozpoczęła wtedy kolejną tyradę o niewdzięcznych dzieciach. Jakże żałowała, że los nie obdarzył jej samymi synami. Podczas gdy ona się piekliła, spójrzałam na Lily przez lustro i bezgłośnie jej podziękowałam.

Taka byłam wdzięczna siostrze za jej pomoc, że przekonałam matkę, aby zostawiła Lily w spokoju i poszła ze mną na lunch zorganizowany przez Fionę. To miała być okazja do spotkania z paniami ze Stafford, czyli z posiadłości, na której terenie panowie akurat strzelali do ptactwa.

– Nie zdawałam sobie sprawy, że Brytyjczycy aż tak chętnie spędzają czas na świeżym powietrzu – powiedziała matka, marszcząc nos, po czym podreptała zwirowym podjazdem w stronę otwartego powozu. – Po cóż utrzymywać takie wielkie domy, jeśli cały czas spędza się na zewnątrz?

– Mammo, przecież cały poranek przesiedziałaś w środku. Łyk świeżego powietrza dobrze ci zrobi.

Matka westchnęła ciężko, potem jednak uśmiechnęła się promiennie, bo oto podeszłyśmy do Fiony, aby dać się pokierować do powozu.

– Witam, pani Price. Zarezerwowałam dla pani wygodne miejsce, o, tutaj.

Wskazała mojej matce stajennego, który pomógł jej zająć miejsce w bryczce Staffordów obok Elizy Durant.

– Chyba już mamy tam pełno, Frances – dodała z udawanym żalem. – Może więc zechcesz mi towarzyszyć? Kilka z nas zamierza dojść na miejsce piechotą. To całkiem niedaleko stąd, jeśli się pójdzie przez łąki.

Wizja spaceru, zwłaszcza jeśli pozwalał mi uniknąć natrętnych pytań matki, bardzo mi przypadła do gustu. Lottie, Anne, Fiona i ja wyruszyłyśmy więc pieszo ścieżką, która prowadziła wzdłuż ściany labiryntu, a potem obok chatek zarządcy i łowczego na otwartą łąkę, gdzie chłodny wiatr próbował porwać nasze kapelusze.

– Lottie, jak się dziś czuje Charles?

– Na tyle dobrze, że kazał mi sobie iść – odparła, krzywiąc się lekko. – Chyba nie najlepiej się spisuję w roli pielęgniarki. Charles odpoczywa w łóżku obłożony poduszkami w taki sposób, żeby rana nie dotykała podłoża. Wczoraj chciałam mu poprawić tacę z kolacją, ale gdy przysiadłam obok, przypadkiem ją trąciłam. – Skrzywiła się. – Trzeba go było przez to podnieść, żeby zmienić pościel. A rano, gdy mu przynosiłam książkę, potknęłam się o dywan i wylądowałam prosto na jego... ranie.

Teraz to ja się skrzywiłam.

– Książkę zatrzymał, ale mnie odprawił. Mam nadzieję, że wieczorem po kolacji będzie już mógł do nas dołączyć. Bo rzekomo ból nieco już ustąpił.

Zgodziłyśmy się wszystkie co do tego, że miło by było zobaczyć go znów na nogach i w towarzystwie. Anne zajęła Lottie rozmową, więc mogłyśmy z Fioną wypuścić dziewczęta nieco przodem.

– Koniecznie chcę ci opowiedzieć, co jeszcze robiłam rano – powiedziałam, a potem streściłam jej przebieg przesłuchań i mojej późniejszej rozmowy z Benem.

– Zgadzam się, że on bezwzględnie powinien przekazać te informacje policji. Wcale mnie to jednak nie dziwi, bo zgadza się z tym, co mi się udało wydobyć od pokojówki – odparła.

– Od pokojówki?

Fiona skinęła głową.

– Bardzo żałuję, że nie mogłam ci towarzyszyć podczas tych przesłuchań. Potem jednak pomyślałam, że Jonesy, to jest moja pokojówka, mogła podsłuchać coś z rozmów, które toczyły się wśród służby po śmierci tego lokaja.

– Sprytnie, Fiono. Muszę w tej sprawie porozmawiać również z Bridget. Prosiłam ją, żeby mi powiedziała, czy coś wie na temat tego Michaela, ale nie przyszło mi do głowy, żeby rozpytywać ją o pozostałych. A czego się dowiedziałaś od Jonesy?

– Z tego całego Michaela O'Briena był chyba nie lada kobieciarz, a w każdym razie on tak o sobie myślał i na pewno co młodsze dziewczęta potrafił zauroczyć. Jedna z pokojówek opowiadała Jonesy, że on flirtował jednocześnie z pomocą kuchenną i pomywaczką. – Fiona pokręciła głową. – One się w końcu dowiedziały o sobie nawzajem, bo jakżeby inaczej, a wtedy wynikła wielka kłótnia. Ta pokojówka razem z kucharką musiały je rozdzielać, żeby pani Ansel albo pan Crocker się o wszystkim nie dowiedzieli.

Aż mi dech w piersi zaparło.

– Podczas przesłuchań pana Fiska nikt ani słowem o tym nie wspomniał. A przecież obie te dziewczyny miały dostęp do trutki na szczury. Czy twoim zdaniem na tyle się pogniewały, że mogły się dopuścić zbrodni?

– Niewykluczone, rzecz jednak miała miejsce pół roku temu. Jak twierdzi Jonesy, obie zgodnie uznały, że szkoda by było przez niego stracić pracę albo przyjaźń tej drugiej. Tym bardziej że ten lokaj znalazł sobie potem kogoś w wiosce.

Nie do końca mnie to przekonywało.

– Flirtował jednocześnie z dwiema dziewczynami i żadna z nich nie miała o to żalu? Nie przeszkadzało im, że muszą dalej razem pracować? I pracować z nim?

Fiona wzruszyła ramionami.

– Jonesy twierdzi, że one sobie wszystko wyjaśniły.

– A ten, którego te wyjaśnienia dotyczyły, nie żyje.

– Chyba nie myślisz, że któraś z nich go otruła?

– A niby dlaczego nie? Ktoś to przecież zrobił. Dlaczego miałyby to nie być one? – Tak mnie to pochłonęło, że zaczęłam nerwowo bawić się górnym guzikiem kurtki. Zastanawiałam się, czy ktoś rzeczywiście czekałby z zemstą aż pół roku. – A jak zareagowały, gdy znaleziono Michaela?

– Nie mam pojęcia, ale poproszę Jonesy, żeby spróbowała się dowiedzieć. Rozumiem, że tylko z Benem udało ci się porozmawiać na osobności?

Skinęłam głową.

– To on do mnie przyszedł. Rozmawialiśmy zresztą bardzo krótko. Myślałam, że kark sobie skręci, tak się przez cały czas rozglądał, czy aby Crocker nie nadchodzi. Potem poszłam zobaczyć, jak idzie Lily przymierzanie sukni, i tam utknęłam z moją matką. Chociaż nie... To jeszcze nie wszystko. – Uchwyciłam Fionę pod rękę i wyjrzałam przed siebie, żeby się upewnić, że dziewczęta nas nie usłyszą. – W drodze na górę widziałam, jak ktoś wychodził z jednego z pokoi gościnnych. Dwoje drzwi od pokoju Lily w głąb korytarza. Wiesz może, kto tam mieszka?

Fiona zmarszczyła brwi w zamyśleniu.

– Dwoje drzwi od Lily... Eliza Durant. Jej mąż zajmuje pokój po prawej, w środku mają drzwi. A dlaczego pytasz?

Jakże to interesujące! Przyłgnęłam do przyjaciółki jeszcze mocniej.

– Otóż ten mężczyzna, który już choćby tylko z racji wzrostu na pewno nie był Arthurem Durantem, wymykał się z jej pokoju z całą pewnością ukradkiem.

Fiona zbyła jednak moje spostrzeżenie machnięciem ręki.

– Ależ! Eliza folguje sobie z młodszym kamerdynerem, niemal odkąd przyjechała. – Cmoknęła cichutko. – Arthur wybywa na całe poranki, a jej się wydaje, że nikt się nie zorientuje. Tylko że ja wiem i służba też wie. Lada moment wszyscy będą o tym wiedzieli.

– Służba wie?

Odpowiedziało mi wzruszenie ramion.

– Ja się dowiedziałam od pokojówki. Udawała oburzenie, ale na pierwszy rzut oka było widać, jak wielką radość czerpie z tego, że może mi przynieść taką plotkę. Wiele się kryje najróżniejszych psot pod dachem mojego brata, a służba strzeże się tylko, żeby pan Crocker się nie zorientował.

– Wyobrażam sobie, że on by na takie wybryki nie pozwolił, gdyby o nich wiedział. Ben twierdzi, że gdyby kogoś przyłapał, natychmiast by go zwolnił i jeszcze odprawił bez referencji. To pewnie wyjaśnia, dlaczego służący chronią się nawzajem. Pierwszy raz jednak spotykam się z sytuacją, w której aż tyle osób wydaje się mieć coś na sumieniu.

– To przypuszczalnie dlatego, że hrabia rzadko tu bywa. Większość czasu spędza w Londynie albo w podróży. Pod jego nieobecność służba poczyna sobie dość dowolnie.

Potknęłam się właśnie o pieniek, ukryty w głębokiej trawie, więc Fiona chwyciła mnie mocniej, żeby mi pomóc w odzyskaniu równowagi.

– No a Eliza Durant? Po cóż ryzykować ze służącym? Nie mogłaby się nawet wymawiać nieobecnością męża, bo on przecież przyjechał razem z nią.

– O to już trzeba by pytać ją. Ja wiem tylko, co ona robi. Dlaczego, nie mam pojęcia. – Fiona zmrużyła oczy. – O ile dobrze pamiętam, to ojciec namawiał ją do małżeństwa z Durantem. Ona tylko podporządkowała się jego woli.

– Może teraz tego żałuje.

– A ty byś nie żałowała?

Skrzywiłam się.

– To rzeczywiście nie jest ktoś, z kim bym chciała spędzić życie.

Przyjaciółka złapała mnie za nadgarstek, żeby mnie zatrzymać, a potem spojrzała na mnie i otworzyła szeroko oczy.

– Życie, powiadasz? Już kolacja czy nawet herbatka to mogłoby być za długo. On przecież mówi tylko półsłówkami.

– Czyżbyś przypuszczała, że ona mogłaby chcieć zakończyć to małżeństwo?

– Być może żałuje swojej decyzji, ale moim zdaniem nigdy by od niego nie odeszła. Pan Kendrick za bardzo go poważa. Gdyby choć wspomniała o rozwo-

dzie, ojciec mógłby ją odprawić, a zatrzymać przy sobie zięcia. – Jej wymowne spojrzenie dopowiadało resztę. – Tyle, jeśli chodzi o odpowiedź na twoje pytanie. Ona żałuje, że za niego wyszła, ale nie może od niego odejść, więc romansuje i zabawia się ze służącymi. Tak w każdym razie można by przypuszczać.

– Twierdzisz, że Henry Kendrick tak wysoko ceni zięcia. A jednak nie chce go mieć za współnika. Może stać się tak, że to Durant odejdzie od Kendricka.

– Niemniej wydaje się, że właśnie po to ożenił się z Elizą. To znaczy żeby dołączyć do firmy jej ojca.

Zatrzymałam się nagle i zacisnęłam palce na ramieniu Fiony.

– Twierdzisz, że cała służba wie o Elizie i młodszym kamerdynerze. Może w takim razie O'Brien jej zagroził, że wyjawia sprawę mężowi?

– Boże drogi, Frances! Czyżbyś myślała, że to ona go otruła?

– Nie wiem. Myślisz, że byłaby do tego zdolna?

Fiona przez chwilę się nad tym zastanawiała.

– Szczerze powiedziawszy, byłabym zdziwiona, gdyby Durant o niczym nie wiedział. – Wzruszyła ramionami. – O ile nie gruchną jakieś plotki, najpewniej będzie przysmykać na to oko.

– Ależ to przykre.

Skuliłam się w sobie na myśl o tym, że małżeństwo Durantów to raczej wydmuszka niż związek.

Fiona dotknęła mojego ramienia.

– Potrafię odgadnąć, dokąd teraz biegną twoje myśli, powinnaś je jednak powstrzymać. Nie każde małżeństwo musi się źle skończyć. Spójrz tylko na moje. Trudno o lepszy przykład małżeńskiego szczęścia.

Uśmiechnęłam się.

– Wy dwoje stanowicie ucieleśnienie teorii o dwóch połówkach, które się do siebie dopasowały. Zwykli śmiertelnicy nie mogą nawet marzyć, że ich coś takiego w życiu spotka.

Moja przyjaciółka zbyła te słowa machnięciem ręki.

– Ale przecież! Wiesz, że to wszystko moja zasługa. Stale przypominam Robertowi o tym, jak szczęśliwie i wygodnie żyje mu się ze mną u boku. A George jest chyba trochę taki jak ja. – Zamyśliła się na chwilę. – Niewykluczone, że też ci będzie o tym przypominać. Choć to właściwie bez znaczenia. O ile obydwójce będziecie o tym pamiętać, szczęścia wam w związku nie zabraknie.

Tuż przed polaną piknikową Fiona zatrzymała mnie jeszcze na chwilę.

– Chcę przez to powiedzieć, moja droga, że ty i mój brat weźmiecie ślub z miłości. Będzie zupełnie inaczej niż wtedy, gdy matka cię wyswatała. To będzie całkiem inne małżeństwo niż tamto poprzednie.

Kochana Fi! Ścisnęłam jej dłoń i już miałam podejść do pozostałych biesiadniczek, gdy nagle mi się przypomniało, że chciałam ją zapytać o coś jeszcze.

– A czy ty może wiesz coś na temat jakiegoś nieporozumienia między George'em a moją matką?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. A dlaczego pytasz?

– Cóż, ona się jakoś dziwnie zachowuje, gdy on się pojawia. Najpierw udawała, że go nie pamięta, a gdy sobie potem przypomniała, że się znają, to zachowywała się tak, jakby nie wspominała go zbyt dobrze.

Fiona otworzyła szeroko oczy i zacisnęła wargi, a potem wyraźnie się wyprostowała.

– A to interesujące. Ciekawa jestem, co takiego nieprzychylnego twoja matka miała do powiedzenia na temat mojego brata. Ostatecznie to ta sama kobieta, która uważała, że Reginald Wynn będzie dla ciebie idealną partią.

– Raczej chodziło o jego tytuł niż o niego samego. Niepotrzebnie się oburzasz. To zresztą nie tak, że ona powiedziała cokolwiek nieprzychylnego na jego temat. To raczej tak, że ja się wypowiadałam bardzo życzliwie, a ona wyraźnie nie chciała tego słuchać.

– Może nie podoba jej się, że masz jakieś własne zdanie.

– Wcześniej zawsze brała moje zdanie pod uwagę.

Odpowiedziało mi zdumione spojrzenie Fiony.

– O co ci chodzi? – zapytałam.

– Gdy poznałam ciebie i panią Price, miałaś na każdy temat takie samo zdanie jak ona. Zrobiłabyś wszystko, byle tylko zasłużyć na jej pochwałę.

Oburzyło mnie to stwierdzenie.

– Zawsze kierowałam się własnym rozumem.

– Na pewno zawsze byłaś do tego zdolna, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Niemniej podczas pierwszego sezonu na salonach w każdej kwestii zdawałaś się na nią: co do uczesania, co do stroju, co do udziału w wydarzeniach towarzyskich.

– Wydawało mi się, że ona będzie to potrafiła najlepiej ocenić.

– Czy jednak tak było? Czy to nie ona wybrała Reggiego?

– Owszem, nie mogłabym jednak obarczać matki winą za to małżeństwo. Ja się nie tylko na nie zgodziłam, ale sama z siebie uważałam je za dobry pomysł.

– Od tamtej pory zdążyłaś już jednak dojść do przekonania, że wyboru można dokonywać w lepszy sposób. Nie zgodziłaś się przecież na to, żeby Lily poszła tą samą drogą, co ty.

– Oczywiście, że nie.

– Chcę przez to zauważyć, że bardzo się przez te wszystkie lata zmieniłaś. O twojej matce nie można tego powiedzieć.

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę.

– Matka próbowała namówić Lily do zmiany decyzji.

– Ależ!

Pokiwałam głową.

– Może i masz rację, że córka z własnym zdaniem to dla niej coś niezwykłego. Może podważała moją opinię o George’u tak tylko po to, żeby się ze mną nie zgodzić.

Już byłam skłonna przyjąć to wyjaśnienie i zapomnieć o sprawie, gdy przypomniałam sobie rozmowę, którą na ten temat odbyłam z nim. To on mi przecież powiedział, że o wyjaśnienie sprawy muszę prosić matkę. Opowiedziałam o tym Fionie.

– Nie mam pojęcia, o co mogłoby chodzić. Jeśli jednak chcesz wiedzieć, po prostu ją zapytaj. – Wskazała gestem grupę uczestniczek pikniku. – Tam siedzi.

Nie mogłam oczywiście poruszyć takiej kwestii podczas radosnego biesiadowania na trawie, niemniej poszłam zająć miejsce obok matki, cioci Hetty i Elizy Durant, które rozsiadły się przy stoliku w cieniu wierzby. Nie zdążyłam się jeszcze umościć, gdy pojawił się młodszy kamerdyner z dzbankiem herbaty.

Poderwałam się prawie na równe nogi i zerknęłam z ukosa na Elizę. Nie dostrzegłam na jej twarzy ani śladu zażenowania, ale też nie wykazywała najmniejszego choćby zainteresowania kochankiem. Moje trzy towarzyszki przyglądały mi się ze nieukrywanym zdumieniem, ale zbyłam je uśmiechem.

– Krzesło się zachybotowało – oznajmiłam, po czym zaczęłam udawać, że je poprawiam.

Młodszy kamerdyner nieoczekiwanie ustawił się za moimi plecami, mało więc brakowało, a znów bym podskoczyła.

– Pani pozwoli, że pomogę, milady?

Wstałam, a on wówczas ustawił krzesło na równym skrawku ziemi. Opadłam na siedzisko ponownie i uznaniem skinęłam do niego głową.

– Teraz jest znacznie lepiej, dziękuję.

Hetty nie odrywała ode mnie wzroku, za to matka zdążyła już wrócić do rozmowy z Elizą.

– Chyba nie zrozumiałam pani do końca, moja droga. Pani mąż, choć jest baronetem, pracuje dla pani ojca?

Eliza uśmiechnęła się kurtuazyjnie.

– Mój mąż jest dziedzicem tytułu, którego najpewniej nie otrzyma jeszcze przez wiele lat. Pracą zawodową para się z uwagi na zainteresowanie biznesem, a ponadto z potrzeby posiadania zajęcia.

– Rozumiem – powiedziała moja matka, wyraźnie zdumiona tym, że ktoś mógłby uważać pracę zawodową za interesujące zajęcie.

– Zdecydowanie się w swojej dziedzinie wyróżnia. Ojciec sam mówi, że nie wie, co by zrobił bez jego rady.

– A czy ma powody obawiać się, że mógłby być pozbawiony rady pana Duranta w najbliższej przyszłości?

Hetty darzyła pana Kendricka sympatią. Najwyraźniej nie uważała, że miałby jakiegokolwiek trudności, gdyby Durant go opuścił.

– Nigdy nic nie wiadomo – odparła beztrzesko Eliza. – Durant bardzo się angażuje w działania firmy, wydawałoby się więc rozsądne, żeby ojciec uczynił go współnikiem i dopuścił do grona właścicieli przedsiębiorstwa. Jeśli bowiem on się tak niezmiernie stara tylko po to, żeby kiedyś w przyszłości przekazać stery Leo, to jaki to ma właściwie sens? Być może przejdzie do jakiejś innej firmy, w której mógłby liczyć na większe uznanie.

Hetty zacisnęła szczękę, moja matka uraczyła rozmówczynię jakąś stosowną odpowiedzią, a ja zaczęłam się zastanawiać, jakie to inne możliwości mógłby mieć Durant, jeśli właśnie tego rodzaju skrajne środki miał na myśli. Owszem, mógł zrezygnować z zatrudnienia u pana Kendricka i zaoferować swoje usługi komuś innemu. Podobno jednak ożenił się z Elizą właśnie po to, aby zyskać dostęp do firmy. Czegoś takiego nie dało się powtórzyć. Istniało jednak również inne rozwiązanie. Mógł mianowicie pozbyć się tego, kto stał na mu na drodze do osiągnięcia jego celu. Czyli Leo.

To Durant zaczął rozpowszechniać plotki o tym, jakoby to Anne postrzeliła Charlesa. Ku jej utrapieniu, ta opinia szybko stała się obiegową. Niemniej podczas zawodów to właśnie on jej partnerował. Stał tuż obok niej. Być może to on, korzystając z zamieszania, posłał strzałę w kierunku Leo – i tylko Charles w ostatniej chwili osłonił go przed trafieniem? Jeśli tak właśnie było, to Durant zapewne zawnoczuł zaplanował, że ją oskarży. Wina spadnie na nią, a on zostanie współnikiem w firmie.

ROZDZIAŁ 14

Jak na mój gust, piknik stanowczo za bardzo się przeciągnął. Trwał tak długo, że moja matka zdążyła poruszyć temat ślubu. Tyle się działo w związku z polowaniami, tymi rzekomymi wypadkami i prawdopodobnym zabójstwem Michaela O'Briena, że nie bardzo miałam czas myśleć o zbliżającej się ceremonii.

– Tak marzyłam o tym, żeby moja córka wyszła za mąż w kościele Świętego Tomasza w Nowym Jorku – powiedziała. – Nadal nie mogę pojąć, dlaczego zapragnęli zorganizować jedynie taką skromną ceremonię na wsi.

– Nasza matka najpewniej też będzie rozczarowana – dodała Eliza z wymownym cmoknięciem. – Leo wspominał coś o terminie podróży poślubnej. W każdym razie jakoś tak to tłumaczył. A moim zdaniem same zaślubiny powinny być co najmniej tak samo ważne jak miesiąc miodowy. Durant na pewno śmiało mógłby go zastąpić w interesach, o cokolwiek chodziło, i dałoby się pozostać przy początkowym planie. Ostatecznie ślub miał się odbyć już za parę tygodni.

– Raczej za siedem czy osiem – poprawiła ją Hetty, wstając przy tym, jakby chciała zakończyć ten temat. – A ceremonia zaślubin zaiste jest dla nich ważna i dlatego chcieli jej nadać odpowiedni charakter, przeżyć ją w gronie bliskich przyjaciół i rodziny, a nie organizować spektakl przede wszystkim z myślą o szerszej publiczności. Jeśli dodatkowo zmiana daty oznacza mniejsze komplikacje zawodowe dla pana Kendricka, to tym lepiej.

W duchu podziękowałam Hetty, że wykazała się taką przytomnością umysłu i położyła kres wszelkim spekulacjom na temat zmiany terminu ślubu. Dotąd nikt jakoś specjalnie o to nie dopytywał, co było mi bardzo na rękę. Krzywa mina Elizy zapewne świadczyła o tym, że poczuła się skarcona za wścibstwo i że więcej tego tematu nie poruszy. Moja matka to co innego. Ona nigdy nie dawała za wygraną, dopóki istniał choćby cień szansy, że uda jej się postawić na swoim. Teraz zacisnęła wargi i zmrużyła oczy, z czego należało wnioskować, że przygotowuje się do wyłożenia swoich racji.

Wstałam, żeby dołączyć do Hetty.

– Może czas wracać. Panowie najpewniej są już w domu, a tu się chyba zanoszą deszcz.

Fiona zerknęła w niebo, na którym zbierały się chmury, po czym poparła moją propozycję. Zebrałyśmy rzeczy, a następnie panie niezainteresowane spacerem

udały się do bryczek.

Sama miałam jeszcze jeden powód, aby dążyć do zakończenia tej wyprawy. Dziś rano George zrezygnował ze strzelania do ptactwa, żeby odwiedzić chorego zarządcę, koniecznie chciałam więc z nim porozmawiać, zanim pochłoną go inne zadania. Na całe szczęście w drodze powrotnej dostrzegłam go, jak wychodził z chatki pana Winniego. Las między nami się przerzedził i lada moment miałyśmy wejść we cztery na gładko przystrzyżony trawnik, którym się szło do labiryntu i dalej do domu. Ubrany był, jak należało na wędrowniaka po wsi. Spod grubej tweedowej marynarki wystawała biała koszula. George zrezygnował z krawata, włożył za to solidne wysokie buty. Musiał też zapomnieć kapelusza, w wyniku czego włosy miał mocno potargane przez wiatr i wyglądał tak, że aż się nogi pode mną uginały. Uśmiechnęłam się całkiem mimowolnie.

Mina szybko mi jednak zrzędła, gdy George – najwyraźniej usiłując przekazać mi jakąś wiadomość – zaprezentował najdziwniejszą pantomimę, jaką w życiu widziałam. Zdołał już zwrócić moją uwagę, więc całkiem niepotrzebnie wymachiwał teraz rękami bez ładu i składu. Bez problemu się zorientowałam, że chce mi pokazać chodzenie, nie wiedziałam jednak, czy ja miałabym gdzieś pójść, czy może on. No i dokąd? Zaraz potem przykucnął, dotknął ziemi przed sobą, a następnie wstał i zaczął przebierać palcami w powietrzu.

Zupełnie nie rozumiałam, co mi próbuje przekazać.

– Chce się z tobą spotkać w ogrodzie różanym. – Fiona nachyliła się do mnie i szeptem wyjaśniła tę tajemnicę. – Dajże mu znać, że rozumiałaś, żeby się wreszcie przestał wygłupiać.

Skinęłam głową i pomachałam mu subtelnie, a on wtedy zaprzestał dalszej gestykulacji i oddalił się w stronę przeciwległej ściany labiryntu. Zerknęłam w kierunku dziewcząt, żeby sprawdzić, czy odnotowały to nietypowe przedstawienie, ale szczęśliwie głowy miały zwrócone ku sobie, ponieważ pochłaniała je rozmowa.

– A skąd ty niby wiedziałaś, że on to akurat ma na myśli? – Wpatrywałam się w Fionę ze zdumieniem.

– George był zawsze tragiczny w szaradach, ale przez lata nauczyłam się interpretować te jego pantomimy. – Uśmiechnęłam się leciutko. – Widzisz, on jednak ma jakieś wady. A czy ty wiesz, gdzie jest ogród różany?

Nie wiedziałam. Fiona mnie pokierowała, a potem odwróciła uwagę Lottie i Anne, żebym mogła się spokojnie oddalić. Minęłam labirynt i przeszłam przez trawnik na tyły domu, a stamtąd do ogrodu francuskiego. Róże rosły tuż za łu-

kiem z iglaków. Ledwo pod nim przeszłam, George nieoczekiwanie musnął mnie w ramię, a gdy się odwróciłam, znalazłam się w jego objęciach.

Pocałował mnie tak namiętnie, że aż mi zabrakło tchu. Potem cofnął się na krok i oparł przedramiona o moje barki, palcami zaś pochwycił kosmyk moich włosów, który wymknął się upięciu.

– Gdybym kiedykolwiek zwątpił w to, czy jesteś mi pisana, rzecz się ostatecznie wyjaśniła, gdy prawidłowo odczytałaś moje gesty i dziwne ruchy ciała. – Skupił wzrok na mojej twarzy. – Chociaż nigdy w to oczywiście nie zwątpilem. Ani na moment.

– Nie zakładałam, że mógłbyś się wahać, przyznam za to, że nie miałam pojęcia, co próbujesz mi powiedzieć. Na całe szczęście twoja siostra zdołała to zrozumieć.

– W takim razie muszę popracować nad umiejętnościami w tym zakresie – westchnął. – Albo możemy opracować jakiś własny język znaków.

Otworzyłam szeroko oczy.

– Albo moglibyśmy po prostu ze sobą rozmawiać?

– Skoro nalegasz, żeby wybrać drogę najłatwiejszą...

Zaprowadził mnie do drewnianej ławki stojącej pod drzewem pośród róż, które roztrząsały wokół cierpki cytrynowy zapach. Nachyliłam się do różowych płatków i wciągnęłam nosem wonne powietrze, a potem usiadłam obok George'a.

– Tak ci było pilno się ze mną zobaczyć, że zapewne masz mi coś ważnego do powiedzenia – zagadnęłam.

On ujął moją rękę i musnął wargami po palcach.

– Twój wniosek nie jest do końca poprawny. Mnie się zawsze spieszy do spotkań z tobą, zwłaszcza jeśli wokół roi się od gości i rzadko bywamy sam na sam.

– Rzeczywiście jakoś tak się składa, że ciągle ktoś tobie lub mnie towarzyszy. Muszę przyznać, że świetnie sobie radzisz z wynajdywaniem miejsc, w których moglibyśmy się ukryć przed światem. Niemniej zapytam tak całkiem nieromantycznie: czy odwiedziłaś dziś rano pana Gibbsa?

– To zaiste całkiem nieromantyczne pytanie. – Cmoknął. – Ale tak, odwiedziłem go i faktycznie można odnieść wrażenie, że wjechał w coś wąskiego i prostego. Więcej wskazuje na linkę, którą znalazłaś, niż na przypadkową gałąź. Zająłem również na miejsce wypadku i też widziałem tę plecionkę wędkarską, o której mówiłaś. Jeśli rzeczywiście była rozciągnięta w poprzek ścieżki, to na pewno mogło być tak, że Gibbs w nią wjechał. – Spojrzałam na niego z zadowoleniem.

niem, a on wówczas skinął głową. – Nie mamy natomiast nic, co by sugerowało, że tak rzeczywiście było. Nie przychodzi mi na myśl nikt, kto mógłby chcieć go skrzywdzić albo w ogóle uknuć tak złośliwą intrygę.

– Rozmowy ze służbą prowadzą mnie do bardzo podobnych wniosków. Wiele z tego, co się dzieje w przyziemiu, wydaje się umykać uwadze pana Crockera, ale nikt nie potrafiłby wskazać konkretnej osoby, która mogłaby chcieć krzywdy Michaela.

Opowiedziałam mu o tym, czego się dowiedziałam o poczynaniach lokaja z pokojówkami i wizycie młodszego kamerdynera w pokoju Elizy Durant.

– Z moich ustaleń wynika – ciągnęłam – że pan Crocker trzyma swoich podwładnych bardzo krótko, więc oni starają się zachowywać tego typu zdarzenia w tajemnicy przed nim. Brał udział w przesłuchaniach, które prowadzi Fisk, więc służący zgodnie zeznawali, że w domu wszystko chodzi jak w zegarku i wszyscy blisko się przyjaźnią.

George uniósł brwi.

– A skąd wiesz, że tak nie jest?

– Fiona przekazała mi ploteczki, które usłyszała od pokojówki, a poza tym lokaj imieniem Ben ukradkiem zagadnął mnie w galerii i tam wyjawiał prawdę w rozmowie w cztery oczy. Oboje sugerowali, że Michaela za bardzo nikt nie lubi. Ben powiedział, że on pił i kradł z domu to i owo. A w każdym razie Ben tak podejrzewa. Zwrócił uwagę, że różne rzeczy znikają z różnych miejsc, w których Michael akurat był. Mimo to jego zdaniem nikt ze służby raczej go nie zamordował. Sugerował, że sprawcy należałoby szukać w wiosce.

– Sama jednak twierdziłaś, że on tam był ostatnio ładnych parę dni wcześniej.

Skinęłam głową.

– Rozumiem oczywiście, dlaczego Ben nie chciał źle mówić o O'Brienie w obecności Crockera, ale moim zdaniem powinien iść z tymi informacjami na posterunek i przekazać je Fiskowi. Strach pomyśleć, że mordercą może być ktoś spośród służby, ale trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktoś z zewnątrz miał się kraść do domu i podrzucić lokajowi trutkę na szczury do posiłku albo napoju.

– Trutkę na szczury?

– Dowiedziałam się od pani Ansel, że trutka zniknęła ze swojego zwykłego miejsca w pralni. Poleciałam jej ją odnaleźć.

– A czy Fisk o tym wie?

– Owszem, choć nie wiem, co z tego wnioskuje.

George westchnął ciężko.

– Co zatem mamy? Jeden z pracowników Harta doznał poważnych obrażeń, jeden mógł zostać zamordowany. – Chciałam zgłosić zastrzeżenie do tej ostatniej uwagi, ale George powstrzymał mnie gestem dłoni. – Nadal nie wykluczaliśmy, że spożył arszenik przypadkiem.

Przytaknęłam mu, choć niechętnie.

– A co z Charlesem? Tuttle albo Winnie pomogli ci to jakoś wyjaśnić?

– Po inspekcji labiryntu Tuttle stwierdził, że żadne zwierzę nie mogło wyrządzić takich szkód. Winnie ustalił natomiast, że ogrodnicy strzygli wczoraj cisy, ale żaden nie przyznał się do wycinania dziur.

– Przecież te otwory nie pojawiły się tam przypadkiem.

George się ze mną zgodził.

– Wiele wskazuje na to, że do kontuzji Gibbsa też ktoś się przyczynił, tylko że on w swojej pracy w ogóle nie miał kontaktu z lokajem. Poza zatrudnieniem na terenie tego majątku nie potrafię dostrzec niczego, co by ich łączyło. Gdyby zaś dorzucić do tego zbioru jeszcze przypadek Charlesa, to te sprawy w ogóle nie mają ze sobą nic wspólnego.

– Wszyscy doznali obrażeń lub ponieśli śmierć tutaj, na terenie posiadłości twojego brata. Czy Hartfield ma jakichś wrogów?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo, ale już do niego napisałem o tych wypadkach. Musimy poczekać, co odpisze. A tymczasem może skupmy się na chwilę na okolicznościach, w których do tych zdarzeń doszło.

– Zacznijmy od pana Gibbsa. Kto tam wtedy był?

– Byliśmy w stajni. Widziałem większość masztalerzy, którzy tam zwykle pracują. Gibbs instruował Treadwella, Duranta i Kendricka co do przebiegu polowania.

Oparłam palec na wargach.

– Pracowników stajni dotąd nie brałam pod uwagę. Zapamiętałeś może, kto tam był? I co kto robił? Jeśli pułapka została zastawiona po to, aby to Gibbs w nią wpadł, być może sprawcy należy szukać właśnie tam. Może ktoś ze stajni żywił urazę do Michaela.

– Niestety nie znam ich po nazwisku. Jeden siodłał konia dla Kendricka, w boksie obok. Gdzie byli i co robili pozostali, nie mam pojęcia...

Serce nagle mocniej mi zabiło.

– No tak... Przecież Leo wybierał się na przejażdżkę.

George najwyraźniej nie zrozumiał, o co mi chodziło.

– O tym mógł wiedzieć każdy, kto był w stajni.

– A także każdy, kto był w domu. Tamtego dnia Michael zastępował jego osobistego służącego. Jeśli Leo włożył strój do jazdy konnej, Michael mógł z łatwością odgadnąć jego plany. I być może wspomniał o nim panu Durantowi?

– Durantowi?

– Wydaje mi się mało prawdopodobne, żeby ktoś ze służby próbował skrzywdzić Leo. Ale może lokaj powiedział komuś o planowanej przez niego przejażdżce. Można się było zatem domyślić, że będzie jechał tą ścieżką, inaczej musiałby się przedzierać przez pole. To było dogodne miejsce, aby zastawić na niego pułapkę.

George wstał i zaczął chodzić w tę i z powrotem, drapiąc się przy tym po brodzie.

– Staliśmy z Leo przy tarczy, gdy Charles został ugodzony strzałą. Ktoś mógł rzeczywiście celować w niego.

Przytaknęłam.

– A co z lokajem i arszenikiem? W tym przypadku nie wiemy, w jakich okolicznościach doszło do podania trucizny... – Przerwałam nagle i chwyciłam George'a za rękę. – Choć może wiemy. Michael i starszy lokaj sprząтали gabinet hrabiego po zebraniu, które tam zorganizowałaś dwa dni temu. Ben zdradził mi, że Michael spijał resztki sherry z kieliszków.

Skoczyłam na równe nogi, bo nagle doznałam olśnienia.

– Leo nie wypił swojej sherry. Jego kieliszek opróżnił potem lokaj, to znaczy Michael.

– Co ty chcesz przez to powiedzieć? Przecież wszyscy piliśmy sherry. Sugerujesz, że ktoś zatruł tylko jeden kieliszek?

– Właśnie tak – odparłam przerażona własnym odkryciem. – Pomóż mi przypomnieć sobie, kto tam wtedy był.

Zaczęliśmy wymieniać zgromadzonych. Oprócz George'a i mnie w gabinecie znajdowali się wtedy Durant, Robert Nash, Leo, Treadwell, John Winnie i Tuttle.

– Kieliszki napełniał Durant, a potem Treadwell i Winnie je rozdawali. Wydawało się, że robili to w sposób całkiem przypadkowy, ale może wcale nie? Może Charles, pan Gibbs i Michael O'Brien znaleźli się po prostu w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie, a prawdziwym celem tych zamachów był Leo.

George powoli się do mnie obrócił.

– A jak dobrze znają się Durant i Treadwell?

– Nie mam pojęcia. A dlaczego pytasz?

– Obaj mają coś jakby motyw. Może więc uknuli to razem?

– Jeden zatrzał sherry, a drugi podał ją Leo?

– Najpierw musielibyśmy potwierdzić, że trunek faktycznie zawierał arszenik.

Chwycił mnie za rękę i poprowadził przez ogród w kierunku północnego skrzydła domu, po czym pchnął drzwi i wprowadził mnie do środka. Udaliśmy się korytarzem prosto do gabinetu hrabiego.

– Skoro jednak trucizna została wsypana tylko do kieliszka Leo, to w karafce jej nie znajdziemy. Czego zatem szukamy?

– Może tej zagubionej trutki na szczury?

Najpierw zajrzeliśmy do dużej szafki ustawionej za szerokim biurkiem. Hrabia trzymał tam dokumenty, cygara i kilka butelek sherry.

– Dziwne to, że twój brat ma takie zapasy, ale gromadzi tylko sherry. – Przesu-
nęłam dwie z zakurzonych butelek, odsłaniając pustą szafkę.

– Rzeczywiście byłoby to dziwne, gdyby tak było – odparł George i lekko naci-
snął na lustrzaną tylną ściankę, która ku wielkiemu mojemu zdumieniu odsko-
czyła, odsłaniając ukrytą za nią przestrzeń. – Idąc w ślady mojego ojca, Hart wy-
stawia na widok tylko wino, ale mocniejsze trunki trzyma tutaj.

– Tylko że nic z tego dla nas nie wynika. Chyba że znajdziemy tu arszenik.

George zajrzał do środka przez niewielki otwór.

– Nie, same alkohole. – Cofnął się od szafki i oparł o biurko. – Należało się spo-
dziewać, że żadnej trutki tu nie znajdziemy. Nawet największy amator by jej tu
nie zostawił.

Wskazałam gestem barek.

– Mamy jeszcze karafkę. Pomoże nam jakoś?

Odpowiedziało mi ciężkie westchnienie.

– Raczej nie znajdziemy w niej trucizny, ale dla porządku zabiorę ją do Wo-
drowa. Niech ją zbada. A przy okazji wizyty w wiosce porozmawiam też z sier-
żantem. Przekażę mu informacje, które uzyskałaś od lokaja. A może przy okazji
uda mi się dowiedzieć, jak postępuje jego śledztwo.

– Zamierzasz mu wspomnieć o tych pozostałych wypadkach?

– Pewnie powinienem, choć wolałbym mieć dla niego pełniejszą informację.

– Durant i Treadwell. – Stukałam lekko palcem o wargi. – I pomyśleć, że skła-
niałam się ku Bradmore'owi.

George ponownie oparł ciężar ciała o blat biurka.

– Ja również.

– Idealnie by się nadawał na podejrzanego, gdyby nie jedna rzecz...

– Nie było go w gabinecie, gdy wznosiliśmy toast.

Skinęłam głową.

– Więc nie mógł zatruć sherry.

– Skoro jednak nie wiemy na pewno, czy sherry była zatruta, może nie powinniśmy go tak od razu skreślać z listy.

– W takim razie powinniśmy przekazać nasze podejrzenia policji.

George uniósł dłoń.

– O wypadkach ich poinformuję, zanim jednak wskażę kogokolwiek palcem, chciałbym wiedzieć coś więcej. Nie wiem, jakie oni tu mają metody pracy. Nie chciałbym, żeby aresztowali przyjaciela czy szwagra Leo, dopóki nie zgromadzimy konkretniejszych dowodów.

– A skąd mielibyśmy je wziąć?

– Musimy zacząć przesłuchiwać podejrzanych.

– W takim razie powinniśmy zacząć już dziś wieczorem. Martwi mnie, że Leo mogłoby coś grozić. Myślę zresztą, że należałoby go przestrzec. Wieczorem spróbujmy ustalić, co się da, a jutro możesz z tym iść na policję.

– Zgoda. Zaprosiłem na dziś wieczór Bradmore'a i kilku innych uczestników polowania. To nam powinno ułatwić zbieranie informacji.

– Niech zatem tak będzie. – Splotłam palce z jego palcami. – To wszystko bardzo niepokojące. Jeśli te działania są wymierzone przeciwko Leo, to znaczy, że wśród naszych gości czai się morderca.

– Ale może się też okazać, że tu wcale nie chodzi o Leo i że to jednak tylko wypadki.

Nic mu już na to nie odpowiedziałam. Mnie jednak intuicja podpowiadała, że żadne z tych zdarzeń nie było dziełem przypadku.

W ciągu dnia Rose coraz częściej pociągała nosem i kichała z narastającą częstotliwością, a wieczorem poskarżyła się jeszcze na ból gardła. Zmartwiła się oczywiście, gdy poleciłam jej zostać w pokoju dziecięcym do czasu ustąpienia tych objawów, i nie od razu dała się do tego przekonać, więc dołączyłam do towarzystwa dopiero, gdy wszyscy przechodzili do jadalni.

Tego wieczoru oprócz pana Bradmore'a towarzyszyły nam przy stole trzy inne osoby. Jednego dnia w tym tygodniu polowanie przeniosło się na teren sąsiedniej posiadłości. Jej właściciel, niejaki pan Easton, został więc dziś zaproszony na kolację wraz z żoną i odwiedzającym ich właśnie szwagrem, panem Krafem. Choć obaj panowie mieli już dobrze ponad czterdzieści lat, nadal chętnie oddawali się aktywnościom na świeżym powietrzu, więc pani Easton większość tygo-

dnia zajmowała się swoimi sprawami i teraz bardzo się cieszyła z udziału w większym spotkaniu. Charles zdecydował się pozostać w swoim pokoju, więc w jadalni zebrało się nas osiemnaścioro. Gdy siadaliśmy, Clara Kendrick wymownie odchrząknęła, jakby miała zamiar coś ogłosić.

– Proponowałabym, żeby w ostatni dzień polowania do panów dołączyły panie. Jeśli oczywiście mają na to ochotę.

Tą deklaracją zwróciła na siebie uwagę wszystkich zgromadzonych. Niektórzy entuzjastycznie kiwali głowami, inni uśmiechali się uprzejmie, ale głowami raczej kręcili, najpewniej sądząc, że biedna dziewczyna postradała zmysły. Znaleźli się i tacy, którzy pomysł naruszenia męskiej sfery przez damy skwitowali jedynie gniewnymi spojrzeniami.

Mnie zdumiało przede wszystkim to, że propozycja wyszła akurat od Clary. Takie wezwanie do współdziałania kobiet i mężczyzn spodziewałabym się usłyszeć raczej od Anne. Trudno mi było wyobrazić sobie Clarę modnisię w stroju sportowym i ciężkich butach przystosowanych do wędrówki przez pola.

Mój brat, który siedział naprzeciwko mnie, uśmiechnął się szelmowsko.

– Ja nie mam nic przeciwko temu, ale jednocześnie sędzę, że to nie do mnie należy ta decyzja. – Z błyskiem w oku zwrócił się do George’a. – A co pan na to, Hazelton? Czy panie mogą nam towarzyszyć podczas piątkowej wyprawy?

Zanim George zdążył cokolwiek powiedzieć, odezwał się Durant.

– Damy na polowaniu? Toż to niedorzeczne!

– A skąd w ogóle pomysł, żeby się wybierać na polowanie, Claro? – Eliza posłała jej zdumione spojrzenie. – Nie masz nic lepszego do roboty? Lady Fiona dwoi się i troi, żeby nam zapewnić rozrywki w ciągu dnia, a na towarzystwo panów możemy liczyć wieczorami. Moim zdaniem powinniśmy pozwolić im oddawać się własnym rozrywkom.

– Ma pani oczywiście prawo do własnych zapatrywań, pani Durant. – Treadwell odchylił głowę i spojrzał jakby z góry na Elizę. – Ja na pewno bym się cieszył z towarzystwa dam podczas przedzierania się przez pola. Jeśli oczywiście znajdzie się dama chętna podjąć taki trud.

– Tu nie chodzi jedynie o zapatrywania, panie Treadwell. Głęboko wierzę, że każdy powinien znać swoje miejsce i czerpać przyjemność ze stosownych zajęć. Panie i panowie nie muszą spędzać ze sobą każdej wolnej chwili.

Gdyby musieli, to Eliza nie znalazłaby czasu dla młodszego kamerdynera.

Zerknęłam na Clarę, która wyraźnie się zarumieniła. Czyli o to chodziło. Dni mijały, a ona tak niewiele czasu spędziła w towarzystwie panów. Czyżby intere-

sował ją ktoś konkretny? Musiałam przyznać uczciwie, że w ostatnich dniach nie przyglądałam się bacznie jej poczynaniom.

Ku mojemu zaskoczeniu – i najpewniej ku zaskoczeniu samej Clary – na ratunek pospieszyła jej Anne.

– Clara wspomniała przecież, że to w zależności od chęci. Jeśli jednak są wśród nas panie, które chciałyby wziąć udział w polowaniu, dlaczego miałyby nie mieć takiej możliwości? Damy polują przecież na lisa, dlaczego nie mogą strzelać do ptactwa?

– Aż się chce powiedzieć: „Darzbór!” – rzucił Alonzo, promiennie uśmiechając się do Anne. – Ja bym to wyzwanie podjął. Czy ktoś się ze mną zgodzi?

Stłumiłam jęk niezadowolenia. W zaistniałych okolicznościach najbardziej bym się cieszyła, gdyby całe towarzystwo zgromadzone w domu w ogóle zrezygnowało z polowania. Wołałabym, żeby chwilowo mniej osób sięgało po broń. Ale oczywiście akurat w tej sprawie panny Kendrick musiały zawrzeć koalicję.

W jadalni zawrzało od głosów za i przeciw temu pomysłowi. W końcu George uniósł rękę, aby wszystkich uciszyć.

– Drodzy panowie, przez cały tydzień mieliśmy pola tylko dla siebie. Jutro nikt nie będzie strzelać, jeśli zaś w piątek któraś z pań zechce do nas dołączyć, to zapraszam serdecznie.

Odpowiedziało mu kilka niezadowolonych pomruków i kilka radosnych damskich okrzyków.

– Ja chętnie dołączę – zadeklarowała Lottie. – Ale tylko pod warunkiem, że Charles wyzdrowieje na tyle, żeby jechać. On tak bardzo lubi polowania, że nie miałabym śmiałości jechać, kiedy on nie może.

Jakkolwiek życzyłam mojemu biednemu kuzynowi szybkiego powrotu do zdrowia, to zdecydowanie wołałabym, żeby do piątku nie wydobrzeał w stopniu umożliwiającym mu udział w wyprawie łowieckiej. Na samą myśl o tym, że Lottie miała dostać strzelbę w swoje ręce, przejmował mnie strach. Z zamyślenia wyrwał mnie jednak głos Percy’ego Bradmore’a.

– A pani się wybiera, lady Harleigh? Dołączy pani do nas czy zostanie pani w domu?

Kwestię rozsadzania gości George pozostawił dziś Fionie, ona zaś umiejscowiła mnie między panami Bradmore’em i Durantem, wiedziała bowiem, że z obydwojma chciałabym porozmawiać. Trzeba chyba mieć trochę nie po kolei w głowie, żeby się cieszyć na myśl o przesiadywaniu przy stole w bezpośrednim towarzystwie dwóch podejrzanych o morderstwo. Powinłam pamiętać, że

sprawca posługiwał się między innymi trucizną – i bacznie strzec swojego talerza.

– Nie wiem jeszcze, panie Bradmore. Nigdy dotąd nie strzelałam do ptactwa, a za nic nie chciałambym przeszkadzać.

– Mogłabyś polować ze mną, Franny. – Alonzo nadal szeroko się uśmiechał. – Jeszcze wczoraj nie miałem pojęcia, o co w tym chodzi. A dziś jestem już wytrawnym myśliwym. Chętnie się tobą zaopiekuję.

– Tak, w rzeczy samej. Alonzo ustrzelił dziś chyba ptaszynę albo dwie – wtrącił George, lekko kpiącym tonem. – Nic to, że pozostali wrócili z całymi naręczami łupów.

Alonzo spojrział na niego z udawanym oburzeniem.

– Ptaszynę albo dwie? Nie wierz mu, droga siostrzo. Z całą pewnością ustrzeliłem więcej niż on.

– Może i strzelał więcej, to fakt. – George spojrział na mnie ze szczytu stołu i, nie zwracając uwagi na siedzącego między nami Bradmore'a, mrugnął porozumiewawczo. – Częściej jednak chybiał, niż trafiał. Do roli instruktora polecałbym więc raczej swoją osobę, milady.

– Miałaby przystać na tę propozycję po tym, jak skalał pan honor naszej rodziny, kwestionując moje umiejętności?

– Alonzo, nie bądź niedorzeczny – skarciła go matka. – Frances przecież w ogóle nie zamierza brać udziału w tym męskim przedsięwzięciu.

No i proszę, teraz będę musiała jednak się nad tym zastanowić.

Nie zdążyłam się wszakże do tego odnieść, bo Fiona wstała i uniosła rękę. W tym momencie wszelkie rozmowy ucichły, a uwaga zebranych zwróciła się na nią.

– Panowie spędzili dziś cały dzień poza domem, więc mieli dość czasu bawić się we własnym towarzystwie. Proponuję więc, żebyśmy teraz przeszli razem do bawialni. – Odpowiedziały jej ciche pomruki zgody. – Kazałam rozstawić stoliki do kart i zdjąć dywany z salonu niebieskiego. Uważam, że po herbatce nie zaszkodziłoby trochę potańczyć. Albo pograć w karty. Co kto woli.

Zarządzenie Fiony wywołało powszechną radość. Cieszyli się zwłaszcza młodszy goście. Nikt nie siedział długo przy herbacie. Moja matka, ciotka Hetty oraz państwo Durantowie dogadali się na partyjkę brydża, usiedli się więc do stolika, dokąd im przyniesiono karty. Fiona otworzyła szeroko drzwi dzielące bawialnię od salonu niebieskiego i większość z nas tam właśnie przeszła. Do fortepianu zawezwano panią Easton, która zaczęła koncert od żwawej polki. Tancerze połączyli się w pary.

Z ulgą stwierdziłam, że pan Treadwell nie próbował już wchodzić Leo w drogę i na zaimprovizowany parkiet zaprosił Clarę Kendrick. Pan Bradmore zaproponował taniec Lottie, a ona oczywiście od razu nastąpiła mu na nogę. Stało się to, jeszcze zanim taniec się rozpoczął, obawiałam się więc, że czeka go kilka niezbyt przyjemnych chwil. Do miłośników muzyki dołączyli również Fiona i Nash, a także pan Kraft z Anne. Posłałam George'owi wyczekujące spojrzenie, on jednak – zamiast podać mi rękę – przysiadł koło mnie na sofie.

Nieudolnie próbowałam ukryć rozczarowanie.

– Co się stało? – zapytał.

– Czy coś się stało? Nie, nic się nie stało. Myślałam po prostu, że mnie zaprosisz do tańca.

On wówczas uniósł brwi.

– Chętnie bym z tobą zatańczył, uznałem wszakże, że raczej powinienem zająć miejsce twojej ciotki przy stoliku karcianym.

– Wolisz grać w brydża z moją matką, niż tańczyć ze mną?

– Państwo Durantowie oboje grają. To może być dobra okazja, żeby porozmawiać o jego roli w firmie Kendricka. Chyba się ze mną zgodzisz?

Żalowałam, że ominie mnie okazja do tańca, nie mogłam jednak nie przyznać mu racji.

– A ja co miałabym robić?

– Spróbuj porozmawiać z Treadwellem. Może wypytaj go o jego zdanie na temat związku Kendricka z twoją siostrą. Jeśli ponadto uda ci się dowiedzieć czegoś na temat Bradmore'a, to będę pod wielkim wrażeniem twoich umiejętności.

– Słowem, dziel i rządź – podsumowałam. – Zrobię, co w mojej mocy.

– Ja również.

To powiedziawszy, George udał się do bawialni. Zastanawiałam się, czy uda mu się namówić Hetty do ustąpienia mu miejsca. Miał niewątpliwie wielki dar przekonywania, ale moja ciotka bardzo lubiła brydża. Uznałam jednak, że to nie mój, lecz jego problem. Moje wyzwanie czekało tutaj. Skierowałam wzrok na parkiet w salonie niebieskim.

Gdy wybrzmiały ostatnie głośne nuty polki, tancerze nagrodzili panią Easton gromkimi brawami. Podążyłam za Treadwellem i Clarą, którzy powoli schodzili z parkietu. Ona coś mu szepnęła do ucha, na co on odskoczył jak wystraszony jeleń. Zastanawiałam się, co też ta szalona młoda osóbką zamyśliła sobie tym razem. Treadwellowi wyraźnie ulżyło, gdy mnie zobaczył obok siebie.

– Jaki żywy ten taniec – stwierdziła Clara, ciągnąc swojego partnera ku jednemu z siedzisk ustawionych teraz pod ścianą. – Powinniśmy chwilę odpocząć.

Zamiast za nią pójść, Treadwell uwolnił się z jej uścisku.

– Jeśli się pani zmęczyła, panno Kendrick, to być może teraz lady Harleigh zechce ze mną zatańczyć.

Widziałam oczywiście, że na jej twarzy wymalowało się wielkie rozczarowanie, nie mogłam jednak nie skorzystać z okazji do rozmowy z tym młodym człowiekiem. Podałam mu więc rękę.

– Z wielką przyjemnością, panie Treadwell.

Pani Easton uderzyła delikatnie w klawisze fortepianu, aby przykuć naszą uwagę.

– Skoro jest państwa ośmioro na parkiecie, to może ustawią się państwo do galopu w kadrylu?

Tancerze przyjęli tę propozycję z dużym entuzjazmem. Ja osobiście miałam ochotę podejść do niej i ją ucałować. Co prawda galop tańczyło się równie zwawo jak polkę, co utrudniało prowadzenie rozmowy, ale formuła kadryla przewidywała że dwie pary spędzą sporo czasu w środku, pozostałe dwie zaś na uboczu – i wtedy będzie można wymienić parę uwagę.

Ustawiliśmy się z Treadwellem w swoim rogu i tam czekaliśmy, aż pierwsze dwie pary zakończą popis.

– Niechże mi pan powie, Treadwell, czy rzeczywiście chętnie by pan widział damy na polowaniu, czy też wyraził pan taką opinię tylko po to, żeby się sprzeciwić pani Durant? Odnoszę wrażenie, że dobrze się pan przy tym bawił.

– Owszem, lubię dyskutować, lady Harleigh, ale przede wszystkim nigdy nie wzbraniam się przed damskim towarzystwem. – Utkwił wzrok gdzieś nad moim ramieniem, najpewniej tam, gdzie tańczyli właśnie Lily i Leo. – Oczywiście towarzystwo niektórych dam cenię sobie szczególnie. – Kąciki jego ust powędrowały ku górze. – A niekiedy jednej zwłaszcza.

Zanim zdążyłam zapytać, kogo konkretnie ma na myśli, porwał mnie w objęcia i poprowadził na środek parkietu. Wcześniej jego awanse względem Lily bardzo mnie dziwiły, zważywszy na jego wieloletnią znajomość z Leo, odkąd jednak uśmiechnął się w tak charakterystyczny sposób, zobaczyłam w nim typ zażartego drapieżnika. Czyżby on rzeczywiście próbował odbić Lily przyjacielowi?

Wróciliśmy do rogu, gdzie czekaliśmy, aż Lily z Leo i Alonzo z Anne zakończą swój fragment tańca. Niespecjalnie dbałam o to, aby ukrywać przed nim zdumienie, a on najwyraźniej poprawnie je odczytał, gdy bowiem znów na mnie spojrział, uśmiechnął się figlarnie.

– Pani się wydaje, że mówię o pani siostrze.

Zaskoczył mnie tym stwierdzeniem.

– Mam wielką nadzieję, że nie.

– A gdyby nawet, to cóż by w tym było takiego strasznego?

I znów kręciliśmy się w kółko, zupełnie jak w tej rozmowie, która zdawała się donikąd nie prowadzić. Tym razem po powrocie do rogu mieliśmy przejść przez środek na drugą stronę parkietu. Treadwell bardzo sprawnie poprowadził mnie przez sekwencję skocznych kroków wieńczącą ten element tańca.

– No proszę, jak się przyjemnie patrzy na was dwoje – stwierdził Nash, który stał wraz z Fioną pod ścianą, klaszcząc w dłonie w rytm muzyki.

Sklonna byłam się z nim zgodzić, że Treadwell ma duże doświadczenie taneczne i co nieco się od niego nauczyłam. Wykonaliśmy ostatnią sekwencję podskoków, po czym wszystkie pary weszły na parkiet.

Dopiero gdy ponownie zajęliśmy miejsce w naszym rogu, mogłam wrócić do wątku porzuconego przed chwilą.

– Lily i Leo są w sobie zakochani, wkrótce biorą ślub – przypomniałam. – Obie rodziny akceptują ten związek, a pan jako jego przyjaciel powinien im życzyć szczęścia.

Wysłuchał mnie, a potem lekko wykrzywił wargi. Czyżby sobie ze mną pogrywał?

– Odniosłem wrażenie, że pani matka nie do końca zgadza się z wyborem swojej córki. Wywnioskowałem mianowicie...

Nie do wiary! Poczułam nagły ścisk w żołądku.

– Rozmawiał pan o tym z panią Price? Co też ona mogła panu zasugerować?

I znów nasza kolej na parkiecie. Zaczynałam się martwić, że ten upiorny tańiec nigdy się nie skończy.

Treadwell uśmiechnął się pobłaźliwie, gdy podczas przejścia po obwodzie pomylłam kilka kroków. Ponieważ jednak uporczywie się w niego wpatrywałam, odpowiedział na moje pytanie.

– Nic ponad to, co właśnie przytoczyłem: że jej zdaniem sprawa nie jest jeszcze ostatecznie postanowiona. I że gdybym uzyskał względy Lily, to mogę liczyć na jej aprobatę.

Gdy tylko wróciliśmy do naszego rogu, uwolniłam rękę z jego uścisku.

– Czyżby? Jak rozumiem, zdążył pan już zaskarbić sobie przychyłność mojej matki. Wystarczył jeden dzień znajomości.

– Wydaje się, że pani brat również darzy mnie sympatią. Rzekłbym, że tylko pani nie mogę do siebie przekonać. – Rozejrzał się wokół. – Lady Harleigh, powinniśmy tańczyć.

Uparcie tkwiłam jednak w miejscu.

– Zapewniam pana, że moja matka nie wypowiada się w imieniu mojego ojca, a z całą pewnością nie mówi za Lily. Jej małżeństwo z Leo to postanowiona sprawa. Jeśli życzy pan sobie poznać opinię mojej siostry, powinien pan zwrócić się do niej, a nie do naszej matki. Uprzedzam pana jednak, że sprawi jej pan przykrość, wyznając takie uczucia.

Treadwell cofnął się, jakby chciał się oddalić, ja jednak zastąpiłam mu drogę i mocno go przytrzymałam za rękę.

– Uprzedzam pana ponadto, że będę się panu bacznie przyglądać. Jeśli więc cokolwiek przydarzy się Leo, w pierwszej kolejności zwrócę się do pana.

W końcu udało mi się zetrzeć z jego warg ten irytujący uśmiezek.

Gdy muzyka ucichła, zostawiłam go na parkiecie zdumionego i niezdolnego cokolwiek mi odpowiedzieć. Pomaszerowałam w kierunku Fiony, która wpatrywała się we mnie z przerażeniem w oczach.

– Co też zrobiłaś temu biednemu chłopcu?

– Nic, na co by w pełni nie zasługiwał.

Rozglądałam się teraz za Lily. Byłam pewna, że moja burzliwa rozmowa z panem Treadwellem nie uszła niczyjej uwadze. On tymczasem poprawił mankiety, po czym podszedł do najbliższego lokaja i opróżniwszy zdjęty z tacy kieliszek, czmychnął czym prędzej z sali balowej. Uznałam, że też muszę jakoś zapanować nad nerwami.

Lily siedziała jednak z rozkoszną minką u boku Leo, pograżona w rozmowie z Anne i Alonzem. Najwyraźniej nie wszystkich tu zgromadzonych wprawiłam w zażenowanie. Co też mi przyszło do głowy? Któż to widział wdawać się w takie kłótnie w trakcie tańca, choćby nawet w prywatnym domu? Zdecydowanie nie powinnam sobie pozwalać na takie zachowanie.

U mojego boku nieoczekiwanie pojawiła się Hetty. W dłoni trzymała kieliszek na krótkiej nóżce.

– Wreszcie ktoś tego młodego człowieka przywołał do porządku. Choć nadal uważam, że to Lily powinna była to zrobić.

– Dziękuję ci, ciociu Hetty. Tego mi właśnie było trzeba. – Upiłam łyk alkoholu... i nagle dech mi w piersi zaparło, taki poczułam ogień w gardle. – Mogłaś mnie uprzedzić, że to whisky. Spodziewałam się wina.

– Proszę cię! Kto leje wino do takiego kieliszka?

Hetty wyciągnęła rękę po kieliszek, ale jej go nie podałam.

– Nie powiedziałam, że nie chcę.

– Twojej siostrze też by trzeba przemówić do rozumu. – Fiona posłała mi ostrzegawcze spojrzenie. – Bardzo ją lubię, Frances, ale trudno mi się oprzeć wrażeniu, że zwodzi Treadwella.

– Rozmawiałam z nią. Obiecała przestać zabiegać o jego względy. Obawiam się tylko, że to nie wystarczy, bo do rozumu trzeba by jeszcze przemówić mojej matce. To ona zachęca Treadwella do dalszych zalotów.

Hetty prychnęła.

– Daisy nie przestaje mnie zadziwiać. Przecież oni mają wziąć ślub dosłownie lada dzień.

– Lily musi dać mu jasno do zrozumienia, że jej serce należy do Leo.

Hetty i ja wymieniliśmy spojrzenia. To by się przecież wszystko nie wydarzyło, gdyby Lily nie targały tak silne emocje i gdyby tak bardzo nie pragnęła uwagi Leo. Dlaczego sprawy miłosne muszą się tak komplikować?

– Może to się po prostu wszystko samo jakoś ułoży – stwierdziła Fiona. – Nie wiele przecież można zrobić. – Nagle się rozpromieniła. – Za to miałam ci powiedzieć, że odebrałam rano intrygujące wieści na temat lady Esther.

Hetty poklepała mnie lekko po ramieniu i odeszła do Alonza. Ja tymczasem zwróciłam się do przyjaciółki.

– O, proszę. Czy wraca do zdrowia?

– Z moich informacji wynika, że w ogóle nie była chora. – Widząc moje zdziwienie, Fiona pokiwała znacząco głową. – Dostałam list od siostry Nasha z Londynu. Akurat wspomniała, że w poniedziałek rano widziała lady Esther u lady Grafton.

– W Londynie?

Fiona przytaknęła.

– Skoro jednak pan Bradmore nie opiekuje się chorą ciotką, to co właściwie robi w jej domu?

Fiona uniosła brwi.

– To bardzo dobre pytanie.

ROZDZIAŁ 15

Okazja do pomówienia z Percym Bradmore'em nadarzyła się natychmiast. Clara Kendrick zwróciła się do Fiony z pytaniem o jej opinię na temat miejscowego kapelusznika, więc ja mogłam się spokojnie zająć własnymi sprawami. Pani Easton wstała od fortepianu, żeby rozprostować plecy i palce. Podeszłam do niej właśnie w chwili, gdy znów zajmowała miejsce na zydelku. Pogratulowałam jej umiejętności i podziękowałam za to, że zrezygnowała z możliwości wejścia na parkiet, żeby nam przygrywać.

Zbyła moje komplementy machnięciem ręki, a potem nachyliła się do mnie, jakby chciała mi coś powiedzieć w tajemnicy.

– Tak się składa, że stanowczo za dużo zjadłam, i mogę lada moment pęknąć. – Zachichotała i pokręciła głową. – Nie wyobrażam sobie, żebym miała tańczyć w takim stanie. Poza tym nie zaszkodzi mi, jeśli trochę poćwiczę. Melodie, do których tańczy się na wsi, nie należą do szczególnie skomplikowanych, a jeśli nawet od czasu do czasu coś pomylę, to nikt mi nie będzie miał tego za złe. Najważniejsze, żeby się było do czego pokręcić na parkiecie.

Właśnie wtedy dołączył do nas Percy Bradmore, który powiedział:

– Nie słyszałem, żeby pani cokolwiek pomyliła.

– O, pan Bradmore – powitałam go.

– A to dlatego, drogi panie, że był pan w drugim pokoju – odparła pani Easton.

– Tam najpewniej w ogóle niczego pan nie słyszał.

Do fortepianu poszedł lokaj z napojami. Wzięłyśmy po szklaneczkę ponczu, który Fiona przygotowała specjalnie na tę okoliczność, a ja dodatkowo odstawiłam na tacę kieliszek po whisky.

– A grywa pan w brydża, panie Bradmore? – zapytałam.

– Niestety bardzo słabo.

– A pańska ciotka?

Odpowiedziało mi zdumione mrugnięcie powiekami.

– Słucham?

– Lady Esther słynie w towarzystwie ze swojego zamiłowania do wista. Jeśli zaś chodzi o brydża, podobno zamierza wstrzymać się z nauką, żeby się przekonać, że ta gra się przyjmie.

Bradmore zaśmiał się uprzejmie, słysząc odpowiedź pani Easton.

– Pewnie nie ma sensu zanadto się z niczym spieszyć. Gra ostatecznie pojawiła się dopiero siedem czy osiem lat temu, więc to ciągle jeszcze nowinka.

Teraz to pani Easton się roześmiała.

– Pańska ciotka jest zwyczajnie tak dobra w wista, że za nic nie chce z niego zrezygnować. Gdy ostatnio była na wsi, brałyśmy wspólnie udział w spotkaniu przy kartach i nieopatrznie połączyłam z nią siły. Jakże potem była na mnie zła, że tak słabo sobie radzę. – Pani Easton skrzywiła się w wyrazie niezadowolenia. – Od tamtej pory staram się doskonalić strategię gry.

Zachichotałam razem z nią.

– Być może będzie pani miała wkrótce okazję odkupić swoje winy. Rozrywka jest rekonwalescentowi równie potrzebna jak lekarstwa.

Pani Easton przekrzywiła głowę.

– Chce pani powiedzieć, że lady Esther przebywa na wsi? – Przeniosła wzrok ze mnie na Bradmore'a.

– Ależ tak. Pan Bradmore o tym nie wspomniał? – Posłałam mu oburzone spojrzenie. – Jakże to, panie Bradmore? Pozbawia pan ciotkę, która wraca na wsi do zdrowia, czegoś tak niezbędnego jak dobre towarzystwo? Ale, ale... Jakoś nie zapamiętałam, co jej właściwie dolega.

– Drobnym atak podagry – odparł jakby z lekceważeniem w głosie. – Sił, zdaje się, z każdym dniem jej przybywa i lada moment zapewne zacznie przyjmować gości.

Podagra? Nie miałam, co prawda, wielkiego rozeznania w kwestii dolegliwości zdrowotnych, ale podagra kojarzyła mi się zawsze z nieumiarkowaniem w jedzeniu i piciu. Tymczasem lady Esther była chuda jak patyk i stroniła od wszelkiego alkoholu.

– Nie mam planów na jutro – oznajmiłam. – Może więc mogłybyśmy wraz z lady Fioną odwiedzić ją jutro po południu.

Jeśli nie liczyć ściągniętych brwi, Bradmore zachował całkowity spokój.

– Pozwoli pani, że ją zapytam, a następnie prześlę wiadomość. Nie chciałbym, żeby się panię fatygowały na próżno.

– To niespełna mila drogi.

Pani Easton westchnęła.

– Chętnie bym do pań dołączyła, ale niestety jutro po południu nie mogę. Mogłabym natomiast pojutrze.

Bradmore przywołał na wargi wymuszony uśmiech.

– Wtedy ciotka z całą pewnością chętnie panią przyjmie. – Po tych słowa zwrócił się do mnie, schylając przy tym głowę. – Z rana poślę do pani gońca z informacją, czy termin jutrzejszy jej odpowiada.

To powiedziawszy, oddalił się, żeby porozmawiać z panem Eastonem, którego żona z kolei zasiadła z powrotem do fortepianu. Nadal trudno mi było rozgryźć, co konkretnie knuje Bradmore, spodziewałam się jednak otrzymać z rana wiadomość, że wizyta odbyć się nie może.

Przeprowadziłam już wszystkie rozmowy, które mogłam tu przeprowadzić, a tancerze zdążyli dobrać się na nowo w pary. Postanowiłam zatem przenieść się do bawialni i przyjrzeć grze w karty. Moja matka i George grali wspólnie przeciwko państwu Durantom. Podeszłam do nich tuż po tym, jak wzięli lewą, więc matka nagrodziła George'a urokliwym śmiechem. Wydymała usta, zastanawiając się, którą kartę zagrać w następnej kolejności, poza tym sprawiała jednak wrażenie odprężonej i szczęśliwej, co ujmowało jej lat. Kto by pomyślał, że ktoś tak uroczy mógłby próbować pokrzyżować plany małżeńskie swojej córki?

Moje przybycie do stolika skwitowała krótko:

– Moja droga, tylko nas, z łaski swojej, nie rozpraszaaj.

– Nie mam najmniejszego zamiaru, mamu. Przyszłam tylko zerknąć, jak idzie gra.

– Spuszczają nam niezłe ciągi – wymamrotał Durant, wykładając kartę. – Na razie musimy się zadowolić jedną wziętką. – Zerknął na mnie wymownie. – Może więc jednak zechce ich pani nieco porozpraszać. Mielibyśmy wtedy większe szanse.

– Cały czas idziemy łeb w łeb, Durant – odparł George spokojnie i z przekonaniem. – Każą nam państwo ciężko pracować na każdą wygraną.

Matka lekko kiwnęła wtedy głową, jakby się nie do końca zgadzała. Ustawiłam się między nią a Durantem, skąd miałam dobry widok na George'a. Z przyjemnością obserwowałam, jak wypycha wargi do przodu, potem wykrzywia je na lewo, a następnie na prawo, jakby cały czas zastanawiał się nad najlepszym przebiegiem rozgrywki. Gdy wzięli kolejną lewą, cały ten schemat powtórzył się jeszcze raz.

– Frances, przez ciebie się denerwuję. – Matka wyłożyła kartę na stolik. – Może zechciałabyś wrócić do młodzieży i zatańczyć z tym miłym panem Bradmore'em.

Miałam ochotę ciężko westchnąć, ale się powstrzymałam. Moja matka za to zwyczajnie nie mogła się powstrzymać. Świetny pomysł, tańczyć z panem Bradmore'em, którego podejrzewam o morderstwo.

George wyłożył ostatnią, wygrywającą kartę.

– Powiedziałbym, że pani córka przyniosła nam szczęście, pani Price. Moim zdaniem to dobrze, że tu jest.

Nagrodziłam go za te słowa ciepłym uśmiechem.

– Jakby panu szczęście było do czegoś potrzebne. – Durant spojrzął na podsumowanie wyników. – No dobrze, chyba już na dziś wystarczy. Zapewne zgodzisz się ze mną, Elizo, że odebraliśmy wystarczająco srogą lekcję?

– Owszem – odparła jego żona, wstając od stolika. – Posłuchajmy jeszcze chwilę muzyki, a potem czas iść spać. To był długi dzień.

Być może nawet dłuższy, niżby się jej mężowi zdawało, pomyślałam, przypominając sobie jej poranną schadznię z młodszym kamerdynerem.

Durant poprowadził żonę do sąsiedniego pokoju, a George zaczął zbierać karty ze stolika. Matka wstała, wzdychając lekko.

– Na mnie już też chyba pora.

Przeszło mi przez myśl, żeby wspomnieć o Treadwellu i wytknąć jej, że nie powinna się wtrącać, uznałam jednak, że lepiej tę sprawę poruszyć na osobności. Ucałowałam ją więc w policzek na odchodnym.

– Dobranoc, mamó.

George również wstał.

– Dziękuję za wspólną grę, pani Price. Podziwiam pani umiejętności.

Gdy doszła do drzwi, odwróciła się i zmrużyła oczy.

– Może i dobrze się z panem gra, młody człowieku. Nie będę ukrywać, że miło spędziłam minioną godzinę w pańskim towarzystwie. To jednak nie oznacza, że wyrażę zgodę na to, aby przebywał pan zbyt długo sam na sam z moją córką. – Gestem głowy wskazała sąsiednie pomieszczenie. – Oboje was stanowczo namawiam do przejścia do tamtego pokoju. Dołączcie do pozostałych gości.

Jakże mnie oburzyła ta jej impertynencja. Już otwierałam usta, żeby dać jej jasno do zrozumienia, że zamierzam sama o sobie decydować, ale George mnie powstrzymał. Kładąc mi dłoń na ramieniu, rzucił:

– Zaraz idziemy.

Matka lekko pociągnęła nosem i ruszyła przed siebie.

– Koniecznie!

Wymieniliśmy z George'em wymowne spojrzenia, od których oboje niemal wybuchiśmy śmiechem. Z trudem się pohamowaliśmy.

– Czuję się trochę tak, jakbym znów miała osiemnaście lat.

– Długo cię w jej życiu nie było, Frances. Być może ona tak właśnie cię postrzega.

Obruszyłam się.

– Ciebie zaś najwyraźniej ma za niesforenego uczniaka.

– Zawsze tak było.

– Dlaczego zachowuje się w stosunku do ciebie tak drętwo?

George uśmiechnął się szelmowsko.

– Już ci mówiłem, że o to musisz zapytać ją. Nie chciałbym stawać między matką a córką. – Roześmiał się, gdy się skrzywiłam. – Nie żywię do niej żadnej urazy, Frances. W każdym razie już nie. Nie myśl o tym teraz, skup się na śledztwie. Udało ci się czegoś dowiedzieć dziś wieczorem?

Opowiedziałam mu o żenującej kłótni z panem Treadwellem na parkiecie i o zaskakującej wzmiance na temat udziału lady Esther w jednym z londyńskich spotkań salonowych.

– Jutro spodziewam się dostać od Bradmore'a liścik z informacją, że jego ciotka nie może mnie przyjąć.

– Dziwny wybór fortelu z jego strony. To rzecz bardzo łatwa do przejrzenia.

Wzruszyłam ramionami.

– Aby podważyć prawdziwość jego słów, musielibyśmy wdrzeć się do jej sypialni i jej tam nie zastać. Choćbyśmy otrzymali nie wiadomo ile doniesień o jej wizytach w Londynie, on zawsze może zaprzeczyć.

– Można tak zyskać na czasie, ale przecież niewiele. Najwyżej tydzień. Potem ktoś z całą pewnością doniesie drogiej lady, że pod jej dachem zamieszkał jakiś przybłąda.

– Cokolwiek on zatem próbuje w ten sposób osiągnąć, najwidoczniej ma zamiar dokonać tego w krótkim czasie. Choć nie potrafię go w żaden sposób powiązać z zatrutą sherry, to właśnie on budzi moje największe podejrzenia.

George uniósł brew.

– Nie mamy pewności, czy arsenik znajdował się w sherry.

– W ogóle co do niewielu rzeczy mamy pewność. A mimo to uważam, że czas najwyższy przestrzec Leo.

– Też tak sędzę. Sprawdźmy, czy go zastaniemy w salonie.

Gdy jednak tam przeszliśmy, prawie nikogo już nie było. Państwo Eastonowie wraz z panem Kraftem zdążyli już pożegnać się z Fioną i wrócić do domu. A gdy muzyki zabrakło, reszta towarzystwa rozeszła się do swoich pokoi. Zostali tylko Fiona, Nash, Durant i pan Bradmore.

– Może powinnam poszukać Lily?

George przystał na ten pomysł i poszedł porozmawiać z Bradmore'em. Ja tymczasem życzyłam wszystkim dobrej nocy, ale zamiast wrócić przez bawialnię, wyszłam na korytarz i dalej do ogrodu francuskiego, który znajdował się na dziedzińcu między dwoma skrzydłami budynku. Było to urocze miejsce na romantyczną schadzkę, choć jednak przemierzyłam dość spory fragment brukowanej ścieżki, nie spotkałam nigdzie Lily i Leo. Ponieważ doszłam niemal do końca północnego skrzydła, to właśnie przez nie postanowiłam wrócić.

Znalazłam się w środku, ale dopiero po dłuższej chwili zorientowałam się, gdzie jestem. Ten dom był stanowczo za duży. Doszłam do wniosku, że powinnam odnaleźć drogę do galerii i tamtędy kierować się do południowego skrzydła, gdzie na piętrze znajdował się pokój mojej siostry. Od galerii dzieliło mnie już tylko kilka kroków, gdy spostrzegłam Lily przy schodach prowadzących do korytarza kawalerskiego. Stała oparta o ścianę, powieki jej opadały.

– Czekasz na Leo?

Poderwała się na dźwięk tych słów.

– Frances, zaskoczyłaś mnie. Tak, czekam. On poszedł po jakąś marynarkę, którą mógłby mnie okryć na czas krótkiego spaceru po ogrodzie. Nie chciałam iść do siebie, żeby matka mnie nie usłyszała albo nie zobaczyła. Na pewno znalazłaby jakiś powód, żeby mnie zatrzymać, przez co pozbawiłaby mnie czasu z Leo. – Westchnęła z irytacją. – Tak to jakoś wychodzi, że albo się na cały dzień rozdzielamy, albo towarzyszą nam tłumy ludzi. Nie zdawałam sobie sprawy, że po przyjeździe tutaj będziemy się tak rzadko widywać. Zaczynam żałować, że jednak nie uciekliśmy.

– Do waszego ślubu zostały trzy dni. – Objęłam ją ramieniem. – Jeszcze sama dojdiesz do wniosku, że lepiej było nie wywoływać skandalu potajemnym ślubem. I lepiej się było nie narażać na gniew matki. W głowie by jej się nie mieściło, że mogłaś tak po prostu uciec przed wszystkimi i wyjść za mąż.

– Matka i teraz próbuje mi uniemożliwić zawarcie małżeństwa. Nie rozumiem, o co jej chodzi. Dlaczego tak bardzo nie lubi Leo? Dziś rano weszłaś na samą końcówkę jej tyrady. Szkoda, że nie słyszałaś wszystkiego, co mi naopowiadała.

– Ona na pewno chce dla ciebie dobrze. Po prostu zapatruje się na instytucję małżeństwa inaczej niż my. – Przerwałam na chwilę. – A właśnie... Będziesz chyba musiała raz jeszcze rozmówić się z panem Treadwellem i dać mu jasno do zrozumienia, że ty chcesz wyjść za Leo. Matka niestety zasugerowała mu coś innego.

Lily wywróciła oczami, ale ja nie dawałam za wygraną.

– Sama też go niejako zachęcałaś. Więc teraz musisz powiedzieć biednemu człowiekowi prawdę.

Tak jej właśnie doradziłam, mimo że daleka byłam od przypisywania Tredellowi roli niewinnej ofiary okoliczności. On chyba raczej uważał, że uczucia Lily słusznie mu się należą. Nie mogłam też wykluczyć, że czyhał na życie swojego najlepszego przyjaciela. Zaświtało mi w głowie, że może jednak należało pozwolić im uciec i wziąć ślub w tajemnicy.

– Jakże długo już tego Leo nie ma... – stwierdziła Lily niepewnie.

– Na tyłach jest druga klatka schodowa – zauważyłam, przypomniawszy sobie przebieg wycieczki sprzed kilku dni. – Bliżej jego pokoju. Być może tamtędy schodzi. Chodźmy zobaczyć.

Gdy szliśmy korytarzem, Lily spojrzała na mnie znacząco.

– Mam tylko nadzieję, że zamierzasz się oddalić, gdy Leo się pojawi. Naprawdę zależy mi na tym, żeby spędzić z moim narzeczonym trochę czasu tylko we dwoje.

– Nie zajmę wam dużo czasu – odparłam, nie za bardzo wiedząc, jak ją uprzedzić, że mam niepokojące wieści.

Zanim zdążyłam znaleźć odpowiednie słowa, ciszę przeszył krzyk. Zaraz potem usłyszałyśmy serię głuchych uderzeń.

Zamarłyśmy na chwilę w bezruchu, by chwilę później popędzić w kierunku klatki schodowej. Krzyknęłam cicho z przerażenia, bo częściowo na stopniach wyścielanych dywanem, a częściowo na kamiennej posadzce korytarza leżało bezwładne ciało Clary Kendrick.

Intensywne falowanie klatki piersiowej świadczyło o tym, że dziewczyna próbuje złapać oddech. Dzięki Bogu, żyła! Gdy do niej podbiegłam, zauważyłam, że ramię ma wykręcone pod zupełnie nienaturalnym kątem.

– Nie ruszaj się, moja droga – powiedziałam, nachylając się nad nią. – Obawiam się, że masz złamaną rękę. Lepiej się nie ruszać, żeby nie pogorszyć sprawy. – Odsunęłam jej z twarzy kasztanowe włosy i sprawdziłam zasłonięte łzami źrenice. Obie wyglądały tak samo. Przeniosłam wzrok na Lily. – Znajdź pana Hazeltona i go tu przyslij. A potem poproś kamerdynera lub ochmistrzynię, żeby posłali po doktora Woodrowa. Pilnie go tu potrzebujemy.

Lily popędziła korytarzem, a ja skupiłam się na powrót na Clarze, która próbowała się podnieść, ale zrezygnowała, gdy poczuła ból.

– Wiem, że cierpisz, moja droga. Spróbuj się nie ruszać. Zaraz sprowadzimy pomoc. Czy chcesz, żebym wezwała jedną z twoich sióstr?

Z jej ust wydobyło się zawrodożenie, które stanowiło dla mnie jednoznaczny odpowiedź. Niech i tak będzie. Poradzimy sobie bez sióstr. Włożyłam jej ramię pod głowę i utuliłam ją na tyle, na ile to było możliwe bez przemieszczania ramienia. Clara przestała płakać i teraz już tylko cicho kwiliła. Pomimo dziwnej pozycji usiłowała się nie poruszyć. Musiałam ją czymś zająć, żeby odwrócić uwagę od bólu do czasu przybycia pomocy. Zerknęłam na schody i zaczęłam się zastanawiać, co właściwie zatrzymało Leo. I wtedy sobie przypomniałam, gdzie jesteśmy...

– A z jakiego to powodu znalazłaś się na korytarzu kawalerskim? – pytałam.

Ona wymamrotała coś niezrozumiałego, a potem powiedziała:

– Zgubiłam drogę.

Przeszło mi przez myśl, że to zdanie może być prawdziwsze, niż jej się wydaje. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że odwiedzała tu jednego z młodych panów. Mogli to być tylko Treadwell lub Alonzo. Jeśli którykolwiek z nich w jakichkolwiek sposób ją do tego zachęcił, to będzie miał ze mną do czynienia. Miałam przecież sprawować opiekę nad tą młodą damą. Ona miała zaledwie siedemnaście lat, a pod nieobecność matki żadna z jej sióstr nie interesowała się jej poczynaniami.

Staralam się rozstrzygnąć, którego z dżentelmenów powinnam za to udusić, gdy u szczytu schodów pojawił się Leo.

– Ostrożnie – uprzedziłam go. – Pana siostra spadła przed chwilą ze schodów. Warto patrzeć pod nogi.

W pierwszej chwili przystanął, ale zaraz potem, nie bacząc wcale na moje słowa, zbiegł po stopniach tak szybko, jak tylko mógł, i przypadł do nóg Clary.

– Claro, na litość boską! Co ty tutaj robisz? Wszystko w porządku?

Postanowiłam udzielić odpowiedzi tylko na drugie z tych pytań.

– Niestety nie jest w porządku. Clara co najmniej złamała rękę. Musimy zatrzymać ją w tej pozycji, dopóki nie będziemy mieli pewności, że można ją bezpiecznie ruszyć. Pan Hazelton zaraz tu będzie, doktor też już został wezwany.

Z otwartymi szeroko ustami Leo wpatrywał się w siostrę, która leżała częściowo na schodach, a częściowo w moich ramionach.

– Jak to dobrze, że pani tak szybko wszystko zorganizowała, lady Harleigh. Matka by mi nie wybaczyła, gdyby Clarze coś się stało.

Westchnęłam, aż za dobrze rozumiejąc jego troskę i poczucie winy. Patricia Kendrick przybędzie za dwa dni i zastanie swoją córkę w gipsie. Niewykluczone,

że żadnemu z nas tego nie wybaczy.

– Frances!

– Tu jesteśmy! – odkrzyknęłam, słysząc głos George’a.

Podbiegł do nas, a w korytarzu za jego plecami dostrzegłam Lily. Zbadał Clare dokładnie, niż ja to zrobiłam, a potem ją wraz z Leo podnieśli, powierzając mojej siostrze misję zadbania o ramię pacjentki. Lily z napięciem na twarzy ujęła nadgarstek i łokieć Clary, żeby się nie poruszyły. W takiej pozycji zanieśli ją do jej pokoju. Ja tymczasem, zamiast podążyć za nimi, wściekła ruszyłam w górę schodów. Może i nie dopatrzyłam obowiązków jako przyzwoitka, ale przecież nie tylko ja tu zawiniłam. Ktoś jeszcze będzie się musiał z tego wszystkiego wytłumaczyć. U szczytu schodów skręciłam w korytarz, z którego odchodziło sześćcioro drzwi. Wiedziałam od George’a, że dwie pary tych zlokalizowanych najbliższej zejścia prowadzą do pokoi zajmowanych przez niego i Leo. Nie wiedziałam, kto sąsiaduje z Leo, ale i tak postanowiłam do niego zapukać. Otworzył mi Alonzo, w samej tylko koszuli i z krawatem luźno zwisającym wokół kołnierzyka.

– Franny, a co ty tutaj robisz?

Cofnął się o krok i szeroko otworzył drzwi, żeby mnie wpuścić do środka. Wmaszerowałam do jego pokoju i odwróciłam się przodem do niego, zanim jednak zdążyłam o cokolwiek zapytać, wychwyciłam w powietrzu charakterystyczną woń. Czyżby róże? Nie, olejek różany. Ulubiony zapach Clary. Rozwarłam usta i spiorunowałam brata spojrzeniem.

– Alonzo, jak mogłeś?

Mój brat zaczął kręcić głową i się cofać, robiąc przy tym niemal komiczną minę.

– Jak mogłem co?

– Clara Kendrick u ciebie była.

– Dobry Boże, Frances! A skąd ty to wiesz? – Gdy dostrzegł gniew w moich oczach, uniósł rękę w obronnym geście. – Franny, cokolwiek myślisz, zaręczam ci, że jej nie zapraszałem. Przyszła tu z własnej inicjatywy, a ja ją czym prędzej odprawilem.

Zmrużyłam oczy.

– Nie patrz tak na mnie. Nie zapraszałem jej ani też w żaden sposób jej nie sugerowałem, że byłaby tu mile widziana. – Przeciągnął drżącą dłonią po już zmierzwionych włosach, wyciągając ich końcówki ku gorze.

– O, Boże, Frances! A co ona ci takiego powiedziała?

– Nic.

Zrobiłam głęboki wdech, a potem wypuszczałam powietrze bardzo powoli, przez cały czas wpatrując się w jego twarz. Spod przerażenia wзираła na mnie najprawdziwsza szczerość. Czyżby Clara rzeczywiście z własnej inicjatywy zastukała do drzwi mojego brata? Jeśli tak było, to tylko żałować jej matki. Patricia będzie miała twardy orzech do zgryzienia.

Alonzo patrzył na mnie całkowicie zaskoczony.

– Skoro nic ci nie powiedziała, to skąd wiedziałaś, że tutaj była?

– Nie wiedziałam, dopóki nie poczułam jej perfum. Czy się zdenerwowała, gdy ją odprawiłeś? Czy potraktowałeś ją jakoś oschle?

– Najpierw się wściekasz, bo myślisz, że ją uwiódłem. Teraz się wściekasz, bo zakładasz, że niezbyt delikatnie ją odprawiłem? Sam już nie wiem, jak miałbym cię zadowolić, Franny.

Opadłam na krzesło stojące przy umywalni i wsparłam brodę na dłoniach.

– Wyobrażam sobie, że pobiegła od twoich drzwi w kierunku schodów, a tam się potknęła i stoczyła na sam dół. Biedaczka złamała rękę.

Alonzo wyglądał na wstrząśniętego.

– Odmówiłem jej wstępu do mojego pokoju i kazałem wracać do siebie. – Przeciągnął ręką po włosach. – Sprawiała wrażenie zaskoczonej, ale się nie zdenerwowała, nie rozplakała ani nie wpadła w histerię. Zwyczajnie sobie poszła. – Alonzo złożył ręce w błagalnym geście. – Bardzo mi przykro, że coś jej się stało, ale nie wydaje mi się, żebym się jakkolwiek przyczynił do jej wypadku.

Te ostatnie słowa dały mi do myślenia. Wypadek. Znowu. Stanowczo zbyt dużo tu ostatnio wypadków.

Rozległo się pukanie. Alonzo uniósł brwi.

– Czyżby kolejny gość?

Podszedł do drzwi, a gdy je otworzył, na korytarzu zobaczyliśmy George'a.

– Hazelton?

George skinął głową w moim kierunku.

– Szukałem pańskiej siostry.

Pomachałam mu lekko palcami, a potem z trudem dźwignęłam się z krzesła.

– Doktor już przyjechał?

– Dogląda pacjentki. – George zerknął na Alonzo. – Czy to do pana tu przyszła?

– Nie na zaproszenie – odparłam, zanim mój brat zdążył się odezwać.

George uniósł oczy ku niebu.

– Bogu dziękować, że to nie moja córka. Jeśli zamierzałaś wychodzić, może mógłbym cię odprowadzić na dół?

Alonzo zatrzymał nas przy drzwiach.

– Gdyby dało się to utrzymać w tajemnicy przed jej siostrą, byłbym bardzo zobowiązany. – Policzki mu się zarumieniły, więc popatrzyłam na niego pytająco. – Nie chciałbym, żeby starsza z panien Kendrick pomyślała, że flirtuję z tą młodszą.

Spojrzelśmy z George'em po sobie. Nikomu by się to nie przysłużyło, gdyby ta nocna eskapada panny Kendrick wyszła na jaw.

– Na pewno uda nam się wyjaśnić tę sprawę jakoś inaczej – odparłam.

Alonzo uśmiechnął się z zażenowaniem i zamknął drzwi. Ruszyliśmy z George'em w kierunku schodów. On ciężko westchnął.

– Bogu dziękować, że to nie moja córka.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Dziękujesz za to Bogu już drugi raz w ciągu zaledwie paru minut. A zdajesz sobie sprawę, że po ślubie ze mną będziesz miał córkę?

George ujął mnie za rękę.

– Rose ma zaledwie osiem lat, a już wykazuje więcej rozumu niż panna Kendrick. Nie martwię się.

Postanowiłam mu nie mówić, że niekiedy całkiem rozsądne ośmiolatki bez reszty tracą rozum, gdy kończą siedemnaście lat. Uznałam, że oboje przekonamy się, jak to jest... w swoim czasie.

U szczytu schodów George zaplótł moją rękę na swoim ramieniu.

– Uważaj, gdy będziemy schodzić – przestrzegł mnie. – Ona się przecież o coś potknęła.

Nie musiał tego mówić, bo już bacznie wpatrywałam się w drewniane stopnie.

– Może po prostu o rąbek sukni. Choć przyznam, że to samo przeszło mi przez myśl. Ale... Cóż to jest?

Podążył wzrokiem za moim spojrzeniem, a potem pokonał kilka stopni, odwrócił się i podniósł z ziemi zwitek nitki, której koniec tkwił zamocowany do schodów. Obserwowałam go, jak obracał go w dłoniach i ścisnął, aż w końcu zerwał.

– Kawalek sznurka. – Uniósł go teraz, żebym mogła mu się lepiej przyjrzeć. – Wygląda zupełnie jak ten, który znalazłaś na drzewie, prawda? – Odsunął moją spódnicę, odsłaniając ukryty odcinek stopnia. – A tu był zamocowany po drugiej

stronie. O ten gwoździak. Został rozciągnięty w poprzek schodów, żeby ktoś się o niego potknął.

Miałam teraz przed oczami niepodważalny dowód, ale nadal nie chciałam w to uwierzyć.

– Przecież gdyby ona spadła głową w dół, mogłaby tego nie przeżyć. Kto by się posunął do czegoś takiego?

George podniósł się, chwycił mnie za rękę i sprowadził dalej po schodach.

– Na pewno nie Bradmore, bo gdy Lily mnie znalazła, właśnie odprowadzałem go do wyjścia.

– Durant?

– Razem z małżonką przed chwilą udali się do swoich pokoi.

– Nikt nie spodziewał się, że panna Kendrick pojawi się dziś wieczorem w tej części domu. To jednak z całą pewnością pułapka. Chodziło o to, żeby kogoś skrzywdzić lub zabić. A ponieważ to ty i Leo zajmujecie pokoje najbliżej tych schodów, skłonna jestem przypuszczać, że zastawiono ją na jednego z was.

– Gdy wychodziłem, Kendrickowi towarzyszyła siostra. Przez całe zamieszanie zapomniałem, że mieliśmy go ostrzec.

Dotarliśmy do końca schodów. Oparłam się o poręcz i posłałam George'owi zmartwione spojrzenie.

– A wszyscy pozostali? Nieoczekiwanie cieszę się, że Rose jest przeziębiona i leży w łóżku. Przynajmniej nie muszę się martwić, że coś jej się stanie. Ale przecież nikt z nas nie jest bezpieczny.

– I właśnie dlatego musimy zastawić własną pułapkę.

ROZDZIAŁ 16

Pomysł George'a, przewidujący zastawienie pułapki na mordercę, nie za bardzo przypadł mi do gustu. Zasugerowałam inne, mniej ryzykowne rozwiązanie – abyśmy wszyscy po prostu wyjechali. On miał na temat mojej propozycji takie zdanie, jak ja na temat tej jego.

– Zastanów się nad tym, Frances. Chcesz wsadzić Leo do jednego pociągu z Treadwellem i Durantem, wiedząc, że każdy z nich może dybać na jego życie?

– A może to jednak Bradmore? Albo ktoś inny, kogo dotąd w ogóle nie braliśmy pod uwagę.

– Cóż powstrzyma Bradmore'a przed przeniesieniem się w ślad za Leo do Londynu? Tam przecież miałby do niego nawet łatwiejszy dostęp. Ktokolwiek za tym stoi, stara się doprowadzić do tego, aby śmierć Leo została uznana za wypadek. Moim zdaniem to ktoś, kto jest mu bliski. A jednocześnie ktoś, kto żywi do niego urazę.

Szliśmy akurat do pokoju dziecięcego, z jakiegoś bowiem powodu poczułam nagłą potrzebę zerknięcia do Rose. Położyłam więc palce na ustach George'a, po czym nacisnęłam klamkę i otworzyłam drzwi prowadzące do dużego i przestronnego pokoju. Na paluszkach minęliśmy regały z książkami i zabawkami, kierując się do sypialni mojej córki. Powolutku uchylałam drzwi, żeby zajrzeć do środka. Niania położyła się już u siebie, a Rose spała najzupełniej spokojnie. Jej długi ciemny warkocz swobodnie wił się pośród pościeli. Nie miała kataru, nie kichała, nie kaszłała. Pomyślałam, że być może postępuję okrutnie, skazując ją na kolejny dzień w łóżku. Pocieszałam się tylko myślą, że dzięki temu moja córka będzie bezpieczna.

Wycofaliśmy się na korytarz, który przemierzaliśmy w milczeniu, aż w pewnym momencie odciągnęłam George'a pod ścianę. Zatrzymaliśmy się w świetle kinkietu.

– Rano porozmawiamy z Leo. Jeśli przystanie na twoją propozycję, przygotujemy pułapkę. Trzeba złapać tego mordercę, zanim komuś jeszcze stanie się krzywda.

Nazajutrz za drzwiami do pokoju śniadaniowego czekała na mnie niespodzianka. W postaci licznie zgromadzonych gości. Zdążyłam już zapomnieć, że nie ma dziś polowania. W rezultacie wszyscy panowie – oprócz George'a – sie-

dzieli już przy stole. Robert Nash, anioł wcielony, wziął na siebie odpowiedzialność za dzbanek z kawą, podstawiłam mu więc filiżankę do napełnienia, a potem usiadłam obok Leo, który raczył się właśnie sporą porcją wędzonego śledzia. Treadwell i Durant siedzieli nieco dalej, obok Hetty. Również byli pochłonięci jedzeniem.

Alonzo, którego miałam na wprost, cały się rozpromienił, gdy do jadalni weszła Anne Kendrick. Zerwał się na równe nogi i odsunął krzesło obok siebie. Ona się zarumieniła, uśmiechnęła i czym prędzej zajęła wskazane miejsce.

– Jak się miewa pani siostra? – zapytał Durant ze swojego krańca stołu. – Wiem od Elizy, że miała jakiś wypadek. I że zrobiła sobie krzywdę.

Nie sposób się było nie zastanawiać, skąd Eliza o tym wie. Przecież nie należała do rannych ptaszków.

Anne skinęła głową.

– Owszem, a Leo nic nie mówił? – Zerknęła na brata, który nie miał chyba nawet ochoty podnosić wzroku znad talerza i tylko gestem ręki dał jej znać, że powinna udzielić odpowiedzi za niego. – Dowiedziałam się o całej sprawie dopiero dziś rano. Ponoć poślizgnęła się na czymś w korytarzu, przy wyjściu do ogrodu.

Uniosła się, jakby chciała wstać, ale Alonzo ją powstrzymał.

– Proszę kontynuować opowieść, panno Kendrick. Ja przyniosę pani coś do jedzenia.

Uśmiechnęła się i odprowadziła go wzrokiem do bufetu.

– Przypuszczalnie lady Harleigh mogłaby nam więcej powiedzieć na ten temat. Clara twierdzi, że to pani ją znalazła na korytarzu i że to pani sprowadziła pomoc.

– Tak mi jej było żal – oświadczyłam. – Od razu było widać, że złamała rękę. Nie chciałam jej samodzielnie przemieszczać. Pani brat z panem Hazeltonem pomogli jej wrócić do pokoju, wkrótce potem zjawił się lekarz.

Durant zmarszczył brwi.

– Dziwną drogę wybrała. Tamtędy idzie się tylko do kuchni i do skrzydła kawalerskiego.

– Nic w tym nie ma dziwnego – oburzył się Leo. W jego głosie wyraźnie po-brzmiewał gniew. – Wyszła z salonu do ogrodu francuskiego, a potem wróciła nie tymi drzwiami, co trzeba. W tym gąszczu łatwo pomylić drogę. Cóż w tym bardzo dziwnego?

– Zupełnie nic, mnie też się coś takiego przytrafiło – skłamałam, zastanawiając się, jak właściwie można się zgubić w kwadratowym ogrodzie, w którym wszyst-

kie linie i ścieżki są proste, a roślinność dorasta człowiekowi tylko nieco powyżej pasa. – W sumie szczęśliwie się złożyło dla Clary, bo kto wie, kiedy by ją znaleziono, gdyby nie to.

– No tak.

Durant opuścił wzrok z powrotem na talerz. Niezbyt go chyba przekonywało to wyjaśnienie, ale nie miał zamiaru drążyć tematu. Oczywiście, nie musiał go drążyć, jeśli wiedział, że cała ta historia została wyssana z palca. Czy to on rozciągnął linkę w poprzek schodów? George twierdził, że gdy Clara spadała ze schodów, Eliza wraz z mężem przebywali jeszcze w bawialni, ale czy wiemy dokładnie, kiedy ta pułapka została zastawiona?

Oddalawszy od siebie tę irytującą myśl, zwróciłam się do Leo.

– Pan Hazelton i ja chcielibyśmy omówić z panem i Lily jeszcze kilka szczegółów dotyczących ceremonii ślubnej. Ona przypuszczalnie już wstała. Czy zechciałby pan po nią podejść i spotkać się z nami w gabinecie za pół godziny?

Leo zatrzymał widelec w połowie drogi do ust.

– Coś jeszcze trzeba ustalać?

Uniosłam wymownie brwi.

– Oczywiście, przyjdziemy – przystał na moją propozycję.

– A czy to znaczy, że dziś rano nie wybiera się z pani z Rose na przejażdżkę?

– Namawiam Rose, żeby została w łóżku jeszcze jeden dzień. – A w każdym razie będę ją namawiać. – Na pewno też jej zależy na tym, żeby w pełni wrócić do zdrowia przed ślubem.

– Jaka szkoda. Zjrzę do niej dziś rano, żeby jej dotrzymać towarzystwa.

Poczułam zaskakujące ciepło na skórze, dziwnie mi też zadzwoniło w uszach. Ani przez chwilę nie wierzyłam w oskarżenia Arthura Duranta, który twierdził, że to Anne ugodziła Charlesa strzałą. Nawet zaś gdyby cokolwiek tę kwestię potwierdziło, nikt by mnie nie przekonał, że ona to zrobiła celowo. Dlatego właśnie nie potrafiłam sama sobie wytłumaczyć, dlaczego ręce mi zadrżały na samą myśl o tym, że Anne miała się znaleźć w jednym pokoju z moją córką. Przez chwilę wodziłam wzrokiem wokół stołu, przyglądając się kolejnym twarzom. George miał rację – nie znaliśmy tych ludzi i nie mogliśmy wiedzieć, czym się kierują. Zabójcą mógł być każdy z nich, ale też wszyscy mogli być bez winy.

Anne uśmiechnęła się i odsunęła lekko od stołu, żeby Alonzo mógł postawić przed nią talerz. On uczynił to z taką celebrą, jakby prezentował jej właśnie klejnoty koronne.

Lon! On miał mi dziś przynieść wybawienie.

– Właściwie to przecież Lon wspominał coś o przejażdżce.

Mój brat rzucił mi nierozumiejące spojrzenie.

Zaprosz ją, poruszyłam bezgłośnie wargami, jednocześnie wymownie spoglądając na Anne.

Na co?, odpowiedział mi tak samo bezdźwięcznie. Uznałam, że on widocznie nigdy nie słucha tego, co się mówi wokół niego.

– Może mógłbyś wybrać się na przejażdżkę w towarzystwie panny Kendrick? – powiedziałam na głos.

W końcu zrozumiał.

– Na przejażdżkę, a no to tak. Zechciałyby mi pani towarzyszyć, panno Kendrick?

Ona się zgodziła, ale mnie wtedy zalała kolejna fala paniki. Bo czy aby teraz mojego brata nie narażam na bliski kontakt z morderczynią? Na litość boską, muszę przestać wszystkich wiecznie podejrzewać.

– Skoro poranek upłynie nam na przejażdżce, to do Rose zajrzę po południu – stwierdziła Anne.

Nie, jeśli tylko zdołam coś na to zaradzić. Wsunęłam do ust ostatni kawałek grzanki, po czym podziękowałam za towarzystwo przy śniadaniu. Gdy tylko drzwi się za mną zamknęły, oparłam się o ścianę, żeby zapanować nad nerwami.

– Jak się udało śniadanie?

Uniosłam wzrok i zobaczyłam, że w moją stronę zmierza Fiona. Westchnęłam.

– Pełne napięcia. Przerazające. Wyczerpujące.

Poklepała mnie lekko po ramieniu.

– W pełni cię rozumiem. Dlatego ja mam w zwyczaju ograniczać się do herbaty. Dobrze ci radzę, to lepszy wybór niż kawa.

Odepchnęłam się od ściany i udałam do pokoju dziecięcego. Jakież było moje zdumienie, gdy nad stolikiem zastałam moją córkę z George'em, pochylonych nad układanką. Rose powitała mnie promiennym uśmiechem.

– Spójrz, mam, co znalazł pan Hazelton. Bawił się tym jako chłopiec.

– Jakie to miłe z pana strony, że pozwala pan Rose bawić się swoimi zabawkami.

Podeszłam do stolika i uśmiechnęłam się szelmowsko.

– Taką mieliśmy umowę.

– Zawarliście jakąś umowę?

Rose przełożyła z ręki do ręki niewielki drewniany klocek.

– Chciałam się dziś wybrać na przejażdżkę, ale pan Hazelton powiedział, że jeśli zostaną jeszcze jeden dzień w pokoju, żeby tak całkiem wydobrzcć, to przyniesie mi coś dla rozrywki.

– Świetny pomysł. – Rozejrzałam się po pokoju i stwierdziłam, że są w nim sami. – A gdzie niania?

– Poszła po śniadanie.

– Sama?

– Owszem, zrobiła to na moją prośbę. – George uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem, a wtedy do mnie dotarło, że on martwi się o bezpieczeństwo Rose tak samo jak ja. – Ale oczywiście lokaj pomoże jej przynieść tacę.

Gdy niania wróciła, w towarzystwie lokaja, ledwo powstrzymaliśmy się przed skosztowaniem jedzenia, które przynieśli dla Rose. Poleciłam natomiast wyrażenie, aby Rose nie przyjmowała nikogo pod moją nieobecność.

Biedna niania chyba bardzo się przejęła, ale teraz mogliśmy spokojnie udać się na spotkanie z Leo i Lily.

– Z samego ranka pojechałem porozmawiać z sierżantem Fiskiem – oznajmił George, gdy schodziliśmy na pierwsze piętro. – Skontaktowali się z rodziną O'Briena, wypytywali też o niego w wiosce. Powiadomiłem go, że starszy lokaj wspomniiał ci o zastrzeżeniach współpracowników pod adresem O'Briena. Nadmieniałem też o wypadkach, które się tu ostatnio wydarzyły.

Dotarliśmy do galerii, a potem skręciliśmy w prawo, w stronę skrzydła północnego.

– Jak on to przyjął?

– Uznał, że to najpewniej zwykłe wypadki, ale obiecał je mieć na uwadze.

– Zastanawiam się nad tym sznurkiem rozciągniętym na schodach – zagadnęłam. – W związku z tą sprawą uwolniliśmy od podejrzeń dwóch panów, którzy w momencie wypadku przebywali jeszcze w salonie. Ale przecież tę linkę mógł założyć każdy. Wystarczyło tylko na chwilę odłączyć się od towarzystwa i przemknąć do skrzydła północnego przez ogród.

Ponieważ staliśmy już przed drzwiami gabinetu, George nacisnął na klamkę i wpuścił mnie przodem.

– Rozważałem i tę możliwość. Pamiętajmy jednak, że Treadwell zajmuje pokój w korytarzu kawalerskim. Jemu byłoby najłatwiej.

Usiadłam przed biurkiem, George zaś przeszedł na drugą stronę.

– Wiedział też, że ty i Leo mieszkacie najbliżej schodów.

– Niemniej Durant mógł po prostu zapytać kogoś ze służących, w którym pokoju należy szukać Leo.

Cmoknęłam z irytacją.

– Nie podoba mi się, że skreślamy z listy Bradmore’a. Ten człowiek bez wątpienia coś knuje. I tylko nie wiem, jak miałby się przyczynić akurat do tego wypadku. Czyli mamy do wyboru: Treadwell albo Durant. A może oni działali razem? To również rozważaliśmy.

– Rozważmy coś jeszcze. Mianowicie sprawa panny Kendrick, która spadła ze schodów, przypomniała mi o tym, jak jeszcze na dworcu również ze schodów spadł wózek z bagażami.

Przesłoniłam szyję dłonią w geście przerażenia.

– A u stóp tych schodów staliście ty i Leo. Jakże mogłam o tym zapomnieć?

– Od tamtej pory sporo się działo. – George przekrzywił głowę. – Ale może to również nie wydarzyło się przypadkiem? Tyle że ani Duranta, ani Treadwella nie było wtedy w pobliżu wózka czy choćby nawet schodów.

– Zatem Bradmore? On przybył na wieś tego samego dnia.

– Tamten wypadek może nie mieć nic wspólnego z pozostałymi, ale tak czy owak chętnie bym się dowiedział, co w tamtym czasie porabiał Bradmore.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju weszli Lily i Leo.

– Dzień dobry – powitała nas Lily, której najwyraźniej dopisywały i samopoczucie, i humor. Smutno mi się zrobiło na myśl o tym, że co najmniej to ostatnie za chwilę popsujemy.

George wstał zza biurka i gestem wskazał im stół roboczy ustawiony na środku pomieszczenia. Na blacie leżało parę książek, ale odsunął je na bok, a gdy już usiedliśmy, spojrzął na mnie wymownie.

– Od tego by tu zacząć? – zastanawiał się.

– Uważamy, że życiu Leo może grozić niebezpieczeństwo – wypaliłam, jakbym się chciała czym prędzej uwolnić od tych słów.

Przyszli państwo młodzi podskoczyli oboje jak rażeni piorunem. George zerknął na mnie z ukosa i oparł brodę na dłoni zaciśniętej w pięść.

– Ja chyba rozpocząłbym tę rozmowę nieco inaczej.

– Wybaczcie mi – przeprosiłam. – Uznałam, że najlepiej będzie od razu przejść do rzeczy.

– Czyli do tego, że Leo grozi jakieś niebezpieczeństwo? – Lily przyglądała mi się z niedowierzaniem. – A niby dlaczego? Skąd w ogóle taka myśl?

Leo chwycił ją za rękę i schował jej dłoń w swoich.

– Musieliśmy chyba źle zrozumieć to, co powiedziała twoja siostra.

– Nie, tu nie ma mowy o żadnym nieporozumieniu. Cztery osoby ucierpiały w wyniku zdarzeń, które na pozór wyglądają na wypadki, ale wszystkie rozgrywają się niepokojąco blisko pana. To nas prowadzi do wniosku, że być może jednak ktoś to wszystko zaplanował i że to właśnie pana obrał sobie na cel.

Z pomocą George'a omówiłam skrupulatnie wszystkie sytuacje, począwszy od wypadku zarządcy, przez otrucie lokaja i postrzał Charlesa, a skończywszy na upadku Clary ze schodów.

Leo uniósł rękę, żeby mi przerwać.

– Nie rozumiem. Jak to możliwe, że ktoś chciał zabić mnie, a otrul lokaja?

– W tej akurat sprawie mamy najmniej informacji, bo w szczególności nie udało nam się ustalić, jak mu konkretnie zaaplikowano truciznę. Wiemy natomiast, że wypił sherry, która tamtego dnia podczas rozmowy w gabinecie została nalana dla pana. Zmarł jeszcze tej samej nocy, co każe nam podejrzewać właśnie trunek.

Leo zmarszczył brwi.

– To wszystko wydaje się logiczne, ale dlaczego miałoby chodzić o mnie? Hazelton też nie opróżnił wtedy kieliszka.

Poczułam się tak, jakby mi ktoś wymierzył policzek. Wpatrywałam się z niedowierzaniem w George'a, który zarumienił się niczym rak. Jak to możliwe, że on mi czegoś takiego nie powiedział? Teraz spuścił wzrok, dobitnie potwierdzając w ten sposób, że Leo mówi prawdę. Wbiłam palce w oparcie krzesła.

– Ile razy o tym rozmawialiśmy, panie Hazelton? I ani razu nie przyszło panu do głowy, żeby wspomnieć, że pan również nie wypił wtedy swojej sherry?

Lily szepnęła coś do Leo, ale ja usłyszałam z tego jedno słowo: „kłopoty”. Z tym niewątpliwie trafiła w samo sedno. Zamilkłam, spodziewając się usłyszeć jakies wyjaśnienie.

George w końcu podniósł wzrok. Przeciągnął palcami po włosach, a potem niewinnie się uśmiechnął.

– Na litość boską, mówże!

– Całymi dniami zadręczasz się i martwisz o Kendricka. Gdybym ci się przyznał, że ja również nie dopilem sherry, zatroskałabyś się jeszcze bardziej.

Lily spiorunowała go spojrzeniem.

– Całymi dniami? To od jak dawna o tym wiecie? I dlaczego nam nie powiedzieliście?

Przygryzłam wargi i zerknęłam na nią z ukosa. Teraz to ja ściągnęłam na siebie gniew jednej z przedstawicielek rodu Price'ów. Wymieniliśmy z George'em porozumiewawcze spojrzenia, a potem jedno przez drugie zaczęliśmy się tłumaczyć.

– On przesadza. Wcale nie wiemy od tak dawna.

– Tak naprawdę nie wiemy nic na pewno.

Odpowiedziały nam jednak tylko dwa zimne spojrzenia.

Lily zerwała się gwałtownie i jakby groźnie, a jej oczy wyglądały jak dwie lodowe kry.

– A nie od tak dawna, to znaczy, że konkretnie od kiedy? I jak mam rozumieć to, że nie wiecie nic na pewno?

Z miną niewiniątka spojrzałam na George'a, który uniósł brwi w wyrazie największego zdumienia.

– Teraz chcesz, żebym to ja ratował sytuację?

– Ty to wyjaśnisz znacznie lepiej niż ja.

George westchnął ciężko.

– Nie wiemy, czy arszenik, który spowodował śmierć lokaja, został dodany do sherry. Zaginionej trutki z pralni nadal nie udało się odnaleźć. To zaś oznacza, że tego młodego człowieka mógł otruć w zasadzie każdy. Dopiero jakoś wczoraj zaczęliśmy łączyć ze sobą te zdarzenia i zastanawiać się, czy to wszystko rzeczywiście wydarzyło się przypadkiem, czy też ktoś za tym stoi. Wtedy zaczęliśmy się zastanawiać, kto znajdował się w pobliżu, gdy do tych wypadków dochodziło. W ten sposób doszliśmy do tego, że na miejscu zawsze był Leo. Nie licząc, oczywiście, śmierci lokaja. Wtedy jednak pani siostra zaczęła domniemywać, że trucizna mogła zostać dodana do sherry.

Klasnęłam w dłoń.

– W mojej ocenie to bardzo trafne podsumowanie. Tyle że uświadomiłeś mi właśnie, że ty również znajdowałeś się w pobliżu za każdym razem, gdy coś się działo. – Wbiłam wzrok w George'a.

– Chcesz powiedzieć, że twoim zdaniem ktoś próbuje zamordować albo pana Hazeltona, albo Leo? – zapytała Lily. – A niby kto miałby to być?

– Mamy oczywiście kilku podejrzanych. – Wzruszenie ramion George'a uznałam za znak, że mogę mówić dalej, przeniosłam więc wzrok na Leo. – A czy pan wcześniej miał okazję poznać pana Bradmore'a?

– Bradmore'a? To ten, który dołączył do nas wczoraj wieczorem? Bratanek lady Esther? Nie wydaje mi się. O ile dobrze zrozumiałem, spędza większość czasu na

kontynencie, ja tymczasem od lat nie wyjeżdżałem z Anglii. Nie bardzo zatem wiem, w jakich okolicznościach mielibyśmy się poznać.

W moim przekonaniu nie zwalniało to Bradmore'a z podejrzeń, ale choć na razie nie byłam gotowa skreślić go z listy, to chwilowo nie bardzo też potrafiłabym o coś sensownego w jego sprawie zapytać.

Zrobiłam głęboki wdech i przeszłam do kolejnej kwestii.

– A jak się pan dogaduje ze szwagrem?

Leo otworzył szeroko oczy.

– Z Durantem? Myśli pani, że Durant chciał mnie zamordować?

– Co ty wygadujesz, Frances? Owszem, Durant chciałby zająć stanowisko Leo w firmie, ale przecież nie zamordowałby w tym celu brata swojej żony.

Leo opadł na oparcie krzesła.

– On chce zająć moje stanowisko w firmie? Naprawdę?

Lily westchnęła.

– Świetny z ciebie biznesmen, ale naprawdę powinieneś nieco baczniej obserwować ludzi wokół siebie, żeby wiedzieć, co myślą o różnych rzeczach.

Pomyślałam, że ona być może nie mówi w tym momencie tylko o Durancie. Postanowiłam jednak chwilowo się tym nie zajmować. Wiedziałam, że kwestia uczuć Lily i tak za chwilę się pojawi.

– Jeśli dobrze rozumiem, zarówno pana siostra, jak i szwagier mają żal, że to pan został wspólnikiem w firmie, a Durant nie.

– Eliza stale opowiada o tym, jaki to cenny wkład jej mąż wnosi w funkcjonowanie firmy ojca – przyznała Lily.

– To niezaprzeczalny fakt – stwierdził Leo. – On ma zawsze głowę pełną pomysłów i wielką wolę ich realizacji. Odgrywa w firmie bardzo istotną rolę. Niemniej ojciec rzeczywiście zakłada, że z chwilą odziedziczenia tytułu Durant porzuci aktywność biznesową.

Tak oto znów wróciliśmy do jednego, drobnego szczegółu.

– A czy pański ojciec zdaje sobie sprawę, że Durant może nie odziedziczyć tytułu jeszcze przez dwadzieścia lat albo nawet i dłużej? Dlaczego więc nie przyzna mu rangi, na którą Durant z całą pewnością zasługuje z racji swojego zaangażowania?

– Ja bym nie miał nic przeciwko temu, ale przekonywać trzeba by mojego ojca.

– Na pewno mógłby pan...

– Czy na razie moglibyśmy wrócić do kwestii bieżącej? – Ton głosu George’a przywołał nas wszystkich do porządku. – Do kwestii niebezpieczeństwa, które grozi Kendrickowi śmiercią?

– Ależ, drogi panie! Durant może i denerwuje się, że sprawy mają się tak, a nie inaczej, ale czy poważnie pan przypuszcza, że mógłby próbować mnie zabić?

– Hazelton i ja tylko pobieżnie orientujemy się w relacji między panami. Jak również w pańskich relacjach z przyjaciółmi – nie mogłam nie dodać. – Dlatego musimy uwzględnić w naszych rozważaniach każdego, kto ma motyw. – Uniosłam brwi. – A czy potrafiłby pan wskazać kogoś, kto bardziej mógłby chcieć pana zguby?

Odpowiedziało mi zdezorientowane spojrzenie.

– A pański przyjaciel, pan Treadwell?

Ulżyło mi, że George mnie wyręczył i zadał to pytanie. Lily tak czy owak zrobiła się blada jak ściana.

Leo natomiast się roześmiał.

– Teraz to dopiero trafili państwo jak kulą w płot. Treadwell? Przyjaźnimy się przecież od lat. Ależ! On szybciej zrobiłby krzywdę sobie niż mnie.

Lily aż zatkanęło.

– Naprawdę sądzisz, że on mógłby zrobić sobie krzywdę?

Nie wiem, czy kiedykolwiek uczestniczyłam w życiu w dziwniejszej rozmowie. Kontynuowanie tematu Treadwella musiałyby doprowadzić do tego, że na jaw wyjdzie sprawa jego awansów względem Lily, a to mogłyby skutkować odwołaniem planowanego ślubu. Powoli dochodziłam do wniosku, że może w ogóle nie należało ostrzegać Leo przed niczym. On nadal nie traktował sprawy poważnie, a nasze dociekania mogły poważnie zaszkodzić jego relacjom tak ze szwagrem, jak i z przyjacielem – a przecież w najlepszym razie tylko jeden z nich miał coś na sumieniu. A do tego wszystkiego musiałam się jeszcze martwić o Lily. Może najlepiej by było w ogóle zarzucić ten temat...

– A czy zdaje pan sobie sprawę, że on żywi pewne uczucia względem panny Price? – Niestety George najwyraźniej nie czytał w moich myślach.

Leo poderwał się na równe nogi tak gwałtownie, że aż przewrócił przy tym krzesło.

– Łajdak!

To powiedziawszy, wymaszerował z gabinetu, zostawiając Lily całą we łzach. Ona po chwili chwyciła rąbek spódnicy i również wybiegła.

– Wszystko zepsuliście. – Rzuciwszy mi zabójcze spojrzenie, ruszyła w pogoń za ukochanym.

George opadł na oparcie krzesła.

– Zakładam, że odpowiedź brzmi „nie”.

– Najpewniej nawet „zdecydowanie nie”. – Skrzyżowałam ręce na piersi. – Jak sądzisz, co on teraz zrobi Treadwellowi?

– Najpewniej go zrużga, całkiem słusznie zresztą.

Skinęłam głową.

– A potem on i Lily będą musieli szczerze ze sobą porozmawiać. Mam tylko nadzieję, że jednak niczego nie zepsuliśmy.

– Dogadają się, Frances. Lepszego wyjścia nie ma.

Miał, oczywiście, rację. My zresztą też mieliśmy do porozmawiania. Najpierw jednak musiałam zastanowić się nad tym, dlaczego tak zareagowałam na wieść, że George również nie wypił sherry. Gdy do mnie dotarło, że tak naprawdę to nie Leo, lecz właśnie on może być celem mordercy, ogarnął mnie strach, żeby nie powiedzieć przerażenie.

Zanim jednak zdążyłam podjąć ten temat, rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł Crocker.

– Mam wiadomość dla lady Harleigh, sir – oznajmił, wyciągając w kierunku George’a srebrną tacę.

On wtedy podniósł liścik i mi go podał, ja zaś zerwałam pieczęć. Cały czas czułam na sobie jego wzrok, więc spojrzałam ku górze.

– Od kogo? – zapytał George, wskazując na wiadomość.

Uśmiechnęłam się ironicznie.

– Od Bradmore’a. – Przeczytałam dwa wiersze treści. – No któż by się spodziewał? Lady Esther nie może nas dziś podjąć. – Podałam liścik George’owi. – Gdy tylko Leo rozprawi się z Treadwellem, powinniśmy koniecznie porozmawiać o tej pułapce. Bradmore nadal zajmuje wysokie miejsce na mojej liście podejrzanych.

ROZDZIAŁ 17

Uznałam, że dopóki Lily gniewa się na mnie, lepiej będzie trzymać się od niej z daleka. George na pewno miał rację, mówiąc, że ona i Leo muszą po prostu szczerze porozmawiać o Treadwellu. Tak samo zresztą jak on i ja musimy po prostu porozmawiać o jego tajemnicach. Na razie jednak tego tematu też wolałam nie poruszać. Przynajmniej dopóki nie przestanę się gniewać.

Aby zająć czymś myśli, zajrzałam ponownie do Rose. Układankę na razie porzuciłyśmy, na rzecz lekcji geografii. Rose świetnie sobie radziła pod okiem nauczyciela kuzynów, zaczynałam jednak poważnie rozmyślać nad tym, żeby w nieodległej przyszłości posłać ją do szkoły. Właśnie próbowałam sobie wyobrazić, jak by to było, gdybym się musiała z nią rozstać na dłuższy czas, kiedy rozleгло się pukanie do drzwi i niania wpuściła w pokój George'a.

On uśmiechnął się do mnie niepewnie.

– Crocker pyta, czy życzysz sobie, aby podano lunch, a jeśli tak, to gdzie.

– A dlaczego pytasz o to mnie, a nie swoją siostrę?

– Bo ona wraz z pozostałymi gośćmi wybrała się na konną przejażdżkę. Zamierzają zjeść coś w wiosce.

W oczach George'a dostrzegłam błysk, który mógł zapowiadać jakiś zamiar.

– Rozumiem. W takim razie, owszem, zjadłabym lunch. Może być w jadalni.

– Doskonale. – George wyciągnął do mnie rękę, a ja zareagowałam zupełnie automatycznie. – Chodźmy mu powiedzieć.

Spoglądałam to na niego, to na Rose, która przyglądała nam się rozbawiona.

– Teraz? Czy potrzeba aż dwóch osób, żeby mu to przekazać?

Podejrzewając, że może się za tym kryć coś więcej, poleciłam Rose wrócić do nauki geografii, sama zaś wyszłam z George'em na korytarz. On zamknął za nami drzwi, po czym uśmiechnął się do mnie szelmowsko.

– Całkiem niewykluczone, że po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia tej sprawy dopisało nam szczęście, moja droga.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Skąd cała ta tajemniczość?

– Pozostałych gości nie ma. Wrócą dopiero po lunchu.

– Prawda. Z przejażdżki Alonza z panną Kendrick zrobiło się dość duże wydarzenie. Cóż jednak z tego?

– Skoro nie będzie ich jeszcze co najmniej dwie godziny, możemy spokojnie przeszukać dom.

W pierwszej chwili poderwałam się do działania, potem jednak nieco zwątpiłam.

– Ale właściwie czego mielibyśmy szukać?

– Przede wszystkim arszeniku. A jeśli jest do znalezienia coś jeszcze, to mam nadzieję, że zdołamy to rozpoznać, gdy na to natrafimy.

Uniósł pęk kluczy należący do pani Ansel i lekko nimi zadzwonił.

Oto stał przede mną mężczyzna, który miał klucz do mojego serca. Niemal zbiegaliśmy po schodach, żeby jak najszybciej dotrzeć do pokoi gości. Postanowiliśmy zacząć od lokum Arthura Duranta. George otworzył drzwi, za którymi czekał na nas pokój tak samo ułagodzony jak zajmujący go człowiek. Wszystkie ubrania znajdowały się w garderobie, szczotki i grzebienie leżały na toalecie, a przyrządy do golenia spoczywały przy umywalce. Na niewielkim stoliku przy łóżku z baldachimem dostrzeżliśmy przypadkową zbieraninę dokumentów, notatek i listów biznesowych. Pośród nich stał dzbanek z wodą, a obok pusta szklanka. Pod łóżkiem ani pod materacem niczego nie znaleźliśmy, w kieszeniach na próżno szukaliśmy jakichkolwiek notatek. Nie zlokalizowaliśmy żadnej skrytki, w której ktoś całkiem przypadkiem ukryłby truciekę na szczury.

Czekałam jeszcze tylko, aż George przejrzy szuflady komody.

– Potrafię sobie wyobrazić, dlaczego nie powiedziałaś mi, że nie wypiliśmy sherry. Ale czy ty się naprawdę nie martwisz, że to ciebie zabójca mógł obrać na cel?

– Nie mamy nawet pewności co do tego, czy arszenik został dosypany do sherry, czymże się więc martwić?

– Jak to czym? Przecież może ci grozić niebezpieczeństwo.

– Nie wydaje mi się.

– Zważywszy na to, czym się zajmujesz, chyba powinieneś brać taką możliwość pod uwagę. Przecież ty jesteś takim jakby szpiegiem, George.

Odpowiedziało mi zdeterminowane spojrzenie, a potem jeszcze krótkie:

– Śledczym.

– Jeśli takie określenie wolisz... Niemniej na pewno co najmniej kilku osobom pokrzyżowałaś ich nieczne plany. Nie zdarzyło ci się nigdy przedstawiać zebranych dowodów w sądzie? Nikt ci nigdy nie groził?

Zamknąwszy najniższą szufladę, George dźwignął się na równe nogi, a potem oparł się o komodę i spojrział na mnie.

– Na ogół pracuję potajemnie i nikt nie wie o moim zaangażowaniu.

– Na ogół?

Westchnął.

– Rzadko się zdarzało, zresztą tylko na początku tej mojej drogi, że musiałem się ujawnić i przedstawiać komuś jakieś dowody. Owszem, grożono mi z tego powodu. Zdarzyło się to dwukrotnie, ale ci, którzy za tym stali, trafili na wiele lat do więzienia. Mogą więc słać pogroźki, ile chcą, ale zza kratki nie mogą mnie osiągnąć.

– To słowo, które mi przyszło do głowy... „Zabójca”. Jakoś teraz nie mogę się od niego uwolnić. A może któryś z tych mężczyzn zlecił komuś zamach na twoje życie. Treadwellowi na przykład. Przecież nie wiemy o nim zbyt wiele. Albo Bradmore’owi. O nim wiemy jeszcze mniej.

George uniósł dłonie, jakby chciał zapobiec kłótni.

– Prawdziwy zabójca nie działałby tak nieporadnie. Już dawno bym nie żył.

– Jeśli próbujesz mnie uspokoić, to w ogóle ci to nie wychodzi.

Odpowiedział mi głupkowaty uśmiech.

– Wybacz mi, moja droga. Chciałem jedynie powiedzieć, że jeśli do tych wszystkich wypadków doszło dlatego, że jedna osoba próbuje zabić Leo lub mnie, to mamy do czynienia z amatorem... I do tego zupełnie nieporadnym. Jeśli dodatkowo trzymamy się założenia, że lokaj spożył arsenik, gdy spijał sherry z kieliszków, to musisz pamiętać, że akurat w tym spotkaniu twój ulubiony podejrzany, czyli Bradmore, nie uczestniczył. – George westchnął ciężko. – Nadal nie wiem, czy te wszystkie wypadki jakoś się ze sobą wiązały. Wiele na to wskazuje, jeśli jednak rzeczywiście tak było, to znaczy, że sprawca działał całkowicie po omacku.

– To akurat podnosi mnie na duchu. Pociesza mnie też myśl, że nikt z twojej przeszłości raczej nie czyha na twoje życie.

On potrząsnął głową, jakby próbował się uwolnić od złego wspomnienia.

– Mnie natomiast cieszy, że tamto życie to już przeszłość i że już się takimi rzeczami nie zajmuję.

– Jakimi?

– Takimi, które by wymagały ode mnie zaangażowania w życie przestępców, rozpoznawania metod i celów ich działalności, zbierania dowodów i przedkładania ich zwierzchnikom.

– A czy to ci nie odpowiadało ze względu na to, na jakie niebezpieczeństwo byłeś w związku z tym narażony?

– Raczej z tego powodu, że w życiu przestępców zazwyczaj pojawiają się jeszcze inni ludzie. Żona... Dzieci... Raz zdarzyło się tak, że blisko się zaprzyjaźniłem z rodziną człowieka, który stanowił cel mojego śledztwa. – Pokręcił głową. – To był sierżant policji, który kierował szajką złodziei.

– Dobry Boże! A w jaki sposób ty się przyczyniłeś do sprowadzenia go przed oblicze wymiaru sprawiedliwości?

– Wstąpiłem do policji i zostałem przydzielony do oddziału sierżanta Brackena.

Uznałam, że musiałam się przesyśleć.

– Pracowałeś w policji?

– Tak naprawdę to nie, to była tylko przykrywka. Potrzebny był ktoś, kto znalazłby się blisko Brackena i mógłby dzięki temu rozgryźć jego przedsięwzięcie.

W tym momencie dostrzegłam w oczach George'a coś jakby rozgoryczenie.

– Trwało to dobry miesiąc, zanim zabrał mnie ze sobą w teren. Wcześniej mnie sprawdzał. Staralem się wszelką miarą udowodnić, że chętnie podporządkuję się jego woli, więc on w końcu mnie nagroził i zabrał ze sobą, gdy go wezwano do zbadania jednej sprawy. Wiele rzeczy przy tym zaniedbał, ale nic nie powiedziałem. A gdy potem wyszliśmy z tego domu, odciągnął mnie na bok i wprost zapytał, czy chcę z nim działać, czy nie.

George aż się wzdrygnął.

– Gdybym się nie zgodził, zabiłby mnie na miejscu. Na szczęście otrzymałem wcześniej rozkazy, aby się w pełni podporządkowywać jego planom, więc mogłem to zrobić. – Oparł się o ścianę i założył ręce na piersiach. – Wtedy się okazało, że on nie tylko przymyka oko, gdy dochodzi do włamania, ale wręcz sam je organizuje.

– Jak to „organizuje”?

– Konstable wysłani na patrole zwykle nawiązywali znajomość z mieszkańcami i wdawali się z nimi w pogawędkę, a potem dawali mu znać, który dom najłatwiej będzie obrabować. Złodzieje udawali przedstawicieli najróżniejszych zawodów. Niektórzy zatrudniali się jako służba domowa, zazwyczaj jednak zajmowali się dostawami. Dowozili do domu węgiel, mleko, produkty spożywcze albo jeszcze coś innego, co by im zapewniło dostęp do wnętrza na czas potrzebny do otwarcia okna.

– Czyżbyś to wtedy nauczył się tej sztuczki? Skoro tylu ludzi brało w tym udział, najpewniej jesteś dumny, że położyłeś kres temu procederowi.

Brwi ściągnęły mu się nad czołem.

– Gdy on trafił do więzienia, jego rodzina została z niczym. Bez środków do życia.

Położyłam dłoń na jego ramieniu.

– Ale trzeba go było powstrzymać.

Uśmiechnął się do mnie smutno.

– Owszem, trzeba było. Nie sprawiło mi to jednak ani przyjemności, ani satysfakcji. Jego rodzina nie zasługiwała na taki los. – Odepchnął się od ściany i ujął mnie za rękę. – Ale dość tego. To już przeszłość. W każdym razie moim zdaniem nikt nie próbuje mnie zabić.

Skinęłam głową.

– No dobrze, to tego się na razie trzymajmy.

Wyszliśmy z powrotem na korytarz, a George wydobyl z kieszeni pęk kluczy i przekręcił odpowiedni z nich w zamku.

– Pierwszy pokój za nami – powiedział, siląc się na pogodny ton głosu. – Teraz zajrzyjmy do Elizy.

Chwyciłam za klamkę, a gdy okazało się, że drzwi nie są zamknięte na klucz, po prostu weszłam do środka. Poczułam, co prawda, że George wyciąga rękę, jakby próbował mnie powstrzymać, ale nie zdążyłam zareagować.

– Mogę pani w czymś pomóc, milady?

Przy wysokiej komodzie stała służąca Elizy z naręczem ubrań. Na jej twarzy malowało się zdumienie. To dlatego drzwi były otwarte. A niech to! Posłałam jej promienny uśmiech.

– No proszę, tutaj cię znalazłam.

Młoda kobieta popatrzyła na mnie zdumiona.

– Pani szukała mnie, proszę pani?

– No cóż, nie do końca. To znaczy nie ja szukałam, tylko moja pokojówka. – Postąpiłam krok naprzód, wzięłam od niej bluzki i odłożyłam je do otwartej szuflady. – Moja droga, stanowczo zbyt ciężko pracujesz. Moja Bridget i pani Ansel raczą się teraz herbatą w saloniku ochmistrzyni. Bridget pomyślała, że może chciałabyś do nich dołączyć.

Dziewczyna przyłożyła ręce do piersi.

– Ależ to miło z jej strony. – Radość, która się wymalowała na jej twarzy, szybko jednak ustąpiła dezorientacji. – Ale czy pani szukała mnie na polecenie swojej służącej, milady?

Roześmiałam się perliście, a potem położyłam jej dłoń na ramieniu i poprowadziłam ją w kierunku drzwi. Założyłam, że George zdążył się już ukryć gdzieś

poza zasięgiem jej wzroku.

– Nie, bynajmniej. Po prostu przechodziłam obok i usłyszałam, że jesteś w pokoju. – Machnęłam ręką od niechcenia. – Taki szczęśliwy zbieg okoliczności.

– Usłyszała pani z korytarza, jak składałam ubrania?

– Mam świetny słuch. Słuchaj, twoja pani wróci dopiero jakoś za godzinę. Takie okazje nie zdarzają się przecież często. Powinnas z nich skrupulatnie korzystać.

Spojrzała na mnie niepewnie, po czym dygnęła i udała się korytarzem w stronę przejścia dla służby. Odwróciła się potem tylko raz przez ramię, ale gdy pokiwałam głową w potwierdzającym geście, szybko zniknęła za drzwiami.

Westchnąwszy z ulgą, wszłam z powrotem do pokoju Elizy. Ledwo zdążyłam dojść do łóżka, gdy George wstawił głowę przez drzwi.

– W życiu nie słyszałem bardziej absurdalnej bajeczki – powiedział, zamykając za sobą drzwi i ruszając w stronę komody.

– A cóż innego miałam zrobić? Wycofać się, udawać, że pomyliłam pokoje? Nie mam w głowie gotowych scenariuszy na takie okoliczności, ale skoro zależy nam na tym, żeby przeszukać ten pokój, trzeba ją było jakoś skłonić do tego, żeby wyszła.

On miał chyba ochotę parsknąć śmiechem, ale skarciłam go wzrokiem.

– Ty na pewno poradziłbyś sobie lepiej, ale nie miałam wrażenia, żebyś się jakoś spieszył z realizacją swojego pomysłu.

– Przyznam uczciwie, że nie wysłałbym jej na dół na herbatkę widmo. A co się stanie, jeśli Bridget jej powie, że nie ma pojęcia, o czym mowa?

– Bridget zawsze stoi za mną murem, cokolwiek komukolwiek powiem. Jeśli zaś chodzi o spotkanie u ochmistrzyni, to wcale go nie wymyśliłam. – Zachnęłam się. – Bridget wspominała mi o nim dziś rano. A gdyby od razu zaprosiły i tę dziewczynę, to nie musiałabym teraz niczego wymyślać.

George uniósł ręce w geście kapitulacji.

– Cóż w takim razie mogę rzec innego, jeśli nie: brawo? – Skinął głową. – Zapamiętam też na przyszłość, że Bridget nie zawaha się dla ciebie skłamać.

Opadłam na kolana, żeby zajrzeć pod łóżko.

– Nic się martw, George. Tobie zawsze mówiłam prawdę. – Oparłam łokcie na łóżku i zamyśliłam się na chwilę. Czy bowiem rzeczywiście tak było? – W każdym razie tak mi się wydaje.

On roześmiał się gromko, a ja wróciłam do poszukiwań. Pod łóżkiem niczego nie znalazłam, wsunęłam więc rękę pod materac. Podczas gdy ja obmacywałam

przestrzeń pod miękkim płótnem, George otwierał po kolei szuflady komody.

– Pewnie powinienem schować te bluzki, nie sądzisz?

– Dobry pomysł. Nie chcemy przecież, żeby Eliza miała pretensje do tej biednej dziewczyny.

Wstałam, z pustymi rękami, i podążyłam za George'em do garderoby.

– A cóż my mamy tutaj?

Przyglądałam się, jak na moich oczach rozkłada welinowy arkusik i wodzi wzrokiem po zapisanych na niego słowach. Po chwili podał mi to, wdychając z niedowierzaniem.

Wzięłam od niego list i spojrzałam na równe pismo i podpis: „Twój Ernest”, a potem przeczytałam resztę. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Elizę i autora tej wiadomości łączy bliskie uczucie.

Nie wypuszczając kartki z ręki opuściłam ramię do boku.

– Zdumiewające! Mnie by się wydawało, że oni ledwo się nawzajem tolerują.

– A moim zdaniem tolerancji w tym związku nie brakuje, tyle że w całości skupia się po stronie Duranta.

– A on, twoim zdaniem, wie, że jego żona kocha innego mężczyznę?

George przekrzywił głowę i zmrużył oczy.

– Nie wydaje mi się, żeby ktoś tu kogoś kochał.

Zamachałam mu listem przed nosem.

– Przecież pisze o Elizie, że jest jak promień słońca w ponury dzień. Mężczyźni mówią takie rzeczy, tylko jeśli są zakochani.

– Albo gdy chcą nakłonić kobietę do wizyty w swoim łóżku.

– Hm, może i racja. A czy w takim razie sądzisz, że on wie o związku Elizy z Treadwellem? W towarzystwie odnoszą się do siebie z wyraźną niechęcią. Najpewniej próbują w ten sposób zakamufłować swój związek. – Jęknęłam cicho, coś sobie uświadomiwszy. – Jego awanse względem Lily. Czy myślisz, że to też tylko na pokaz?

– Albo na pokaz, albo po to, żeby wzbudzić w Elizie zazdrość.

Oparłam się plecami o ścianę, próbując sobie przypomnieć, co się właściwie działo między tymi dwojgiem w ostatnich dniach.

– Tak też może być. Eliza zdawała się ignorować Treadwella, dopóki ten nie zaczął zabiegać o uwagę Lily. Wtedy nagle zgłaszała jakieś zastrzeżenia co do zachowania sióstr albo posyłała kąśliwe uwagi pod jego adresem. Musiała być zazdrosna. A schadzka z kamerdynerem to mogła być próba zemsty.

– W każdym razie o Lily i Treadwella już nie musimy się martwić. A skoro już o tym mowa... Wiadomo ci coś o tym, żeby Kendrick rozmówił się z nim dziś rano?

– Owszem, rozmówił się. Powiedział mu do słuchu, jak słusznie zakładałeś. Bridget wspomniała, że widziała ich w okolicach labiryntu. Ponoć dali sobie po razie, a potem pokuśtykali ramię w ramię z powrotem do domu jak starzy przyjaciele. Chyba wszystko sobie wyjaśnili. – Pokręciłam głową. – Nadal jednak uważam, że on sobie na to wszystko zasłużył. Kto to widział tak się bawić uczuciami Lily i flirtować z siostrą Leo?

George podszedł do mnie i założył ręce na piersiach.

– No dobrze. Wiemy już, że Treadwell to łajdak. Co to jednak wnosi do naszej sprawy?

Przyłożyłam palce do skroni, aby uciszyć dudnienie krwi.

– Jeśli równocześnie romansował z zamężną siostrą Leo i zalecał się do jego narzeczonej, to najwyraźniej rozumie istotę przyjaźni inaczej niż większość z nas. Wydaje mi się to odrażające i w moich oczach uprawdopodobnia jego rolę jako niedoszłego zabójcy.

– Może i postępował w odrażający sposób, ale jaki niby miałby mieć powód, aby zabijać Leo? Ta przyjaźń to dla niego doskonała wymówka do częstych spotkań z Elizą. Moim zdaniem w świetle tego wszystkiego raczej powinno mu zależeć na tym, żeby Leo został przy życiu.

– Na dodatek wszystko wskazuje na to, że wyjaśnili sobie wszelkie nieporozumienia. A co z Durantem?

George podrapał się po brodzie.

– To już nieco bardziej skomplikowana sprawa. Czy on wie o tym, co wyczynia jego żona?

– A czy to w go w ogóle obchodzi? To panu Kendrickowi zależało na tym, żeby Eliza za niego wyszła. On sądził, że uzyska dzięki temu udziały w firmie. – Wzruszyłam ramionami. – Dlaczego Eliza się na to zgodziła, nie mam pojęcia.

– Jeśliby Durant uważał, że Leo stoi mu na drodze, niewątpliwie miałby motyw. Niewierność żony nie musi w tym przypadku nic znaczyć.

– Zanim jednak skreślimy Treadwella z listy, powinniśmy skorzystać z okazji i zajrzeć również do jego pokoju.

Tak też zrobiliśmy, ale nic z tego nie wynikło. Jeśli dostawał jakieś listy od Elizy, to albo roztropnie się ich pozbywał, albo chował je lepiej niż ona. Ponieważ goście mogli lada moment wrócić, postanowiliśmy na razie zarzucić dalsze prze-

szukania. Rozdzieliliśmy się przy drzwiach i George udał się na spotkanie z łowczym, żeby omówić sprawy związane z jutrzejszym wypadem, ja zaś wróciłam do siebie. Bridget czekała tam na mnie z pytaniem, co też skłoniło mnie do wpłaty niej w kolejne tajemne przedsięwzięcie.

Wytłumaczyłam się potrzebą chwili, a ona przyjęła moje wyjaśnienia śmiechem. Powiedziała, że bardzo lubi Corę, to jest pokojówkę Elizy. Przyznała mi też rację, że należało ją zawczasu zaprosić na to spotkanie.

Gdy już omówiliśmy tę sprawę i gdy moje włosy zostały przywrócone do porządku, udałam się na dół, żeby sprawdzić, czy ktoś już wrócił. W bawialni zastałam moją matkę w towarzystwie Lily i pana Bradmore'a. Powitałam ich i zapytałam, jak się udało poranne wyjście.

Matka, wygodnie usadowiona w rogu sofy, odłożyła tamborek i spojrzała na mnie znad okularów.

– O, jesteś, Frances. Bardzo miło spędziliśmy czas w wiosce, spotkaliśmy tam pana Bradmore'a.

Skinęłam do niego głową, a potem zajęłam miejsce obok Lily – tak, żeby ona dzieliła mnie od matki. Bradmore usiadł naprzeciwko nas.

– Szkoda, że z nami nie pojechałaś – ciągnęła matka. – Zupełnie nie rozumiem, do czego Hazelton mógł cię potrzebować. Jesteś tu przecież gościem, powinnaś się dobrze bawić. Zapewne zgodzi się pan ze mną, panie Bradmore?

Dżentelmen najwyraźniej nie spodziewał się, że zostanie wywołany do odpowiedzi.

– Powiedziałbym, że lady Harleigh nigdy nie uchyla się od swoich obowiązków, a przy tym znajduje czas na rozrywkę.

Oto objawił nam się tchórz, który za nic nie chciał zajmować stanowiska.

– A pan, panie Bradmore, jakie konkretnie obowiązki pełni? – zapytała Lily. – Teraz przebywa pan u lady Esther, ale czy prowadzi pan własny dom? Gdzie konkretne pan rezyduje?

Lily z racji młodego wieku nie przystawało zadawać takich pytań, ponieważ jednak zarówno ja, jak i – najwyraźniej – moja matka byłyśmy szczerze ciekawe odpowiedzi, żadna z nas nie uczyniła jej z tego powodu wyrzutu. Wszystkie trzy spojrzałyśmy wyczekująco na gościa. On zaś popatrzył na nas wzrokiem zwierzęcia schwytanego w pułapkę.

– Mam mieszkanie w Londynie – zaczął niepewnym głosem.

Lily nie dała mu powiedzieć nic więcej.

– Ale przecież wspominał pan, że rzadko bywa w stolicy. Gdzie zatem jest pan tak naprawdę w domu?

– Większość czasu spędzam na kontynencie.

Ona uśmiechnęła się chłodno.

– A gdzie konkretnie?

– Lily, czyżbym nie nauczyła cię dobrych manier?

Moja matka z całą pewnością była równie zainteresowana odpowiedzią, jak jej córka. Ostatecznie Bradmore był kawalerem do wzięcia, a potencjalnie również dziedzicem tytułu. Lily, co prawda, miała lada chwila stanąć na ślubnym kobiercu, ale w tym momencie matka siedziała w bawialni w towarzystwie dwóch niezamężnych córek i zapewne niczego nie pragnęła bardziej, niż dowiedzieć się, że siedzący naprzeciwko mężczyzna nadawałby się na zięcia. Choć więc teoretycznie strofowała moją siostrę za nagabywanie rozmówcy, w rzeczywistości utyskiwała nad tym, że jej córka nie potrafi wydobywać ważnych dla niej informacji w sposób bardziej zgodny z wymogami etykiety.

Nie zdawała sobie przy tym sprawy, że Lily kieruje się w tych swoich dociekaniach całkiem odmiennymi pobudkami niż te, które przyświecają jej. Moja siostra obawiała się, że ten człowiek może mieć złe zamiary względem Leo, zamierzała więc zrobić, co tylko w jej mocy, żeby dowiedzieć się, czy tak rzeczywiście jest, i ewentualnie go powstrzymać.

Bradmore sprawiał wrażenie coraz bardziej pogubionego.

– We Francji...

– Czyżby? A gdzie właściwie we Francji? Kendrickowie mają fabrykę gdzieś w okolicach Strasburga. Czy pan tam kiedyś był?

– Nie. Mam kuzyna w Prowansji. Od dzieciństwa jesteśmy ze sobą blisko związani. Znaczoną część czasu spędzam w jego domu, z jego rodziną. Mam też mieszkanie w Paryżu, dokąd się udaję, gdy brakuje mi kontaktu ze sztuką czy teatrem.

– A to stamtąd pan przyjechał tutaj? – zapytałam.

– Nie, tutaj przybyłem z Londynu.

– W niedzielę? Zastanawiam się, czy podróżowaliśmy tym samym pociągiem. Uśmiechnął się uprzejmie.

– Mój pociąg zawitał na stację z samego rana. Państwo zaś, zdaje się, dojechali parę godzin później.

Matka już o nic więcej nie zapytała. Zapewne Bradmore przestał ją interesować. Nawet jeśli miał w przyszłości odziedziczyć tytuł, to najwyraźniej nie posia-

dał majątku, w którym można by osiąść, i przez większość czasu tułał się po świecie – co dla niej było zwyczajnie nie do przyjęcia. Nic też nie wskazywało na to, aby w najbliższym czasie zamierzał się żenić czy zakładać rodzinę. Mężczyźni mają pod tym względem szczęśliwsze życie. O ile tylko nie muszą zarabiać na swoje utrzymanie czy zarządzać majątkiem, mogą robić, co tylko dusza zapragnie. Bradmore wiódł poniekąd takie życie jak George.

Tyle że mógł się okazać zabójcą.

ROZDZIAŁ 18

Tak się złożyło, że Clara, która wywołała burzę swoją propozycją włączenia pań do udziału w wyprawie łowieckiej, sama – z powodu doznanego urazu – nie mogła w niej uczestniczyć. Bładym świtem następnego ranka pośród panów stawiliśmy się tylko we trzy. Lily przemogła poranne niedogodności chyba tylko siłą woli, ale koniecznie chciała towarzyszyć Leo i w ten sposób chronić go przed wszelkim niebezpieczeństwem, które mogłoby mu grozić w związku z tak zwaną pułapką zastawianą przez nas na rzekomego mordercę.

– Powiem szczerze, że bardziej niedorzecznego planu w życiu nie słyszałam. Za nic nie pojmuję, dlaczego coś takiego robimy.

Poklepałam siostrę po ramieniu, żeby położyć kres tej dyskusji. Od wczorajszego wieczoru wysłuchiwałam jej opinii na ten temat już po raz szósty czy siódmy. Podzielałam, co prawda, jej zdanie na ten temat, ale główną rolę w tym przedsięwzięciu odgrywali George i Leo, a im się ten pomysł wydawał wprost idealny.

Wczoraj wieczorem George niemal przez godzinę przekonywał Leo, że ktoś rzeczywiście chce go zabić. Leo zaś ostatecznie zgodził się uczestniczyć w realizacji jego planu dopiero po tym, jak George wskazał siebie jako drugi potencjalny cel zabójcy. Dziś polowanie odbywało się na terenie majątku Risings, na styku lasu, wrzosowisk i stawu. George i Leo mieli wyruszyć między drzewa pod pretekstem poszukiwania drogi na drugą stronę zbiornika wodnego, gdzie spodziewali się znaleźć kolejne kuropatwy. George zakładał, że zabójca podąży za nimi, ale oni zawczasu zaczają się na niego wraz z Tuttle'em.

Do tego cały ten plan się sprowadzał – że dwie potencjalne ofiary mają się odalić od grupy w nadziei, że morderca postanowi skorzystać z okazji. Nic dziwnego, że George nie chciał mnie wcześniej wtajemniczyć w arkana swojego fortelu.

– Nie jest to oczywiście idealne rozwiązanie – przyznał – ale musimy spróbować jakoś wywabić naszego sprawcę z ukrycia. Liczę na to, że nie będzie w stanie oprzeć się pokusie oddania strzału do Leo. Albo do mnie – dodał, gdy Lily spiorunowała go spojrzeniem.

Mnie te wyjaśnienia nie przekonywały.

– Powiedziałabym, że jest to rozwiązanie bardzo dalekie od ideału. Cóż niby miałoby powstrzymać mordercę przed oddaniem takiego strzału? Ptaki będą się podrywać do lotu, panowie zaczną do nich celować. Nikt niczego nie zauważy, dopóki nie będzie po wszystkim. To polowanie należy odwołać, a winnego poszukać jakoś inaczej.

Dyskutowaliśmy nad tym we czworo do późna, ale George i Leo obstawali twardo przy swoim, że polowanie musi się odbyć. Ich zdaniem w przeciwnym razie sprawca uznałby, że coś podejrzewamy. George twierdził, że w ten sposób można go zmusić, żeby się ujawnił, a skoro Leo będzie miał się na baczności, szanse na schwytanie intryganta ocenił jako znaczne.

– Nikt nas nie chce słuchać – skarżyła się Lily, zakładając ręce na piersiach – bo jesteśmy kobietami. Gdyby to Hazelton powiedział, że uważa plan za nieprzemysłany, Leo natychmiast zmieniłby stanowisko. I na odwrót.

– Co do tego ostatniego nie byłabym taka pewna. Mam wrażenie, że George tak się upiera przy tych polowaniach, że nikomu nie pozwoli stanąć sobie na drodze.

Podziwiałam oczywiście tę jego determinację, jednocześnie zaliczałam ją jednak do tych nielicznych wad, o których napomknęła Fiona.

– Muszę napić się kawy – oświadczyła Lily, po czym podeszła do jednego z lokajów, którzy obsługiwali grupę gromadzącą się przed głównym wejściem do domu.

Na żwirze zachrzęściły podeszwy ciężkich butów George'a. Wyglądał na nawet bardziej niewyspanego niż ja.

– Czy ja aby nie wspominałem, że wołałbym cię nie widzieć na tym polowaniu? Na jego twarzy malowała się troska.

– W ciągu ostatnich pięciu minut nie. Podziwiam twoje opanowanie.

Mieliśmy z George'em odmienne zdanie również i w tej kwestii. On chciał, żebym została w domu i nie narażała się na niebezpieczeństwo. W tej akurat sprawie to ja zatriumfowałam. Cóż to był jednak za triumf, skoro musiałam wstać o szóstej rano, włożyć tweedową spódnicę i marynarkę, a na nogi wzuć ciężkie buciory. To wszystko miało mnie chronić przed wilgocią i chłodem poranka, ale nie do końca spełniało swoją funkcję.

Znalazłam się wśród hałaśliwych mężczyzn w grubym odzieniu i obuwiu osłoniętym sztylpami, ochoczo wymachujących sztucerami.

George trzymał swoją broń pod pachą. A w myśliwskim rynsztunku prezentował się niezwykle korzystnie.

– Będę się tylko niepotrzebnie martwił, wiedząc, że jesteś w pobliżu i podążasz za Bradmore'em.

– Ustaliliśmy to przecież wczoraj. Nie jesteś w stanie pilnować jednocześnie Bradmore'a, Duranta, Treadwella i Leo. Potrzebujesz mojej pomocy. Uwolnię cię od choćby jednego z tych obowiązków, a konkretnie od Bradmore'a.

– Powoli dochodzę do przekonania, że uparta z ciebie sztuka.

– Możesz mnie odwieść od tego zamiaru tylko w jeden sposób, a mianowicie odwołując polowanie. To niebezpieczne zajęcie nawet wtedy, gdy nikt nie życzy źle Leo czy tobie.

– Co do tego, moja droga, to się mylisz. – W jego oczach pojawił się błysk, który stanowił dla mnie czytelny sygnał, że tę wymianę argumentów przegrałam. – Takie polowanie jak to jest zawsze starannie zaplanowane. Bardzo dbamy o bezpieczeństwo. Broń została sprawdzona, a Tuttle wszystkich przeszkolił. Skoro zresztą o tym mowa, panie biorące udział w wyprawie również muszą odebrać instruktaż. Przez pole idziemy ramię w ramię, psy posyłamy przodem, żeby wypłoszyły ptactwo, a gdy to wzbije się w powietrze, oddajemy strzały, ale zawsze w górę. Nikt ani na moment nie zapomina, że ma obok siebie towarzysza. A teraz być może towarzyszkę. Strzelamy prosto przed siebie, względnie lekko pod kątem, ale co najwyżej czterdzieści pięć stopni na boki. – Uniósł ręce. – Tak to właśnie wygląda i naprawdę rzadko się zdarza, aby ktokolwiek ucierpiał.

– To wszystko jest niezmiernie ciekawe i nie mam najmniejszych wątpliwości, że wszyscy panowie skrzętnie dbacie o bezpieczeństwo. Mniej jednak mnie martwi, że ktoś mógłby zostać raniony przypadkiem, bardziej zaś to, że ktoś może paść ofiarą strzału oddanego całkiem celowo... Do Leo lub do ciebie.

George skinął głową.

– To rzeczywiście może być problem, ale coś takiego wydaje mi się mało prawdopodobne. Gdyby bowiem taki na przykład Durant wycelował w kierunku Leo, to wszyscy by to zobaczyli.

– A czy muszę ci przypominać, że zawody łucznicze też zgromadziły spory tłum, a nikt niczego nie widział?

– Nie mam innej możliwości, Frances. Wysłałem już list do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, w którym wyjaśniłem naszą sytuację, ale ponieważ to sprawa natury osobistej, oni tam mogą nie móc lub nie zechcieć nas wspomóc. – Przez chwilę masował dłońmi policzki. – Zresztą chciałbym nie czekać i działać jak najszybciej. Zrobię, co w mojej mocy, żeby Leo nic złego się nie przytrafiło.

– Tobie również mogłoby się nic złego nie przytrafić. I dlatego zamierzam pilnować Bradmore'a.

George właśnie unosił ręce w geście kapitulacji, gdy podszedł do nas Tuttle w obłoconych butach i wyświechtanym kapeluszu. W dłoniach trzymał trzy sztucery.

– Jeśli zamierza pani dziś strzelać, chciałbym przedstawić zasady dotyczące obsługi broni i mierzenia do ptactwa.

– Dziękuję, Tuttle. Ja nie zamierzam strzelać, ale tamte panie owszem, tak. – Skinęłam głową w kierunku Lily i Anne, które stały zaledwie kilka stóp obok.

On przesunął na bok czapkę, żeby się podrapać po głowie. Odsłonił w ten sposób sporą łysinę i przerzedzoną kępkę siwych włosów.

– Pani pozwoli tylko, że powiem: cała zabawa panią ominie, milady.

Roześmiałam się szczerze, bo w tym momencie George wymownie odchrząknął i posłał starszemu mężczyźnie gniewne spojrzenie.

– Ależ ja się wybieram na polowanie. Tylko nie zamierzam strzelać.

Łowczy skinął głową i ruszył w kierunku Anne i Lily, aby przekazać im wszystkie niezbędne wskazówki. Ja tymczasem zwróciłam się do George'a.

– Tuttle najwyraźniej nie ma nic przeciwko temu, żeby kobiety brały udział w polowaniu.

– Ja również bym nie miał w normalnych okolicznościach. I szczerze powiedziawszy, dziwię się, że nie zamierzasz strzelać.

– Początkowo rozważałam i to, potem jednak doszłam do wniosku, że nie strzelam dostatecznie dobrze i mogłabym przypadkiem ranić jednego z naszych podejrzanych, gdyby wykonał jakiś gwałtowny ruch. – Wzruszyłam ramionami od niechcenia. – Dlatego uznałam, że będzie bezpiecznie, jeśli nie zabiorę ze sobą broni.

George pokręcił głową. Ciągle się jeszcze nie pogodził z moją decyzją, ale został wezwany do zajęcia się jakąś inną sprawą, więc nie mógł już dłużej ze mną dyskutować.

– Franny! – Odwróciłam się i zobaczyłam, że mój brat również prezentuje się w stroju myśliwskim zupełnie niczego sobie. – Ależ się cieszę, że zdecydowałaś się nam towarzyszyć. Będzie świetna zabawa. Uwielbiam takie wypadki na wieś, a ty? Większość czasu spędzam w mieście, więc to dla mnie nie lada rarytas. – Mrugnął porozumiewawczo okiem. – Osobiście jestem zachwycony, że Lily zmieniła miejsce ceremonii ślubnej.

Zaiste wyglądał na zachwyconego. I gdy tak tryskał entuzjazmem na myśl o tym, że wyrusza przemierzać dzikie łąki, bardzo mi przypominał Leo. Przypo-

mniało mi się, jak Lily mówiła, że chciałaby wieść życie u boku mężczyzny, który by był jak nasz brat lub ojciec. Najwyraźniej właśnie kogoś takiego znalazła.

– Cieszę się, że się dobrze bawisz, Lon. Może zechcesz zostać nieco dłużej?

Alonzo westchnął.

– Obawiam się, że to nie będzie możliwe. Niewykluczone jednak, że wkrótce odwiedzę was ponownie. A zmieniając temat, czy może zechcesz towarzyszyć dziś mnie i pannie Kendrick? – Zaczął się rozglądać pośród tłumu. – Gdzie ona właściwie jest?

Wskazałam mu skraj podjazdu.

– Właśnie idą.

Łowczy najwyraźniej wyraził zgodę na to, aby Lily i Anne wzięły udział w polowaniu, bo teraz wszyscy troje wracali do reszty towarzystwa. Lily miała na sobie strój podobny do mojego, za to Anne najwyraźniej postanowiła wyjść przed szereg. Ciemne włosy schowała nie pod miękką czapkę, jak to czynili mężczyźni, ale pod gustownym wełnianym kapeluszem z rondem w jodełkę, który to wzór zdobył również jej kamizelkę i kurtkę. Zamiast ciężkiej spódnicy włożyła pumpy, łydki zaś ukryła pod wysokimi sztylpami. Mogłaby śmiało posłużyć jako wzór współczesnej miłośniczki aktywnego wiejskiego stylu życia. Alonzo aż otworzył usta ze zdumienia, co mnie niepomiernie rozbawiło.

W końcu jednak on doszedł do siebie, a Anne dołączyła do nas.

– Widzę, panno Kendrick, że od początku planowała pani udział w polowaniu – stwierdziłam, bo mojemu bratu chyba chwilowo odebrało mowę. – Przyćmiła pani nas wszystkich.

W jej brązowych oczach zalśnił uśmiech.

– Powiedzmy może, że miałam nadzieję. Postanowiłam więc dobrze się przygotować.

Od tej wymiany zdań oderwał nas Tuttle, który ogłosił przybycie wozów. Zdumiały mnie te wiejskie klimaty. George podszedł do nas, żeby pomóc mi przy wsiadaniu.

Gdy wsparłam się na jego ramieniu, nachylił się, żeby szepnąć mi do ucha:

– Tym wozem pojedzie Bradmore, więc ty też powinnaś. Masz większe szanse zająć na polowaniu miejsce obok niego, jeśli razem przybędziecie na miejsce.

Uznałam, że to votum zaufania z jego strony. Być może jednak George uważał, że się przydam.

– Dziękuję ci. Obiecuję nie narażać się na żadne zbędne niebezpieczeństwo. Wiem dobrze, że od ciebie nie mogę tego oczekiwać, ale bardzo cię proszę, nie

przysparzaj mi powodów do zmartwień.

– Postaram się. A choć bardzo doceniam twoje zapewnienie, i tak będę się o ciebie bać. – Nachylił się raz jeszcze, żeby szepnąć mi do ucha: – Uważaj na siebie.

Alonzo i Anne wcisnęli się obok mnie, miejsca naprzeciwko zajęli Nash i Bradmore. Wkrótce potem ruszyliśmy wyboistą drogą na najdalsze pola majątku. Anne wychyliła się sprzed Alonza, żeby mnie zagadnąć.

– Lady Harleigh, nie miałam okazji porozmawiać z panią o tym, ale mam nadzieję, że nie uwierzyła pani w te pomówienia Duranta, jakoby to moja strzała ugodziła pana Evingdona.

Zerknęłam z ukosa na pana Bradmore’a, aby zobaczyć, jak na to zareaguje. Z jego miny nie udało mi się jednak nic wyczytać. Uśmiechnęłam się do Anne.

– Nigdy nie wierzyłam w tę plotkę, panno Kendrick, o ile w ogóle zrodziła się z tego plotka. Pan Durant najpewniej zazdrości pani umiejętności łuczniczych i postanowił zażartować sobie pani kosztem.

– Jeśli to rzeczywiście miał być żart – wtrącił Alonzo – to zdecydowanie mu to nie wyszło. Wszyscy widzieli, jak trafia pani prosto w środek tarczy. Nikt by zatem nie uwierzył, że mogłaby pani tak dalece chybić.

– A przecież wszyscy dobrze wiemy, że nie zrobiłaby pani tego celowo. – W oczach Nasha zabłysła iskra rozbawienia.

– Oczywiście, że nie – potwierdziłam. – Nikt by nie pomyślał, że akurat pani mogłaby celowo strzelać do pana Evingdona.

To mówiąc, ponownie zerknęłam na Bradmore’a. Dobrze pamiętałam, że w momencie wypadku Charlesa znajdował się w labiryncie.

Gdy z emfazą wypowiedziała słowa „akurat pani”, odchylił się do tyłu. Najpierw zrobił zaskoczoną minę, a potem mocno zacisnął szczękę i założył ręce na piersiach, jakby poczuł się urażony.

Anne zachichotała.

– Zważywszy że dziś mam w rękach sztucer, chciałam jedynie zapewnić, że nie muszą się państwo niczego obawiać.

Pasażerowie wozu w większości zareagowali na to śmiechem, tylko Bradmore i ja wpatrywaliśmy się w siebie w milczeniu. Chciałam, żeby wiedział, że zamierzam bacznie się przyglądać jego poczynaniom. Do końca podróży nierówną drogą raz po raz wymienialiśmy gniewne spojrzenia. Na skraju lasu wyskoczyliśmy z wozu w krótką trawę. Przed nami rozciągało się pole porośnięte wyższymi źdźbłami. Teraz wreszcie zrozumiałam, dlaczego strzelanie do ptactwa trwa pół

dnia. Mieliśmy do przemierzenia rozległe połacie terenu, bo od stawu na horyzoncie dzieliła nas daleka droga.

Zgodnie z przewidywaniami George'a rozdzieliliśmy się na grupy i odnaleźliśmy naszych ładowaczy. Ja zostałam z Alonzem i Anne, Nash i Bradmore ulokowali się w odległości kilku jardów. Po mojej lewej stronie znaleźli się pasażerowie z drugiego wozu, przy czym Lily, Leo i George zajęły pozycje najbliższej lasu.

Pomimo wszystkich moich obaw było to naprawdę wspaniałe doświadczenie i szybko stało się dla mnie jasne, dlaczego panowie czerpią z tych wypraw tak wielką przyjemność. Mgła unosząca się znad stawu w chłodnym powietrzu wczesnego poranka w kierunku listowia krzewów i koron drzew zapewniała nam widoczność na może sto kroków do przodu. Osobnym wozem przybyło na miejsce kilku pracowników majątku, którzy przywieźli niewielką sforę psów.

Alonzo nachylił się do mnie.

– Niektóre psy robią stójkę, gdy znajdują kuropatwę. Inne rzucają się w trawę, żeby wypłoszyć ptactwo. – Wzruszył ramionami. – Nie zorientowałem się na razie, które są które, bo momentami wszystkie tylko biegają w kółko i szczekają. Ale pewnie taka to tradycja i już.

Gdy psy wypuszczone z wozu rzuciły się w trawę, tylko się roześmiał.

– A co się robi, jeśli psy nie wypłoszą ptactwa?

– Wtedy się idzie przed siebie, wchodzi się w tę wysoką trawę. To zwykle wystarcza, żeby ptaki poderwały się do lotu. A gdy to się stanie, próbuje się któregoś ustrzelić. Przy czym podkreślam, że się „próbuję”. Kuropatwy to małe i szybkie stworzenia. Nie wiem, czy udało mi się trafić choć jedną. Ale uwielbiam na to patrzeć.

Alonzo miał rację. Ptaki, rzeczywiście niewielkie, ale przy tym bardzo hałaśliwe, zerwały się z ziemi, gdy tylko wkroczyliśmy na wrzosowisko gdzieniegdzie usiane kępkami niskich traw. Pan Tuttle świetnie się spisał, bo gromada strzelców z psami co kilka kroków posyłała w niebo kilkanaście kolejnych kuropatw. Ciszę poranka zakłócały jedynie trzepot skrzydeł, przenikliwy świergot i odgłosy wystrzałów. Wraz ze wzrostem temperatury mgła stopniowo się rozwiewała, a ładowacze ledwo nadążali za strzelcami żwawo przemieszczającymi się w kierunku stawu. Kolejne grupy ptaków wzbijały się w powietrze, a uczestnicy zabawy oddawali kolejne salwy... aż w końcu zostało już tylko echo wystrzałów, szare pasemka dymu i zapach prochu.

W odległości mniej więcej pięćdziesięciu kroków od stawu Tuttle dał znak, żeby się wszyscy zatrzymali. Ludzie z psami udali się po zdobycz, a myśliwi zaczęli poklepywać się po plecach. Wszystko to rozgrywało się w atmosferze ekscy-

tacji i wielkiej radości, choć było przy tym na wskroś przerażające. Te biedne ptaki. Na własne oczy widziałam, że większość zdołała uciec, ale trudno mi było sobie wyobrazić, żebym jeszcze kiedykolwiek miała włożyć do ust choć kęs kuropatwy. Niestety tyle ich dzisiaj ustrzelono, że nie mogły nie pojawić się wieczorem w menu.

Postanowiłam na razie o tym nie myśleć, ale skupić się za to na mojej zwierzynie. Ja bowiem polowałam na Bradmore'a. Dostrzegłam go w grupie panów po mojej lewej stronie. Wychylali właśnie piersiówki i dyskutowali o tym, który z nich najlepiej strzela. Przez cały ranek nie spuszczałam oka z Bradmore'a. Widziałam, że oddał kilka strzałów, ale przede wszystkim zajmował się bacznym obserwowaniem wszystkiego tego, co się rozgrywało wokół. Nasze spojrzenia nawet się spotkały raz czy dwa. On wtedy kłaniał się lekko i wracał do swojego zajęcia. Zastanawiałam się, co też on właściwie robi.

U mojego boku pojawiła się nieoczekiwanie Lily.

– Lada moment dojdziemy do stawu. Czy powinniśmy spróbować odwieść ich od realizacji całego tego planu?

Objęłam ją ramieniem i ścisnęłam lekko.

– Przykro mi Lily, ale uważam, że na tym etapie musimy im po prostu zaufać.

Tuttle przywołał nas do porządku, po czym znów ruszyliśmy przed siebie. Kilka ostatnich kroków pokonał w mgnieniu oka, a psy pobiegły nad staw po zdobycz. Pośród szczekania, plusku wody i triumfalnych okrzyków panów rozległ się nagle odgłos wystrzału. Wszyscy zamilkli.

A potem ciszę przeszył krzyk. Odwróciłam się raptownie w stronę lasu i zobaczyłam, że Lily kłęczy obok powalonego na ziemię Leo i trzyma go za ramię. Na jej twarzy niedowierzanie mieszało się z bólem.

Dobry Boże, to nie tak miało być. Kątem oka dostrzegłam ruch. To Bradmore biegł w stronę lasu.

ROZDZIAŁ 19

George pozostawił Leo pod opieką Lily, a sam pobiegł za Bradmore'em. Zawahałam się, ale tylko na chwilę. Podczas gdy pozostali panowie ruszyli w stronę ranego towarzysza, ja chwyciłam Alonza za ramię.

– Chodź, musimy iść za George'em.

Mgła dawno się już podniosła, ale trudno nam było dostrzec pośród drzew szaro-brązowe stroje myśliwskie dwóch mężczyzn, za którymi podążaliśmy. Zadanie ułatwiały nam nieco odgłosy, które wydawali, przedzierając się przez poszycie lasu. Podziękowałam losowi za to, że wzułam rano te ciężkie buciory. W duchu wyraziłam też wdzięczność dla mojego brata, który najpierw po prostu za mną poszedł, o nic nie pytając, a teraz przedarł się na przód i prowadził mnie przez gęstwinę.

Gdzieś tuż przed nami usłyszałam najpierw jęk, a potem łomot. Wypadliśmy na niewielką polankę. George właśnie usiłował podnieść się z ziemi, a jednocześnie kurczowo trzymał za kostkę Bradmore'a, który przewrócił się twarzą w górę, bo zdążył już prawie opuścić precinkę. Wymachiwał z całej siły nogami, usiłując się uwolnić.

W końcu się obrócił na tyle, żeby krzyknąć przez ramię:

– Puść mnie, głupcze. On ucieka.

Alonzo wybiegł naprzód, żeby pomóc George'owi przytrzymać szamoczącego się Bradmore'a. We dwóch wyciągnęli go z trawy i runa, po czym pchnęli na wilgotne liście wyściełające polankę. Alonzo przykucnął za nim i przytrzymał go za ramiona, George tymczasem wsparł się o drzewo, żeby złapać oddech.

– Co ci, do licha, odbiło, Hazelton?

Na poczerwieniałej i podrapanej twarzy Bradmore'a malowała się bezsilna złość.

Dołączyłam do nich.

– On powiedział, że ktoś ucieka, George.

– Chce nas oszukać, Frances. – George wyprostował się i spojrzał gniewnie na schwytanego człowieka. – Nie widziałem, żeby do tego lasu wbiegł ktokolwiek poza panem, Bradmore.

– A ja wbiegłem za strzelcem.

George pokręcił głową, puszczając te słowa mimo uszu.

– Frances, wracaj do reszty ludzi, znajdź Tuttle’a. Powinien mieć w jednym z wozów jakąś linę. Niech ją tu przyniesie.

Bradmore pokręcił głową w wyrazie skrajnego zniesmaczenia.

– Idiota z pana, Hazelton.

Cofnęłam się o krok i zawróciłam, ale coś mnie powstrzymywało przed wypełnieniem jego polecenia. Wszystko wskazywało na to, że strzał został oddany z lasu. Gdy zaś się rozległ, Bradmore z całą pewnością znajdował się na polu.

– Frances, pospiesz się!

Zdecydowanie coś mi się tu nie zgadzało, uznałam jednak, że to nie pora, aby podważać decyzje George’a. On przecież wiedział, co robi. Zostawiłam trzech panów na polanie, a sama przedzierałam się z powrotem ścieżką wytyczoną przez połamane gałęzie i rozdeptane zarośla, aż w końcu wyszłam na otwartą przestrzeń. Tuttle zdołał mniej więcej zapanować nad chaosem. Leo został wsadzony do jednego z wozów, a Lily zajęła miejsce obok niego i przyciskała mu do ramienia płachtę zakrwawionego materiału. Choć twarz miał bladą i sprawiał wrażenie roztrzęsionego, ulżyło mi, gdy zobaczyłam, że żyje i może siedzieć, nawet jeśli tylko wsparty całym ciężarem ciała na mojej siostrze.

Pan Tuttle stał w polu i wydawał polecenia pracownikom, którzy zaganiali psy w jego miejsce i wskazywali dżentelmenom środek transportu. Zanim do niego dotarłam, wóz, na którym siedział Leo, zdążył już wyruszyć w kierunku domu.

Łowczy zdjął czapkę i zaczął miąć ją w rękach.

– Czy pan Hazelton złapał sprawcę, milady?

Z trudem łapiąc oddech, skinęłam potakująco głową.

– Przysłał mnie po linę, żeby go związać. Zostawmy też jeden z wozów, żeby można go było zabrać do domu.

– Czy nic się żadnemu z nich nie stało? Ani panu Price’owi, ani panu Hazeltonowi?

Odwrociłam się. Za moimi plecami stała Anne.

– Są cali i zdrowi, ale muszę się pospieszyć. Panno Kendrick, gdyby zechciała pani zadbać o to, żeby został tu jeden z wozów i żeby wszyscy pozostali wrócili do domu, byłabym zobowiązana. Panie Tuttle, gdy pan już znajdzie tę linę, zaprowadzę pana na miejsce.

Parę minut później przedzierałiśmy się z Tuttle’em przez las, aby dotrzeć na polanę.

Z pomocą łowczego panowie związali ręce wzburzonemu Bradmore'owi i poprowadzili go z powrotem na pole. Gdy siłą wpychali go na wóz, we mnie narastało przekonanie, że coś nam umknęło. Bradmore w ogóle nie budził mojego zaufania, ale byłam przekonana, że to nie on oddał ten strzał.

Pojmamy milczał przez całą krótką drogę do domu. George polecił Tuttle'owi podejść pod drzwi północnego skrzydła, a następnie ściągnął swojego więźnia z wozu i poprowadził go przez drzwi wiodące do części gabinetowej. Gdy znaleźliśmy się w środku, Alonzo zaproponował, że pojedzie po policję.

George pchnął Bradmore'a na jedno z krzeseł stojących przy biurku.

– Jeszcze nie. – Wyciągnął rękę do Alonza, a potem poklepał go po ramieniu. – Dziękuję za pomoc tam na miejscu. Wkrótce pošlę wiadomość na posterunek, ale najpierw chciałbym uzyskać odpowiedź na kilka pytań.

Licząc na to, że George zapomni o mojej obecności, przycupnęłam na krześle przy regale, najdalej od Bradmore'a, jak się tylko dało. Gospodarz odprowadził mojego brata do drzwi, ale zanim je zamknął, omiół pomieszczenie wzrokiem, a gdy mnie w końcu dojrzał, wymownie uniósł brwi i wskazał gestem wyjście.

– Frances?

– Nie. Nie mogę pozwolić, żebyś przesłuchiwał tego człowieka sam na sam. Jeśli nie zamierzasz posyłać po policję, zostanę tu jako twój świadek.

– On jest związany, Frances. Nie zrobi mi krzywdy.

Wstałam.

– Mnie również nie. Zresztą i tak bardziej obawiam się tego, że w gniewie mógłbyś powiedzieć coś, czego potem będziesz żałował.

– Ha! – Bradmore'owi wcale nie było do śmiechu. – Dziękuję pani, lady Harleighb. Zgadzam się co do tego, że Hazelton jeszcze pożałuje tego, co zrobił.

– Tu nie ma o czym dyskutować – bardziej warknął, niż powiedział George.

– To dobrze, bo ja nie dyskutuję. Zostaję i już.

Bradmore brawurowo odrzucił głowę na bok.

– Niech jej pan pozwoli zostać, Hazelton. No chyba że zamierza mnie pan torturować. – Zerknął na mnie z ironicznym błyskiem w oku. – Bo na to pewnie nie chciałaby pani patrzeć.

George trzasnął niecierpliwie drzwiami i w trzech krokach przemierzył pokój.

– Kim pan jest? I na czym polega pan spór z Kendrickiem?

Bradmore westchnął przeciągle.

– Nie mam żadnego sporu z Kendrickiem ani w ogóle z nikim z pańskich gości. Bradmore to moje prawdziwe nazwisko, a przyjechałem tu z polecenia Jej

Królewskiej Mości królowej Wiktorii.

Wystarczyło mi zerknąć na George'a, żeby się zorientować, jak bardzo go to zaskoczyło. Bradmore również to zauważył, więc uśmiechnął się kpiąco.

– Służę rozkazom królowej, jak i pan, o ile mi wiadomo. – Przekrzywił głowę i zmrużył oczy. – Choć pan w dość nietypowy sposób.

George założył ręce na piersiach i podejrzliwie zerkał na Bradmore'a.

– Proszę mówić dalej.

– Rozkazu nie wydała oczywiście sama królowa, tylko Ministerstwo Spraw Wewnętrznych.

– A cóż ma Ministerstwo Spraw Wewnętrznych do majątku mojego brata?

– Zupełnie nic poza tym, że pan tu akurat przebywa. Jeśli dobrze rozumiem, otrzymał pan ostatnio list z pogrózkami. Zdaje się, że go pan zignorował. Nie zignorowało go natomiast ministerstwo. Polecono mi czuwać nad pańskim bezpieczeństwem i zadbać o to, żeby nikt tej groźby nie urzeczywistnił.

Bradmore tłumaczył istotę swojej misji tak zwyczajnym tonem, jakby rozprawił o pogodzie. Ja tymczasem wyciągnęłam rękę za siebie, aby wymacać krawędź krzesła albo w ogóle czegośkolwiek, o co mogłabym się oprzeć – bo czułam się tak, jakby jakaś lodowata dłoń chwyciła mnie za gardło i próbowała pozbawić tchu. To nie Leo był celem zamachowca, tylko George. Mój George. Słowa Bradmore'a z trudem przedzierały się przez mgłę, która spowijała w tym momencie mój umysł, ale jedno z nich wychwyciłam i kurczowo się go złapałam.

– Ostatnio? – Mój głos zabrzmiał piskliwie. – Ten list z pogrózkami, o którym mi wspominałeś, przyszedł niedawno? A czy nie mówiłeś, że to stara historia?

George puścił moje pytania mimo uszu. Postąpił krok w stronę Bradmore'a.

– Dlaczego miałbym w to uwierzyć? Równie dobrze może być pan jednym z ludzi Brackena. Skąd mam wiedzieć, że on pana nie wynajął, żeby mnie pan zabił?

Dobry Boże, sytuacja z minuty na minutę tylko się pogarszała.

– No cóż, mam list od pańskiego zwierzchnika z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który mi tę misję powierzył. – Uniósł ręce. – Mam go w wewnętrznej kieszeni kurtki.

George chwilę mu się przyglądał, a potem podszedł do niego i włożył mu rękę za pazuchę. Gdy wydobyl stamtąd złożoną kartkę, przygryzłam wargi. Na litość boską, czyżby po tylu dniach opowiadania kłamstw ten człowiek wreszcie mówił prawdę?

– Jak sądzę, lady Esther wcale nie jest pańską ciotką? – zapytałam. – Ona w ogóle wie, że pan tu przebywa?

– Jest moją ciotką i wie, że tu jestem, choć nie zdaje sobie sprawy po co. Jak sądzę, to właśnie ze względu na nią powierzono to zadanie akurat mnie. Mogłem zatrzymać się u niej w domu, nie budząc niczyich podejrzeń. – Prychnął lekko, najwyraźniej uświadomiwszy sobie, że to ostatnie stwierdzenie nie pokrywa się z prawdą. – A w każdym razie zbyt wielu podejrzeń. Jak rozumiem, dowiedziała się pani, że lady Esther przebywa w Londynie.

Nie potrafiłam się zdobyć na to, żeby na niego spojrzeć. Zwróciłam się więc do George'a, który uważnie wczytywał się w list. W końcu jednak uniósł wzrok i spojrzał na mnie.

– Wszystko się zgadza – oznajmił. – Bradmore pracuje dla Korony i został tu przysłany, aby mnie chronić. – Złożył kartkę i sięgnął do kieszeni biurka po nożyk kieszonkowy, którym sprawnym ruchem rozciął linę krępującą ręce drugiego mężczyzny. – Wybacz, stary druhu.

– Pana postępowanie wydaje się zrozumiałe w zaistniałych okolicznościach – odparł tenże, pocierając obolałe nadgarstki.

– Nic w tym wszystkim nie jest zrozumiałe – wtrąciłam, za nic nie pojmując, jak oni mogą w takiej sytuacji zachowywać spokój. – A dlaczego wcześniej nie zdradził nam pan natury swojej misji? Przecież odwiedza nas pan już od kilku dni.

Bradmore pokręcił głową.

– Wyjaśnienie znajdzie pani w liście. Otrzymałem rozkaz nawiązać z państwem kontakt, dołączyć do towarzystwa i wypatrywać ewentualnych zagrożeń. A dlaczego moich przełożeń nie chcieli, aby Hazelton się o tym dowiedział? – Uniósł ciągle jeszcze zasinione dłonie. – Zgaduję, oczywiście, ale być może z obawy, że Hazelton zechce wziąć sprawy w swoje ręce.

George skrzywił się na tę aluzję.

Bradmore zaś zwrócił się teraz właśnie do niego.

– W każdym razie po historii na torze łuczniczym wysłałem raport dotyczący wszystkich zaistniałych tu wypadków, bo z każdym dniem coraz trudniej było uwierzyć w ich przypadkowy charakter. Zawałem w liście mój wniosek, że panu i pańskim gościom grozi rzeczywiste niebezpieczeństwo, a w związku z tym powinienem wtajemniczyć pana w całą sprawę. Odpowiedź dostałem dzisiaj. Zamierzałem porozmawiać z panem po polowaniu, na osobności. Pan jednak miał, jak widać, inne plany.

Nagle stwierdziłam, że mnie to przytłacza. Po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Przez cały czas potwornie martwiłam się o Leo, gdy tymczasem to Geo-

rge'a ktoś próbował zamordować. Uznałam, że najwyższa pora zażądać od niego wyjaśnień.

– Kto ci groził, George?

On ciężko westchnął.

– Groźbę wystosował człowiek nazwiskiem Bracken. Mniej więcej siedem lat temu brałem udział w śledztwie, które dotyczyło jego działalności przestępczej. Zresztą ci o tym opowiadałem. To było jedno z moich pierwszych zadań.

– Powiedziałeś jednak także, że ta sprawa dotyczy przeszłości, a ten człowiek siedzi w więzieniu.

George spojrział na Bradmore'a.

– Tak właśnie sądziłem.

– Owszem, siedzi – odparł Bradmore. – Sprawdziliśmy go.

– Tak?

Gubiłam się w tym wszystkim.

– Chwileczkę. Panowie wyraźnie rozmawiacie między sobą jakimś językiem zrozumiałym tylko dla was. A przecież ja też tu jestem. Zróbcie więc, proszę, krok do tyłu i wszystko mi wyjaśnijcie. – Spojrzałam na Bradmore'a. – Skąd pan wiedział, że pan Hazelton dostał list z pogroźkami?

– Bo nas o tym poinformował.

– Jestem do tego prawnie zobowiązany – potwierdził George. – Tyle że nie spodziewałem się żadnej reakcji.

Aż mi dech w piersi zaparło.

– To jest ta sprawa, którą miałeś do załatwienia tuż przed wyjazdem z miasta! To był ten list, który ci wypadł. Ten wysłany z więzienia Newgate. Jak mogłeś to przede mną zataić?

George wyciągnął rękę, jakby chciał mnie uspokoić. Mogłam pocieszać się myślą, że w pełni rozumie skalę mojego gniewu.

– Nie próbowałem cię zwodzić, Frances. Naprawdę nie przypuszczałem, że to może mieć jakiegokolwiek znaczenie.

– Ministerstwo zapatruje się na to inaczej – wtrącił Bradmore. – Wysłali mnie do Newgate na rozmowę z tamtym człowiekiem. Nie mówił wiele, ale tak się obnosił, że nabrałem podejrzeń. Uznałem, że trzeba tę groźbę potraktować poważnie. A skoro już o nim mowa, pamięta pan zapewne, że miał syna.

George znieruchomiał tak zupełnie, że chyba na chwilę przestał nawet oddychać. W końcu jednak skinął głową.

– Jamie, taki tyczkowaty blondyn. Powiedziałbym, że wycierpiał przez to wszystko więcej niż jego ojciec, bo odkąd ten trafił za kratki, rodzina żyła w nędzy. Nie tylko musieli oddać wszystko to, co pochodziło z działalności przestępczej, ale stracili też jego oficjalny dochód.

– O ile mi wiadomo, długo uchodziło mu to na sucho. – Bradmore zdążył się już rozluźnić i siedział rozparty na krześle. – Wcale nie tak rzadko się zdarza, że policjant wezwany do włamania zamyka potem dochodzenie „z powodu niewykrycia sprawy”.

– Czyżby?

– Niestety tak – potwierdził George. – W Londynie aż się roi od drobnych złodziejasków, kieszonkowców i najróżniejszych kręgów przestępczych. Policja mogłaby szukać skradzionych dóbr długie lata, a i tak nic by nie znalazła. A gdy coś ginie z bogatego domu, sprawa jest nawet bardziej skomplikowana, bo często kradzieży dopuszcza się ktoś z rodziny albo nieuczciwy służący.

– Tyle że Bracken mnóstwo spraw zamykał niemal od razu, w ogóle nie prowadząc dochodzenia. Mógłby sobie tak poczynić nawet dłużej, gdyby nie to, że pozwolił sobie na takie niedopełnienie obowiązków w przypadku niewłaściwego człowieka. Ktoś z Wydziału Specjalnego poskarżył się, że Bracken nie wywiązuje się ze swoich zadań. Poszkodowany orientował się, jak wyglądają policyjne procedury, więc gdy stwierdził, że sierżant i jego ludzie nie zadali sobie nawet trudu przesłuchania służby i mieszkańców domu, nabrał podejrzeń co do jego uczciwości.

Dalej opowiadał George:

– Oficer z Wydziału Specjalnego powiadomił zwierzchników Brackena i zrobiło się naprawdę gorąco. Ktoś polecił przejrzeć dotychczasowe sprawy, które prowadził sierżant. A on służył w londyńskiej policji od piętnastu lat i wielokrotnie się wykazywał. Zresztą dlatego dostał awans. Pojawiły się podejrzania, że tu nie chodzi o zwykłe niedopełnienie obowiązków. Coś musiało być na rzeczy.

– Wtedy wysłano na miejsce Hazeltona.

Spojrzałam na George’a.

– To była ta sprawa, przy której pracowałeś jako policjant? Musiałeś się wykazać niezłym talentem aktorskim. A jak on właściwie doszedł do tego, że może ci zaufać?

– Byłem młody i chętny do współpracy. Zrobiłem na nim wrażenie dzieciaka, którym będzie łatwo pokierować. A ja wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że mam do czynienia z przywódcą szajki przestępczej. Zakładałem, że Bracken jest na usługach jakiegoś potężnego kryminalisty. To był sympatyczny człowiek, a we

mnie widział żółtodzioba. Zapraszał mnie do siebie do domu na posiłki. Stałem się niemal członkiem jego rodziny.

– I zaprzyjaźniłeś się z jego synem.

Teraz to wszystko nabierało dla mnie większego sensu.

– Jamie miał pewnie jakieś dwanaście lat. Do wszystkiego się rwał, a ojciec angażował go w swoje sprawy bardziej, niż powinien. Tak właściwie to Jamie dostarczył mi ostatniego dowodu, którego potrzebowałem, żeby zamknąć tę sprawę.

– A teraz chce cię zabić – podsumował beznamiętnie Bradmore.

George wstał i z ukrytej szafki za biurkiem wyjął karafkę z brandy. Twarz Bradmore'a rozjaśniła się na ten widok.

– Chętnie też się napiję, druhu.

Podeszłam do nich.

– Dla mnie też możesz nalać.

George napełnił kieliszki po brzegi i nam je podał. Wychylił potem szybko swój, oparł się o biurko i zwrócił do Bradmore'a.

– A skąd właściwie pewność, że młody Jamie chce mnie zabić?

– Newgate skrupulatnie obserwuje swoich więźniów, w szczególności zaś reje-struje odwiedziny. Jamie, który już wcale zresztą nie jest taki młody, przyjeżdżał wcześniej do ojca trzy, a nawet cztery razy do roku. Mniej więcej pół roku temu przestał się pojawiać, za to zaczął przysyłać listy. Gdy zgłosił nam pan otrzymanie pogroźek, zwróciliśmy się do straży więziennej z pytaniem o korespondencję Brackena. W ten sposób uzyskaliśmy potwierdzenie, że w listach, które wymieniali z synem, pojawiała się pańskie nazwisko. Więźniowie oczywiście wiedzą, że ich korespondencja przechodzi przez biurko strażnika, więc nie padło tam ani jedno słowo tym, że Bracken życzyłby panu śmierci, jeśli to jednak zestawić z tymi groźbami... – Bradmore machnął ręką. – No cóż, ministerstwo dba o swoich ludzi.

– Skoro jednak strażnicy czytają listy wysyłane przez więźniów, to jak ten Bracken mógł wysłać pogroźki do pana Hazeltona?

Bradmore wzruszył ramionami.

– Strażnicy bywają przekupni.

George odepchnął się od biurka.

– Jakoś trudno mi sobie wyobrazić tego chłopaka jako zabójcę. Nie wydaje mi się też, że on sam siebie tak postrzegał. Zapewne chodzi mu raczej o zemstę. Może ją nawet nazywać sprawiedliwością. W jego oczach pewnie jestem zdrajcą.

Wspólnicy Brackena obawiali się, że on mógłby wydać ich władzom, więc grozili jego rodzinie. O ile pamiętam, żona dość pośpiesznie opuszczała Londyn.

Bradmore potwierdził jego słowa.

– Przeprowadziła się do Birmingham, bo tam miała jakichś krewnych. Ich los zdecydowanie się jednak pogorszył. A choć stało się to, rzecz jasna, przez czyny jego ojca, dwunastolatek mógł łatwo dojść do wniosku, że to pańska wina.

– I teraz chce wyrównać rachunki.

– Cokolwiek nim powoduje, stara się pana zabić. Ukrywa się gdzieś w wiosce, a może i na terenie posiadłości.

– Niech to szlag! – George pokręcił głową. – Wszystko rzeczywiście zdaje się potwierdzać winę Jamie’ego, włącznie z nieudolną realizacją tych wszystkich wypadków. Choć akurat to, że nie mamy do czynienia z zawodowcem, zdecydowanie zwiększa nasze szanse.

Mnie to jednak jakoś za bardzo nie pocieszało.

– Powiedziałabym, że on z każdym dniem nabiera doświadczenia, George. Wolalbym, żebyś nie liczył na to, że jego nieudolność ocali cię od śmierci. Jeśli to on stoi za wszystkimi tymi wypadkami, w których ucierpieli Michael O’Brien, Gobbs, Evingdon, Clara i Leo, to najpewniej należy go szukać w domu. Albo się gdzieś bardzo skutecznie ukrywa, albo należy do grona ludzi, których widok nie wzbudza naszych podejrzeń. Na litość boską, on przecież mógł być również wtedy na stacji. – Spojrzałam na Bradmore’a. – A czy pan wie, jak on wygląda? Wie pan, czy od dawna przebywa tu w okolicy? Albo gdzie się ukrywa?

– Na wszystkie te pytania muszę odpowiedzieć przecząco. Dlatego właśnie staram się podążać za Hazeltonem. Żeby być na miejscu, gdy zamachowiec znów przypuści atak. Przypuszczam, że należy go szukać gdzieś na terenie posiadłości, ale na pewno wiem tylko, że dzisiaj był w tym lesie. Dostrzegłem sylwetkę między drzewami i być może bym go dopadł, gdyby Hazelton nie powalił mnie na ziemię.

George się obruszył.

– Gdyby Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zechciało mnie ostrzec, tobym tego nie zrobił.

– Wie pan przecież, jak oni się lubują w tajemnicach.

Upiłam spory łyk brandy.

– To co teraz robimy?

– Najchętniej nie robiłbym nic, dopóki nie pojedę na posterunek i nie przedłożę im raportu. Potem chciałbym tu wrócić i tu się urządzić. Wolalbym nie

spuszczając pana z oka.

George przystał na tę propozycję.

– Jakiś pokój na pewno się znajdzie, gdy tylko reszta gości wyjedzie.

– Wyjedzie?

Spojrzał teraz na mnie ze smutkiem i żalem w oczach.

– Już i tak naraziłem wszystkich tu obecnych na niebezpieczeństwo, Frances. Teraz musimy odesłać stąd całe towarzystwo żeby już nikomu więcej włos z głowy nie spadł.

ROZDZIAŁ 20

– Nie może pan winić za to siebie, Hazelton. – Bradmore wstał i poklepał George'a po ramieniu w geście braterskiej jedności. – Jakże niby miałby pan przewidywać, że to tak poważne zagrożenie?

Aż mi się wierzyć nie chciało, że to słyszę. Ten człowiek chyba sobie kpił!

– Mnie by się wydawało, że takie groźby zawsze traktuje się poważnie.

Bradmore odwrócił się do mnie i uniośł ręce w geście obronnym.

– Niech mu pani nie czyni wyrzutów, lady Harleigh. Ostatecznie list wysłał człowiek, który siedzi w więzieniu.

George dał mu znak, żeby nic więcej nie mówił.

– Proszę mnie nie bronić, Bradmore. Frances ma rację. Zamiast rozpamiętywać przeszłość, należało wykazać się zmysłem przewidywania. Powinienem przynajmniej dopuścić do siebie myśl, że Bracken może za tym stać. Nie zrobiłem tego i do czego doszło? Przeze mnie jeden człowiek stracił życie, a kilka innych osób ucierpiało.

Nie potrafiłam pojąć, dlaczego żaden z tych dwóch mężczyzn nie rozumie, o co mi chodzi.

– Nie twierdzę wcale, że jesteś winien zamieszania, które spowodował młody pan Bracken.

– Może i nie, ale rzeczywistość przedstawia się tak, a nie inaczej. Gdybym poważniej potraktował te pogróżki, to nikomu nic by się nie stało.

– Dość tego. – Podeszłam do niego i chwyciłam go za rękę. – Twoje życie zbyt dużo dla mnie znaczy. Gdy ktoś ci grozi, nie możesz po prostu tego zignorować. I nigdy więcej nie zataisz przede mną takiej sprawy. Nie zgodzę się na to. Może i nie panuję w tym momencie w pełni nad emocjami, ale to dlatego, że nie mogę przestać myśleć o tym, co bym zrobiła, gdyby ten człowiek cię zabił.

– Zamiast mnie, skrzywdził wiele innych osób. I to obciąża moje sumienie.

– A tu się mylisz. Bo choć chwilowo niczego bardziej nie pragnę, jak udusić cię za to, że mnie okłamywałeś w sprawie tego listu, to jest dla mnie najzupełniej oczywiste, że nie ma w tym wszystkim żadnej twojej winy.

George mrugnął powiekami.

– Nie przypominam sobie, żeby cię okłamał w sprawie listu.

– Jak zwykle wymigiwałeś się od odpowiedzi. Stwierdziłeś, że nie możesz mi nic powiedzieć, ale że wrócimy do tej kwestii później. – Puściłam jego rękę, a za to wbiłam mu palec w klatkę piersiową. – A teraz chcę ci z całą stanowczością powiedzieć, że nie jesteś odpowiedzialny za działania Jamie’ego Brackena. Zarówno on, jak i jego ojciec sami decydowali o tym, jak pokierować swoim życiem.

Bradmore przyglądał się tej scenie z boku.

– George i Frances, hm... O to w tym chodzi? Muszę powiedzieć, że dobrze się państwo kamuflują.

Żadne z nas nie podjęło tematu. Ja wpatrywałam się George’owi prosto w oczy, bo dobrze rozumiałam, co teraz przeżywa.

– Bardzo ci jestem wdzięczny za to, co próbujesz zrobić, Frances, ale nie jesteś w stanie zwolnić mnie z odpowiedzialności. Popeniłem błąd, który wywołał tragiczne skutki. Teraz jednak ta tragedia się kończy. Zamierzam natychmiast odprawić stąd wszystkich, którzy nie mają z tą sprawą nic wspólnego. Z tobą włącznie.

– Jeśli wydaje ci się, że cię teraz zostawię, to bardzo się mylisz. Ktoś musi tu przy tobie być, żeby dopilnować, że należycie zadbasz o swoje życie.

Bradmore odchrząknął wymownie, a wtedy oboje na niego spojrzeliśmy.

– Wszystko ładnie i pięknie, jeśli jednak chodzi o to, kto ma zostać, a kto wyjechać, to może się to okazać wcale nie takie proste. Co najmniej jednemu, a może nawet dwojemu spośród gości stan zdrowia może to uniemożliwić.

– Wielki Boże, ma pan rację. Zupełnie zapomniałam, że Leo został postrzelony. Nawet nie wiemy, jak mocno ucierpiał.

George od razu się zmobilizował.

– Lekarz na pewno już go zbadał. Jeśli rana jest poważna i trzeba mu zapewnić bezpieczeństwo na miejscu, to tak właśnie zrobimy. Kto jednak może wyjechać, ten powinien to uczynić. Nie wiemy przecież, kim jest zamachowiec ani gdzie zaatakuje ponownie.

Bradford zerknął na swój zegarek kieszonkowy.

– Teraz muszę się udać na posterunek, ale wrócę po południu, żeby dopilnować bezpiecznego wyjazdu pańskich gości.

George skinął głową.

– Poczynię wszystkie niezbędne przygotowania.

– Ja w takim razie zajrzę do Leo i dam pozostałym znać, że muszą natychmiast opuścić dom.

– Ciebie to również dotyczy, Frances.

Pozwoliłam mu się odprowadzić do drzwi, nic na to nie odpowiadając. Uznałam, że później możemy o tym wszystkim podyskutować. Dopóki jednak jego życiu groziło niebezpieczeństwo, nie miałam najmniejszego zamiaru uciekać.

Goście mieli wyruszyć w drogę jak najszybciej, więc George poszedł sprawdzić, czy panowie Crocker i Winnie należycie zadbają o pakowanie bagażu, ustalenie godziny odjazdu pociągu i przewiezienie gości wraz z ich rzeczami na czas na dworzec.

Ja tymczasem udałam się do korytarza kawalerskiego, aby zajrzeć do Leo. Nie miałam pojęcia, w jakim jest stanie. Mogło być przecież tak, że podczas gdy my troje dyskutowaliśmy na parterze o tym, kto tu właściwie ponosi odpowiedzialność, on w swoim pokoju walczył o życie. Drzwi otworzyła mi Anne, która zaraz potem zaprosiła mnie do środka. Lekarz zdążył już wyjść. Lily siedziała przy łóżku, Leo zaś leżał przykryty kołdrą. Jego pierś unosiła się i opadała w zupełnie zdrowym rytmie, ale skórę na twarzy miał bladą jak kreda – co ciemny kolor jego włosów tylko uwydatniał. Rzęsy zamkniętych powiek spoczywały na sinych kręgach pod oczami.

Nie poruszył się, gdy Lily puściła jego dłoń. Przyłożywszy palec do ust, moja siostra odciągnęła mnie na drugą stronę pokoju. Prawie się rozplakałam, widząc jej zaczerwienione i szkliste od łez oczy. Sytuacja przedstawiała się gorzej, niż sobie wyobrażałam.

Widząc moje zaniepokojenie, Lily potrząsnęła głową i ujęła mnie za rękę.

– Doktor dał mu laudanum, żeby usmierzyć ból, ale powiedział też, że najpewniej wszystko będzie dobrze. I tylko zostanie mu brzydkie wgłębienie w ramieniu.

Nie bardzo rozumiałam, co ona chce przez to powiedzieć. Lily to dostrzegła, więc wyjaśniła:

– Stamtąd lekarz wydobyl kulę. Utkwiła w mięśniu tuż pod ramieniem. – Dotknęła sama siebie, żeby mi pokazać, w którym miejscu Leo został raniony.

– I pomyśleć, że mało brakowało, a pocisk by go minął. – Westchnęła z irytacją, a potem otarła nos chusteczką. – Choć pewnie gdyby tak się stało, to trafiłby tego, kto stał za Leo. – Schowała twarz w dłoniach. – A to mogłam być ja.

– Powiedziałaś: „kula”? A to nie był śrut?

– Nie, to nie był śrut. Więc nie postrzelił go ani Bradmore, ani żaden z innych uczestników polowania.

Postanowiłam nie wyprowadzać jej z błędu, wyjaśniając, że przecież każdy mógł mieć pistolet ukryty pod kurtką albo w jakimś innym miejscu. W tym momencie nie miało to żadnego znaczenia. Wiedzieliśmy już, że strzelał syn Brac-

kena, a choć nie mieliśmy pojęcia, jak go rozpoznać, to wiedzieliśmy, że na pewno nie był to Durant ani Treadwell, a już z całą pewnością nie Bradmore.

– George i Bradmore ustalili, że strzał oddano z lasu, a nie z pola. Bradmore twierdzi, że widział uciekającego sprawcę.

Lily zmarszczyła czoło, wyraźnie zdezorientowana.

– Czy powinnam z tego wnioskować, że Bradmore nie należy już do kręgu podejrzanych?

Cóż miałam jej powiedzieć?

– Tak się składa, że ściga właśnie tego człowieka, przez którego wynikło całe to zamieszanie. Wiemy już, że nie jest to żaden z naszych gości, natomiast sprawca pozostaje wolny i przebywa gdzieś na terenie majątku, dlatego uważamy z George'em, że najbezpieczniej by było, gdyby wszyscy w możliwie krótkim terminie wrócili do Londynu.

Anne, która słyszała ostatni fragment naszej rozmowy, podeszła teraz do nas.

– Mówi pani, że jakiś szaleniec przypuszczał ataki na ludzi zgromadzonych w domu? Dlatego pan Evingdon i Leo ucierpieli? A co z Clarą? Czy ona rzeczywiście potknęła się na korytarzu?

Uświadomiłam sobie, że zanim przedstawię komuś nie do końca prawdziwą wersję wydarzeń, powinnam zawsze rozważyć, jakie ona może wzbudzić wątpliwości. Tym bardziej że teraz sama zaczęłam się zastanawiać, jak niby młody pan Bracken zdołał wejść do domu, żeby zainstalować pułapkę, w którą wpadła Clara – i jak mógł dosypać trucizny do sherry. A może miał współnika? Nie miałam najmniejszej ochoty rozpatrywać takiej wersji wydarzeń. Bracken musiał się po prostu jakoś dostać do środka. Może udawał służącego? Podczas przesłuchań, które prowadził Fisk, dowiedziałam się, że większość służby pracuje w tym domu od wielu lat. Najkrótszy staż miał O'Brien. Ben był mniej więcej w tym samym wieku co Jamie Bracken, ale dorastał w wiosce i przyszedł na służbę już dawno temu.

Moje myśli rozbiegały się we wszystkich kierunkach, a tymczasem Anne cierpliwie czekała na odpowiedź. Nie zamierzałam jej oczywiście wyjawiać prawdy na temat wypadku Clary, bo wówczas wyszłoby na jaw, że odwiedzała Alonza. Uznałam, że wypadki Leo i Charlesa powinny dość skutecznie wszystkich przekonać o konieczności wyjazdu.

– Nie wydaje mi się, żeby ten człowiek miał się w jakikolwiek sposób przyczynić do wypadku Clary – odparłam. – Uważamy natomiast, że to on postrzelił pana Evingdona i Leo. Niewykluczone również, że spowodował wypadek pana Gibbsa i otruł lokaja. Nie znamy jego tożsamości, ale jest dla nas jasne, że mamy

do czynienia z człowiekiem nieprzewidywalnym. Głęboko wierzę, że w imię bezpieczeństwa wszyscy powinni wrócić do domu. Pan Hazelton zresztą na to na-
lega.

Lily spojrzała na mnie, a z jej ust wydobył się jęk niezadowolenia.

– Niestety plany ślubne trzeba będzie zmienić.

Wyczytałam w jej oczach to, czego przy Anne nie mogła powiedzieć na głos, więc mocno ją przytuliłam.

– Przykro mi, moja kochana, ale nie możesz tu zostać. To zbyt niebezpieczne.

– Całe to planowanie na nic – poskarżyła się, odsuwając się ode mnie. Przetarła oczy i zaczerpnęła tchu. – Ale pewnie nic się nie da na to poradzić. A co z tym szaleńcem? Czy powiadomiono już władze?

– Bradmore jedzie właśnie na posterunek. Pan Hazelton ma wszystko uzgodnić z zarządcą, żeby goście wraz z bagażami zostali w porę dowiezieni na dworzec.

– Polecę mojej pokojówce, żeby mnie spakowała, ale nie zamierzam wyjeżdżać, dopóki Leo nie odzyska sił na tyle, aby wyruszyć w podróż. Najpewniej będzie spał jeszcze przez parę godzin. Zobaczymy, w jakim samopoczuciu się obudzi.

– Oczywiście. Zależy nam na tym, żeby goście możliwie szybko znaleźli się w bezpiecznym miejscu, ale nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby wysłać Leo w podróż pociągiem, gdyby miało mu to przysporzyć cierpienia.

– A czy ja mogę jakoś pomóc? – zapytała Anne.

– Może zechciałaby pani powiadomić siostry? A czy Clara może podróżować?

– Przypuszczalnie tak. I oczywiście poinformuję wszystkich, że trzeba się pakować.

Uśmiechnęła się rezolutnie, po czym wyszła, żeby zrobić to, czego się podjęła.

Ja tymczasem zwróciłam się ponownie do Lily.

– Zostań z Leo, moja droga. Powiem twojej pokojówce, że planujecie wyjazd najpóźniej jutro rano.

– A matkę powiadomisz?

Na samą myśl o tym zrobiło mi się ciężko na duszy.

– Zapomniałam o niej, ale tak, powiadomię ją. Mam nadzieję, że będzie akurat w towarzystwie Hetty. Wyobrażam sobie, że bardzo się ucieszy na wieść o zmianie twoich planów ślubnych.

– Tylko jej nie mów, że pozwoliłaś mi zostać z Leo sam na sam w jego pokoju. Upierała się, żeby Anne mi towarzyszyła, bo przecież się nie godzi, żebym prze-

bywała bez przyzwotki z nieprzytomnym narzeczonym.

– Spróbuję skupić jej uwagę na tym, że na terenie posiadłości grasuje zabójca. Może wtedy o tym zapomni. Co ty na to?

Ucieszyłam się, widząc, że moja siostra znów się uśmiecha. Cóż z tego, że krzywo... Zostawiłam ją z Leo i poszłam przez galerię do południowego skrzydła. Po drodze cały czas rozmyślałam o tym, jak go nazwała Lily, szaleńcu. Być może wemknął się do domu i założył linę na schodach? Czy jednak przemykał się aż tak niepostrzeżenie, czy może zdołał ukraść liberię komuś ze służby? A może był w domu nawet w tej chwili?

Na samą myśl o tym przeszły mnie ciarki po plecach. Przyspieszyłam kroku i parokrotnie obejrzałam się przez ramię. Po paru minutach dotarłam do pokoju matki, ale dowiedziałam się od pokojówki, że powinnam jej szukać w bawialni i że zastanę ją tam w towarzystwie lady Fiony. Wolałabym móc liczyć na wsparcie ciotki Hetty, ale zawsze lepiej mieć jakąś pomoc niż żadną.

Zeszłam więc znowu na parter i już przy drzwiach do bawialni dobiegł mnie dźwięczny głos mojej matki.

– Ale jak to możliwe, że ktoś go trafił? Czy oni nie strzelają w górę? Musisz mi to jakoś lepiej wytłumaczyć, moja droga.

Ku mojemu zaskoczeniu odpowiedziała jej Hetty.

– To nie myśliwy go postrzelił, Daisy. To nie był wypadek.

– Oczywiście, że to był wypadek, Hetty. Nie bądź nedorzeczna. Przedstawiciele wysokiego stanu nie strzelają do siebie nawzajem. Potrafią się wznieść ponad drobne urazy i do takich rzeczy w ogóle nie dochodzi.

Najwyraźniej podczas swojej poprzedniej wizyty moja matka niezbyt bacznie obserwowała rzeczonych przedstawicieli wysokiego stanu. Pchnęłam drzwi i weszłam do środka. Fiona siedziała na skraju sofy, jakby tylko czekała na pretekst, żeby opuścić towarzystwo. Matka zajmowała miejsce obok niej i ciskała gromy na prawo i lewo. Nad nią zaś wisiała ciotka Hetty, wsparta pod boki i gotowa w każdej chwili wygłosić pouczający wykład.

Oszczędziłam jej jednak trudu.

– Ciotka Hetty ma rację, mamó. To nie był wypadek.

Hetty prychnęła z nieukrywaną satysfakcją.

– Założę się, że strzelał pan Bradmore. Lily mówiła, że Hazelton ruszył za nim w pościg z taką zawziętością, jakby miał zamiar rozerwać go na strzępy.

Fiona uniosła brwi.

– Czy to rzeczywiście Bradmore jest winny, Frances?

– Nie. Okazuje się, że pan Bradmore widział strzelca i za nim pobiegł. I dlatego pan Hazelton popędził w jego ślady.

Matka parsknęła oburzona:

– A cóż to jest za towarzystwo, w którym mierzy się do siebie nawzajem z broni palnej?

– Daisy, można by pomyśleć, że jesteś nierozgarnięta. – Hetty zwróciła się teraz do mnie. – A ty jesteś pewna, że to nie Bradmore? Mnie się on wydawał trochę podejrzany.

– To nie był nikt z gości i to nie był Bradmore. Tak się składa, że Bradmore jest tu właśnie po to, aby schwycić tego złoczyńcę. Po to przybył na wieś.

– Czyli zaiste nie jest bratankiem lady Esther!

Fionę rozpierała duma. Ona wprost uwielbiała mieć rację.

– Owszem, jest. Choć faktycznie nie przyjechał do niej z wizytą.

– Czyżby był swego rodzaju stróżem prawa? Jak ktoś inny, kogo również znamy? – Hetty mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

Nie wiedziała, czym dokładnie zajmuje się George, zdawała sobie jednak sprawę, że realizuje pewne zadania w imieniu Korony.

– Teraz to ty mówisz, jakbyś była nierozgarnięta, Hetty – obruszyła się matka, intensywnie przy tym gestykułując. – On jest przecież dżentelmenem, pewnego dnia zostanie lordem. Nie zniżałby się do pracy w policji.

Wprowadziłam ją z błędu nie bez pewnej satysfakcji własnej.

– Skoro przyjechał tu schwycić tego złoczyńcę, to najpewniej ma jakieś związki z policją.

– Nie pleć bzdur, moja droga. To przecież niemożliwe. – Gdy jednak potwierdziłam gestem, że tak właśnie jest, opadła na oparcie sofy, a potem przekrzywiła głowę. Wyglądała teraz jak nieporadny szczeniak. – Frances, raz po raz rozwiesz moją zdumiewającą wyobraźnię na temat brytyjskiej arystokracji.

Pomyślałam, że czas najwyższy, żeby ktoś to w końcu zrobił, chwilowo jednak miałam ważniejsze sprawy do załatwienia.

– Za bardzo odbiegłyśmy od kwestii zasadniczej i dość pałacej. Jeśli na chwilę wstrzymacie się z zadawaniem mi kolejnych pytań, postaram się powiedzieć wam wszystko, co wiem.

Hetty dosiadła się do dwóch pozostałych pań, a ja wtedy przedstawiłam im całą historię na tyle, na ile mogłam to zrobić. Pomięłam fakt, że obiektem ataków był George, a Brackena przedstawiłam jako pomyłonego mordercę gogo- gowego pozbawić życia każdego, kto stanie mu na drodze.

– Dlatego właśnie musicie wszyscy wyjechać stąd tak szybko, jak to tylko możliwe, żeby już nikt więcej nie ucierpiał.

Dotąd trzy panie słuchały mnie uważnie i w milczeniu. Miałam nadzieję, że to się nie zmieni i że po prostu bez słowa udadzą się do swoich pokoi, aby dopilnować pakowania rzeczy. One tymczasem zaczęły się kłócić między sobą i mówić jedna przez drugą, zasypując mnie gradem słów.

– Nie pozwolę, żeby jakiś szaleniec wygnał mnie z rodzinnego domu – oświadczyła Fiona.

– Wyjechać? Cóż za absurdalny pomysł! Niechże ktoś go po prostu schwyta!

– Właśnie, Frances. Skoro Bradmore pojechał rozmawiać z policją, to niech oni przyjadą do Risings i go stąd wykurzą.

– Tak!

– Właśnie!

Moja matka, ciotka i przyjaciółka, na co dzień jakże różne od siebie, patrzyły teraz na mnie z tym samym wyczekiwaniem na twarzach. Najwyraźniej wyobrażały sobie, że znam jakiś magiczny rytuał, za sprawą którego ich woła się spełni.

– Zapewne taki właśnie jest plan, ale ten człowiek dotąd bardzo swobodnie sobie poczynał. Dostał się do kuchni, a nawet do domu. Pan Hazelton obawia się o wasze bezpieczeństwo i nie prosi, żebyście wyjechały, lecz wam to nakazuje.

– Boże drogi! Cóż to za traktowanie gości! – Matka wstała i założyła ręce na piersiach. – Ta wizyta od początku przebiegała fatalnie. Hazelton powinien się wstydzić.

Zanim zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, odezwała się Fiona.

– Zechce pani ważyć słowa! – Powiedziała to tonem zimnym jak lód. Podniosła się powoli z kanapy, a potem długo prostowała plecy, aż osiągnęła swój pełny arystokratyczny wzrost i mogła spojrzeć z góry na moją drobnuteńką matkę. – Cóż to właściwie miało znaczyć? Mój brat wykazał się bezgraniczną gościnnością, organizując przyjęcie weselne pani córki.

Przeszło mi przez myśl, że powinnam interweniować, skoro jednak moja matka nie miała dość rozumu, aby się wycofać, postanowiłam pozwolić im rozegrać tę potyczkę do końca.

– On zwyczajnie próbuje się wkupić w łaski Frances – rzuciła. – Będę musiała ponownie się z nim rozmówić.

Teraz to Hetty się zbulwersowała.

– Nie chcesz powiedzieć, że już pozwoliłaś sobie na nieuprzejmość wobec człowieka, który cię gości pod swoim dachem.

Moja matka aż się wzdrygnęła.

– To nie jest jego dach, tylko dach jego brata. A jeśli musisz wiedzieć, to od przyjazdu zachowywałam się wobec niego niezmiennie uprzejmie. Tych kilka gorzkich słów usłyszał ode mnie wiele lat temu, gdy próbował zabiegać o względy Frances.

W bawialni zapadła upiorna cisza, bo każda z nas potrzebowała chwili, żeby przyswoić sobie sens słów, które tu właśnie padły.

Ocknęłyśmy się wszystkie naraz. Hetty tylko westchnęła, a Fiona zaczęła na coś utyskiwać. Nic z tego jednak do mnie nie dotarło, bo moją uwagę zaprzętała jedna tylko rzecz.

– George chciał zabiegać o moje względy? Lata temu, zaraz po moim przyjeździe do Londynu?

– Dasz wiarę? Będąc trzecim czy czwartym synem swoich rodziców. – Uśmiechnęła się kpiąco. – Dałam mu jednoznacznie do zrozumienia, że interesuje cię co najmniej tytuł hrabiowski. – Przechyliła głowę na bok. – Tak się złożyło, że żaden książę nie szukał akurat żony.

– Odrzuciłaś mężczyznę, który był szczerze zainteresowany moją osobą i który darzył mnie sympatią, a co najmniej lubił spędzać czas w moim towarzystwie, i wydałaś mnie za Reggiego, dla którego liczył się tylko mój posag?

Fiona i Hetty wykazały dość przytomności, żeby cofnąć się o kilka kroków, i teraz obserwowały nas z rezerwą. Matka spoglądała na nie ukradkiem. Nie spodziewałam się, żeby Hetty miała stanąć po jej stronie. Jeśli zaś chodzi o Fionę, to szanse na jej przychyłność matka nieodwoływalnie przed chwilą przekreśliła.

Teraz i ona się cofnęła, a następnie opadła na kanapę.

– Moja droga Frances, mówisz o tym tak, jakby to było coś złego. A przecież taki właśnie miałyśmy plan. Chodziło o to, żeby zdobyć dla ciebie tytuł. I to nam się udało. Zostałaś hrabiną Harleigh. Dlaczego teraz masz do mnie o to pretensje?

Na chwilę mnie zamurowało. Rzeczywiście taki miałyśmy wtedy plan. I nawet jeśli to ona go ułożyła, ja chętnie nań przystałam. Taka byłam młoda, taka samotna w Londynie, że poza matką właściwie na nikim nie mogłam się oprzeć. Bez namysłu realizowałam więc jej założenia.

– Musisz przyznać, że Hazelton nie popisał się w tym tygodniu. Nawet gości nie umie porządnie podjąć. A to ktoś zostaje ugodzony strzałą, a to trafiony z pistoletu... A teraz trzeba odwoływać ślub i uciekać przed mordercą. Cóż za życie czekałoby cię u boku takiego mężczyzny? Na pewno nie byłabyś szczęśliwa.

– Pozwolę sobie przypomnieć, że Hazelton to mój brat, a nadto człowiek, który panią gości! – Fiona poczerwieniała do tego stopnia, że lada moment mogła nie zapanować nad gniewem.

Zwróciłam się do matki.

– A nadto także twój przyszyły zięć.

Matka prychnęła i w geście frustracji uderzyła dłonią w oparcie sofy.

– Frances, nie! Widziałam, że się zaprzyjaźniliście, ale spodziewałam się po tobie czegoś więcej. Z losem twojej siostry już się pogodziłam, ale cóż niby dobrego może ci przynieść taki związek? Mogłabyś znaleźć kogoś znacznie lepszego.

Kogoś lepszego? Czyżby matka znów coś knuła?

– Niech ci się nawet nie śni szukać mi nowego męża. Nie jestem już tamtą młodą dziewczyną, mam teraz inne zapatrywania na małżeństwo. A George’a kocham i uważam, że świetnie do siebie pasujemy.

– Przemawiają przez ciebie emocje.

– Właśnie tak! Okazuje się, że z dwóch twoich córek to Lily wykazała więcej rozsądku. Podążała za głosem serca. Teraz ja zamierzam zrobić to samo. Bardzo się zmieniłam przez te ostatnie lata. Potrafię samodzielnie myśleć i znam swoją wartość. I wiem też, ile jest wart pan Hazelton. Wypowiadając się o nim z takim lekceważeniem, bardzo się mylisz. Wbrew temu, co chciałabym o nim sądzić, nie jest chodzącym ideałem, ale to wspaniały człowiek i niczego bardziej nie pragnę, jak iść przez życie u jego boku.

– Brawo! – Fiona klasnęła w dłonie, jakby chciała rzeczywiście nagrodzić mnie aplauzem.

Matka zwróciła się do Hetty.

– Ty się na pewno ze mną zgadzasz.

– Bynajmniej, Daisy. Wybrałaś niewłaściwą publikę, bo jak tu siedzimy we trzy, mamy wszystkie pana Hazeltona w wysokim poważaniu, więc wypowiadać się o nim tak nieprzychylnie, wszystkie nas uraziłaś.

– A wobec niego zachowałam się niesprawiedliwie – dodałam. – To inteligentny i pomysłowy człowiek, życzliwy ludziom pan. Nawet służba jego brata odnosi się do niego z dużym szacunkiem.

Uśmiechnęłam się na myśl o tym, jak wiele różni George’a od pana tego domu. Zamiast oschłym tonem rzucać swoim ludziom rozkazy, George rozpytuje służących o opinie i zdaje się na ich doświadczenie. Jadł nawet grzanki z Tuttle’em i Winniem. Łowczemu ta swoboda tymczasowego pana wyraźnie odpowiadała, Winnie zaś odnosił się do niej z niejaką podejrzliwością.

Wokół mnie rozgorzała kłótnia, ale ja teraz nie mogłam przestać myśleć o tym, jak wtedy w chatce zarządcy George wyciągnął dłoń do Winniego, a ten uściśnął ją niechętnie dopiero po chwili wahania. George to zauważył, ale uznał za przejaw rezerwy w relacji podwładnego z włodarzem majątku. Ostatecznie rzadko się zdarzało, że udzielny pan witał się ze służącymi mu ludźmi przez podanie ręki, a Winnie pracował przecież na terenie posiadłości dopiero od niedawna. Nie wiele jeszcze czasu minęło, odkąd objął stanowisko, i w ogóle był dość młody.

A mimo wszystko zawsze można było na niego liczyć. Zawsze służył pomocą, zawsze był na miejscu, gdy działo się coś złego.

Zawsze był na miejscu.

Był też na tamtym spotkaniu, które odbyło się przed kilkoma dniami. Wtedy gdy George i Leo wnieśli toast sherry, której później nie wypili. Teraz ta scena stanęła mi przed oczami. Trunek rozlewał Durant, a Winnie pomagał Treadwellowi rozdawać kieliszki.

To wspomnienie przeraziło mnie tak bardzo, że aż opadłam na najbliższy fotel. Czy John Winnie mógł być synem Brackena? Czy to był ten młody chłopak, który, karmiony nienawiścią i goryczą, w dorosłym życiu wybrał drogę nieprawości i zemsty? Ale to chyba niemożliwe. Przecież George by go poznał. Choć, jeśli się zastanowić, minęło już siedem lat. George znał Jamiego tylko jako chłopca. Mówił o nim, że miał jasne włosy. Przypomniało mi się, że Winnie próbował zapuszczać brodę, a na włosy nakładał pomadę. Może zależało mu na tym, żeby wyglądały na ciemniejsze?

Odtwarzałam teraz w myślach kolejne wypadki. Gdy Charles został trafiony strzałą, Winnie akurat biegł ze swojej chatki – która znajduje się tuż za labiryntem. Gdy zarządca spadł z konia, Winnie był na miejscu. Jako pracownik wyższego szczebla, który osobiście ustalał różne kwestie z panem domu, miał dostęp do przestrzeni publicznych na terenie budynku, a zatem mógł bez przeszkód rozciągnąć plecionkę wędkarską w poprzek schodów prowadzących na korytarz kawalerski. Przypomniałam sobie też grupę służących, którzy ładowali nasze bagaże na stacji kolejowej. Winnie kierował ich wysiłkami.

Gdy uniosłam wzrok, zobaczyłam, że pozostałe panie przyglądają mi się z z troskaniem.

– Frances, moja droga – zagadnęła mnie Hetty. – Czy wszystko w porządku? Bardzo zbladłaś.

Zerwałam się na równe nogi, nie bardzo jednak wiedziałam, w którą stronę mam się zwrócić.

– Nie, nic nie jest w porządku. Nic. Muszę odnaleźć George'a.

– Na pewno nie teraz, moja droga. – Pchnęła mnie lekko na sofę, a potem zajęła miejsce obok mnie. – Wyraźnie coś ci dolega.

– Nic mi nie będzie, ciotcu Hetty. Muszę tylko bezzwłocznie porozmawiać z George'em.

Zanim jednak zdążyłam wstać ponownie, moich uszu dobiegł straszliwy wrzask.

– Pali się!

ROZDZIAŁ 21

– Pali się?

Zerwałyśmy się teraz wszystkie jak jeden mąż. Fiona, wymachując rozpaczliwie rękami, jako pierwsza rzuciła się w kierunku jednego wyjścia, potem jednak nagle przystanęła i skierowała się do drugiego, aż w końcu się zatrzymała i rozłożyła ramiona w geście bezradności.

– Gdzie? Gdzie się pali?

– Krzyk dobiegał z zewnątrz – odparłam.

Konieczniam musiałam odnaleźć George'a. Obawiałam się, że aż za dobrze wiem, gdzie wybuchł pożar.

Oplotłam palce mocno na ramieniu matki, a wówczas na jej twarzy wymalowało się bezgraniczne zaskoczenie.

– Jestem niemal pewna, że to nie w domu się pali, ale i tak proszę cię, idź do pokoju dziecięcego i upewnij się, że Rose nic nie grozi.

– Oczywiście, ale co ty właściwie zamierzasz?

Pozostawiając jej pytanie bez odpowiedzi, popędziłam w kierunku podwójnych drzwi, które prowadziły na podwórze. Miałam nadzieję, że to najkrótsza droga do mojego celu.

– Frances, chyba nie biegniesz w kierunku ognia!

– Ona wie, co robi, Daisy.

Tyle tylko usłyszałam, zanim drzwi się za mną zamknęły. Niemal biegłam przez ogród różany, muskając tylko podeszwami butów miękką ziemię na ścieżce. Obeszłam północne skrzydło domu, ale dym zobaczyłam dopiero po wyjściu na trawnik. Nie był gęsty ani ciemny, ale niewątpliwie świadczył o pożarze. Unosił się w niebo w okolicy najodleglejszej ode mnie części labiryntu.

Płonęła chatka zarządcy. Nie miałam co do tego wątpliwości.

Potknęłam się o jakiś kamień i wpadłam w gąszcz labiryntu. Włosy i fragmenty ubrania wplątały mi się na chwilę w iglaste gałęzie, ale wyswobodziłam się i poszłam dalej. Gdy w końcu dotarłam do końca ściany, przed oczami stanęła mi chatka. Dym przeciskał się przez szczeliny między kamieniami, uchodził kominem i przez przesłonięte okna. Cienkie strużki szarości wznosiły się znad kry-

tęgo strzechą dachu, tworząc chmurę. Dach się tlił, ale płomieni nie widziałam. Ogień musiał płonąć w środku, gdzie przecież był też George.

Widok połyskującej wewnętrznym blaskiem konstrukcji przyprawiał mnie o zawrót głowy. Zacisnęłam dłonie w pięści i pobiegłam naprzód. Powiedziałam sobie, że w takich chwilach nie można się wahać. Stałam już u drzwi, gdy zza moich pleców odezwał się głos pana Tuttle'a. Lada moment miałam podjąć próbę wdarcia się do środka, najpierw jednak chwyciłam metalową klamkę i wtedy moje ciało przeszły pałący impuls. Krzyknęłam z bólu.

Niech to! Strząsnęłam dłoń i w tym momencie pochwycił mnie pan Tuttle. Przyglądał mi się bacznie.

– Nic pani nie będzie – powiedział. – Ogień albo jeszcze nie dotarł do drzwi, albo nie płonie zbyt mocno.

– Nie o mnie tu chodzi. – Wyrwałam rękę z jego uścisku. – Musimy się dostać do środka, a drzwi są zablokowane. Potrzebujemy siekiery albo czegoś podobnego, żeby je rozrząbać.

Tuttle skinął głową i ruszył truchtem w kierunku swojego domu.

– Proszę się pospieszyć! – zawołałam za nim. – Pan Hazelton jest w środku.

Odwrocił się tylko na moment, ale zdążyłam zauważyć przerażenie, które wymalowało się na jego twarzy. Rzucił się pędem przed siebie. A ja przecież nie mogłam tak po prostu stać i na niego czekać. Nie było chwili do stracenia. Próbowałam odblokować okiennicę przy drzwiach, ale mi się nie udało. Przerażona, że uciekają mi kolejne cenne sekundy, pobiegłam do kolejnego okna. Słyszałam wrzawę w oddali. Od strony domu i stajni nadciągała już pomoc. Przy bocznym oknie dopisało mi szczęście. Okiennice były, co prawda, zasłonięte, ale nikt ich nie zamknął na skobel. Gdy je otworzyłam, ze środka buchnęły żar i dym – zaraz jednak mogłam wsadzić głowę do środka.

Wtedy zobaczyłam ogień. Paliło się biurko ustawione z ukosa w przeciwnym roku pokoju. Płomienie pięły się ku górze, liżąc książki rachunkowe i notatki ustawione w równych rzędach na ścianie z tyłu. Iskra musiała spaść na dywan, który wyściełał całą podłogę w tym pomieszczeniu. Od rozbyskającej co rusz ogniem tkaniny lada moment mogła zająć się podłoga. Cały pokój wypełniał dym, najmocniej kłębiący się pod sufitem.

W końcu opuściłam wzrok i wtedy zobaczyłam George'a. Leżał na podłodze tuż pod oknem. Twarz i włosy miał brudne od krwi.

Zaczęłam wspinać się po ścianie, żeby wgramolić się przez okno do środka. W ostatniej chwili coś mnie jednak przed tym powstrzymało. Ktoś chwycił mnie

za kostkę. Machnęłam nogą, usiłując się obrócić, ale ktokolwiek mnie złapał, nie zamierzał teraz puszczać.

– Frances, czyś ty powariowała? Natychmiast stamtąd wychodź.

Jakże mi ulżyło. Ten głos należał do Lona.

– Puść mnie! – krzyknęłam. – Hazelton tam jest.

Musiało go to zaskoczyć, bo rozluźnił nieco chwyt, a wtedy ja przeleciałam na drugą stronę ramy i zsunęłam się na podłogę. Przesuwałam się naprzód na rękach, żeby sprowadzić nogi na dół po ścianie. W końcu mogłam się odwrócić na plecy, a wtedy zobaczyłam w oknie twarz brata.

– A co Hazelton tam robi?

Łup!

Boże drogi! Mała chatka zatrzęsała się w posadach. Widocznie Tuttle znalazł już siekierę. *Łup!*

Alonzo aż podskoczył.

– A co to za łomot?

– Tuttle rozbija drzwi. Idź mu pomóc.

Te ostatnie słowa wypowiadałam już przed dławiący kaszel. Rozmowa niepotrzebnie pochłaniała resztki mojego oddechu. Posłałam więc tylko bratu wymowne spojrzenie, gestem wskazując drzwi.

– Ale Frances...

– Idź!

Wymamrotał pod nosem jakieś przekleństwo, a potem zniknął. Mogłam skupić całą uwagę na George'u. Czułam pod dłonią bicie jego serca, a gdy się nachyliłam, jego oddech musnął mnie po policzku. Wyciągnęłam z rękawa chusteczkę i zaczęłam wycierać mu twarz. Nie dostrzegłam na niej jednak żadnych cięć ani zadrapań, więc krew musiała płynąć z rany znajdującej się gdzieś z tyłu głowy.

– Moje biedne kochanie.

Łup!

Ściany ponownie zadrżały, a ja natychmiast otrzeźwiałam. Przecież dostałam się do środka. Wcale nie trzeba było wyważać drzwi. I to mi właśnie próbował powiedzieć Alonzo!

Podciągnęłam się na równe nogi, usiłując nie wciągać do płuc zbyt dużo gorącego i przesyconego dymem powietrza. Biurko i półki za nim stały już w płonieniach, a ogień pochłaniał teraz dywan i z sykiem przecinał drogę, którą musiałam pokonać, aby dostać się do drzwi. Był przeraźliwie blisko. Uznałam, że oni na pewno prędzej czy później wedrą się tutaj, więc w oczekiwaniu powinnam

spróbować stłumić nieco ten pożar. Z tego pomieszczenia przechodziło się do niewielkiej kuchni, która znajdowała się po mojej lewej stronie. Pod ścianą zamontowana została drewniana półka, na której stała miska pełna wody z mydłami. Obok zaś dostrzegłam ścierkę do naczyń i dzbanek z lemoniadą. Znalazłam się w sytuacji, w której nie można wybrzydzać. To były mokre rzeczy, które nie podsycalyby ognia. Postanowiłam spróbować.

Gdy wróciłam do głównego pokoju, dywan stał już w płomieniach, a te z każdą chwilą podchodziły bliżej George'a. Wylałam więc na nie zawartość miski, wysypując przy okazji wszystkie naczynia, sztućce i całą pozostałą zawartość. Odpowiedziało mi ogłuszające skwierczenie, ale dywan przestał się palić i tylko się już tlił. Swąd drapał mnie w nosie i w gardle, teraz jednak zyskałam swobodne dojście do drzwi. Wróciłam do kuchni po resztę znalezionej ścierki, przesłoniłam usta, lemoniadę zaś w większości wylałam na ścieżkę prowadzącą do wyjścia, a częściowo także na drzwi. Moje ciężkie buty kląskwały teraz na mokrej podłodze.

Lup!

– Przystańcie! – wykrzyknęłam pomiędzy listewki okiennic. – Otworzę drzwi.

Gdy z drugiej strony dobiegły mnie pomruki potwierdzenia, owinęłam ciężką zasuwę mokrą ścierką i odciągnęłam ją w bok. Gdy chwyciłam za klamkę, drzwi się rozpadły. Tuttle i Alonzo cofnęli się na widok sypiących się drzazg, ale po chwili wdarli się do środka.

Wskazałam im drogę.

– Zajmijcie się George'em. Ja sobie poradzę.

Zanosząc się kaszlem, przemaszerowałam wzdłuż szpaleru służących, którzy podawali sobie w kierunku drzwi wiadra wody. Zobaczyłam też Duranta, który z pomocą jednego z lokai usiłował podłączyć wąż do starej pompy.

– Lady Harleigh.

Podbiegła do mnie Anne.

– Pomogę pani – powiedziała i ujęła mnie za rękę.

– Nie. – Czulałam potworną suchość w gardle. – Muszę dopilnować, żeby...

Nie udało mi się jednak dokończyć, bo znów zaczęłam kaszleć. Wskazałam drzwi, przez które Alonzo i Tuttle wynosili George'a z chatki, która na skutek zalania kolejnymi wiadrami wody tonała teraz w chmurze dymu.

Anne nie puściła mojej ręki, tylko zaprowadziła mnie do George'a, który leżał teraz na ziemi w bezpiecznej odległości od biegającej służby i pożaru. Tuttle odpechnął mnie lekko, żeby sprawdzić puls nieprzytomnego, a potem odwrócił George'owi głowę i obejrzał ranę.

– Przestała krwawić – zauważyłam. – Czy to dobry znak?

– Dobry, a jakże. Tyle że teraz bardziej niż czegokolwiek innego potrzeba mu powietrza.

Starszy człowiek rozejrzał się po stłoczonych wokół ludziach, gestem dając nam wszystkim znać, że powinniśmy się cofnąć.

– Czy Hazelton się przewrócił? – Alonzo odciągnął mnie za rękę od zbiegowiska. – Jak wybuchł ten pożar? Co tu się, do diaska, dzieje, Frances?

– Też chciałabym to wiedzieć!

Takim władczyim tonem mogła wypowiadać się tylko jedna osoba. Odwróciłam się do niej.

– Mamo? – zacharczałam, a wtedy na jej oburzonej twarzy pojawił się wyraz... oburzenia lekko tylko przeplecionej troską.

– A tobie cóż się stało? Spójrz na swoje ubranie! Spójrz na swoją twarz! Spójrz na swoje ręce! – Chwyliła mnie za nadgarstki i przekreśliła mi dłonie wewnętrzną stroną ku górze. – Ręce damy nie powinny tak wyglądać, Frances. Co ty robiłaś?

– Miałaś towarzyszyć Rose – mówiłam już teraz chropowatym szeptem. – Dlaczego zatem jesteś tutaj?

Matka wyjęła chusteczkę i zaczęła wycierać mi twarz, jakbym była małym dzieckiem.

– Do pokoju dziecięcego posłałam lady Fionę. Gdy moja córka wyrusza na konfrontację z niebezpieczeństwem, moje miejsce jest przy niej. – Brudną od sadzy chusteczką przywołała stajennego, który niósł wiadro z wodą w kierunku chatki.

– Ty, tam! Przynieś to tutaj!

Zdumiony młody chłopak wypełnił polecenie, w pośpiechu sporo wody rozlewając. Matka zanurzyła poszarzały kwadrat tkaniny w wiadrze, po czym wróciła do przerwanej czynności pielęgnacyjnej.

– No jakże to? Nie zamierzasz odpowiedzieć na moje pytanie? Co się stało?

– Właśnie – wtrącił się Alonzo. – Czy ktoś powalił pana Hazeltona na ziemię?

– Najpewniej pan Winnie. – Na litość boską, zupełnie o nim zapomniałam. Stoję sobie tu bezczynnie, podczas gdy on ucieka. Odepchnęłam rękę matki. – Czy ktoś widział pana Winniego już po tym, jak wybuchł pożar?

Miałam zamiar wykrzyknąć to pytanie w kierunku całego zgromadzonego tłumu, ale mój głos wybrzmiał tak słabo, że usłyszało mnie tylko kilka osób stojących najbliżej.

– Nadwyrężysz sobie gardło, Frances. Zażyj to. – Matka otworzyła niewielką puszczkę i położyła mi na dłoni cytrynową pastylkę. Ze zdumieniem obserwowałam, jak zaraz potem ukryła pojemniczek z powrotem w torebeczce. – Lubię zakosztować słodczy od czasu do czasu. Nic w tym złego.

Cukierek rzeczywiście złagodził mojego dolegliwości na tyle, że mogłam normalnie mówić.

– Alonzo, musimy znaleźć Winniego. Idź o niego rozpytać.

Mój brat czym prędzej się oddalił, wyraźnie zadowolony, że ma zajęcie.

– Jeśli pani pozwoli, milady, ja go widziałem – odezwał się masztalerz, który przyniósł nam wiadro. Nadal stał obok mojej matki, wyczekując jej dalszych rozkazów. – W stajni, gdy biegłem do pożaru.

No oczywiście! Uznał, że dopełnił zemsty i może bezpiecznie uciec, podczas gdy wszyscy będą pochłonięci gaszeniem pożogi.

Uwolniłam się z uścisku matki i rozejrzałam wokół siebie. Namierzyłam wzrokiem chatkę łowczego. Wiedziałam, że stajnie są zaraz za nią.

Pobiegłam w tamtą stronę tak szybko, jak tylko mogłam w tych ciężkich butach, po nierównej ziemi i z płucami pełnymi jeszcze dymu, a dodatkowo zniewolonymi gorsetem – najkrócej więc rzecz ujmując, znacznie wolniej, niżbym chciała. Obiecałam sobie w duchu, że jeśli wyjdę cało z tej opresji, to już nigdy więcej żadnego gorsetu nie włożę. Za plecami słyszałam chrobotanie na żwirze, a gdy się obróciłam, zobaczyłam, że matka podąża za mną. Przemieszczała się w tempie, o jakie nigdy bym jej nie posądzała. Ciągnęła za sobą stajennego, którego kurczowo trzymała za kurtkę. On biegł za nią, niezmiennie z wiadrem w ręce.

Do stajni dobiegliśmy wszyscy razem. Matka ciężko dyszała ze zmęczenia.

– I co teraz? – zapytała i było to zaiste dobre pytanie.

Czy Winnie zdążył już uciec? Gdy znalazłam się w płonącej chatce z Georgerem, czas jakby się zatrzymał. Było to jednak tylko złudzenie, a ja nie wiedziałam dokładnie, ile go upłynęło. Nachyliłam się do ucha stajennego, żeby zapytać szeptem:

– A kiedy go tu widziałeś?

– Dziesięć minut temu, może trochę więcej.

– A gdzie dokładnie?

Wskazał miejsce po prawej stronie.

– Szedł w kierunku tych otwartych boksów.

Stajnia miała kształt dużego prostokąta. Weszliśmy do niej od strony północnej, gdzie znajdowały się biuro i siodlarnia. Dalej wchodziło się między boksy, aby w pewnym momencie dotrzeć do dwojga drzwi, przez które można było wyjechać wozem czy dorożką. Jedne były otwarte, drugie zamknięte. Najpewniej się spóźniliśmy, należało to jednak sprawdzić.

Stajenny, który szedł tuż za mną, najwyraźniej czytał w moich myślach.

– Musiałby okulbaczyć konia, milady, czyli przynieść sobie siodło i samodzielnie je założyć. Wszyscy pobiegli do pożaru. Nie było tu nikogo, kto by mu pomógł.

Może więc nie wszystko stracone.

– Chodźmy zatem!

Szybkim krokiem przemierzaliśmy krótki korytarz, który doprowadził nas do głównego przejścia. Po naszej lewej stronie znajdowało się kilkanaście boksów dla koni. Dużo! Winnie mógł się teraz znajdować w każdym z nich, mogło też go już tu nie być. Kilka koni wyglądało przez uchylone półdrzwi, z zainteresowaniem przyglądając się ludziom pospiesznie idącym w kierunku otwartych drzwi po prawej stronie. Winniego usłyszałam, zanim go zobaczyłam.

– Spokój, szkapo jedna. Długa droga przed nami.

Koń prychnął w odpowiedzi. Stajenny lekko stuknął mnie w ramię i wskazał głową boks. Gestem dałam matce znać, że powinniśmy się tam schować. Choć konia w środku nie było, przedział nie był tak naprawdę pusty. Pełno w nim było brudnej słomy, w którą ktoś wbił widły. Jeszcze przed chwilą wydawało mi się, że do końca życia nie poczuję już żadnego innego zapachu poza swędem dymu, ale końskie odchody skutecznie się przezeń przebiły.

Wszechobecny smród nie robił za to żadnego wrażenia na stajennym, który nachylił się i wyszeptał:

– Będzie musiał nas minąć. Inaczej musiałby otworzyć te drugie drzwi.

Stukot podków na drewnianej podłodze poinformował nas, że Winnie wyprowadza konia z boksu.

– Spokojnie, tylko spokojnie.

Przez ścianę usłyszałam charakterystyczne trzeszczenie napinającej się skóry. Czyżby Winnie zaciągał popręg? Lada moment będzie dosiadał konia i co wtedy? Pozwolimy mu tak po prostu przejechać obok nas? Koń głośno parsknął, a potem machnął łbem, przez co metalowe elementy ogłowia dźwięcznie zabrzęczały. Nie mogliśmy już dłużej czekać.

Chwyciłam widły i wybiegłam do korytarza. Na widok tego, co tam zastałam, aż mi zaparło dech w piersi. Oto Winnie siedział na grzbiecie najwyższego konia, jakiego kiedykolwiek widziałam. Zwierzę było tak potężne, że mogło mnie stratować i nawet by się nie zorientowało.

– Frances, wracaj tu – syknęła matka ze swojej kryjówki.

Na nic się to jednak zdało. Po pierwsze Winnie mnie już widział, a po drugie sparaliżował mnie strach. Nawet gdybym chciała się ruszyć, to i tak nie mogłam. Stałam więc niczym posąg Posejдона. Nawet trójzab dzierżyłam w dłoni!

Winnie zareagował na to moje wystąpienie bardzo gwałtownie, aż jego koń odskoczył do boku.

– Niech mi pani zejdzie z drogi, lady Harleigh – rzucił, usiłując zapanować nad wierzchowcem. – Zrobiłem, co miałem do zrobienia, a teraz stąd znikam. Stratuję panią, jeśli będzie trzeba.

Trudno mi było uwierzyć, że kiedyś miałam go za miłego młodego człowieka. Gniew jednak pomógł mi skupić całą uwagę na nim i zapomnieć o tym przerażającym koniu.

– On żyje, panie Winnie. Znów się panu nie udało.

Ściągnął brwi w gniewnym wyrazie.

– Nie wydaje mi się, żeby pan rzeczywiście chciał go zabić. Może zwyczajnie nie jest pan mordercą, a może w głębi duszy pan wie, że niesłusznie się próbuje mścić na panu Hazeltonie.

– Słusznie, słusznie! Udawał przyjaciela. Zabiegał o moje zaufanie. A potem zdradził mojego ojca i zrujnował mi życie. Za to, co zrobił, powinien smażyć się w piekle. – Rosły koń coraz bardziej się denerwował i wrywał naprzód. Winnie uznał, że pora ruszać.

– Może i żyje, ale zrobiłem, co mogłem. Nie zamierzam tu czekać, aż się zjawi policja i wtrąci mnie do więzienia. – Uniósł palec. – Ostrzegam panią raz jeszcze. Niech mi pani zejdzie z drogi.

Winnie trącił konia piętami dokładnie w tym samym momencie, gdy moja matka stwierdziła, że dość już tego dobrego. Porwała z ziemi wiadro, które stajenny wreszcie wypuścił z dłoni, i z okrzykiem bojowym na ustach zrobiła coś, czego nie powstydzilby się żaden starożytny szkocki wojownik: wyskoczyła z przepierzenia i wylała wodę pod kopyta wierzchowca.

Wrzeszczała tak głośno, że koń położył uszy, a gdy poczuł na sobie wodę, stanął dęba. Przednie nogi uniósł przy tym tak wysoko i wierzgnął kopytami tak blisko mojej twarzy, że aż mi żołądek podszedł do gardła. Po chwili zwierzę stanęło z powrotem na czterech i zaczęło tańczyć w wąskim przejściu, a Winnie zaczął

chwiać się w siodle. W końcu przerażony koń cofnął się do boksu, wtedy ja rzuciłam się naprzód i zamachnęłam się widłami na młodego człowieka. Gdy trzonek narzędzia zetknął się z jego czaszką, usłyszałam i poczułam obrzydliwy trzask. Winnie stracił równowagę dokładnie w momencie, gdy jego wierzchowiec wykonał gwałtowny obrót. Jeździec wyfrunął z siodła i uderzył w ścianę, po której spłynął prosto w stóg siana usypany na drewnianej podłodze.

Podbiegłam do niego, a moja matka podążyła za mną. Stajenny w tym czasie zajął się koniem. Ujął wodze i zaczął uspokajać rozjuszony zwierzę.

Winnie tymczasem wpadł w szal. Choć po zderzeniu ze ścianą na chwilę stracił panowanie nad własnym ciałem, teraz już zdążył wstać. Tyle mnie to wszystko jednak kosztowało, że nie zamierzałam pozwolić mu uciec. Wykrzesawszy z siebie resztki sił, mocą czystej determinacji dosłownie się na niego rzuciłam.

Upadliśmy razem na ziemię. Ponieważ ja znalazłam się na górze, dla mnie to było miękkie lądowanie, natomiast jego żebra mocno się ugięły pod naporem mojego łokcia. Gdy zwolniłam uścisk, jęknął boleśnie.

– Tutaj!

Moja matka otworzyła jeden z boksów, po czym wspólnie wciągnęliśmy Winniego do środka i ułożyliśmy na słomie. Koń odsunął się wyraźnie na bok. Na zakończenie matka zatrasnęła drzwi.

Wyczerpane osunęliśmy się potem po nich na podłogę i przez kilka następujących minut tylko ciężko oddychaliśmy. Stajenny wymaszerował na korytarz gniewnym krokiem.

– Biedny Hector najadł się strachu przez tego brutala – oznajmił.

Potrzebowałam chwili, żeby się zorientować, że Hector to ten ogromny koń, a brutalem został nazwany Winnie.

– Moje życie też się przez niego skróciło o ładnych parę lat.

Stajenny rozejrzał się wokół.

– A gdzie on jest?

Matka wskazała kciukiem drzwi za naszymi plecami, a wtedy chłopak zrobił wielkie oczy.

– Wrzuciły go panie do Szatana?

Z głębi mojego gardła dobył się w tym momencie nieopanowany śmiech, który wybrzmiał ustami w postaci dzikiego prychnięcia.

– To może lepiej wezwij pomoc, chłopcze.

Stajenny skinął głową i ruszył truchtem przed siebie, najpewniej w kierunku chatki.

– Może pan Bradmore zdążył już sprowadzić policję.

Matka westchnęła ciężko.

– Pan Bradmore... Spójrz tylko na siebie. Twoje włosy, twoje ubranie... A do tego ten zapach... Obawiam się, moja droga, że na skutek przebywania na tutejszej podłodze możesz roztaczać wokół siebie dość nieprzyjemną woń. Więc to pewnie nawet lepiej, że pan Bradmore cię nie interesuje.

Tym razem roześmiałam się już normalnie, a wtedy Szatan zaczął parskać i się wiercić.

– Przestań, moja droga, bo nie będziemy miały kogo przekazać w ręce policji. A przecież chcesz, żeby stanął przed obliczem sprawiedliwości, prawda? Pośmiej się ze mnie innym razem. – Uniosła brodę. – Zawsze starałam się dla moich dzieci, jak tylko mogłam. Nie wiem, dlaczego was to tak bezgranicznie śmieszy. Ja przecież tylko próbuję być dobrą matką.

– Nie wiem, czy układanie życia dorosłym dzieciom faktycznie zalicza się do obowiązków macierzyńskich.

Ona odrzuciła głowę do tyłu, przez co kolejny kosmyk włosów wymknął się ze starannie ułożonej fryzury.

– W takim razie sama już nie wiem, co się do nich zalicza.

Pomimo zmęczenia uśmiechnęłam się do niej i położyłam jej rękę na nodze, wewnątrz dłoni kierując ku górze. Odpowiedziała na ten gest tak, jak na to liczyłam, i nasze palce na chwilę się splotły.

– Pospieszyłaś mi na ratunek, gdy znalazłam się w niebezpieczeństwie. Uratowałaś mnie przed nacierającym koniem i przed szaleńcem. – Ścisnęłam ją mocniej. – No i poczęstowałaś mnie skrywanym przed światem dropsem cytrynowym. Ty nie jesteś dobrą matką – powiedziałam łamiącym się głosem. – Ty jesteś najlepsza!

ROZDZIAŁ 22

Bradmore powrócił, ale wbrew naszym nadziejom bez konstabli. Ponieważ jednak oficjalnie się tą sprawą zajmował, sporządził na potrzeby władz raport z całego zdarzenia, a następnie polecił jednemu z roślejszych stajennych wyciągnąć Winniego z boksu Szatana, który okazał się łagodny jak anioł. Bradmore związał młodego człowieka i zabrał go do wioski na posterunek policji.

Zanim opuściliśmy z matką stajnię, pożar został już ugaszony i rozpoczęło się sprzątanie. George został przeniesiony na noszach do domu, ale wedle wszystkich relacji odzyskał przytomność i zarzekał się, że mógłby się tam udać o własnych siłach. Alonzo i Durant nie ulegli jednak tym jego namowom i stwierdzili, że pozwolą mu chodzić dopiero wtedy, gdy zgodzi się na to lekarz.

Rozstałyśmy się z matką przy drzwiach do jej apartamentu. W stajni musiała zgubić parę spinek, bo tylko połowa jej fryzury trwała na swoim miejscu, a reszta włosów spływała na ramiona. Ponieważ byłam od niej całe pięć cali wyższa, doskonale widziałam wszystkie srebrne pasma przeplatające złote fale na jej głowie. Górna część sukienki popękała w szwach od całego tego wysiłku fizycznego, a w rękaw wczepiło się kilka źdźbeł słomy. Mimo to w jej oczach widziałam teraz blask, a brwi – o dziwo! – nie ściały się w wyrazie dezaprobaty.

– Gdybym cię aż tak dobrze nie znała, pomyślałabym, że świetnie się bawiłaś podczas naszej konfrontacji z mordercą. Aż promieniejesz!

Matka spojrzała na mnie wymownie i uniosła lekko brodę.

– A skąd wiesz, że mnie aż tak dobrze znasz?

Poklepała mnie lekko po policzku, po czym przekroczyła próg swojego pokoju. Zanim zamknęła za sobą drzwi, rzuciła jeszcze:

– Sugerowałabym, moja droga, żebyś się trochę doprowadziła do porządku, zanim zajrzysz do pana Hazeltona.

No cóż. Najpewniej wyglądałam i pachniałam nawet gorzej niż ona, więc może rzeczywiście należało się wykąpać przed wizytą u George'a. Tylko że ja przecież nie mogłam tak długo czekać. Fiona powiedziała, że zabrano go do pierwszego pokoju w skrzydle prywatnym. Z noszami trudno byłoby się wspiąć po schodach prowadzących do korytarza kawalerskiego. Lekarz jeszcze nie wyszedł, pomyślałam więc, że przynajmniej dowiem się czegoś z pierwszej ręki.

Spodziewałam się, że George może bagatelizować zalecenia i zakazy wystosowane przez doktora Woodrowa.

Nowy pokój George'a znajdował się za pierwszymi drzwiami po prawej stronie za zakrętem. Zastukałam w nie lekko i weszłam do środka. George leżał w łóżku. Spod zaciągniętej pod pachy kołdry wyzierała nocna koszula. Uśmiechnął się do mnie lekko, ale zaraz potem rozdzielił nas doktor Woodrow, czerwony na twarzy i wyraźnie wzburzony.

– Lady Harleigh, zechce pani łaskawie wyjść. Pan Hazelton nie może w tym stanie przyjmować gości.

Spoglądając mu za plecy, dostrzegłam, że George poruszył się nieco w łóżku i zrobił smutną minę, jak dziecko dopraszające się o łakocie. Cała się spięłam.

– Ale ja nie jestem gościem, doktorze Woodrow – powiedziałam. – Jestem narzeczoną pana Hazeltona. Zdaję sobie sprawę, że nie przysługuje mi jeszcze status żony, ale to tylko kwestia czasu. To ja będę się nim opiekować, dlatego teraz chętnie się od pana dowiem, w jakim on jest stanie. – Zerknęłam na George'a, który uśmiechał się łobuzersko. – Bo jego relacji chyba nie jestem skłonna zaufać.

Lekarz uniósł nieznacznie kąciki ust, a potem zerknął na George'a, który bezgłośnie potwierdził prawdziwość moich słów.

– W porządku, panie Hazelton. W takim razie winszuję panu rychłego ożenku, jak również mocnej głowy.

– Och, zawsze poczytywałam to sobie za jeden z moich największych atutów – odparł George dźwięcznym głosem, w którym tylko gdzieś w tle pobrzmiwało napięcie.

– Czy zatem słusznie wnioskuję, że ma pan dobre wieści, doktorze? – zagadnęłam. – Proszę mnie już nie trzymać w niepewności.

– Wieści niosę dobre, choć robię to ostrożnie. W przypadku urazów głowy nigdy do końca nie wiadomo, czy nie doszło do jakiegoś wewnętrznego krwawienia czy obrzęku, na razie jednak byłbym dobrej myśli. – Woodrow podniósł torbę z krzesła ustawionego przy łóżku. – Dziś wieczorem zalecałbym nie wstawać. Zajrzę tu ponownie jutro rano. – Posłał George'owi ostrzegawcze spojrzenie. – Jeśli do tej pory nie wystąpią żadne objawy, będzie pan mógł poczynać sobie całkowicie dowolnie.

Woodrow przywołał mnie do siebie gestem.

– Lady Harleigh, jeśli pani pozwoli. – Wymownie odchylił głowę w kierunku lampy. – Chciałbym zajrzeć pani do gardła.

Niechętnie wkroczyłam w krąg światła i posłusznie otworzyłam usta. Po kilkukrotnym przesunięciu mojego podbródka to w jedną, to w drugą stronę, lekarz

orzekł, że za dzień czy dwa wszystko wróci do normy.

– Proszę stosować płukanek z solą – doradził. – I oczywiście posłać po mnie, gdyby pojawiły się jakiegokolwiek dolegliwości.

Miałam zamiar towarzyszyć doktorowi w drodze do wyjścia, ale George mnie zawołał.

– Frances, zostań, proszę.

Obejrzałam się przez ramię. Spoglądał na mnie błagalnym wzrokiem, jakże więc mogłabym mu odmówić? Tym bardziej że serce radośnie mi zatrzepotało na myśl, że nie chce się ze mną rozstawać ani na chwilę. Doktor pokręcił głową i wyszedł, a ja przyciągnęłam sobie krzesło do łóżka, usiadłam i chwyciłam George'a za rękę.

– Dziękuję, że ze mną zostałeś – powiedział. – Woodrow nie potrafił mi zrelekcjonować, co zaszło, a ja co nieco sobie przypominam, ale mam też sporo dziur w pamięci.

I to by było tyle, jeśli chodzi o jakiegokolwiek romansowanie. Wyszwoleciłam rękę z jego uścisku i się nad nim nachyliłam.

– Masz dziury w pamięci? Biedactwo. To musi być okropne uczucie, nie wiedzieć o różnych rzeczach, które się wokół ciebie dzieją.

Sięgnęłam po dzbanek stojący przy łóżku i nalałam sobie do szklanki trochę wody, żeby zwilżyć gardło.

– W rzeczy samej. – George wyglądał na rozbawionego. – To jak? Opowiesz mi, co się wydarzyło?

– A na ile szczegółowo mam to wszystko przedstawić? Tak samo jak ty tę sprawę z listem, który dostałeś z więzienia? A może tak szczegółowo, jak mi wyjaśniłeś, że zwyczajnie tę groźbę zignorowałeś? Tak mam uzupełniać luki w twojej pamięci?

Kąciki jego ust wygięły się ku dołowi.

– Jesteś zła.

– No proszę, jaki z ciebie błyskotliwy detektyw! Owszem, jestem zła. Rzekomo jesteśmy partnerami. Tymczasem okazuje się, że zatajasz przede mną ważne informacje, przez co potem ledwo uchodzisz z życiem.

Przynajmniej tyle miał przyzwoitości, żeby zrobić w tym momencie zawstydzoną minę.

– No tak... To skoro już o tym mowa.

– Właśnie, George. Co masz na ten temat do powiedzenia? – Opadłam na oparcie, a dłonie złożyłam na kolanach w geście wyczekiwania.

– Pomyliłem się w swojej ocenie. I to kilkukrotnie. Nie potraktowałem tej groźby poważnie. Uznałem, że skoro Bracken siedzi w więzieniu, jego pogroźek nie trzeba brać serio. Wydawało mi się też, że Jamie to ciągle jeszcze młody i niewinny chłopak. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że mógłby się zwrócić przeciwko mnie. Naprawdę wychodziłem z założenia, że te wszystkie wypadki to rzeczywiście były wypadki, względnie że ktoś obrał sobie na cel Leo. Nie wyprowadziłem cię celowo w pole. Szczerze nie wierzyłem, żeby ktokolwiek chciał zrobić mi krzywdę.

– No dobrze, może w takim razie jednak uzupełnię luki w twojej pamięci.

Wzruszyłam od niechcenia ramionami, na co on uraczył mnie tym swoim figlarnym uśmiechem, który tak bardzo lubię.

– Bardzo ci będę wdzięczny. Chętnie się dowiem, jak doszłaś do tego, że John Winnie to tak naprawdę Jamie Bracken.

Przedstawiłam mu tok mojego rozumowania i powiedziałam, że odkrycia doznałam tuż przed tym, zanim rozległo się wezwanie do pożaru.

– Myślałam, że umrę z przerażenia, George. Wiedziałam, że poszedłeś do chatki zarządcy. Było dla mnie najzupełniej oczywiste, że Winnie cię zostawił w tym ogniu.

– Odwróciłem się na chwilę, a on mnie wtedy uderzył w tył głowy. Najwyraźniej zorientował się, że go ścigamy, więc zdecydował się na ostateczną konfrontację. – George ściągnął brwi. – A jak się dostałaś do środka? Do tego płonącego budynku?

Opowiedziałam mu, jak posłałam Tuttle'a po siekierę i jak sama weszłam przez okno.

Próbował się nie śmiać.

– Poważnie mówisz, że nie pobiegłaś otworzyć drzwi od razu, jak tylko dostałaś się do środka?

Wyprostowałam plecy.

– To się wszystko tak szybko działo. Musiałam się upewnić, że żyjesz. A chyba nie muszę ci przypominać, że wokół nas szalał pożar? Ale w końcu przyszło mi to do głowy.

George wybuchł gromkim śmiechem, a mnie pozostawało się cieszyć, że humor mu dopisuje.

– Odtąd już zawsze będę sobie wyobrażał, jak się wpychasz do chatki przez okno – stwierdził. – I jak gasisz pożar mydlinami i lemoniadą.

– To było mokre i było pod ręką. Zresztą ja nie ugasiłam pożaru, jedynie zyskałam trochę na czasie. – Prychnęłam z irytacją. – Długo jeszcze zamierzasz wykpiwać moje metody działania?

Ujął moją dłoń i przyłożył ją sobie do policzka.

– Najpewniej uratowałaś mi życie. Nigdy nie będę podważać ani twoich metod, ani twoich możliwości. Powinienem był ci powiedzieć o tym liście już wtedy, gdy go dostałem. Od dziś powierzam swoje życie w twoje ręce.

Miło mi się tego słuchało.

– W porządku, chyba będę ci skłonna to wszystko wybaczyć. Chciałabym jednak mieć pewność, że coś takiego się więcej nie powtórzy. Mam już za sobą małżeństwo, w którym mąż i żona wiedli całkiem odrębne życie. Nie odpowiadało mi to i już tego nie chcę. Nie życzę sobie, abyś cokolwiek zachowywał przede mną w tajemnicy tylko po to, żeby mnie chronić.

– Masz moje słowo.

– W takim razie za ciebie wyjdę.

George dźwignął się do pozycji siedzącej. Był wyraźnie zaniepokojony.

– Wydawało mi się, że to już postanowiono. A ty się ciągle jeszcze wahałaś?

– Nie nazwałabym tego wahaniem.

Zmarszczył brwi.

– A w takim razie jak?

Teraz przyszła moja kolej na szczere wyznania.

– Martwiłam się, że gdy już zostanę twoją żoną, zupełnie mnie wyłączysz ze wszystkich swoich działań śledczych. Że będziesz ode mnie oczekiwał, że zajmę się li tylko prowadzeniem domu.

Popatrzył na mnie sceptycznym wzrokiem.

– Nie mam najmniejszych złudzeń co do tego, że nie jestem w stanie do niczego cię przymusić. Mogę natomiast odczuwać nieodpartą potrzebę wykluczenia cię z dalszej pracy dochodzeniowej, jeśli przy kolejnych sprawach będziesz mnie przyćmiewać tak skutecznie jak przy tej.

Parsknęłam lekko.

– Myślałam przede wszystkim o tym, żeby cię utrzymać przy życiu. Bynajmniej nie zależało mi na tym, żeby nad tobą triumfować.

– Wynikałoby z tego, że jesteś mnie w stanie prześcignąć, choć nawet się nie starasz. – Zamilkł na chwilę, a potem od niechcienia machnął ręką. – I jeszcze śmiesz się z mojej niedoli.

Zaiste śmiałam się... i kaszlałam jednocześnie.

On wyciągnął do mnie rękę i ujął moją dłoń.

– Zawsze będę chciał chronić cię przed niebezpieczeństwem, ale też zawsze będę chciał mieć cię u swojego boku. Na pewno uda nam się to jakoś wypośrodkować, żebyś ty mogła przeżywać przygody i żebym ja przez to nie dostał palpacji serca.

Spoglądał na mnie z taką nadzieją, że nie mogłam się nie uśmiechnąć.

– Na pewno. A ten tydzień pokazał dobitnie, że mnie potrzebujesz, bo pomagam ci zachować czujność. A jeśli to nie wystarczy za powód, żeby za ciebie wyjść, to mam jeszcze jeden.

– Przyjmę każdy.

– Powiedziałam o nas mojej matce.

George się w tym momencie cofnął i wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

– Nie spodziewam się, żeby wyraziła aprobatę.

– Jej aprobata nie ma znaczenia. – Ścisnęłam go za rękę. – Wyznała mi też, że wiele lat temu odwiedła cię od zabiegania o moje względy.

– Ha! To się nazywa niedopowiedzenie. W rzeczywistości dała mi wtedy jasno do zrozumienia, że nie mam u ciebie szans.

– A dlaczego jej uwierzyłeś? Dlaczego nie zapytałeś o to mnie?

– Jeszcze cię wtedy nie znałem. Wyszedłem z założenia, że ona się wypowiada w twoim imieniu i że skoro tak jednoznacznie mnie odrzuca, to ty nie będziesz skłonna sprzeciwiać się jej woli.

Było to całkiem słuszne spostrzeżenie.

– Z przykrością muszę przyznać, że tak właśnie mogłoby być. Na szczęście od tamtej pory dojrzałam i już potrafię samodzielnie myśleć.

– Czy zatem mogę ponownie wręczyć ci pierścionek?

– A masz go przy sobie?

Wzruszył ramionami.

– Noszę go w kieszeni. A teraz Woodrow umieścił go w tamtej szufladzie.

Sięgnęłam do szafki stojącej przy łóżku i podałam mu pierścionek, a wówczas on wsunął mi go na palec i spojrział na mnie rozpromieniony.

– Jesteś pewna? Jeśli chcesz, mogę się wstrzymać do czasu, gdy porozmawiamy z twoją matką.

– Ona już wie, że zamierzam za ciebie wyjść. Z początku się sprzeciwiała, ale gdy się przed chwilą rozstawałyśmy, odnosiła się chyba do sprawy nieco przychylniej.

– A co ją skłoniło do zmiany zdania?

Opowiedziałam mu o tym, jak doszło do pojmania Jamiego Brackena, na co wybuchł śmiechem.

– Myślę, że sobie po prostu uświadomiła, że wcale nie ustępuję jej pod względem determinacji.

– Razem z matką powstrzymałyście przestępcę, mając do dyspozycji widły i wiadro wody. Jesteście obie nawet bardziej niesamowite, niż mi się wydawało.

Uśmiechnęłam się.

– A teraz jeszcze wychodzi na to, że będziesz miał nas obie po swojej stronie. To dopiero szczęście, prawda?

Gdy w końcu wróciłam do swojego pokoju, Bridget czekała już na mnie z kąpielą. Bardzo żałowałam, że nie mogę po prostu poleżeć w ciepłej wodzie i porządnie się odmoczyć. Tyle jednak miałam jeszcze rzeczy do zrobienia. Owszem, pan Winnie, a właściwie pan Bracken, znalazł się już w rękach policji, a tym samym bezpośrednio zagrożenie minęło. Czy jednak wszyscy o tym wiedzieli? Nie wspominając o tym, że pożar mógł być ostatnią kroplą, która przepełniła czarę goryczy. A może wszyscy już wyjechali? Aby się tego dowiedzieć, musiałam chęć nie chcąc opuścić wannę.

Niespełna pół godziny później, umyta i ubrana, wychodziłam z pokoju, aby sprawdzić, co u pozostałych gości. Crocker czekał na mnie u stóp schodów z informacją, że jak dotąd nikt nie wyjechał, pan Kendrick obudził się i zamierza zejść na kolację, a pan Bradmore czeka na mnie w salonie niebieskim.

– A nie w bawialni?

– Chwilowo z bawialni korzystają pani i panna Price.

Z jego miny wyczytałam, że najpewniej prowadzą tam kolejną ze swoich słownych potyczek. Postanowiłam więc najpierw spotkać się z Bradmore'em.

– Lady Harleigh – powitał mnie, wstając na mój widok. – Pozwoli pani, że pogratuluję skutecznego pochwylenia sprawcy. Muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem pani umiejętności przywódczych.

– Przyznam, że sama jestem pod wrażeniem, zwłaszcza zważywszy na to, jak bardzo starał się pan nie włączać nas w tę sprawę.

Bradmore rozłożył ręce w geście bezradności.

– Decyzja nie należała do mnie, a ja nie miałem pojęcia, że prowadzą państwo niezależne śledztwo.

– Czyżby? – zachnęłam się. – Nawet po tym, jak wypytywałam pana o ciotkę? Ależ, panie Bradmore, może powinien pan nieco popracować nad umiejętnościami natury detektywistycznej.

Odpowiedział mi z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Na pewno nie zabrakło mi umiejętności, aby stwierdzić, że zamierzacie z Hazeltonem ogłosić zaręczyny – Spojrzał wymownie na mój pierścionek. – Skorzystam więc z okazji, aby jeszcze przed wyjazdem życzyć państwu szczęścia. Będę eskortować więźnia w drodze powrotnej do Londynu.

– Czy to znaczy, że on się przyznał? Czy to on zaplanował te wszystkie wypadki? I czy chodziło w tym o pana Hazeltona?

Bradmore przekrzywił głowę.

– Nie do końca. Aby bowiem zbliżyć się do Hazeltona na tyle, żeby przypuścić zamach na jego życie, Bracken musiał się najpierw pozbyć zarządcy.

– Rzecz oczywista. Żadnej z tych pułapek nie mógłby zastawić, dopóki pan Gibbs nadzorował jego pracę. Nie miałyby też swobodnego dostępu do domu. – Westchnęłam na samą myśl o tym, ile zamieszania wywołał ten człowiek. – A jak mu się udało zatruć sherry?

– Miał paczuszkę proszku w kieszeni marynarki.

– I nikt z nas tego nie zauważył...

– Jeśli dobrze rozumiem, to była chwila radosnego świętowania. Nikt nikogo nie pilnował.

– Jak mniemam, nie wspomniał nic o wózku z bagażami spuszczonej ze schodów na dworcu.

Bradmore ściągnął brwi.

– Nie, a powinien?

– To mógł być wypadek. Nigdy się tego nie dowiemy. – Westchnęłam ciężko. – Co też się musiało dziać w głowie tego człowieka?

Bradmore mi przytaknął.

– Przez całe lata rozpamiętywał to, co się przydarzyło jego ojcu, a gdy odwiedzał go w więzieniu, stary Bracken skutecznie podsycił tę jego nienawiść.

– Zastanawiam się, dlaczego nie próbował atakować pana Hazeltona w Londynie. Czy tam nie miałyby większych możliwości?

Bradmore pokręcił głową.

– Jego ojciec miał w mieście wielu wrogów. Całe rzesze jego byłych współpracowników uniknęły aresztowania, ale straciły pracę. A niektórzy nadal służą w policji. Na pewno znalazłoby się paru, którzy by się chętnie zemścili na jego synu. Bracken przestrzegał Jamiego, żeby trzymał się z dala od Londynu.

– Rozumiem. Niemniej przygotowania do zamachu na terenie posiadłości hrabiego wymagały dużej cierpliwości.

– Stary Bracken siedzi w więzieniu. Nie przeszkadzało mu, że musi poczekać. To on przysłał syna do pracy tutaj. Nawet sfalszował dla niego referencje. Założył pewnie, że Hazelton prędzej czy później się tu pojawi.

– Nie musiał wcale tak długo czekać.

– W rzeczy samej. – Bradmore zerknął na zegarek. – A skoro już mowa o upływie czasu, to na mnie pora. Miło było panią poznać, milady. Hazelton to prawdziwy szczęściarz.

Odprowadziłam go do wyjścia, a potem pomaszerowałam w kierunku ba-wialni. Przed drzwiami zastałam Bena, starszego lokaja.

– Przyjechali pan i pani Kendrick, milady.

Jak miło! Zebrałam się zatem w sobie i weszłam do pokoju, w którym oprócz państwa Kendricków zastałam również moją matkę, Lily i Leo. Ten ostatni był blady i wyraźnie osłabiony, ale wyglądał znacznie lepiej, niż gdy go widziałam poprzednio.

Przywitałam się z jego rodzicami, a potem dosiadłam się do Lily i matki, które zajęły miejsce na sofie. We czworo zdołaliśmy przedstawić skróconą i odpowiednio wygładzoną wersję wydarzeń, które się tu rozegrały w ciągu minionych dni. Musieliśmy im przecież wyjaśnić, jak doszło do tego, że dwoje z ich dzieci poważnie ucierpiało.

– No to mamy koniec dyskusji – oznajmił pan Kendrick. – Żadnego domu na wsi nie kupujemy. To jest stanowczo zbyt niebezpieczne. I pomyśleć, że jechaliśmy tu z przekonaniem, że wszyscy się tu świetnie bawicie.

– Momentami tak właśnie było – odparła Lily, uśmiechając się słodko do Leo.

– Jak rozumiem, jutrzejszy ślub nadal się odbywa? – zapytał.

Matka obserwowała wymianę spojrzeń między nimi.

– Skoro już podjęliśmy cały ten trud związanymi z przygotowaniem, to właściwie dlaczego nie.

– Jakże to niesamowicie romantyczne – stwierdziła pani Kendrick, spoglądając z czułością na Lily i swojego syna.

Gdyby pominąć to, że pomyłony morderca czynił wszystko, co w jego mocy, aby pokrzyżować plany ślubne tej pary, to pewnie miała rację. Rzeczywiście było to bardzo romantyczne.

ROZDZIAŁ 23

W końcu nadszedł dzień ślubu. Pogoda dopisała, zwłaszcza że znaczną część października mieliśmy już za sobą. Słońce jasno świeciło, powietrze było rześkie, a mały wiejski kościół chyba nigdy nie wyglądał ładniej. Lily i jej drużny, czyli Anne i Clara, czekały wraz z Alonzem w zakrystii na moment, gdy przyjdzie im przemierzyć drogę do ołtarza. Zrobiło mi się trochę żal matki. Szkoda, że ojca tu nie ma. Lily i Alonzo prawie nie odnotowali jego nieobecności, ale matce ona na pewno ciążyła. Nic dziwnego, że tyle energii poświęcała na układanie życia swoim dzieciom. Postanowiłam się tym jednak nie zdręzczać. To był radosny dzień i to on powinien żałować, że w nim nie uczestniczy. Wydawało się, że wszystko jest w najlepszym porządku, więc wyszłam na chwilę na zewnątrz, żeby przyjrzeć się reszcie towarzystwa.

Pierwsi dotarli na miejsce państwo Kendrickowie i Durantowie. Przywitałam ich serdecznie i zaprosiłam do zajęcia miejsce w kościele. Patricia Kendrick gestem dała znać pozostałym, żeby wchodzili, a sama odciągnęła mnie na chwilę od drzwi. Z jej miny wyczytałam, że przyświeca jej jakiś ściśle określony cel, co akurat uznałam za powód do niepokoju.

– Czy coś się stało? – zapytałam.

Rozejrzała się skrzętnie, czy aby na pewno nikt nas nie usłyszy, a potem zwróciła się do mnie.

– Od przyjazdu nie miałam okazji rozmawiać na osobności ani z tobą, ani z Lily, a i to pewnie już ostatnia okazja przed ich wyjazdem w podróż poślubną. – Na chwilę zamilkła, a potem zaczerpnęła tchu. – Przepraszam, że tak przechodzę od razu do rzeczy, ale muszę wiedzieć: czy ona spodziewa się dziecka?

Boże drogi, skąd Patricia mogła to wiedzieć? Ze zdumienia otworzyłam lekko usta, a zaraz potem je zamknęłam. Zupełnie nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

Ona wtedy skinęła głową i poklepała mnie po ramieniu.

– Nic nie musisz mówić. Już wszystko wiem.

Zacisnęła wargi i opuściła głowę, a ja przeklełam się w duchu za to, że nie potrafię lepiej kłamać. I że brak mi refleksu. Dlaczego nigdy nie udaje mi się w porę zareagować?

Wpatrywałam się przez chwilę w misterną układankę wstążek i kwiatów, którą miała wpiętą we włosy, aż w końcu ona podniosła głowę. Wtedy w jej oczach zobaczyłam łzy, ale usta rozwarły się od śmiechu, który popłynął perliście i zdawał się nie mieć końca.

– Będę babcią – powiedziała szeptem.

Potrzebowałam chwili, żeby zrozumieć, co się właściwie stało.

– Czyli ty się z tego cieszysz?

Patricia otarła łzy dłonią odzianą w rękawiczkę.

– No cóż, pewnie wołałabym, żeby się wstrzymali do ślubu, ale nasz dom czeka na kolejne dziecko od piętnastu lat. Powiem zupełnie szczerze, że gdy Leo przysłał wiadomość o zmianie planów ślubnych, domyśliłam się, z czego to może wynikać.

Czy to w przyływie ulgi, czy zwyczajnie z najczystszej radości, nie zdołałam się powstrzymać – przytuliłam ją i też się roześmiałam.

– Oczywiście panu Kendrickowi nic nie możemy powiedzieć. Gdy już wrócą z podróży poślubnej, znajdziemy jakiś powód, żeby ich odesłać z miasta. Może w interesach albo w innej sprawie.

– Pan Durant na pewno chętnie zastąpi Leo w czasie jego nieobecności.

– Tak, taki układ na pewno się sprawdzi.

Zerknęłam w kierunku kościoła, bo przyjeżdżali kolejni goście.

– Wracajmy już, bo ślub nas ominie.

Dotarliśmy do drzwi dokładnie w momencie, gdy na ścieżkę weszli George z moją matką i ciotką Hetty. Obie panie przekazały go pod moją opiekę, po czym weszły do środka razem z panią Kendrick. Hetty odwróciła się przez ramię, że mrugnąć do mnie porozumiewawczo.

– Ciotka Hetty chyba bardzo się cieszy z powodu naszych zaręczyn – stwierdziłam. – Matka też już się chyba oswoiła z tą myślą.

Poprzedniego wieczoru przedstawiliśmy z George'em nasze plany mojej córce. Odniosłam wrażenie, że się ucieszyła, ale też – czego się zresztą spodziewałam – od razu zaczęła o tym wszystkim opowiadać.

George przechylił lekko głowę, ukazując mi bandaż, którego nie dało się w całości schować pod kapeluszem.

– Zakładam, że po tej ceremonii nic już nie będzie stało nam na drodze.

– Zupełnie nic. – Uśmiechnęłam się. – Jeśli sobie życzysz, możemy przystąpić do planowania jeszcze przy śniadaniu weselnym.

– Do planowania? – Na jego twarzy wymalował się wyraz zaniepokojenia. – Czyżbyś miała zamiar zorganizować duże wydarzenie?

– Nic z tych rzeczy. Miałam raczej na myśli naszą wspólną przyszłość. Choćby to, gdzie będziemy mieszkać i jak dużą rolę będę odgrywać przy realizacji twoich kolejnych misji.

– Ach, no tak. To takim planowaniem chętnie się zajmę. Na razie jednak powinniśmy wejść do środka, żeby ten ślub mieć już za sobą.

Zajęliśmy miejsca w pierwszym rzędzie. George pewnie powinien był zostać w łóżku, bo głowę miał ciągle jeszcze owiniętą w bandażę i lekko się wspierał na moim ramieniu – ale bardzo się cieszyłam, że koniecznie chciał uczestniczyć w ceremonii.

Rozbrzmiały organy, więc wszyscy wstaliśmy. Leo, z ręką na temblaku, wyszedł z zakrystii i zajął miejsce przy ołtarzu. U jego boku stał druhna, Treadwell, z okiem podbitym własnoręcznie przez pana młodego (siniak zdążył już niemal całkiem zzielenieć).

Jako pierwsza na ślubnym kobiercu pojawiła się Rose, która rzuciła przed siebie płatki kwiatów. Odwróciłam się w kierunku drzwi i zobaczyłam kroczące od wejścia druhny. Kątem oka dostrzegłam, że Charles, ulokowany w ławce za nami, częściowo tylko wspiera się na kuli, pozostałym zaś ciężarem swojego ciała obarcza Lottie. Anne uśmiechnęła się, gdy nas mijała. Za nią kroczyła Clara, z ręką w gipsie.

Gdy zaś na ścieżce wiodącej do ołtarza pojawił się Alonzo ze wsparcią na jego ramieniu Lily, całą i zdrową, a do tego promieniejącą radością, matka dyskretnie otarła kąciki oczu. Ja obserwowałam tę scenę przez mgłę szczęśliwych łez. To była moja rodzina, do której George wkrótce miał dołączyć jako moje największe kochanie.

Lepszego życia nie potrafiłabym sobie wyobrazić.